

105.

13
1654
WALERY PRZYBOROWSKI.

Historya ~~1864~~
sześciu miesięcy.

Ustęp z dziejów 1862 roku.

WYDANIE DRUGIE.



WARSZAWA.

Nakładem

A. G. DUBOWSKIEGO.

91. Marszałkowska 91.

1904.

Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Łodzi

445.

210.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 11 Октября 1903 года.

~~1654~~

Nie niszczyć książek.

„A zatem, o! Glaukonie, kto zamysła o wojnie, musi dobrze znać siły swojego narodu i nieprzyjaciół, aby stosownie do nich zachęcać do wojny, jeżeli się jest mocniejszym, a doradzać roztropność, jeżeli się jest słabszym.“

(Ksenofont, Memorabilia).

„Gdy się żyje w czasach, w których namiętności kierują sprawami, nie tyle trzeba uważać na to, co mówią ludzie rozważni i doświadczeni, jak na to, co zajmuje wyobraźnię marzycieli.“

(Tocqueville, Mélanges, fragments historiques).

Praca niniejsza obejmuje opis wypadków, zaszłych w kraju naszym w ciągu drugiego półrocza 1862 roku.

Podjmując tę pracę, kierowaliśmy się względami bardzo poważnej i bardzo głębokiej natury.

W społeczeństwie, którego najmłodsze pokolenia nie wiedzą, co się wczoraj działo, co robili ich ojcowie i jakie błędy popełniali, taka praca, jak niniejsza, nie tylko jest potrzebną, ale konieczną nawet i jej napisanie jest obowiązkiem obywatelskim. Przychodzą bowiem niekiedy takie cza-

sy, że historia staje się prawdziwą mistrzynią narodów, wzorem postępowania, nauką niezbędną życia społecznego. Przed młodem pokoleniem czytelników, bo autorowi szło głównie o młodzież, roztoczy się obraz niewątpliwie smutny, ale pełen głębokiej, ciężkiej, ponurej, jednocześnie wszakże zbawiennej nauki. Czytelnik zobaczy, jak naród, mając w ręku wszystko niemal, co mógł mieć w danych warunkach dla pomyślnego rozwoju sił swych rodzimych, w pościgu za idealami, wykarmionymi długim szeregiem nieszczęść, w pogoni za aspiracyami bardzo zapewne podniosłej natury, ale nieliczącami się z praktyczną możliwością danej chwili — utracił wiele i nawet zachwiał podstawami swego bytu.

Historia ta pokazuje, jak garść ludzi, nieupoważnionych do akcji politycznej ani wiekiem, ani doświadczeniem, ani nauką lub stanowiskiem społecznym, zuchwale i lekkomyślnie wzięła się do kierowania nawą krajową i wśród dziejowych fal burzliwych rozbiła ją na drzazgi, na szczątki niemal. Historia ta pokazuje, jak ludzie dojrzałi, ojcowie narodu, w niepojętym niedołęstwie pozwolili sobie wyrwać z rąk wszystkie wodze, cały ster tej nawy i w niemym osłupieniu patrzyli na ginący statek. I statek ten pogrążył się w otchłań nieszczęść tak wielkich, jakich przykłady rzadko w historii można napotkać.

Wielka zatem nauka z tych ponurych dziejów spływać na nas może. Pokażą nam one, że zasada *liberum, con-* *spiro*, przez pięćdziesiąt przeszło lat stosowana u nas do żywego organizmu społecznego, doprowadza do nieszczęść i do klęsk, których skutki straszliwie dziś na sobie odczuwamy. Nauczy nas ona, że nikt nie ma prawa samowolnie rozrządzać w tajemnicy losami narodu, że polityka społeczna jest umiejętnością, którą prowadzić należy przy jasnym dniu, na widoku wszystkich; że, jak w życiu pojedynczego człowieka, tak i całych narodów, wielkie prze-skoki, nagle błyski szczęścia są rzadkością, że owoc zdo-

bywa się długim trudem, mozolnym dorobkiem z dnia na dzień.

Dlatego też praca ta jak najbardziej stanowczo potępia tych, którzy, w tajnych cieniach życia społecznego wyłegli, porwali się do kierowania losami kraju; potępia także tych, którzy widzieli nieszczęście, a zapobiedz mu nie umieli; surowo wreszcie sędzi i tamtych także, którzy starali się zapobiedz nieszczęściu, ale używali do tego środków jak najgorszych i nieprowadzących do celu. Wszyscy oni stanąć muszą w charakterze obwinionych przed trybunałem dziejowym i wysłuchać wyroku, który oby był nauką dla dzisiejszych pokoleń!

Praca ta, jakżeśmy już wspomnieli, obejmuje czasy namiestnictwa Wielkiego Księcia Konstantego Mikołajewicza od chwili jego przybycia do Warszawy aż do wybuchu powstania, czyli przeciąg sześciomiesięczny, pełen tragicznej grozy i opłakanych błędów.

Dla tych, którzy nie są obznajmieni z przebiegiem wypadków, powodujących przyjazd do Warszawy Dostojnego brata Cesarskiego i wyniesienie margrabiego Aleksandra Wielopolskiego na wysoką godność Naczelnika Rządu Cywilnego, musimy tu dać krótkie streszczenie tych wypadków.

Rozpoczęły się one w r. 1861, choć pierwotne ich źródło o wiele wcześniej odszukać się daje, szeregiem manifestacji publicznych, które spowodowały Cesarza Aleksandra II, że nadał Królestwu Polskiemu szereg instytucji, zabezpieczających swobodny rozwój praw i podstaw narodowych. Przywrócono Komisję Oświecenia Publicznego, na której Dyrektora Głównego powołano męża, znanego z rozumu i niepospolitej inteligencji, margrabiego Wielopolskiego, co było rękojmią, że wychowanie publiczne, tak głęboko dotykające najserdeczniejszych interesów krajowych, oparte będzie na podstawach swojskich i rodzimych. Ustanowiono rady miejskie i powiatowe, wszystkie urzędy sądowe

i administracyjne powierzono Polakom, zajęto się załatwieniem kwestyi włościańskiej. Najświetniejsza przyszłość autonomiczna przedstawiała się krajowi.

Ale istniało w społeczeństwie stronnictwo rewolucyjne, które nie chciało żadnych kompromisów, które zdecydowane było od razu wszystko na kartę postawić, któremu się zdawało, że naród ma dość sił, by jeszcze raz zmierzyć się z potężnem Państwem Rosyjskiem.

W tej myśli i w tych zamiarach partya ta, złożona przeważnie z ludzi młodych, nie przestawała wywoływać najróżnorodniejszych manifestacyi, a nawet zawiązała szeroki, bezprzykładny w dziejach spisek, na czele którego stanęło ciało, mianujące się Komitetem Centralnym Narodowym. Praca ta pokaże, jacy to ludzie zasiadali w tem samozwańczem ciele i jakie oni mieli prawa do rządzenia narodem.

Powoli z dziedziny manifestacyi odcień najczerwieńszy tego stronnictwa przeszedł do zamachów politycznych i Namiestnik Królestwa, generał Lüders, został postrzelony w ogrodzie Saskim.

W owej chwili wiedziano już w kraju, że Wielki Książę Konstanty, „wyjednany prośbami“ margrabiego Wielopolskiego, ma zająć stanowisko Namiestnika w Królestwie; strzelając więc do generała Lüdersa, sądzono, że tym sposobem powstrzyma się przybycie brata Cesarskiego do Warszawy, a tem samem zniszczy się zamiary stronnictwa umiarkowanego, zwanego „Białem“, które pragnęło teraz uspokojenia kraju, widząc w Wielkim Księciu najlepszą gwarancję przyszłości. Oniylono się jednak: Wielki Książę przyspieszył swój przyjazd do Warszawy, sądząc szlachetnie, że jego Dostojna Osoba przyczynić się może do stłumienia ruchu, do ugłaskania ryczącego lwa rewolucyi.

Z tem przybyciem Wielkiego Księcia rozpoczyna się nasza historia. Opowiadanie w niej stanowi jeden ciąg błędów naszych. Autor starał się być bezstronnym; choć

przy pisaniu tej pracy krwawiło mu się nieraz serce i domagało się, by pióro maczał w zółci.

Ponieważ praca ta przeznaczona jest dla szerszej publiczności, której nic nie obchodzi balast naukowy, więc wszystkie dopiski, wszystkie dokumenty i wskazówki, na czem się autor opierał w swem opowiadaniu, zostały opuszczone.

I.

Wielki Książę Konstanty przybywał do Warszawy z bardzo obszernemi pełnomocnictwami, jakich żaden z namiestników nie posiadał; nominacya jego miała być, jak się reskrypt Cesarski wyrażał, „nowym i istotnym dowodem troskliwości Monarszej o pomyślność poddanych Królestwa Polskiego.“ W tymże dniu 8-m czerwca, w którym nastąpiła ta nominacya, wydana została nowa instrukcyja dla namiestnika, gdyż, według jej słów, dawne z r. 1818 „pełnomocnictwo Monarsze nie odpowiada już obecnym okolicznościom.“ Prócz tego koniecznem było uregulowanie stosunku Namiestnika do nowej, nieznanej dotąd w rocznikach Królestwa kongresowej władzy, Naczelnika rządu cywilnego. Zaszły przytem poważne zmiany i w zarządzie wojskowym. Dotąd, od czasu ks. Paskiewicza, Namiestnik był zarazem wodzem naczelnym wojsk, konsystujących w Królestwie. Obecnie obmyślano inną nieco formę. Dotychczasowy podział wojsk na armie zniesiono, a natomiast utworzono, według projektu ministra wojny Miluty-na, t. zw. okręgi wojskowe. Królestwo stanowiło jeden taki okrąg, noszący miano: warszawskiego, i jego dowódcą mianowany został generał piechoty, baron Ramsay. Tym sposobem władza namiestnicza, której podstawę i istotę stanowiło naczelne dowództwo nad wojskiem i naczelny zarząd administracyą Królestwa, rozpadła się teraz na dwie

osoby: na Wielopolskiego i Ramsaya. Ponad nimi, rozpoznający wszystkie wyższe interesa stanu, z prawem decyzji ostatecznej w obu tych działach zarządu, z prawem nakazać łaski, stał Namiestnik w osobie Wielkiego Księcia Konstantego Mikołajewicza.

Ale, jakkolwiek pełnomocnictwo miał możliwie zupełne, władzę ogromną, jednakże zadanie, którego się podjął, zadanie uspokojenia Polski i pojednania jej z Rosją, było zawsze trudnem bardzo, a w tej chwili prawie niemożliwem już do spełnienia. Wielki Książę przychodził, niestety! za późno. Jednakże nie wątpił on o spełnieniu swej misji, liczył może wiele na Wielopolskiego, na rozum i zmysł zachowawczy narodu. Margrabia w rzeczy samej był przekonany, że nowa kombinacja, którą on z takim mozolem przeprowadził, udać się musi, udać się powinna na gruncie polskim. Tam bowiem stały naprzeciw niego, jak wiadomo, dwa tylko stronnictwa: stronnictwo umiarkowane, czyli Białych, i stronnictwo rewolucyjne, czyli Czerwonych. Nie wątpił, że z pierwszym z nich zdola powoli trafić do ładu; z drugim wszedł teraz, w czerwcu 1862 r., na kilka dni przed przybyciem Wielkiego Księcia, w układy osobliwsze, będące dowodem, na jak mętnych, niepewnych wodach unosiły się wogóle losy polskie, jak kierunek ich zależał od prądów nieznanych i nieuchwytnych. Myśl pertraktacji z Czerwonymi, jakiegoś układu z nimi w tym celu, by nie przeszkadzali misji Wielkiego Księcia, zdaje się, powstała w głowie bankiera Leopolda Kronenberga, członka Dyrekcyi Białych. Zachowując ciągle stosunki z Wielopolskim, zdolawszy go przekonać, że Dyrekcyja nie tylko nie będzie tej misji przeszkadzała, ale gotowa jest ją popierać, zwrócił uwagę margrabiego, że głównym szkopułem, o który rozbić się może posłannictwo Wielkiego Księcia Konstantego, są Czerwienicy, z widomym na swem czele Komitetem centralnym, mający za sobą jeżeli nie ogromną większość kraju, to przynajmniej wszyst-

kie żywiły ruchliwsze i energiczniejsze, a tem samem bardzo niebezpieczne. Uwagi te snadź trafiły do przekonania margrabiego, bo Kronenberg pewnego dnia przyniósł na posiedzenie Dyrekcyi zadanie Wielopolskiego, aby ta wydała w jego ręce Czerwieńców, całą ich organizację powstańczą i cały Komitet centralny. Wzywał przytem margrabia przez usta Kronenberga Dyrekcyę, aby nowemu rządowi polskiemu podała rękę i popierała go w imię miłości ojczyzny i jej dobra; twierdził, że Wielki Książę Konstanty, oprócz nadanych i opublikowanych już reform, przywozi znaczne koncesye i wielkie zamysły, których wprowadzenie w wykonanie zależeć będzie od uspokojenia się kraju, od ubezwładnienia stronnictwa ruchu. Margrabia zapewniał, że jeżeli kraj się uspokoi i dozwoli na rozwój nadanych instytucji, to instytucje te będą się rozwijały, i zaręczał, że wydanych w jego ręce Czerwieńców nie myśli wcale gubić, że tylko dla zachowania *decorum* wyśle ich na jakiś czas do Rosji, ale wkrótce potem do kraju powróci.

Propozycje te, nadzwyczajne wywarły na członków Dyrekcyi wrażenie i niemałą w ich dusze rzuciły rozterkę.

Wówczas wśród członków Dyrekcyi zawiązały się w tej kwestyi żywe rozprawy, których rezultatem ostatecznym było męskie postanowienie zgodzenia się na zadanie margrabiego. Ale któż mógł tego dokonać? Większość członków Dyrekcyi nie miała bezpośrednich stosunków z Czerwonymi, unikała ich nawet; znano tego i owego z kierowników, z należących nawet do Komitetu centralnego, ale nie znano wszystkich i nie wiadano dokładnie, kto i gdzie należy do organizacji czerwonej. Jeden tylko człowiek miał o tem dobre wiadomości, a tym człowiekiem był Karol Majewski, stanowiący niejako ogniwo między obu partjami, do niedawna nawet należący do Komitetu miejskiego; jeden więc Majewski mógł wydać Wielopolskiemu całą organizację powstańczą. Począto zatem w Dyrekcyi na

niego nalegać, by to zrobił, by swe imię poświęcił na ołtarzu dobra krajowego.

Jurgens nawet ze swym krytycznym i pesymistycznym umysłem, ze swą niewiarą we wszystko, w rzeczy i ludzi, stojących przy rządzie, twierdził, że Wielopolski, po wydaniu Czerwieńców przez Majewskiego, tego ostatniego, dla ukrycia całej intrygi, powiesić każe; niemniej przeto uważał i zdania swego bronił usilnie, że Majewski zrobić to powinien.

Majewski, po krótkiej, ale zapewne ciężkiej walce wewnętrznej, zgodził się na to, co świadczy w każdym razie o wysokim nastroju jego ducha i o niemniej wysokiej obywatelskości. Razem więc z Kronenbergiem, w charakterze jego sekretarza, z ogromną teką, pełną weksli i rachunków, udawał się parokrotnie wieczorem do palacu Brühlowskiego, gdzie Wielopolski teraz, jako naczelnik rządu cywilnego, rezydował. Tu bliżej omawiano całą sprawę. Margrabia, dla zachwiania resztą skrupulów Majewskiego, parę razy kładł rękę na piersi, dawał uroczyście słowo, że wydanym Czerwieńcom nic nie będzie, że „im włos z głowy nie spadnie,“ mówił, że ich wysła na jakiś czas do Cesarstwa, a potem, gdy wszystko się uspokoi, do kraju powróci.

Majewski, nie śmiejąc w obecności Wielopolskiego, który wszystkich zbliżających się do siebie uciskał i obezwładniał niejako swą olbrzymią przewagą fizyczną i moralną, stawiać warunków, które, wskutek budzących się podejrzeń, uważał za konieczne—przedstawił je Dyrekcyi. Żądał mianowicie, ażeby o całej tej akcji spisano protokół w trzech jednobrzmiących egzemplarzach, żeby te protokoły podpisał margrabia i wszyscy członkowie Dyrekcyi; żeby jeden z tych egzemplarzy był posłany za granicę do jakiego archiwum polskiego, drugi żeby pozostał w kraju dobrze także zachowany, a trzeci żeby dano jemu, Majewskiemu, do ręki. Uzasadniając to swoje żądanie, mówił, że z jednej strony ta-

kie zobowiązanie się piśmienne nie dozwoli Wielopolskiemu na złamanie danego słowa, z drugiej dla Majewskiego będzie na przyszłość, przed potomnością i historią, zupełnem usprawiedliwieniem jego kroku.

Ostatecznie, tak Wielopolski, jak i członkowie Dyrekcyi, powyższą propozycję odrzucili. Jakie względy nimi kierowały, trudno odgadnąć; może obie strony nie chciały, by w sprawie tego rodzaju pozostały jakie dokumenty piśmienne; może lękano się Czerwieńców, ich zemsty i szkalowań. Co do margrabiego Wielopolskiego, może дума była w nim zadraśnięta, że nie wierzono jego słowu. Wobec odmowy tych panów, odmówił i Majewski, i intryga ta, mogąca mieć najzbawiennejsze skutki dla kraju, rozchwiała się zupełnie. O ostatecznej odmowie Majewskiego margrabia dowiedział się dnia 24 czerwca, a już w dwa dni potem znalazł się ten agitator w cytadeli, w której przesiedział blisko rok i nie brał przez ten czas żadnego udziału w rozgrywającym się w kraju dramacie.

Rzecz jednak cała, owe pertraktacje margrabiego z Dyrekcją białą, nie odbywały się tak tajemniczo, by przy właściwej nam gadatliwości to i owo z nich nie doszło do uszów bacznych na wszystko Czerwieńców. Może sam Majewski, rozdrażniony, że jego ciężka ofiara została w sposób tak samolubny przyjęta, nie umiał utrzymać sekretu; dość, że wieści o tem, oczywiście nader mętne i niejasne, a tem samem zwiększające grozę niebezpieczeństwa dla partii ruchu, doszły do wiadomości Chmielińskiego i Dąbrowskiego. Wydawało im się, nie bez pewnej zresztą słuszności, że skoro raz tego rodzaju pertraktacje zostały zawiązane, to wcześniej czy później, nie na tej, to na innej drodze, przyjdą one muszą do skutku, zwłaszcza, że obie strony tego pragnęły. Przytem nie mogło to ująć ich uwagi, że zapowiedź przybycia Wielkiego Księcia Konstantego z obszernymi pełnomocnictwami wielkie wogóle wywarła wrażenie, że stronnictwo umiarkowańsze głośno się odzy-

walo, iż trzeba raz zaprzestać manifestacji i spisków i szczerze dopomódz bratu Cesarskiemu w jego zamiarach uspokojenia i rozwoju kraju. Zdania takie, gdyby się stały rzeczywistością, odrazu by poderwały nogi agitacji i uczyliby ją całkiem niepotrzebną. To też do takiego kompromisu Ultraczerwienicy za nic w świecie dopuścić nie chcieli. Zapaleńiec Chmieliński już wtedy, gdy go sromotnie wyrzucono z Komitetu miejskiego, zapowiadał, że nie zgodzi się, by wyjednane przez Wielopolskiego w Petersburgu koncesye zadaly cios „sprawie;“ że on (Chmieliński) chce powstania, czekać nie będzie, tylko działać, „a co i jak, zobaczycie,“ dodawał.

W tej mniej więcej porze Chmieliński powziął zamiar dokonania zamachu na osobie margrabiego Wielopolskiego, jako głównego sprawcy kompromisu z Rosją; pewny był zresztą, że po takim czynie Wielki Książę Konstanty nie przybędzie do Warszawy. Szaleniec ten był przekonany, może nawet wierzył w to szczerze, że zabójstwo margrabiego, a nawet nie zabójstwo, ale sam zamach tylko, zburzy od razu wszystkie jego projekty, przywróci rządy militarne i tym sposobem wzmocni partję ruchu i naród popchnie do powstania. Z tym zbrodniczym zaiste zamysłem połączone były jeszcze inne projekty, wyległe w chorych głowach Chmielińskiego, Dąbrowskiego i ich adherentów. Chcieli oni mianowicie, w chwili, gdy się dokonywać będzie zamach, napaść na znienawidzony Komitet Centralny, rozpedzić go na cztery wiatry i samym władzę zagarnąć; a korzystając z ogólnego zamieszania i wzburzenia umysłów, jakie zamach spowodować musi, zamierzali wywołać na ulicach Warszawy powstanie, to powstanie, które Komitet odłożył do czasu nieograniczonego. Takie to pomysły roily się po tych mózgach, chorych na zdrożną ambicję, na ambicję rządzenia choćby na gruzach i ruinach kraju.

O tych wszystkich zamysłach Komitet Centralny nic

nie wiedział; rzecz cała układała się między Chmielińskim, Dąbrowskim i ich stronnikami. Szło teraz o to, by znaleźć kogo, ktoby się podjął dokonania zamachu, bo sam Chmieliński zanadto cenil swą osobę, by miał ją narażać na niebezpieczeństwo; wszak wygodniej było czyjaś szyję oddać szubienicy, niż własną. Należał on do rzędu tych brzydkich postaci, na jakie się w dziejach dość często, niestety, natrafia, które umieją dużo gadać, wygłaszać teorye krwawe, popychać innych do czynu niebezpiecznego, ale samym niebezpieczeństwa tego unikać. W sprawie wyszukania człowieka, któryby był gotów dokonać zamachu i poświęcić się na ofiarę szalonych zamysłów Chmielińskiego, człowieka dość ograniczonego umysłowo i dość gorącego, by nie widział całego nierozumu tych zamysłów, stał się pomocnym Chmielińskiemu niejaki Edward Rodowicz, czeladnik krawiecki. Jak ogromna większość młodzieży rzemieślniczej warszawskiej tej doby, wszedł on do organizacji jeszcze w marcu 1862 r. i należał do rzędu najzapaleńszych, najczerveniejszych popleczników Chmielińskiego. Jemu to ten ostatni powierzył niełatwe zadanie wyszukania człowieka, któryby się podjął tak nierozumnego czynu, jakim było dokonanie zamachu.

W tym samym warsztacie, w którym pracował Rodowicz, u wdowy po krawcu, Natalii Szczecińskiej, zamieszkałej przy ulicy Nowo-Senatorskiej, robił także od lat paru czeladnik krawiecki, Ludwik Jaroszyński. Był to młody człowiek, 22 lata liczący, chmurny, skryty, smutny, o usposobieniu niespokojnem i niezgodnem. Urodzony we wsi Wojciechowicach, w Sandomierskiem, syn ekonomy w dobrach Staszowskich hr. Potockich, wychowany na wsi, wyzwolony na czeladnika krawieckiego w Staszowie, od lat czterech przebywał w Warszawie, ale tak dalece był nietowarzyskim, że nikt bliżej go nie znał i nie był z nim w przyjaźni. Robotnik z niego był nieosobli-

wszy, wstawał późno, wskutek czego niewiele zarabiał i czuł nieustanny brak pieniędzy.

W ostatnich czasach Ludwik Jaroszyński, na cztery miesiące przed tragiczną katastrofą, która miała rozgłosić jego imię, zamieszkał przy ulicy Dunaju, u czeladnika krawieckiego, Stanisława Stańkowskiego, któremu za mieszkanie obowiązał się płacić 9 złp. miesięcznie, a za obiad po złp. 1 gr. 5, ale nigdy regularnie się nie wypłacał, owszem niekiedy od swego gospodarza pożyczał jeszcze drobne kwoty i wogóle w dniu katastrofy był mu winien kolo pięciu rubli. Od swej pryncypalowej, Szczecińskiej, zawsze z góry wybierał pieniądze, a gospodarz jego, Stańkowski, zamierzał nawet swemu nieakuratnemu lokatorowi wymówić mieszkanie, ale jakoś schodziło i do skutku to nie przyszło. Poza tem jednak, oprócz lenistwa, nie-towarzyskości i ponurego usposobienia, był to charakter stały. Jakkolwiek tak dalece był apatyczny, że opuściwszy przed czterema laty strony rodzinne, ani razu nie pisał do rodziny i wogóle nie wiedział, co się z nią dzieje, przecież zachował nauki domowe matki, był religijny i moralny, nie pił i nie hulał, co w owe czasy wśród młodzieży warszawskiej było rzeczą nader rzadką. Pod pozornie chłodnem usposobieniem krył on duszę gorącą, miał charakter silny i stanowczy. Wogóle jednak był mało rozwinięty (umiał zaledwie czytać i pisać), stąd łatwo dający się oszłomić pustym ale dźwięcznym frazesom. Chociaż przez cały czas manifestacyjny nie mieszał się do niczego, nie zdradzał swych przekonań, jednak na jego duszę młodą i wrażliwą potężny, wszystko porywający nastrój chwili silnie oddziałał.

Rodowicz musiał dobrze poznać ten posępny, skryty, ale zacięty i entuzjastyczny w gruncie rzeczy charakter, skoro w poszukiwaniach swoich od razu zwrócił się do Jaroszyńskiego.—„Potrzebny nam jest człowiek—mówił don,—któryby chciał zaryzykować swe życie i zabić jedną

osobę, od której śmierci zależy szczęście naszego kraju; znam twój odważny charakter i wiem, że kochasz ojczyznę; czybyś się nie podjął tego wykonać?“ Na to Jaroszyński bez namysłu odrzekł, że „jeżeli rzecz idzie tylko o poświęcenie siebie dla ojczyzny, to on gotów jest na wszystko.“ Wobec tego przewrotny Rodowicz, oszłomiając coraz bardziej pełną prostoty duszę Jaroszyńskiego, oświadczył mu, że go zaprowadzi do naczelnika spisku i wszystkich ruchów, który mu resztę objaśni. Przez kilka dni następnych ciągle mu o tem samym mówił, ciągle go przekonywał, że spełni dobry czyn dla ojczyzny, że poświęci się dla kraju i narodu, podniecał ten umysł mroczny, niewyrobiony, pragnący jakiegoś ideału w życiu, którego mu wieczne przykrwanie surdutów i kamizelek dać nie mogło. Wreszcie kolo dnia 26-go czerwca Rodowicz kazał przyjsć Jaroszyńskiemu między godziną 3-ą a 4-tą po południu do hotelu Saskiego pod № 36 (gdzie od pół roku mieszkał Chmieleniski), obiecując mu, że zobaczy się z owym tajemniczym naczelnikiem ruchu w kraju.

Jakoż, gdy Jaroszyński o naznaczonej godzinie tam przyszedł, zastał naprzód znajomego sobie Rodowicza, a potem jakiegoś mężczyznę średniego wzrostu, w ciemnej czamarce, z wielkimi rżymi wąsami, z oczami małemi, choremi, pełnemi przenikliwości i nadzwyczaj ruchliwemi. Gdy Rodowicz zarekomendował Jaroszyńskiego nieznanemu, ten zapytał, „czy wie, o co idzie?“ a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, poczał mówić prędko, że trzeba „zgladzić“ pewną osobę, że od śmierci tej osoby bardzo wiele zawisło. Gdy Jaroszyński zapytał, kto jest tą osobą? Chmieleniski odrzekł, że może nią będzie Wielopolski, ale że ostatecznie powie mu w tych dniach, kogo i gdzie ma zabić.

Jaroszyński długo się opierał namowom nieznanego, lecz w końcu zgodził się na zabicie margrabiego. Wówczas Chmieleniski, zalecając mu zachowanie jak najgłębszej ta-

jemnicy i zapowiadając, że o czasie, w którym zamiar ten ma być spełnionym, uwiadomi go przez Rodowicza, rozstał się z nim po rozmowie, trwającej półtorej godziny.

Odtąd Jaroszyński nie pokazał się więcej w warsztacie na ulicy Nowo-Senatorskiej, oddany zapewne myślom pośepnym o występny czynie, jaki miał spełnić. Codziennie po południu schodził się w ogrodzie Saskim z Rodowiczem, który, zwyczajem wszystkich spiskowców, nie spuszczał teraz ofiary swojej z oczów i w długich, nieraz po kilka godzin trwających pogawędkach, do dokonania zamachu naklaniał.

Takie schadzki i pogawędki trwały około tygodnia. Dotąd jednak ciągle była mowa o potrzebie „zglądzenia” Wielopolskiego; teraz atoli, wskutek wieści, rozgłoszonej przez dzienniki, że Wielki Książę Konstanty przyspieszył swe przybycie do Warszawy, pierwotne zamiary Ultraczerwienców uległy zmianie, i postanowili oni uderzyć nie w margrabiego, ale w samego Wielkiego Księcia, przekonani, że taki czyn o wiele lepiej posłuży ich zamiarom, daleko silniejsze wywrze wrażenie i sprawę kompromisu i uspokojenia kraju na zawsze pogrzebie.

Zresztą zamach na Wielopolskiego o tyle tylko miał znaczenie, o ileby powstrzymał przybycie Wielkiego Księcia Konstantego; ponieważ zaś Wielki Książę już był w drodze, więc nic nie pozostawało, jak w niego uderzyć—i na to Chmieliński ze swymi poplecznikami był zdecydowany. Gdy więc we wtorek, dnia 1-go lipca, w wigilię przyjazdu Wielkiego Księcia, Jaroszyński, jak zwykle, między godz. 12-ą a 3-ą spotkał się w ogrodzie Saskim z Rodowiczem, ten oświadczył mu, że należy, aby jutro o tejże godzinie stawił się u Chmielińskiego.

Jakoż nazajutrz, we środę, dnia 2-go lipca, gdy Jaroszyński o naznaczonej godzinie zjawił się pod № 36 w hotelu Saskim, zastał tam już Rodowicza. Chmieliński oświadczył mu, że przyjazd Wielkiego Księcia Konstantego do

Warszawy niespodzianie przyspieszony został, że zatem tegoż Wielkiego Księcia należy zabić, a ponieważ na dworcu kolei Petersburskiej przyjmować będzie Namiestnika Wielopolski, więc obu będzie można przy tej sposobności zgładzić ze świata. Mają się więc obaj razem z Rodowiczem udać na rzeczony dworzec i tam dokonać zamachu, przedewszystkiem jednak na osobie Wielkiego Księcia Konstantego.—„Kto nie strzeli—dodał,—odpowie głową przed władzą narodową.” Tym sposobem starał się w swą nieszczęsną ofiarę wpoić to przekonanie, że zamach dzieje się z wiedzą i wolą najwyższej władzy ruchu. Miał nawet pokazać Jaroszyńskiemu sfalszowany przez siebie rozkaz Komitetu Centralnego.

Potem, wśród milczenia obu straceńców, Chmieliński wyjął z komody trzy sześciostrzałowe rewolwery, z których jeden był nienabity, i na tym począł pokazywać, jak należy strzelać i jak celować, i dodał, że z taką bronią, strzelającą bez odwodzenia kurka, należy bardzo ostrożnie postępować. Prócz tego zaopatrzył obu w sztylety; rewolwery kazał im przy sobie schować, żeby ich nie było widać, i napół oszołomionych tem wszystkim wysłał na Pragę, dokąd wyruszyli pojedynczo, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, i dopiero na Zjeździe zeszli się razem.

Stąd udali się na dworzec kolei Petersburskiej, gdzie wniessawszy się w liczne zbiegowisko ciekawych, czekali blisko godzinę na przybycie nic nieprzeczuwającego Wielkiego Księcia Konstantego.

Wielki Książę jechał pospołu z małżonką, przybrany w granatowy mundur ulański z amarantowemi rabatami, tak sympatyczny uniform dla ludzi starszej daty.

Dla powitania Wielkiego Księcia na granicy Królestwa oczekiwali nań: sekretarz stanu Enoch, dyrektor Komisji oświecenia Krzywicki i Zygmunt hr. Wielopolski, wysłany tam zapewne przez ojca i jako jego reprezentant. Na granicy gubernii Warszawskiej witał nowego Namiest-

nika gubernator cywilny warszawski, Łaszczyński. Na dworcu kolei, obok stosunkowo niezbyt licznego tłumu, obok różnych generałów rosyjskich i dygnitarzy, znajdował się także najwyższy dostojnik krajowy, margrabia Wielopolski.

Pociąg, wiozący Wielkiego Księcia, a do pewnego nawet stopnia, rzecz można, że i losy kraju, przybył o godz. 5 i pół po południu.

Dzień był pogodny, choć chłodny. Wielki Książę w swym ułańskim mundurze wyszedł na peron z wagonu z Małżonką pod rękę, która, jak bliżej stojący zaraz zauważyli, była w stanie błogosławionym.

Wielki Książę Konstanty, otoczony liczną i błyszczącą swą generalów i adjutantów, zawsze z żoną pod rękę, kilkakrotnie przeszedł tam i z powrotem peron kolejowy, witany przez straż honorową, naciskany z bliska przez tłum ciekawych, wśród których znajdował się z nabitym rewolwerem w kieszeni Jaroszyński i Rodowicz, czyhający na tego Księcia, który w postawie dumnej i spokojnej, z twarzą słodko uśmiechniętą, dwukrotnie blisko nich przeszedł. Tuż przy nim postępował dominujący nad wszystkimi swym wzrostem olbrzymia Wielopolski. Zabić obu było łatwo: już poprzednio ułożyli się ze sobą Jaroszyński i Rodowicz, że pierwszy będzie strzelał do Wielkiego Księcia, drugi do margrabiego. Ale widok Wielkiej Księżnej u ramienia męża, kobiety jeszcze młodej, pięknej i wesoło w świat patrzącej, widok tej matki, niosącej w swem łonie życie nowe, powstrzymał rękę Jaroszyńskiego. Właściwe jego charakterowi uczucie religijne nie pozwalało mu strzelać do męża, idącego z żoną, która miała dać życie dziecięciu; dość, że nie strzelił i Rodowicza do tego samego skłonił, choć tego ostatniego namawiać zapewne zbytnio nie trzeba było, gdyż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwyczajem spiskowców,

był on dodany Jaroszyńskiemu raczej jako jego dozorca, niż współtowarzysz w zamachu.

Dość, że zamach nie przyszedł do skutku; Wielki Książę, cały i zdrowy, siadł z Małżonką do otwartego powozu i ruszył do tej Warszawy wrzającej, której wieże i szczyty domów, w malowniczych grupach piętrzące się z drugiej strony rzeki, widać stąd było, jasno oświecone złocistym słońcem letniem.

Tymczasem, gdy się to działo na dworcu kolejowym, poplecznicy Chmielińskiego i Dąbrowskiego, przekonani, że zamach, bądź-co-bądź, dokonany będzie, spieszyli, by spełnić drugą część zamierzonego dzieła, to jest rozpedzić Komitet Centralny i samym władzę ogarnąć. Liczyli oni na to, że śmierć Wielkiego Księcia Konstantego spowodować musi zamęt i zamieszanie wśród władz rządowych i że tym sposobem łatwo im będzie wywołać na ulicach Warszawy powstanie zbrojne. W tym celu przedewszystkiem trzeba było znieść znienawidzony Komitet Centralny, który przez swe umiarkowanie i opór nagłemu wybuchowi mógłby mu przeszkodzić, a nawet tamę położyć. Wpadli oni do sali, w której Komitet odbywał swe posiedzenie, i zażądali tonem rozkazującym, ażeby się dobrowolnie rozwiązał i im miejsca ustąpił. Komitet jednak ustąpić nie myślał, gdyż nie chciał oddać losów kraju w ręce szaleńców, by nie ponieśli tych losów na zatrącenie; zresztą ambicje osobiste ważną odgrywały tu rolę. Komitet w nagłym powstaniu widział bezwarunkowo zgubę kraju i dlatego powziął decyzję nieustępowania.

Wśród sporów, jakie się z powodu tego najścia ultraczerwieniów i demagogów wywiązały, wyzwolił Komitet prosty wypadek. Do sali wszedł nagle jeden z członków organizacyi, należący do policji miejskiej, wysłany na dworzec kolei Petersburskiej, by być świadkiem przyjazdu Wielkiego Księcia, i zdał raport o tem przybyciu i o wjeździe nowego Namiestnika do Warszawy. Z tego ra-

portu zwolennicy nagłego wybuchu dowiedzieli się, że ukartowany zamach nie przyszedł do skutku, że zatem, gdy upadła główna podstawa ich zamierzonej akcji, niema zasady do rozpędzania Komitetu, co teraz zresztą byłoby bardzo trudnem. Zmiękli więc w swych atakach i spokojnie ustąpili.

Wśród tego wszystkiego Jaroszyński i Rodowicz, nie dokonawszy zamachu, powoli z tłumem ciekawych powrócili z Pragi do Warszawy i udali się wprost do hotelu Sńskiego, do mieszkania Chmielińskiego, którego zastali w domu, co dowodzi, że nie brał osobistego udziału w zamachu na Komitet Centralny. Zapewne, i nie bez słuszności, uważał, że najważniejszą sprawą w tej chwili jest sprawa ta, do spełnienia której wysłał Jaroszyńskiego i Rodowicza na Pragę; przytem należało być w domu, by, dowiedziawszy się o rezultacie, uciekać zaraz z Warszawy, gdyż, mimo wszystkiego, nie wątpił, że o nim, jako o moralnym sprawcy zamachu, policya wcześniej czy później się dowie, a, jak wiemy, rewolucyonista ten bardzo dbał o swą skórę.

Gdy mu Jaroszyński i Rodowicz opowiedzieli powód, dla którego nie spełnili jego poruczenia, Chmieliński przyznał, że dobrze postąpili, prawdopodobnie, by wymówkami ich nie zrażać. Odebrawszy od nich rewolwery, które zamknął w komodzie, dodał, że trzeba jednak, by tej sprawy nie odkładali, że winni ją bezwarunkowo jutro dokonać i żeby w tym celu nazajutrz rano do niego po wiadomości i po broń przyszli.

Przez ten czas Wielki Książę Konstanty w powozie otwartym, z Małżonką przy boku, ubrany w mundur ułański, z łaskawym uśmiechem na ustach, wjeżdżał do stolicy polskiej, bez żadnej eskorty wojskowej, z długim tylko szeregiem powozów za sobą, w których siedzieli różni generałowie rosyjscy i dygnitarze polscy. Jechał przez Krakowskie-Przedmieście i Nowy-Świat, błyszczący całą krasą dnia letniego, do Belwederu, gdzie miał zamieszkać.

Zaraz po przybyciu do Belwederu, udał się do Zamku w odwiedzinę do chorego po niedawnym strzale generała Lüdersa. Zresztą okazywał z samego początku wielką czynność i ruchliwość. Tegoż dnia bowiem przez rozkaz dzienny uwiadomił wojsko, że objął nad niem komendę naczelną.

Nazajutrz, dnia 3-go lipca, około godz. 11-ej rano, rozpoczęło się w wielkiej sali pałacu Łazienkowskiego przyjmowanie władz wojskowych i cywilnych, a raczej różnych dygnitarzy. Przed Wielkim Księciem, zawsze w mundur ułański ubranym, stał się margrabia, stawilo się duchowieństwo katolickie z księdzem Arcybiskupem na czele, ministranci luterscy i kalwińscy, stawila się w komplecie Rada administracyjna i Rada stanu, wyżsi urzędnicy Komisji rządowych, wreszcie Rada miejska warszawska. Wszyscy z ciekawością przypatrywali się W. Księciu, by z jego obejścia, słówka jakiegokolwiek, wywnioskować o zamiarach na przyszłość. Większość wyjeżdżała z Łazienek pod wrażeniem jak najlepszem, olśniona nieco urokiem, jaki zawsze wielcy tego świata wkolo siebie roztaczają. Wielki Książę sam też, po ukończeniu przyjęć, wyruszył na miasto, by pojechać naprzód do soboru prawosławnego przy ulicy Długiej, gdzie go powitał Archimandryta Joannicyusz, a stamtąd do katedry Św. Jana. Tym razem ogromne tłumy zebrały się na ulicy Miodowej i przed cerkwią. Podobne zbiegowisko było przed katedrą, gdzie u podwoi na oścież rozwartych i ukazujących w głębi wspaniałe łuki gotyckie tej świątyni, powitał Wielkiego Księcia Arcybiskup warszawski na czele liczego kleru. Po podaniu wody święconej, którą Namiestnik się przeżegnał, Arcybiskup ks. Feliński przemówił do niego kilku gorącemi i z duszy płynącemi słowy. „Szczęśliwy jestem—mówił,— że w imieniu duchowieństwa mogę powitać Waszą Cesarską Wysokość i złożyć Mu nasze życzenia. Pełni otuchy w rozpoczynającą się pod zarządem Waszej Cesar-

skiej Wysokości przyszłość, a m dostojnej Jego opiece to, co mamy najdroższego na tej ziemi. Niech Pan Miłosierny błogosławić raczy pracom Waszej Cesarskiej Wysokości; naszym zaś obowiązkiem będzie wspierać Go przed Tronem Najwyższego gorącymi modłami naszymi. Po mowie tej przeprowadzono Wielkiego Księcia w uroczystym pochodzie przez kościół i, po odprawieniu stosownego nabożeństwa, w tymże samym porządku odprowadzono do drzwi świątyni.

W obu tych miejscach, tak przed cerkwią na ulicy Długiej, jak i przed katedrą Świętojańską, znajdowali się obaj młodzieńcy, namówieni przez Chmielińskiego do wykonania zamachu. Jaroszyński, przepęd.wszy, jak zwykle, noc w domu, wstał o godz. 7-ej rano i udał się wprost do Chmielińskiego, stosownie do jego wczorajszego polecenia. Zastał tu już Rodowicza i obadwaj otrzymali znow też same, co i wczoraj, rewolwery, oraz sztylety, wielkie noże, szerokie na trzy palce i na pół stopy długie. Chmieliński zalecając im ostrożność, prosił i kładł nacisk na to, żeby wszelkich środków użyli i dziś koniecznie zamachu tak na Wielkiego Księcia Konstantego, jak i margrabię, dokonali. Zabawiwszy z pół godziny w numerze hotelowym, wyszli na ulicę, żeby się dowiedzieć, kiedy i gdzie będzie przejeżdżał nowy Namiestnik. Liczna policja i zamarmerya na ulicy Miodowej przekonała ich, że Wielki Książę Konstanty uda się do cerkwi. Włócząc się w pobliżu po ulicach, doczekali się na koniec tego przyjazdu, ale tłum był tak liczny i tak zbity, że nie mogli się przecisnąć i dostać z bliska do Namiestnika. Musieli więc i ten zamiar porzucić. Wiedząc jednak ze zwyczaju Cesarzów, odwiedzających Warszawę, że po bytności swej w cerkwi zawsze udają się do katedry, przekonani, że tak samo zrobi Namiestnik, pociągnęli tamże. Ale i tu zbiegowisko było ogromne, bodaj czy nie większe w ciasnej uliczce Świętojańskiej, niż przed cerkwią, i o dokonaniu zamachu nie

można było myśleć. Niezrażeni jednak tem niepowodzeniem, rozeszli się, umówiwszy się wprzód, że zejdą się około godz. 5-ej w ogrodzie Saskim.

Jaroszyński, przyszedłszy do domu, z niepojętym spokojem w tak ważnym momencie życia, zjadł obiad, zdjął palto, buty i położył się na łóżku, ale nie spał. Leżał tak przeszło godzinę, poczem wstał i koło godziny 3-ej popołudniu, z rewolwerem i sztyletem w kieszeni, wyszedł na miasto. Wychodząc, gwizdał jakąś śpiewkę; w sieni natknął się na malującego sztyld znajomego mu malarza i rzekł doń: „adieu!“ Zrobiwszy atoli kilka kroków, przypomniał sobie, iż nie zabrał cygarnicy, leżącej w komodzie. Wrócił się, wziął ją i już teraz nie zatrzymując się, szybkim krokiem ruszył na Krakowskie-Przedmieście. Tu spotkał się z Rodowiczem i razem poszli do ogrodu Saskiego, gdzie przechadzali się długo, umawiając się co do zamachu, którego dokonać postanowili w teatrze, dokąd, według informacji Rodowicza, miał wieczorem przyjechać Wielki Książę. Wreszcie poszli do teatru, gdzie około godz. 8-ej dowiedzieli się, że Namiestnik już się tam znajduje. Postanowili więc czekać na jego wyjazd. W tym celu weszli do sieni długiej i ciemnej od strony ulicy Wierzbowej, umawiając się, że będą z dwóch stron strzelali. Powóz Wielkiego Księcia stał w tej sieni. Przeszli na dziedziniec teatralny, nie zwróciwszy na siebie najmniejszej uwagi ze strony licznie rozstawionej policji. W sieni znajdowało się około trzydziestu osób, których policja nie usuwała dlatego, że niedawno otrzymała surowy rozkaz, by się grzecznie obchodziła z publicznością. Zresztą policja głównie skupiła się u bramy od ulicy Wierzbowej, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje w długiej ciemnej sieni i na dziedzińcu.

Przez dziwny zbieg okoliczności, dawano wtedy operę „Aleksander Stradella“, której główne sceny w sam raz odpowiadały gotującym się wypadkom. Jak na Stradellę, mającego wyjść z kościoła, czyhali zbiry kochanka jego

wychowanicy, tak samo na Wielkiego Księcia czyhała ręka, która mu kulę posłać miała. Właśnie w tem miejscu fantastycznej powieści, rozgrywającej się na scenie, po drugim jej akcie, Wielki Książę, między godz. 9-ą a 10-ą wieczorem, opuścił teatr ze świetnym orszakiem oficerów wyższych (książę Bebutow, pułkownik Hauke, dyrektor warszawskich teatrów rządowych, adjutant księżę Uchtomski i wielu innych), między którymi znajdował się nie lubiany generał Kryżanowski, co się zebranej w teatrze publiczności bardzo nie podobało, i w chwili, gdy wsiadał do powozu, z grupy kilku ludzi wysunął się Jaroszyński i wyciągnął ręce, jakby do podania prośby.

Ruch ten Wielki Książę Konstanty dostrzegł i pochylił się na przód, zapewne dla przyjęcia prośby, gdy nagle rozległ się strzał. W tejże chwili policyant, znajdujący się w pobliżu, Piotr Białym nazwiskiem, uderzył tak silnie w rękę Jaroszyńskiego, że ten upuścił rewolwer. Zaraz też pośpieszyli na pomoc Białemu drugi policyant, Tomasz Malinowski, oraz kapitan Bremsen, b. adjutant Lüdersa, wreszcie policmajster, major Fedorow, i schwytali Jaroszyńskiego. Rodowicz, widząc to, nie strzelał wcale, a może nie miał zamiaru strzelania, dodany Jaroszyńskiemu raczej dla dozoru tylko, ale wśród ogólnego zamieszania wyszedł z gmachu teatralnego spokojnie, rzuciwszy po drodze za kadeł od deszczu rewolwer i sztylet.

Wielki Książę był raniony. Kula, wymierzona z blizka, z dołu do góry, przebiła płaszcz wojskowy, mundur i koszulę, zdarła skórę na lewym obojczyku, kontuzyowała lekko szyję i zaplątawszy się we frendlach szlify, zawisała na sznurku od lornetki teatralnej. Wielki Książę Konstanty wyskoczył z powozu, wszedł na schody i dostał się do pokoju za lożą Cesarską, gdzie sam się rozpiął, obejrzał ranę i znalazł kulę, która go życia miała pozbawić. Zrobiono mu tu na prędce pierwszy opatrunek i zaraz napisał własnoręcznie depezę do Cesarza, poczem pojechał do

Belwederu. Tu Wielka Księżna jeszcze o niczem nie wiedziała, a przy jej stanie poważnym wypadek ten mógł mieć bardzo złe następstwa. Rana jednak była bardzo lekką, mimo to naturalne wzruszenie i oburzenie wywołały w nocy silną gorączkę.

Tymczasem schwytanego przez policję Jaroszyńskiego, zapewne wskutek gwałtownego wstrząśnienia moralnego i fizycznego, zaraz po przyaresztowaniu porwały wymioty i głowa mu się trząść poczęła. Wzbudziło to usprawiedliwione podejrzenie, że jest otruty. Napojono go więc ciepłym mlekiem, wziętem z cukierni Gronerta na rogu ulicy Daniłowiczowskiej i placu Teatralnego, i gdy więźniowi lepiej się zrobiło, odwieziono go pod strażą dwudziestu kozaków do cytadeli. W dorożce jechał z nim Bremsen.

Wieść o zamachu piorunem, rzec można, rozbiegła się po mieście i wywołała tak w rządzących, jak i w rządzonych, grozę, przestrah i poploch niemal. Pierwsi, rozumując logicznie, sądzili, że konieczną konsekwencją zamachu będzie wybuch natychmiastowy powstania, o którym zresztą głośno od niejakiego czasu mówiono po Warszawie. To też major Fedorow, pod którego dozorem policyjnym był teatr, rozpuścił kozaków po mieście z rozkazem rozpędzania wszelkich zbiegowisk. Wogóle oburzenie w wojsku, konsystującem w Warszawie, było wielkie. Teraz w nocy po zamachu wszystkie posterunki wojskowe wzmocniono, w koszarach nakazano gotowość, a gęste patrole całą noc przebiegały miasto. Tam, w tem mieście, w umysłach mieszkańców, w głowach tych wszystkich, którzy myśleć umieli i potrafili, obudziła się poważna reakcja przeciw szaleństwu, jak mówili, stronnictwa ruchu. Dokądżeśmy to przyszli i dokąd jeszcze zajdziemy?—pytano się nawzajem. Sam charakter zamachu na Wielkiego Księcia, który nigdy nic złego Polsce nie zrobił, a który, przeciwnie, okazywał się nadzwyczaj łaska-

wym, który przywiózł z sobą nowe ustępstwa,—oburzał wielu do głębi. Ci wszyscy, którzy w koncesjach, danych krajowi, widzieli zadatek lepszej przyszłości, którzy pamiętali poprzednie rządy i porównywali je z obecnymi, którzy w głębi duszy przekonani byli, że to, co się robi ze strony czerwieńców, jest złem, strasznym złem,—teraz podnieśli głowy i z długo hamowanym uczuciem oburzenia i grozy wybuchali. Miarka się przebrała i większość, krzepiąc się wzajemnie, głośno wołała, że raz trzeba temu wszystkiemu koniec położyć—ojczyznę, toczącą się w przepaść, na jej skraju zatrzymać. Ale, jak zwykle u nas, inna rzecz słowa i zamiary, a inna rzecz czyny. Zobaczmy zaraz, jak te zbawienne zamysły przy swych narodzinach skonały.

Jeżeli atoli zamach na wszystkich silne wywarł wrażenie, jeżeli u wszystkich obudził myśl przeciwdziałania zamiarom czerwieńców, a która, niestety! miała zostać tylko myślą, to u arcybiskupa Felińskiego zmieniła się ona od razu w czyn. Na wiadomość o zamachu, skamieniał on po prostu i przez chwilę nie był panem siebie z oburzenia; liczył on bowiem na obecność w Warszawie Brata Cesarskiego, sądził, nie bez słuszności, że z członkiem Rodziny Cesarskiej z konieczności rzeczy obejmującym wzrokiem szerszy horyzont, łatwo zdola się porozumieć. Strzał, dany do Wielkiego Księcia, zdawał się od razu wywracać te nadzieje; należało spodziewać się następstw jak najgorszych, rządów surowych i militarnych, które kielkujące zdzbla nowego układu stosunków znirozić mogły całkowicie. Jednakże ks. Feliński uważał, że nie można rąk zakładać, ale trzeba ratować sytuację, jeżeli była ona jeszcze do uratowania. W tym celu zwołał nazajutrz, o godz. 7-ej rano, sesję nadzwyczajną do konsystorza i zebrany oświadczył, że chce odbyć uroczyste nabożeństwo dla podziękowania Bogu za ocalenie Namiestnika Królestwa. że przytem zamierza wygłosić mowę, i zapytał

obecnych: co oni o tem myślą? Na to pierwszy, tonem gorączkowym, odezwał się ks. oficyał Rzewuski: „Jabym ani nabożeństwa nie odprawiał, ani mowy nie miał.“ Po słowach tych, wypowiedzianych szorstko i gwałtownie, zapanowała w zgromadzeniu martwa cisza, a na twarzy ks. arcybiskupa znać było niemile zdziwienie i pewnego rodzaju zmieszanie. Ale odzyskując przytomność, zrobił uwagę, że w dyskusyi należy zachować porządek, przyjęty we wszystkich naradach kościelnych, t. j. by naprzód swe zdanie wygłaszali najmlodszy wiekiem i w hierarchii. Ponieważ w tem zebraniu najmlodszy pod obu względami był ks. Ignacy Domagalski, głośny ze swej wymowy kaznodziejskiej i niedawno przez arcybiskupa z Kielc sprowadzony, ksiądz o umyśle trzeźwym, nieukrywający tego nigdy i nigdzie, że jest przeciwny ruchowi rewolucyjnemu, więc do niego zwrócił się arcybiskup i jemu dał naprzód głos. Ks. Domagalski z wielkim ogniem i zapalem oświadczył, że nie tylko trzeba odprawić nabożeństwo, ale, dla nadania mu większej ostentacyi, należy wezwać wszystkie klasztory, by procesjonalnie z krzyżem na nie przybyły. Radził wreszcie, by arcybiskup w mowie, jaką zamierza wygłosić, jak najostrzej napiętnował „zbrodnię skrytobójstwa.“ Ks. Feliński projekt ks. Domagalskiego zaaprobował i sesję zakończył. Odpowiednie kursorya do duchowieństwa świeckiego i zakonnego natychmiast wygotowano i rozesłano.

Tymczasem w mieście już rano w sferach właściwych wiedziano, że stan zdrowia W. Księcia jest zadowalający, że, oprócz bólu w ramieniu, czuje się dobrze, więc koło południa, zgodnie z etykietą dworską, rozpoczął się wielki zjazd do Belwederu dygnitarzy wojskowych i cywilnych z powinszowaniem cudownego ocalenia życia Namiestnika Królewskiego. W pysznych więc salonach jego samego Belwederu, w którym przed trzydziestu paru laty dokonano także zamachu i także bez powodzenia na

imiennika i stryja nowego wielkorządcy, znalazły się wszystkie władze cywilne Królestwa pod naczelnictwem margrabiego Wielopolskiego. Stawiła się więc cała Rada stanu, Rada administracyjna, Rada miejska, władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego pod przewodnictwem hr. Andrzeja Zamoyskiego. jako prezesa Komitetu tegoż Towarzystwa, wreszcie duchowieństwo z arcybiskupem na czele. W. Książę, wprzód nim się ukazał wszystkim, wezwał przez adjutanta do swego gabinetu margrabiego, którego przyjął ubrany w płaszcz wojskowy i z ręką na temblaku, nie mogąc z powodu rany wdziac na siebie munduru. Po dość długiej, sam na sam prowadzonej rozmowie, z kolei wezwany został do tegoż gabinetu ks. arcybiskup Feliński. W. Książę, zawsze w swój płaszcz udrapowany, rzekł z jawnem wzruszeniem na twarzy: że „jeżeli krew wczoraj przelana ułatwi mu zjednanie zaufania Polaków, to uważać będzie dzień ów za jeden z najszczęśliwszych w swem życiu.” Od tych słów przeszedł następnie do wyrazów dziękczynnych, robiąc bowiem aluzję do uroczystego przyjęcia go w katedrze Świętojańskiej, w dzień przybycia do Warszawy. dodał, iż do odwrócenia przez Opatrzność grożącego mu ciosu niemalże zapewne przyczyniło się błogosławieństwo, jakie z rąk pasterskich ks. Felńskiego był otrzymał.

Wyszedszy następnie do zebranych i oczekujących nań w sali audyencyjonalnej dostojników krajowych, przedewszystkiem wytłómaczył, dlaczego staje przed nimi w swój płaszcz żołnierski ubrany: „Przebaczcie mi—mówił po francusku,—że taku brany was przyjmuję, ale wypadek, jaki mnie spotkał, jest mojem tłómaczeniem. Oto druga zbrodnia w przeciągu ośmiu dni. Opatrzność mię osłoniła i uważam sam ten wypadek jako szczęśliwe zdarzenie, gdyż pokazuje on krajowi, jak dalece postąpiła zaraza. Głęboko jestem przekonany, że szlachetny i wspaniałomyślny naród polski odpycha wszelkie współnictwo z za-

machami tego rodzaju, ale słowa tu nie wystarczą, potrzeba czynów. Brat mój pragnie waszego szczęścia, po to mnie tu przysłał. Liczę na waszą pomoc, żebym mógł spełnić swe zadanie; dajcie mi możność pracowania dla dobra waszego i bądźcie przekonani, że zrobię wszystko, co jest tylko w mej mocy.” W tem miejscu W. Książę, zwracając się do p. Andrzeja Zamoyskiego, wyciągnął doń rękę i rzekł: „Pan podzielasz me zdanie, panie hrabio! podaj mi więc swą rękę...” i współcześnie uchwyciwszy dłoń Wielopolskiego, dodał: „wzywam, panowie, waszej pomocy, popierajcie mnie swym wpływem moralnym, gdyż wszelki rząd, pozbawiony poparcia narodu, jest bezsilnym.”

Mowa ta, bardzo ładna, bardzo szlachetna, przesiąknięta na wskroś gorącą chęcią uspokojenia Polski, była pierwszą, jaką Namiestnik wygłosił publicznie, w której dał poznać swe zamiary. Na nieszczęście, wypowiedzianą ona była przed ograniczoną grupą dygnitarzy i nie doszła do wiadomości kraju, a jeżeli doszła, to w formie mocno skażonej. Dla celu, który trudno zrozumieć, mowa ta nie została wydrukowana w pismach w tekście dosłownym. *Dziennik Powszechny*, a za nim i inne gazety, podały tylko jej streszczenie i do tego bardzo niedokładne. „Dostojny Książę—pisał *Dziennik*,—witając wszystkich z uprzejmością i dziękując za okazane mu współczucie, w przemówieniu do Rady stanu oświadczył, że wypadek, jaki miał miejsce, nie będzie mu przeszkodą do wspólnego z nią pracowania nad przeprowadzeniem tyle pożądanego dla kraju reform; że jednak do tego przeprowadzenia konieczną jest rzeczą, aby rząd miał ze strony narodu konieczne dla siebie poparcie. W tym względzie gorliwość urzędników w zakresie ich służby nie jest jeszcze wystarczającą, ale podobnemi usiłowaniami w obrębie ich stosunków prywatnych popieraną być musi. W końcu dodał ze wzruszeniem, że ten strzał morderczy, który

w ciągu jednego tygodnia po raz drugi daje się słyszeć w Warszawie, jest może zrzędzeniem Wszechwładnej Opatrzności, dającej narodowi sposobność okazania się w prawdziwym swem świetle.“

Takie chłodne, nieprawdziwe, urzędową nieudolnością nacechowane streszczenie gorącej i serdecznej mowy W. Księcia nie mogło wywrzeć wrażenia i nie wywarło go też wcale. Niektóre epizody przyjęcia, dochodząc do wiadomości ogółu, powtarzane z ust do ust, zmieniły się w końcu w plotkę. Mówiono, że W. Książę wziął za rękę p. Andrzeja i Wielopolskiego i żądał, aby się pogodzili i by sobie podali dłonie, ale p. Andrzej ze wstrętem swą cofnął. Że p. Zamoyski podczas owej przemowy Namiestnika zachował się bardzo chłodno, że nic nie odpowiedział na gorące słowa W. Księcia, że nawet w chwili, gdy ten ostatni wziął go za rękę, cofnął się nieco, jak gdyby unikając zetknięcia się z margrabią—to prawda, ale fałszem było, jakoby W. Książę domagał się, by sobie dłonie podali. Dla zapobieżenia takim szkodliwym i drażniącym plotkom, najlepiej było ogłosić w całości tekst mowy i opis prawdziwy całego przyjęcia w Belwederze, a jeszcze lepiej, korzystając z wrażenia, jakie zamach wywarł, odezwać się z proklamacją do narodu i domagać się oden poparcia dla rządu.

Byli tacy, którzy radzili W. Księciu, by w proklamacji tej, w tonie bardzo uroczystym trzymanej, był narysowany szczegółowy zarys nadanych już krajowi koncesyi, by zniesiono stan oblężenia, a nawet byli i tacy, którzy prosili, by W. Książę nazajutrz po zamachu zechciał bez żadnej straży, sam jeden, odbyć przechadzkę pieszą po ulicach Warszawy, twierdząc nie bez znajomości charakteru narodowego polskiego, że taki krok, takie oddanie się polskiej szlachetności, wobec powszechnego oburzenia na sprawców zamachu, wywrze wrażenie potężne na ludność. Proszący powoływali się na Cesarza Mikołaja,

gdy sam jeden stanął przed zbuntowanymi gwardyami w Petersburgu, lub później, gdy pierś swą wystawił pod lance rokoszu kozackiego nad Donem.

Proklamacyi i zniesieniu stanu oblężenia zapytany o radę Wielopolski jak najkategoryczniej się oparł. Trudno dziś odgadnąć, jakie motywy nim kierowały, ale że popełnił błąd, zaprzeczyć się nie da. Może było to następstwem zasady margrabiego, kilkakrotnie przezeń wygłaszanej: „Bądźmy oszczędni w słowach. a za to szczodrzy w czynach.“

Po Belwederskiem przyjęciu, wszyscy na niem obecni, silnie wzruszeni słowami W. Księcia, wielu oburzonych do głębi postawą, jaką hr. Andrzej Zamoyski zachował wobec mowy i postępowania Namiestnika, udali się do archikatedry Świętojańskiej na zapowiedziane nabożeństwo z powodu ocalenia życia W. Księcia. Tam już ciągnęły tłumy ludu: ciągnęły długimi szeregami w średniowiecznych swych strojach i w średniowiecznej procesyi z krzyżem na czele wszystkie zakony warszawskie. Wielkie presbiterium katedralne przepełnione było duchowieństwem świeckim i zakonem, co niezwykle przedstawiało widok. Nabożeństwo odprawił sam arcybiskup Feliński z wielką uroczystością i pompą, po którym, po odspiewaniu „Te Deum“, stanął na stopniach ołtarza i miał jedną z tych mów, prawie zebrzących u Polaków miłości i miłosierdzia dla Polski, których tyle wygłosił, a dziś to zebracze błaganie straszne, rzecz można, wywiera wrażenie. Zaczawszy od Ezechielowego proroctwa, z wielkim zapalem i namaszczeniem, jakim przejęta była ta dusza ascetyczna i entuzjastyczna zarazem, mówił, że musi się odezwać: „boć i mnie postawił Pan stróżem domu Izraelowego z obowiązkiem, bym prawdę mówił ludowi, pieczy mojej powierzonemu, boć i z mojej też ręki krwie niezbożnego szukać będzie Pan, jeśli mu nie oznajmię nieprawości jego...“

M I E J S K A
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
u Radomia 445.

„Zbrodnią jest, wołającą o pomstę do Boga, wszelkie samowolne targnięcie się na życie bliźniego; zbrodnią jest nie tylko dla chrześcijanina, który prawem miłości rządzić się winien, lecz i dla poganina samego, co przyrodzoną zna tylko sprawiedliwość. bo przykazanie: nie zabijaj! sam Stwórca Wszechmogący wraził w serce człowieka. Namiętność może tak dalece osłepić pojedyncze sumienie, że zabójstwa samego za zbrodnię sobie poczytywać nie będzie, ale żadna namiętność nie zdoła odmienić prawa, wedle którego Sędzia Przedwieczny sądzić nas kiedyś będzie...“ „Tak się przedstawia ohydny zamach na życie Dostojnego Brata i Namiestnika Monarchy ze stanowiska czysto chrześcijańskiego, jako zbrodnia przeciwna nie tylko Ewangelii, lecz i prawu przyrodzonemu. Lecz i ze stanowiska nawet patryotycznego dążenia podobne są zbrodnią nie do przebaczenia, bo największą krzywdę istotnym interesom narodowym wyrządzającą. Nie wglądam już, do jakiego odcienia patriota należeć będzie, lecz każdy, co pragnie dobra kraju i szczęścia dla ojczyzny swojej, musi przyznać, skoro ma wiarę i bojaźń Bożą, iż losy nasze w ręku Opatrzności spoczywają; Opatrzność zaś sprawiedliwą jest przedewszystkiem i każdemu narodowi wedle zasługi wymierza...“ „Skoro zaś tak jest, to czyż może Pan błogosławić tym, co gwałcąc prawo Boże i rokosz przeciwko Stwórcy swojemu podnosząc, o szczęściu niby kraju swego marzą? Lecz chociażbyśmy nawet rządy Opatrzności zapoznali (sic), to i tak jeszcze czyż nie jest zbrodnią przeciwko ojczyźnie przecinać wewnętrzny rozwój krajowych instytucji w chwili właśnie, gdy ziemia nasza, od tak dawna zbawiennych reform spragniona, otrzymała wreszcie możebność poprawienia tego wszystkiego, co poprawy potrzebuje? Zaiste, ślepym lub szalonym być potrzeba, by tak oczywiście prawdy nie widzieć, a nikczemnym lub małodusznym będzie, kto się w tak stanowczej chwili nie odezwie i ręki skutecznie

do ukrócenia zlego nie przyłoży. Bracia najmiłsi, w tej chwili już nie rząd, ale wiara i ojczyzna pomocy się wazszej domagają i chcą, byście się jawnie przeciw podobnym bezprawiom oświadczyli; pamiętajcie, że w podobnych razach *qui tacet consentire videtur* (milczący zdaje się przyzwalać). Mam nadzieję, że podobnych szaleńców jest niewielu, że duch narodu nieskalany pozostał; lecz chociażby jeden był taki, to i jego pod pręgierzem opinii postawić trzeba, by się naród przed światem i przed własnym sumieniem oczyścił, by zrzucił z siebie solidarność za czyn, któryby historię naszą splamił.“

Mowa arcybiskupa Felińskiego, całe nabożeństwo nie pozostało bez wpływu na obecnych, a na W. Księcia przez to, że zostało samoistnie przez arcybiskupa urządzone, miało silne wywrzeć wrażenie. W Warszawie zresztą i w kraju sam zamach wywołał oburzenie i zupełnie usprawiedliwione obawy, że rząd cofnie nadane koncesye i wróć dawne czasy. Tu i owdzie głośno o tem mówiono i zapowiadano. Pogłoskom tym, które coraz szersze przybierały rozmiary i budziły trwogę powszechną, oczywiście nie mogły zapobiedz ogłoszone przez dzienniki, w mocno skażonej formie, słowa belwederskie W. Księcia; zapobiegła im atoli do pewnego stopnia mowa, jaką dnia 5-go lipca, a więc trzeciego dnia po zamachu, wygłosił margrabia w Radzie stanu i w całości opublikował w dziennikach. Po krótkim wstępie, w którym wytłómaczył, dlaczego nie sam W. Książę, ale on otwiera ogólne zebranie Rady, w zwykłym swym patetycznym i ciężkim stylu, tu i owdzie jednak niepozabawionym męskiej piękności, niby homeryczny „Kronid gromowładny,“ rzekł:

„Ukochany przez Cesarza Książę, dla nas jako zakład postępu i przyszłości naszej, mojemi także prośbami wyjednany, przybył wśród nas z ufnością szlachetną, razem z dostojną małżonką swoją i drobną dziatwą. Nie zawiodł się na sercu i zacności ludu, któremu siebie i szczę-

ście swoje rodzinne powierzył. Dowiodły tego dni pamiętne, dzień bezbronnego jego wjazdu i dzień, w którym Warszawa przyjmowała go u ołtarzy swych świątyn z otuchą i dziękczynieniem. Po tych dniach pogodnych, noc z jaskini ukrytej zionęła nowy zamach i zgrozą kraj ogarnęła. Dostojny Książę, dotknięty nim na duszy, ale niezachwiany, oznajmił nam, słyszeliście to wszyscy, że w zbrodniach popełnionych nie przypisuje żadnego udziału winy narodowi polskiemu, że na dawnej jego szlachetności polega, nad dobrem jego wspólnie z nami pracować pragnie. Spodziewać się możemy, że ta sama Opatrzność, która nam Księcia ocaliła, dozwoli wydobyć na jaw przewrotne knowania, że sprawiedliwość ich doścignie, że nadał moc prawdy oblakanych oświeci, moc sumienia zapamiętałych skruszy i rozbroi, i że nasz związek społeczny ocalony będzie. Ciosy mordercze, jeśliby jeszcze paść miały, pragnę, aby raczej przeciwko moim piersiom się obrocily, niżeli żebym przeżył na tej ziemi cnoty ojców naszych i cześć imienia polskiego. W. Książę w przemowie swej do nas zachęcał nas wczoraj, abyśmy, korzystając z przesilenia, w swoim zakresie działali ku przezwycięzeniu złego, ku poparciu porządku i prawa."

Najważniejszym jednak ustępem tej mowy, który właśnie owym niepokojącym pogłoskom o cofnięciu nadanych koncesji do pewnego stopnia koniec miał położyć, był następujący:

"Nowe zaufanie Cesarza i Króla dla Rady stanu powołuje trzech naszych kolegów na ważne stanowiska gubernatorów cywilnych; tym sposobem, na przełożenie dostojnego naszego Namiestnika, w gronie waszem zaczerpnięty został początek niektórych zmian w administracji prowincjonalnej, mających poprzedzić otwarcie Rad powiatowych i utworzenie Delegacji czynszowych na niezachwianej podstawie jedności działania pomiędzy rządem a krajem."

Nominacja trzech nowych gubernatorów Polaków zadawała wyrażnie i wymownie kłam pogłoskom, że rząd wskutek zamachu wróci do dawnego systemu wojskowego. Powierzenie stanowisk tak ważnych rękoni polskim było dowodem, że administracja kraju będzie kierowana wyłącznie przez krajowców. Obecnie już wszyscy gubernatorowie byli Polakami (Łaszczyński, warszawski; Boduszyński, lubelski; Ostrowski, radomski; Dziewanowski, plocki; Korytkowski, augustowski). Wybór przytem był ze wszelki miar dobry; nowi gubernatorowie po większej części należeli z fachu do ziemian i doskonale obeznani byli z potrzebami kraju. Dominik Dziewanowski, ziemianin, właściciel dóbr w Płockiem, był to człowiek zacny, choć miękki nieco, pelen jednak gorącej miłości kraju i dbałości o jego dobro prawdziwe. Z gubernatorstwa radomskiego ukazał Cesarz usunął generała Oppermana. Jego miejsce zajmował teraz p. Aleksander Ostrowski, rolnik, dziedzic Maluszyna, należący do zamożniejszych ziemian w kraju, wyborny gospodarz i administrator, charakter prawy. Swą powagą, zacnością swych uczuć i myśli wyrobił sobie takie stanowisko w kraju, że za istnienia Towarzystwa Rolniczego został jego wice-prezesem, a zatem po p. Andrzeju Zamoyskim uważany był przez ogół za najznamienitszego obywatela kraju. Blizki krewny Wielopolskiego, oraz jego osobisty dawny przyjaciel, był dobrym Polakiem i gotowym szczerze i gorliwie popierać usiłowania margrabiego. Obaj z Dziewanowskim byli członkami Rady stanu i do pewnego stopnia służyli za wskazówkę, że instytucja ta będzie rozsądnikiem niejako na wszystkie, nawet najwyższe godności administracyjne kraju. Na nieszczęście, obaj, przy najzaciejszem sercu i najlepszych chęciach, przy wstępie do rewolucji, mieli w swem usposobieniu dosyć polskiej słabości charakteru. Trzeci nakoniec nowy gubernator augustowski, p. Józef Korytkowski, wstępujący na to stanowisko po generale Fanschawe, człowieku niezłym,

ale obcym krajowi, był wybornym administratorem, doskonałym urzędnikiem, który doszedł do tej wysokiej godności, posuwając się powoli od najniższych szczebli hierarchii urzędniczej. Doświadczony, wytrawny, miał głowę dobrą, choć nieco doktrynerstwem i wielką ufnością w siebie zarażoną, ale należał do ludzi uczciwych, był dobrym Polakiem i szczerze, jak mógł i gdzie mógł, popierał rządy Wielopolskiego.

Jakkolwiek nominacje te znacznie wcześniej przed zamachem były zdecydowane, dla ogółu jednak, nieświadomego przebiegu spraw rządowych, mogły się one wydawać i wydawały się jednym ze skutków tego zamachu. W rzeczy samej tak nie było; były one dalszem wykonywaniem raz powziętego planu, że krajem rządzić i administrować winni Polacy. Nominacje te jednak dość chłodno przyjęto; umysły zanadto były przejęte czem innem, wzrok zanadto wpatrzony w wielkość rozgrywających się i zbliżających wypadków, by tak drobne fakty, jak nominacja gubernatorów, nie miały przechodzić prawie niepostrzeżonymi.

Tymczasem, gdy się to wszystko działo, w umysłach lepszych oburzenie na zamach coraz bardziej wzrastało i znalazło swój wyraz w akcji, jaka się poczęła teraz wśród zamożniejszego i wybitniejszego ziemiaństwa, a która, niestety! jak wszelkie akcje w tych czasach, miała wydać tylko robaczywe owoce. Potrzeba potępienia zamachu nierozumnego i niczem niewytłómaczonego, potępienia przez jakiś akt głośny i uroczysty, zapobieżenia przez to możliwości cofnięcia reform, a nadewszystko zadośćuczynienia sumieniu społecznemu, była powszechnie odczuwaną i odezwiała się w wielu sercach naraz. Zdaje się, że na drugi dzień po zamachu p. Ludwik Górski, jedna zę znamienitości ziemiańskich Królestwa, porozumiał się w tym względzie z Aleksandrem Kurtzem, dziedzicem historycznego Otwocka, Franciszkiem Węgłęńskim, synem ministra za

Księstwa Warszawskiego, człowiekiem bardzo czynnym w tej dobie, oraz Wincentym Majewskim, głośnym mecenasem. i uznali, że trzeba coś robić. Ale wyćwiczeni w karnej szkole Towarzystwa Rolniczego, zdolni do działania tylko gromadą, postanowili zwołać w tym celu naradę, złożoną z członków dawnego Komitetu Towarzystwa Rolniczego, z członków samego Towarzystwa wreszcie, obecnych w Warszawie, z członków przeszłorocznej Delegacji miejskiej i wybitniejszych wreszcie obywateli. Myśl ta szybko się przyjęła, rozbiegła się po mieście i w krótkim czasie zebrało się u p. Górskiego około sześćdziesięciu osób. Znaleźli się tam reprezentanci wszystkich niemal partyi i frakcyi; przybyło wielu nawet takich, których nie zaproszono wcale, którzy sami przyszli, dowiedziawszy się, że się coś robi. O ile jednak sądzić można ze skąpych relacji o tem zebraniu, nikogo nie było z członków Komitetu Centralnego, ani wogóle ze stronnictwa Czerwonych. Za przedstawicieli partyi ruchu uchodzili obecni na zgromadzeniu: Szlenker, członek przeszłorocznej Delegacji miejskiej i zamożny kupiec warszawski, oraz Jurgens i Karol Ruprecht, który jednak stanowił chłodniejszy od Szlenkera i Jurgensa odcień. Uradzono jednomyślnie, że należy co najrychlej wysłać do W. Księcia Konstantego deputację, złożoną z obywateli wiejskich i miejskich, która ma mu wręczyć adres, potępiający zamach. Polecono przytem, aby p. Ludwik Górski zajął się natychmiast redakcją tego adresu, o ile można treściwego i krótkiego.

Jakoż p. Górski adres żądany zredagował i zebrany odczytał. Ale treść jego się nie podobała; ogromna większość uznawała go za niedostateczny i niewłaściwy. Zarzucano mu, że wyłącznie ogranicza się on na potępieniu zamachu, że nie ma wcale charakteru politycznego, że należy skorzystać z nadarzającej się sposobności, by wypowiedzieć swe pragnienia i skargi. Zawiazały się teraz gorące i żwawe rozprawy; powoli, jak oliwa, na wierzch

wychodzić poczęła niechęć wyrazna do zamierzonej demonstracji, leżąca w głębi duszy zebranych. Naturalnie byli i tacy, którzy, dbając o popularność swych imion i wiedząc, że demonstracja ta będzie przez Czerwieńców i przez ulicę potępioną, lękali się kłaść swych podpisów na adresie, który oburzał się na zamach, a nie mówił o pragnieniach narodu. Wreszcie, po żywej dyskusyi, adres z małemi zmianami przyjęto, w końcu tylko dodano takie zdanie: „*nous espérons, que V^{otre} Altesse Impériale saura trouver les moyens d'alléger les souffrances de cette nation si longtemps malheureuse*“ („mamy nadzieję, że Wasza Cesarska Wysokość znajdzie sposoby ulżenia cierpieniom tego narodu, przez tak długi czas nieszczęśliwego“). W końcu uradzono na owem zebraniu, że deputacyi, jaka się ma z owym adresem udać do W. Księcia, będzie przewodniczył hr. Andrzej Zamoyski i że on na jej czele glos zabierze. Nie wątpiono, że hr. Andrzej zgodzi się na to; nie wyobrażano sobie, by go przy takim akcie pominąć można było i by kto inny mógł deputacyi obywatelskiej przewodniczyć. Zaraz też, nie tracąc czasu, wyruszyli do p. Andrzeja z całą tą uchwałą pp. Ludwik Górski, Aleksander Kurtz, Szlenker i Jurgens. Wszakże, na wielkie ich rozczarowanie, p. Andrzej nie chciał się podjąć tej misyi, a zwłaszcza przewodnictwa deputacyi. Był przytem tak rozgorączkowany i tak rozgorączkowany, wygłaszał teorye tak skrajne, że nawet Szlenker i Jurgens starali się go uspokoić i ochłodzić. Nakoniec, po długich sporach i rozprawach, zrobił to, co zwykł był zawsze robić, ilekroć żądano odeń czegoś gromadnie, to jest, wbrew wygłaszanym opiniom, uległ namowom obecnych i obiecywał, że nazajutrz pojedzie do Wielkiego Księcia. Położył tylko jeden warunek, że margrabia Wielopolski musi być o tem wszystkim uprzedzony.

Uznano słuszność tego żądania; może, uzyskawszy tak znaczne zwycięstwo, nie chciano go narażać sporami

o drobnostki, i zaraz pp. Górski i Kurtz udali się do palacu Brühlowskiego, gdzie, jak wiadomo, rezydował margrabia. Zastali go schodzącego na dół; miał jechać do Zamku, zdaje się, na posiedzenie Rady stanu, na którem miał wygłosić ową słynną mowę, potępiającą zamach. Powóz przed drzwiami palacu już na niego czekał. Spostrzegłszy dwóch delegatów, był nadzwyczajnie ich widokiem zdziwiony, i nie pytając, po co przybyli, rzekł od razu: „przepraszam, ale przyjąć nie mogę, bo mi bardzo pilno jechać do Zamku.“ Na to posłowie odpowiedzieli, że sprawa dla której przybyli, jest wielkiej wagi, że nie znosi ona najmniejszej zwłoki i nalegali, by margrabia koniecznie ich wysłuchał. Wielopolski, wciąż stojąc w sieni, z chmurnym wyrazem twarzy i z widoczną niechęcią rzekł: „ha! w takim razie mogę panom poświęcić kilka minut, ale już nie pójdziemy na górę.“ Weszli więc do ciasnego pokoiku, znajdującego się w sieni i zajmowanego przez szwajcara palacowego. Tutaj pp. Górski i Kurtz przedstawili margrabiemu cel swego przybycia. Zdarzyło się, że właśnie w czasie tych wyjaśnień przez sień przechodził syn margrabiego, p. Zygmunt Wielopolski; wezwany przez ojca, wysłuchał z jego ust relacyi o propozycyi dwóch obecnych delegatów i oświadczył, że pomysł ten uważa za dobry. Wobec tego margrabia oznajmił, że musi rzecz tę przedstawić W. Księciu i poprosił p. Górskiego, by zechciał nazajutrz, o godz. 8-ej rano, przybyć do niego.

Stosownie do umowy, p. Górski stawiał się na drugi dzień o naznaczonej godzinie u margrabiego, który go uwiadomił, że W. Książę bardzo mu jest wdzięczny za inicjatywę w tej sprawie, że deputacyę chętnie przyjmuje, ale pod jednym warunkiem, że nie kto inny będzie jej przewodniczył, tylko Górski, i że on jeden glos zabierze. Na to p. Górski odpowiedział, że jest to rzeczą niemożliwą, gdyż umówiono się już z hr. Zamoyskim, iż stanie na czele deputacyi, że wreszcie stanowisko p. Andrzeja

w kraju jest takie, że pomijać go nie można, że on jeden tylko może być przewodnikiem obywateli. Margrabia, chmurny ciągle i jakby zamysłony, wysłuchawszy tych słów, zapytał: „Panie Ludwiku, po dawnej znajomości powiedz mi szczerze, czy stawiając Zamoyskiego jako naczelnika, chcecie przeciwko mnie wyrobić partię polityczną?—Słowa te zdradziły Wielopolskiego—świadczyły one, że jeżeli W. Książę istotnie zażądał, by na czele deputacji nie stawał Zamoyski, to uczynił to na skutek nalegań Naczelnika rządu cywilnego. Górski, słusznie w duszy oburzony tem wysuwaniem na pierwszy plan swego interesu osobistego, tem rządzeniem się indywidualną niechęcią i prywatą wobec sprawy największej doniosłości, odrzekł tonem chłodnym: „Panie margrabio! o kształceniu jakiejś partii przeciw panu nikt nie myśli, ale p. Zamoyski ma w kraju takie uznanie, że jeżeli on przewodnikiem nie będzie, to nikt do Belwederu nie pójdzie. Gdybym ja przystał na to, żeby być przewodnikiem deputacji, to gdybym się za siebie obejrzał, nikogobym za sobą nie ujrzał i sambym się musiał udać do W. Księcia.“ Uwaga ta wydawać się zaczęła słuszną margrabiemu, gdyż widocznie skłaniał się już ku myśli, że Zamoyski stanie na czele deputacji, wreszcie zapytał się: czy wszyscy deputaci mają mundury obywatelskie? Górski odpowiedział, że nie mają i że przyjdą we frakach czarnych. Zgodził się i na to margrabia, wreszcie podniósł najważniejszą kwestyę, do której jednak, patrząc na sprawę całą ze stanowiska interesu osobistego, zdawał się nie przywiązywać wielkiej wagi, kwestyę adresu, i oświadczył, że musi zaznajomić się z jego treścią i zażądał od Górskiego, by mu dokumient ten przedstawił. Górski odrzekł, że adresu nie ma przy sobie, ale że go umie na pamięć i powtórzyć może w całości. Wypowiedział go więc, a gdy przyszło do ustępu końcowego „o cierpieniach narodu tak długo nie-szczęśliwego.“ margrabia się odczuwał, że przedstawienie

takiego adresu jest niemożliwym, że on na niego pozwolić nie może, a „jeżeli—dodał—upierać się przy tem będziecie, deputacya przyjęta nie będzie.“ Zawiązała się znów dyskusya nad tym przedmiotem, obie strony zostały przy swoim mniemaniu i obaj panowie rozeszli się bez powzięcia stanowczej decyzji.

Ale sprawa ta, napotykająca zaraz z samego początku tyle przeszkód, nie miała, niestety! przyjść do skutku. Gdy bowiem Górski wprost od margrabięgo udał się do p. Andrzeja, gdzie już inni byli zebrani i oczekiwali na rezultat wizyty u Naczelnika rządu, zastał Zamoyskiego w trudnym do opisania stanie rozdrażnienia. Począł on gościowi cierpkie czynić wyrzuty i oświadczył, że do Belwederu nie pójdzie.

W ogólności od tej chwili sprawę manifestacji lojalnej uważać należy za przegraną. Przez parę dni ciągnęły się jeszcze pertraktacye z margrabią, by zaakceptował adres w całości i bez zmian; próbowano, czy p. Andrzej zdania nie zmieni—ale wszystko to na nic się już nie zdało. Obie strony ustąpić nie chciały; deputacya stała się niemożliwą i do skutku nie przyszła. Do tego ze wszech miar oplakanego rezultatu przyczynił się w jednej części margrabia, w drugiej p. Andrzej—i na obu tych mężach, chociaż w nierównej mierze, leży ciężka i nieprzebaczona wina wobec historii. Jak pierwszy tak i drugi nie chcieli, by manifestacya ta, tak zbawienna dla przyszłych losów kraju, przyszła do skutku, a nie chcieli z zupełnie różnych pobudek. Hr. Andrzej Zamoyski nie chciał manifestacji dlatego, że uważał ją za kompromis, drugi dlatego, że wyobraził sobie, że manifestacya nie ojczyznę, ale jego samego ma na celu, że go chcą pozbawić tym sposobem wysokiego urzędu.

Akcya ta, na szczęście, nie doszła do wiadomości ogółu i nie wywołała żadnych plotek po mieście, których takie mnóstwo w tej porze obiegalo. Rzecz odbywała się

w zamkniętem kole starszyny krajowej i poza to kolo nie wyszła, nie o tyle jednak, by jakieś głuche wieści nie dostały się do uszów stronnictwa ruchu. *Strażnica*, ich organ, nie omieszkala inicjatorów tej bardzo rozumnej i bardzo patryotycznej akcji w swym języku rewolucyjno-ulicznym nazwać „rodem fagasim,“ „pacyfikatorami różnych nazw i stanowisk,“ „nieprzyjaciółmi życia, wrogami wszelkiego ruchu.“

Wystąpienie powyższe, podejrzenia nie dość jasno wypowiedziane, nie zwróciły na siebie uwagi, choćby dlatego, że zaledwie w parę tygodni po całej akcji opublikowane zostały. W tej chwili jednak do ogółu nie doszła jeszcze wieść o zamiarach, niestety! niewienczonych skutkiem pożądanym kilku dobrych, a nadewszystko rozumnych obywateli kraju; plotka więc milczała. Umysły zresztą tak w kraju, jak i w Europie całej, były zajęte samym zamachem, który, rzecz można, był wielkim wypadkiem dnia. Do W. Księcia ze wszech stron posypały się listy i telegramy, winszujące mu ocalenia. Jednym z pierwszych, który nadesłał taki telegram, był cesarz Francuzów, oraz królowie: pruski, hanowerski, saski i belgijski. Królowa angielska, za pośrednictwem swego konsula, „w słowach najgorętszych,“ jak się wyrażała relacya urzędowa, złożyła swe powinszowania. Król pruski, jako blizki kuzyn W. Księcia, nie poprzestał na telegramie, ale przysłał swego adjutanta, majora v. Raucha, który w dniu 10-m lipca złożył W. Ks. Konstantemu własnoręczny list swego monarchy. Odbływały się też nabożeństwa, dla podziękowania Bogu za owo ocalenie, w kirchach: luterskiej i kalwińskiej, w synagogach żydowskich. Za ich przykładem powoli nabożeństwa te przenoszą się ostentacyjnie do bóżnic prowincjonalnych i nieskończonemi relacyami świecą przez długi czas na szpaltach organu urzędowego, który je ze skrętnością drukuje.

W ogólności, jeżeli do pewnego stopnia te nabożeń-

stwa, telegramy i listy winszujące noszą na sobie charakter praktykowanego w takich razach zwyczaju, to nie ulega jednak kwestyi, że zamach za granicą bardzo przykre wywarł wrażenie. We Francyi powszechnie go potępiano, dla wielu był niezrozumiałym, a prasa francuska, dotąd wogóle dobrze usposobiona dla Polaków, znaecznie ochłodziła. Nawet najczerveniesze, najbardziej opozycyjne dzienniki, używające dotąd sprawy polskiej za wygodne narzędzie do napasei na rząd, milkły teraz, i nie ehcąc jeszcze zamachu nazwać zbrodnią, wołały o nim, a zatem i o Polsce—milczeć. Dla cesarza Napoleona III osobiście zamach był tem przykrzejszy, że właśnie teraz na horyzoncie „serdecznego porozumienia“ jego z dworem Petersburskim ukazywać się zaczęły pierwsze chmury. Gdy mu ambasador rosyjski, stary Kisielew, doniósł o zmianach, jakie zaszły w zarządzie Polski, o nominacyi Wielopolskiego i W. Księcia, cesarz wszystko to bardzo chwalił, podnosił wysoko rozum nowego Namiestnika i wyraził przekonanie, że tenże potrafi rządzić odpowiednio do widoków i celów swego Monarchy. Żądaniu dworu Petersburskiego, aby rząd francuski usunął z Warszawy konsula, p. Segura, którego posądzano o stosunki z czerwieniami, który chodził w ulance na głowie i zachęcać miał młodzież do demonstracyi—natychmiast w tej porze uczynił zadość. Mimo to, w tym czasie właśnie gabinet Petersburski postanowił odwołać ze stanowiska ambasadora Kisielewa, do którego cesarz Napoleon przywykł, który był gorącym stronnikiem przymierza franko-rosyjskiego, a na jego miejsce wysłać barona Budberga, dotychczasowego posła w Berlinie, nieprzyjaciela Polaków, zwolennika świętego przymierza, nielubiącego Francuzów, których złośliwie nazywał „narodem żóławów.“ Wobec tego wszystkiego przypadł bardzo nie w porę zamach na W. Ks. Konstantego, zamach, który pozbawił niejako Napoleona i Francję prawa i możności upominania się za Polską.

To też urzędowa i półurzędowa prasa francuska potępiła prawie jednogłośnie zamach, nazwała go zbrodniczym, nierozumnym, najgorsze skutki sprowadzić mogącym. Największy jednak rozgłos miał artykuł, skreślony w tonie dość ostrym i potępiającym czyn Jaroszyńskiego, pomieszczony w *Journal des Débats* i przetłumaczony niemal dosłownie z *Dziennika Poznańskiego*. Dziennik ten bowiem, istniejący zaledwie lat parę, w ogólności bardzo trzeźwy i nieraz bardzo zbawienne dający rady swym współziomkom, wystąpił gwałtownie przeciw „zbrodni królobojstwa,” jak nazywał zamach Jaroszyńskiego. Wyrażał zdziwienie, „że społeczeństwo podniosło skrytobójczą rękę na Księcia, który przybywa bezbronny niejako, w zaufaniu zupełnem, bez żadnego orszaku, przywożąc z sobą w zakładzie tej ufności na samem zlegnięciu będącą małżonkę i dzieci swoje. To też społeczeństwo polskie nie podniosło tej ręki, podnieść jej nie mogło; wrodzona mu szlachetność, jakiegokolwiekby w niewoli szczytby odnieść mogła, nie dopuszcza w żaden sposób czynu nie tylko już zbrodniczego, ale tak szczególnie niskiego i ckiego przez owo przeciwstawienie.” Wszedłszy na tę drogę przypuszczeń, *Dziennik* utrzymuje, że żadne ze stronnictw polskich nie mogło się stać winnem zamachu, który ostatecznie przypisuje albo „zupełnemu obłąkaniu umysłu, albo pośredniemu wpływowi jednego z obcych stronnictw, którym śmierć W. Ks. Konstantego z ręki Polaka byłaby bardzo na rękę.” Artykuł ten miał o tyle znaczenie, że się na nim wzorowała cała prawie prasa zagraniczna. Na kraj, o co najwięcej chodziło, nie wywarł on żadnego wpływu i nie mógł wywrzeć, gdyż czytany nie był. Choćby dlatego tylko, że cenzura *Dziennika* do Królestwa nie puszczała, a prasie warszawskiej artykułu rzeczzonego przedrukować nie dozwoliła, o co zresztą, dodać tu należy, prasa ta wcale się nie starała.

Takież same zdanie, jak *Dziennik*, że zamach nie

wyszedł z łona społeczeństwa polskiego, wygłosił *Czas* krakowski. Potępiając sam zamach, który nazwał „szalonym” postępkim, utrzymywał on w artykule wstępnym (z dnia 6-go lipca), że jest to albo sprawka policyi, w zamiarze przedłużenia obecnego stanu, albo stronnictwa niemieckiego w Petersburgu, nieprzyjaznego reformom i W. Księciu Konstantemu.

Twierdził dalej, poczynając już teraz wchodzić na drogę kłamstw, które doprowadził w kilka miesięcy później do niebywałych rozmiarów, przez co ogromną szkodę krajowi robił, że człowiek, który dokonał zamachu, nie jest Polakiem, lecz Rosyaninem, nazwiskiem Iwan Nekraszew, syn kupca petersburskiego. Takie plotki w chwili, gdy w Warszawie wszyscy wiedzieli, kto dokonał zamachu, i pod tym względem nie mogło już być żadnej wątpliwości, nie przynosiły zaszczytu tak poważnemu dziennikowi, za jaki pragnął uchodzić *Czas*, a nadewszystko osłabiały wiarę we wszystkie jego doniesienia. Prasa warszawska, której głos w sprawie tej miał największe znaczenie i największy wpływ mógł wywrzeć, milczała o niej jak zakłeta, ograniczając się na przedrukach z urzędowego *Dziennika Powszechnego*. Nie było to jednak jej winą. *Gazeta Polska*, zostająca ciągle pod redakcją J. I. Kraśzewskiego i otrzymująca natchnienia przez Kronenberga od Dyrekcyi Białych, przygotowała ognisty artykuł, rodzaj odezwy do narodu, w którym w wyrazach przesiąkniętych gorącym patryotyzmem potępiała zamachy, osądzając je ze stanowiska interesu narodowego i uważając je za plamę, rzuconą na sprawę i honor polski. Artykuł taki, który świadcząc z jednej strony o wielkiej odwadze cywilnej redaktorów, z drugiej mógł mieć bardzo doniosłe znaczenie, wskutek dziwnego zaślepienia Wielopolskiego został przez cenzurę „z rozkazu wyższego,” jak tłumaczono, przekreślony.

Ale jeżeli zamknięto usta prasie jawnej warszaw-

skiej, to prasa tajna tem swobodniejsze miała pole do działania i do urabiania opinii publicznej. *Strażnica*, która przez ciąg blisko rocznego swojego istnienia potrafiła sobie wyrobić pewne znaczenie, wystąpiła z osobliwym zaiste poglądem na zamach.

W poglądzie tym jednak, w stylu epoki skreślonym, z pośrodku zarzutów, w części słusznie, a w części niesłusznie stawianych rządowi Wielopolskiego, przegląda jednak dość przezroczyście niezadowolenie, a nawet do pewnego stopnia potępienie zamachu, który tylko dla tego rodzaju ludzi, jak Chmieliński i Dąbrowski, wydawać się mógł nie już zbawiennym, ale koniecznym.

Wśród tego wszystkiego, wśród tak wstrząsających wypadków, wśród mnóstwa najróżnorodniejszych głosów i oskarżeń, W. Książę powoli zagospodarował się, że tak powiemy, w Warszawie, a około niego tworzył się nowy, dawno niewidziany dwór polski. Nazajutrz po zamachu przybyli do Warszawy dzieci W. Ks. Konstantego, trzech synów: Mikołaj, Konstanty i Dymitr, oraz dwie córki: Olga i Wiera, dzieci stosunkowo dość drobne, gdyż najstarszy z nich, Mikołaj, liczył zaledwie lat 12, ale na które zamach i widok ojca ranionego przykre i nigdy niezapomniane musiał uczynić wrażenie. W palacu Belwederskim, ładnym i miłym, choć niewielkim, ale przez to samo nadającym całemu życiu domowemu bardziej serdeczny, bardziej rodzinny charakter, pełnym wspomnień mieszkającego tu niegdyś stryja, Konstantego Pawłowicza, ocienionym przepysznym parkiem, zarościło się od szambelanów, dworzan i służby, przeważnie polskiej. Miano tu zresztą mieszkać tylko przez lato, do czasu, dopóki apartamenty królewskie w Zamku nie będą gotowe.

Restaurowano je właśnie starannie i kosztownie, sprawiano meble nowe, czyniono wszystko, by dwór W. Księcia miał wszelkie warunki blasku i przepychu. Na dworze tym na stanowiskach wysokich, a przynajmniej w bez-

pośrednich z osobami obojga Księstwa będących stosunkach, znalazło się trzech Polaków. Więc naprzód marszałkiem dworu był generał hr. Chreptowicz, pochodzący ze starej szlachty litewskiej, która w historii zostawiła ślady swego istnienia, a jeden z jego przodków, może dziad, był wielkim przyjacielem ludu. Hr. Chreptowicz, o męskiej, marsowej postawie, był bardzo lubiany przez W. Księcia i miał na niego pewien wpływ. Marszałek dworu przytem miał swe stosunki wśród kół arystokratycznych i szlacheckich polskich, a jego przyjaźń z Aleksandrem hr. Przeździeckim i p. Franciszkiem Węgleńskim, członkiem niegdyś Komitetu Towarzystwa Rolniczego, a obecnie Dyrekcyi Białej, miała swe, jak zobaczymy, historyczne znaczenie. Wiele też rzeczy, wiele projektów, pomysłów i zamiarów przez usta Chreptowicza dostawało się do uszu W. Księcia.

Niemniej czynny pod tym względem był drugi Polak, blizki W. Księcia, Alf Wrześniewski, adjutant W. Ks. Konstantego i komendant kwatery Wielkoksiążęcej. Pełnił on już podobne obowiązki za rządów Lamberta i potrafił się nadal utrzymać. Syn doktora z Opatowa, synowiec profesora zakładającej się Szkoły Głównej, w zazyłych stosunkach przyjaźni będący niegdyś z general-gubernatorem Gerstenzweigiem, przystojny, wytworny, miły w obejściu, miał teraz obszerne koneksye wśród różnych sfer Warszawy, zwłaszcza wśród młodzieży, przed którą odgrywał rolę Wallenroda. Mówił dużo, kręcił się wszędzie, jeszcze więcej obiecywał. Wielki Książę lubił go dosyć — i ilekroć wyjeżdżał na ulice Warszawy, adjutant Wrześniewski zawsze za nim pędził w małym powoziku; stąd znany był całemu miastu. Trzecim nakoniec Polakiem na tym nowym dworze był Julian Tęgoborski, szef kancelaryi dyplomatycznej W. Księcia, syn sławnego finansisty i konsula rosyjskiego w Gdańsku, który podczas powstania Listopadowego przyczynił się bardzo wiele do ula-

twienia pochodzącego Paskiewicza na Warszawę, wychowany w Petersburgu; była to osobistość małego znaczenia i niewpływająca, zdaje się, w niczem na wypadki.

Takim był dwór Wielkiego Księcia, na którym liczba Polaków, wyższe zajmujących stanowiska, jak widzimy, była dość szczupłą. Margrabia Wielopolski później, w ciągu tego krótkiego półroczka, starał się wszelkimi siłami o zwiększenie tej liczby, o stworzenie prawdziwego dworu polskiego, o zachęcanie dam polskich, by przyjmowały urzędy dworskie—ale na próżno. Salony Belwederu, a następnie Zamku, puste były i smutne, bo pozbawione swej najpiękniejszej ozdoby—kobiet. Sama W. Księżna starała się ułatwić to ciężkie zadanie swemu małżonkowi przez zbliżanie się i uzyskanie dla siebie towarzystwa polskiego. W tym celu uciekała się do pomocy nawet ks. arcybiskupa Felińskiego, proponując mu, by ułatwił jej spotkanie z paniami polskimi na gruncie neutralnym, za jaki uważała różne zakłady miłosierne. Pomysł był dobry z tego względu, że każdy z tych zakładów posiadał jedną, a czasem kilka opiekunek, należących do najwyższych sfer arystokracji lub bogatego patrycyatu warszawskiego. Ks. Feliński z ochotą podjął się pośrednictwa w tej trudnej sprawie i zapytał się owych pań opiekunek, czy zechcą przyjmować osobiście W. Księżnę w razie, gdyby przyjechała zwiedzić ich pieczołowitości powierzone zakłady? Odpowiedziano mu prawie jednomyślnie, że chętnie, jeżeli nie będą zmuszone z tego powodu do zrzucenia żaloby narodowej. Otrzymaawszy taką odpowiedź, W. Księżna zwróciła się do męża z zapytaniem, jak ma sobie postąpić—na co ten odrzekł ze śmiechem, „że niema innej rady, tylko zaprowadzić trzeba „etykietę hiszpańską,“ która jedynie w czarnych sukniach pozwala prezentować się u dworu. Jakoż, gdy w jakiś czas potem arcybiskup Feliński, zaproszony do towarzyszenia W. Księżnie w tej pielgrzymce po zakładach dobroczynnych, przybył do Bel-

wederu, zastał Namiestnikową czarno ubraną, gotową do wyjazdu. Rozpoczęto, dla zamaskowania istotnego celu tych nawiedzin, od zakładów rządowych, jakimi były szpitale, później miano z kolei rzeczy zwiedzić instytucje prywatne. Wypadki jednak, pędzące z niesłychaną szybkością i ważnością swoją zaćmiewające i usuwające na drugi plan tego rodzaju drobną akcję, przerwały jej ciąg dalszy i rzecz cała skutku żadnego nie odniosła.

Gdy przypadły urodziny W. Księżnej, a urzędowy *Dziennik Powszechny*, donosząc o tem, zawiadomił, że gmachy rządowe będą oświetlone i dodawał, że „uilluminowanie swych mieszkań prywatnym osobom zostawia się do woli,“ jeszcze tak silne było oburzenie na nierozumny zamach, że cała Warszawa oświeciła swe okna, na wielki gniew Czerwieńców. Dowodziło to, że nie byli oni tak silni, ani tak wpływowi, że zręcznem postępowaniem, umiejętnem skorzystaniem z chwili, można było w tej dobie wziąć nad nimi górę. Widzieliśmy już, jak starszyzna narodowa nie umiała wyzyskać tego jedyne go momentu w dziejach, misyi W. Księcia, jak wszelkie usiłowania rozbiły się o prywatę i zawiść. W ów dzień urodzin W. Księżnej, gdy dla powinszowania jej zebrały się wszystkie władze, przyjmowała ona w Wielkiej sali Łazienkowskiej i przypuszczała wszystkich do ucałowania swej ręki. W kilka dni potem, dnia 13-go lipca, powiła syna, któremu dano imię Wacława. Dla dziecka tego wyszukano mamkę, prostą chłopkę z Księstwa Łowickiego.

Ale horyzont pokrywał się już posępniemi chmurami, z których tylko gromy padać miały i błyskawice piorunowe jaśnieć. Nikt nie spostrzegał tego jeszcze w tej chwili, choć wielu przeczuwało; nie spostrzegał i W. Książę, gdy dnia 18-go lipca, po uroczystem nabożeństwie w katedrze Świętojańskiej, zgromadzili się w Łazienkach przedstawiciele władz i Rada miejska warszawska, by powin-

szować Namiestnikowi szczęśliwego rozwiązania jego żony i narodzenia syna. W. Ks. Konstanty był bardzo rozpromieniony i bardzo uprzejmy, a do kłaniającej mu się nisko Rady miejskiej wyrzekł kilka słów dziękczynnych po polsku. Uczyl się bowiem teraz pilnie języka kraju, którym rządził. Ponieważ dotychczasowy nauczyciel, Krzywicki, został ministrem i nie miał czasu, więc wyszukał mu kogo innego, w osobie nauczyciela gimnazjum, Ignacego Boczyńskiego, który uczył męża i żonę. Wszędzie w kraju, w kirkach luterskich i synagogach żydowskich, odbywały się uroczyste nabożeństwa „za szczęśliwe rozwiązanie“ W. Księżnej i „powicie syna Wacława.“ a dziennik urzędowy skwapliwie notował te fakty. W. Książę udzielił amnestyc 19-tu kobietom, wygnanym za Lüdersa do różnych zapadłych miasteczek Królestwa, i pozwolił im powrócić do Warszawy; stu czternastu mężczyznom, skazanych na zesłanie do Rosji lub na więzienie w twierdzy, zupełnie uwolnić kazał od kary; siedmiu innym, między nimi ks. Wyszyńskiemu (zeslanemu do gub. Tobolskiej, pozwolono teraz zamieszkać bliżej, w mieście Orle), znacznie zmniejszono karę; przesłał na ręce margrabiego 20,000 złp., by za pośrednictwem Rady miejskiej rozdać je ubogim mieszkańcom Warszawy; nakoniec, na przedstawienie Krzywickiego, jako dyrektora Komisji oświecenia, że szkoły nie mają się gdzie mieścić, podarował tejże Komisji pałac Prymasowski, „dla zostawienia pamiątki troskliwości swojej o dobro uczącej się młodzieży.“ Wreszcie polecił, by, dla powiększenia Biblioteki głównej w Warszawie, sprowadzono z Petersburga z księgozbioru Cesarskiego publicznego 17,000 tomów dubletów.

Wśród tego wszystkiego robiono uroczyste przygotowania do chrztu nowonarodzonego, który już w kilka dni po przyjściu na świat, osobnym rozkazem Cesarskim, został mianowany szefem Muromskiego pułku piechoty i zaliczony do floty gwardyackiej i pułku kawalergardów

i lejbgwardyi ulanów Cesarskich. Sama ceremonia chrztu naznaczona została na dzień 8-my sierpnia, a na rodziców chrzestnych zaproszono Cesarza Aleksandra i królową holenderską. Ponieważ Cesarz nie mógł sam przyjechać, więc przysłał w zastępstwie swego młodszego syna. W. Ks. Aleksandra, który w dwadzieścia lat potem miał wstąpić na tron rosyjski pod imieniem Aleksandra III. Przyjechał on do Warszawy dnia 6-go sierpnia. Chrzest nowonarodzonego odbył się w cerkwi pałacowej w Łazienkach, a dla dodania więcej przepychu tej ceremonii, sprowadzono umyślnie z Petersburga oddziałek ulanów gwardyi, którzy pełnili straż honorową. Potem był obiad wspaniały w Belwederze, a Warszawa uilluminowała swe domy i ulice.

Gdy się te wypadki i uroczystości odbywały, napelniając miasto wrzawą i blaskiem wielkich tego świata, czas szedł swą koleją, a po kolei tej toczyły się przyśpieszonym pędem losy polskie. Ponieważ W. Książę w kilka dni po zamachu całkiem przyszedł do siebie i rana się zagoiła, zaczął więc znów pokazywać się na ulicach miasta; gdy jednak policja, w owych czasach nie wiele warta i źle kierowana, spłoszona nadzwyczajnie zamachem, nieustannie donosiła o gotujących się jakoby nowych zamachach, tworzyła najfantastyczniejsze powieści, więc Wielopolski wpadł na myśl dość niefortunną, ażeby W. Książę nie pokazywał się na ulicach bez straży wojskowej. Pomysł ten wykonano w sposób bardzo niezręczny i, co gorsza, rozgłoszono go naprzód przez *Dziennik Powszechny*, a potem i przez inne pisma. Opowiadał tedy *Dziennik* publiczności polskiej i europejskiej, że „niecny zamach na życie J. C. Wysokości, dostojnego Namiestnika w Królestwie, dał powód Naczelnikowi rządu cywilnego do wniosku, ażeby Rada administracyjna zaniósła do W. Księcia usilną swą prośbę, iżby On odtąd, wy-

jeżdżając publicznie, otoczony był eskortą." Ale jeżeli samo rozgłaszanie tego rodzaju prosby było niezręcznem i niepotrzebnem, gdyż W. Książę po zamachu mógł jeździć ze strażą i nikogoby to w Warszawie, przywykłej do tego, nie zdziwiło, to powody, którymi margrabia chciał przed publicznością swój krok usprawiedliwić, są wypowiedziane jeszcze niezręcznie i niesmacznie. Ten mąż stanu, przez tyle lat pędzący życie w ciszy wiejskiej i wśród dumań samotnych, nagle zaczął odgrywać rolę politykującego dworaka; przyszło mu do głowy, że należy rzecz tak przedstawić, jakoby publiczność polska czuła się obrażoną ową strażą, będącą wyraźną oznaką nieufności do Polaków, i z tego powodu tak pisze: „Pełne serdecznego uniesienia przyjęcie, jakiego doznał nasz Namiestnik od mieszkańców Warszawy, żalność i oburzenie, jakimi zamach na drogie dla nas życie jego przeniknął nasz naród, usuwać będą myśl wszelką i możność przypuszczenia, iżby zbrojne otoczenie W. Księcia pochodzić mogło z nieufności i wymierzone być miało przeciw Warszawie i Polsce. Pojmą, owszem, wszyscy, iż ten środek ostrożności, względem którego na pierwsze o nim wspomnienie J. C. Wysokość wstrętnym się okazał, przedsięwzięty jest przeciw garstce wichrzycieli, która w dniach kilku podwójną zbrodnią zasmuciła stolicę; że jest użytym na nasze nalegania dopóty, dopóki przewrotne spiski w zupełności wysłędzone i stanowczo ukrócone nie zostaną.”

Odtąd Wielki Książę ukazywał się na ulicach zawsze w otwartym powozie, otoczony gromadą Czerkiesów, którzy, pochyleni na swych małych konikach, pędzili po obu stronach. W pierwszej wycieczce swojej, jaką W. Książę Konstanty po zamachu zrobił dnia 28-go lipca po południu, odwiedził on w Brühlowskim pałacu margrabiego, gdzie zabawiwszy krótko, pojechał do dowódcy wojsk, konsystujących w Królestwie Polskiem, barona Ramsaya, stąd puścił się na ulicę Długą do archimandryty

Joannicyusza, i powracając już przez ulicę Miodową, wstąpił na chwilę do arcybiskupa Felińskiego.

Wielki Książę gorliwie się zajmował dalszym rozwojem i wprowadzeniem w wykonanie prawa o emancypacji żydów. Pozwolono więc im przez reskrypt Komisji spraw wewnętrznych należeć do zgromadzeń rzemieślniczych, czyli t. zw. cechów; mogli być teraz wybierani na starszych, mogli należeć do zgromadzeń kupieckich, do wyborców i wybranych; mogli zostawać sędziami trybunałów handlowych i radcami w Banku Polskim; mogli być aptekarzami i właścicielami aptek; mogli zamieszkiwać we wszystkich miastach bez wyjątku; jednym słowem. znoszono wszelkie szczególne ograniczenia i ustawy, dotyczące żydów. Niekiedy Wielopolski w tym względzie posuwał się za daleko. Chcemy tu mówić o specjalnych podatkach, nałożonych na żydów. Do ich rzędu należała w Warszawie opłata biletowa (Tagzettel), pobierana od żydów, przybywających na czasowy pobyt do stolicy kraju; podatek koszerne, opłata od wyszynku trunków po miastach i opłata od dzierżawy i zastawu dóbr ziemskich. Wszystkie te podatki, tak w rubryce dochodów Warszawy, jak wogóle w dochodach skarbu Królestwa, stanowiły cyfrę bardzo poważną i przed ich zniesieniem należało się dobrze zastanowić, czem je zastąpić, a nade wszystko, by uwalniając od nich żydów, nie obciążyć nowym podatkiem chrześcijan, co byłoby krzywdzącą niesprawiedliwością. Ale Wielopolski właśnie tak postąpił. Przez reskrypt Komisji spraw wewnętrznych podatek biletowy w Warszawie, a w całym kraju podatek koszerne, przynoszący przeszło trzy miliony złp., miał być od r. 1863 zniesiony na zawsze; chcąc zaś tak poważną szczerbę zapłacić, margrabia postanowił podnieść podatek od trunków gorących, czyli ciężar przeniósł z pleców żydowskich na chrześcijańskie. Sam on to doskonale rozumiał i odczuwał, gdy w tymże czasie rozmawiając z rabinem

Majzelsem rzekł doń, „że odtąd żydzi nie mają żadnego powodu mieszania się w pewne rzeczy.“

Prasa warszawska w tej chwili znalazła się w położeniu o wiele gorszem, niż przedtem. Przed przyjazdem W. Księcia do Warszawy rojono sobie największe nadzieje; byli tacy, którzy zapewniali, że dziennikarstwu dana będzie jak najzupełniejsza swoboda słowa. Jakkolwiek nie wszyscy temu, zresztą z pewną słuszością, wierzyli, przypuszczano jednak, że dziennikarstwo warszawskie korzystać będzie z tej swobody, jakiej już wtedy, w r. 1862, używała prasa rosyjska, której, pomimo cenzury, dozwolono zajmować się szeroko sprawami wewnętrznymi kraju i zewnętrznymi, o ile te na losy rzeczonoego kraju wpływać mogły. Nawet w takich warunkach prasa warszawska, na czele której stali ludzie wytrawni, doświadczeni, a nadewszystko przeciwni rewolucyjno-powstańczemu ruchowi (Kraszewski, Kenig, Kucz), byłaby rządowi krajowemu ogromne oddała usługi, stając się powoli prawdziwą strażnicą porządku i jego obronicielką. Nadewszystko, mając choćby nawet względną swobodę słowa, byłaby od razu odjęła cały urok prasie tajnej, a rządowi dawałaby sposobność poznania wszystkich prądów i pragnień, przebiegających społeczeństwo, popierania możliwych, walczenia z niemożliwymi do urzeczywistnienia.

Wielopolski jednak zupełnie tych rzeczy nie pojmował, powszechna pogłoska utrzymywała, że lękał się, by prasa nie zaczęła go szkalować. Dość, że zamknął jej usta silniej, niż to przedtem bywało. Wspomnieliśmy już, że kiedy po zamachu na W. Księcia Kraszewski chciał wystąpić w redagowanej przez siebie *Gazecie Polskiej* z artykułem, potępiającym zamach, to cenzura odezwę tę „z rozkazu wyższego“ wstrzymała. Wydawało się to wszystko tak niezrozumiałem ludziom najlepiej życzącym administracji kraju, nawet członkom tejże administracji, że jeden z nich, nowy dyrektor Komisji oświe-

cenia, Krzywicki, wystąpił w dniu 18-m lipca z projektem prawa prasowego. W motywach do tego prawa zaznacza on wyraźnie zdumienie swoje nad tem, że w Warszawie „pojawily się pisma pokątne, n. p. *Strażnica*, które (nie wchodząc już w ich zasady), pod względem obrobienia przedmiotu płytkie i słabe, a jednak w sferze nawet ludzi rozsądnych i umiarkowanych czytelników swoich znajdują,“ oraz „owo głębokie milczenie prasy krajowej wobec dwóch morderczych wystrzałów, które jednak każdy potępia. Milczenie. powiadam, bo jednego okrzyku boleści i zgrozy za zupełne wyczerpanie obowiązków dziennikarstwa przyjąć nie mogę. To mnie przekonało, jak głębokie są rany w społeczeństwie naszym. Prasa, kierująca opinią publiczną, mając pod cenzurą rządową ciągle usta zamknięte, stała się niemą i bezsilną wtedy, kiedy jej głosu najbardziej było potrzeba.“ „Aby milczące dotąd usta—pisze dalej—do przemówienia uzdolnić, do przemówienia w imię najdroższych dla społecznego porządku prawd i zasad, w imię cnót, przekazanych nam od ojców naszych, w imię najświętszych obowiązków, z których przed przyszlami pokoleniami wywiązać się mamy. a których spełnienie lub zaniedbanie na nas ich błogosławieństwo lub przekleństwo ściągnie, niemasz innego sposobu, jak wprowadzić do literatury naszej wszystko ożywiająca i uzacniająca zasadę odpowiedzialności. Cenzor powinien ustąpić miejsca sędziemu.“ Oparty na tych samych podstawach, zaproponował Krzywicki szereg ustaw dla prasy. Projekt ten nie wszedł nigdy w wykonanie, nie był nawet tam, gdzie należy, dyskutowany—nie ma więc w historii żadnego faktycznego znaczenia; dość będzie, gdy powiemy, że projektodawca uważał, iż „od systemu wyzwolenia rzeczą konieczną jest przeprowadzenie myśli i słowa przez okres czujnej i nieubłaganej dyktatury.“ Domagał się więc, by dzienniki składały 5,000 rub. kaucyi w Warszawie, a na prowincyi 3,000 rub.,

pisma zaś tygodniowe lub w dalszych odstępach czasu wychodzące w Warszawie—1,500 rubli, a na prowincyi 1,000 rubli. Każdy numer dziennika, najpóźniej na cztery godziny przed puszczeniem w obieg, złożony być winien z podpisem redaktora we właściwym urzędzie, pod zagrożeniem kar odpowiednich. W Komisyi oświecenia ma być ustanowiony wydział prasy pod osobistym kierunkiem Dyrektora głównego, który wszelkie przestępstwa prasowe sądzić będzie sposobem administracyjnym, ale obwinieni mogą się przed Komisją bronić osobiście lub przez umocowanych obrońców. Projekt obiecywał, że za cztery lata przestępstwa te będą oddawane zwykłym sądom cywilnym do osądzenia.

Projekt ten, jakkolwiek w zarysach swych bardzo skromny, nie znalazł, jakśmy rzekli, uznania Wielopolskiego i pozostał tylko projektem. Owszem, jeżeli wierzyć można pewnym doniesieniom, sprzeciwił on się także projektowi, jaki stronnictwo, wrogie powstaniu, złożyło do rąk W. Księcia, a mianowicie, ażeby gazety wychodziły przez trzy miesiące zupełnie bez cenzury, gdyż tym tylko sposobem będą one mogły oddziaływać na opinię i kraj. W. Książę z natury rzeczy przedstawił rzecz tę Wielopolskiemu, a ten odpowiedział, że na to zgodzić się nie może „pod żadnym pozorem“ i że „spróbuje się obejść bez tych panów.“ Nie dość na tem, margrabia przez szczególne zaślepienie, czy też rozgoryczenie przeciw dziennikarstwu warszawskiemu, do którego zawsze żywił urazę, a teraz gniewał się, że nie śpiewa na cześć jego dytyrambów, w tej porze jeszcze bardziej prasę skrepował i poddał zupełnej dowolności cenzorów i policyi. To też publicystyka warszawska po kilku próbach, uwięzionych, jak się spodziewać należało, niepowodzeniem, przestała zupełnie zajmować się teraz sprawami wewnętrznymi kraju i to w chwili, gdy właśnie dyskusja publiczna nad temi sprawami była nie tylko obowiązkiem obywatelskim,

ale konieczną potrzebą, warunkiem niemal powodzenia dla nowego rządu. Gdy jednak w społeczeństwie jakas dążność się objawi, to musi ona na zewnątrz znaleźć sobie ujście, podobna w tem do prądu wody, która, tamowana w jednym miejscu, w innem utoruje sobie zawsze drogę. Tak też stało się z prasą warszawką. Nie mogąc jawnie i bez obsłonek mówić o interesach, obchodzących cały ogół, tem gorliwiej rzuciła się na sprawy zagraniczne, by dawnym zwyczajem, jeszcze za Muchanowa praktykowanym, pod ich osłoną wypowiadać swe zdania, zarzuty i wyjaśnienia. Ale Wielopolski był zanadto rozumny i zanadto przenikliwym człowiekiem, by z nim taka taktyka długo udawać się mogła. Postanowił więc temu zapobiedz i całkowicie prasie warszawskiej zabronić pomieszczania artykułów wstępnych, co już było niczem nieusprawiedliwionym i najgorszego rodzaju uciskiem, a w tydzień potem dał rozporządzenie, aby pod każdym artykulem politycznym były podpisywane trzy dzienniki, mianowicie: *Times*, *Indépendance Belge* i *Schlesische Zeitung*, bez względu na to, czy źródłem wiadomości politycznej był jeden z tych dzienników lub nie. Ten ostatni środek miał na celu wykazywanie, że dzienniki, wychodzące w Warszawie, są żywym przedrukiem pism zagranicznych.

O swoim postąpieniu z zakazem artykułów wstępnych margrabia ogłosił w *Dzienniku Powszechnym* w dniu 12-m września; jakkolwiek zakaz sam cenzura znacznie wcześniej wykonywała. W ogłoszeniu tem margrabia z otwartością, godną zaiste lepszej sprawy, powiada, że „przed niedawnym czasem dzienniki warszawskie usilnie i głośno domagały się pozwolenia pisania o sprawach wewnętrznych kraju, jego administracyi, potrzebach i t. p. i utrzymywały, iż czytelników wcale nie zadowalają chociażby obszerne rozprawy polityczne, skoro pole najżywniejszych prac, około dobra własnego kraju przedsięwziętych, jest dla nich zamknięte.“ Zaznaczywszy to żądanie,

z hipokryzyą, zaprawioną szyderstwem i urąganiem, twierdzi, że dla zadośćuczynienia tym żądaniom, a „nawet dla dania potrzebnej ku temu inicjatywy,” założony został *Dziennik Powszechny*, w którym zaczęto ogłaszać artykuły i rozprawy o przedmiotach i najważniejszych kwestiach, wewnętrznego zarządu kraju dotyczących. Jakoż dzienniki prywatne z radością wówczas powitały tę zmianę i zaraz w znacznej części weszły na drogę użytecznego spraw krajowych rozbioru. Wszakże niedługo zabrakło im wytrwałości, i czy to z przyczyny nacisku łękliwej i obalamuconej opinii, czyli też z niedostatku potrzebnych do tego studyów, wkrótce opuściły tak pożądane dla nich przedtem pole i znów wróciły się do artykułów i rozpraw o polityce zagranicznej, które w ostatnich czasach przybrały jeszcze charakter dla stosunków w Królestwie pod wielu względami drażliwszy. Gdy nadto ludzie niechętni taki kierunek prasy przypisywali ścieśnieniu swobody pod względem możności rozbioru kwestyi wewnętrznych, co przymuszać miało redakcyę do przerwania się na obszary polityki zagranicznej, władza przeto rządowa, do której to należało, widząc, iż samo zachęcanie przykładem nie przynosi skutków, poleciła cenzurze, aby „zostawiając zawsze swobodę rozbioru przedmiotów wewnętrznych, zarządu kraju dotyczących, i nie wyłączając od tego rozpraw z dziennikami zagranicznymi o stosunkach tutejszych, wzbronila, aż do dalszego rozporządzenia, artykułów bądź wstępnych, bądź innych rozumowanych o polityce zagranicznej, co wszakże nie ma tamować dziennikom możności ogłaszania wiadomości o wypadkach w obcych krajach, z powołaniem źródeł tychże doniesień.”

Tak kłamiąc i wiedząc, że nikt mu tego kłamstwa wytknąć nie może, w dodatku rzucił prasie warszawskiej obelgę, mszcząc się za wszystko, co kiedykolwiek doznał od niej przykrego. „Czy środek ten zdola wyprowadzić dzienniki warszawskie z błędnego kola?—pyta—czy zechcą

one pojąć i przyjąć za zasadę postępowania, że najświeższe sprawy zagraniczne gasną wobec potrzeb i zadań ojczystych, to przyszłość pokaże. W każdym jednak razie do dalszego powstrzymania się w tej mierze naszej prasy przeszkody cenzuralne nie mogą służyć za wymówkę jej kierownikom, zwłaszcza, gdy im po temu na zdolnościach dziennikarskich nie zbywa.”

Takie fałszowanie faktów, właściwe tylko rządowi złym i arbitralnym, to nieszlachetne wyzwanie przez zbrojnego w swobodę ruchów organu urzędowego, rzuczone skrepowanym jego kolegom, ta jakoby wolność rozbierania spraw wewnętrznych, okazała się od razu złudną i kłamliwą. Kraszewski w *Gazecie Polskiej*, która—dodajmy nawiasem—pierwsza musiała przedrukować z nakazu cenzury cytowany powyżej artykuł, postanowił jeszcze raz zrobić próbę i zająć się „ojczystymi sprawami, potrzebami i dążnościami,” a przede wszystkim przyobiecaną swobodą krytyki enuncyacji organu rządowego. Przygotował więc artykuł p. t. „Dziennik Powszechny w stosunku do innych gazet,” ale cenzura go nie przepuściła; w nagłówku tylko gazety, w spisie przedmiotów, zawartych w tekście, został ten tytuł na dowód, jak dalece władza przeciwna jest wszelkiej krytyce spraw urzędowych. Prawodawca, jak się chętnie Wielopolski w urzędowych i półurzędowych publikacjach mianował, zapomniał o najprostszym prawie natury ludzkiej, że nawet w życiu prywatnem ten, który jest skrepowany w swem zdaniu, zaufania w nikim wzbudzić nie może. Margrabia, poza osobistą zemstą na prasie warszawskiej za dawne urazy, chciał ją zmusić do wyjścia z bierności i podjęcia walki w jego obronie, do uznawania i wychwalania jego teoryi i jego czynów. Następstwem tego było to, że nawet wtedy dzienniki warszawskie milczały, gdy postępowanie Wielopolskiego uznawały za dobre i zbawienne dla kraju. Tym więc sposobem margrabia przez swe zachowanie

wanie arbitralne i drażniące, przez zakazy, gwałcające najprostsze zasady sprawiedliwości i przyponinające najgorsze czasy, przez dodawanie do tych zakazów gryzącej ironii, przez nieszlachetne deptanie skrepowanej prasy warszawskiej, stworzył z niej sobie najzaciętszego wroga, kiedy mógł mieć przyjaciela—i to mu historia na szali win jego policzyć musi.

Ale już wtedy postępowanie to, złe i nietaktowne, na nim się pomściło, niesło na sobie szyllerowskie „przekleństwo złego czynu.” Czuł on to dobrze, że *Dziennik Powszechny*, jako organ urzędowy, nie może podnosić mnóstwa kwestyi i spraw, przemawiać tak, jak przemawiają dzienniki niezależne. To też w potrzebie z razu uciekał się do pomocy *Dziennika Poznańskiego*, do którego przez jakiś czas pisywał korespondencye z Warszawy, pod natchnieniem Wielopolskiego, Miniszewski; gdy jednak korespondencye te, wskutek swego zbyt rządowego tonu i surowego potępienia partyi ruchu, poczęły w czytelnikach niesmak budzić, *Dziennik Poznański* się cofnął i korespondencyi takich więcej drukować nie chciał. Wówczas margrabia zwrócił się do prasy obcej, zwłaszcza do *Gazety Śląskiej (Schlesische Zeitung)*, dość czytanej we wszystkich trzech częściach dawnej Polski. Artykuł, jaki gazeta rzeczona pomieściła wkrótce po zamachu na Wielkiego Księcia Konstantego, a który skwapliwie przedrukował *Dziennik Powszechny* i cenzura wszystkim innym pismom powtórzyć kazała, zdaje się, skreślony został pod natchnieniem margrabiego, a choć był bardzo rozumny i bardzo zbawienne rady dawał Polakom, jednak przez to samo, że został przetłómaczony w organie urzędowym, tracił on swoją doniosłość i cały wpływ, jaki w innych warunkach mógł być wywrzeć.

Takie było położenie jednego z najpotężniejszych naszych narzędzi społecznych, jakim jest prasa i wogóle słowo drukowane. Że Wielopolski popelił tu wielkie

błędy i że błędy te pomściły się straszliwie na nim, co mniejsza, ale także i na kraju, co mu nigdy darowanem być nie może,—każdy to przyzna.

Poza tem jednak, w innych sferach działalności swojej okazywał on wielką czynność i niemniejszy rozum. Zaprowadzając zmiany w składzie osobistym administracyi krajowej (z przeszło 15,000 urzędników, nieprzychylnych nowemu kierunkowi, pozostawił na służbie zaledwie 150), rzucił więc tym sposobem poploch na całe setki różnych karyerowiczów, ale zarazem wywołał wśród sfer urzędniczych, sfer bardzo licznych i wpływowych, pewien niepokój, łatwo wytłómaczony, a nieprzyjaciół sobie mnożył nieustannie. Niemniejsze i w Warszawie samej zachodziły zmiany, a zawsze z inicjatywy margrabiego dokonywane. Upadła więc przedewszystkiem policyjno-administracyjna władza generał-gubernatora, urząd, który, jak się wyraził ukaz (z dnia 15-go lipca), „stał się nieużytecznym od czasu nowego urządzenia wyższej administracyi w Królestwie Polskiem.” Usunięto ze stanowiska oberpolicmajstra generała Piłsudzkiego, a na jego miejsce mianowano byłego oficera pułku Litewskiego gwardyi i byłego adjutanta Lüdersa, kapitana Sergiusza Muchanowa, który był człowiekiem miękkim i nienadającym się do ówczesnych okoliczności. Przyjmując urząd oberpolicmajstra, zastrzegł sobie, że z policyą tajną nic nie będzie miał do czynienia. Szef żandarmów, niedopuszczony przez Wielopolskiego do Rady administracyjnej, wyszedł z pod kontroli margrabiego. Szef ten składał raporty wyłącznie W. Ks. Konstantemu i Wielopolski treści ich nie znał i stąd o wielu rzeczach nie wiedział. Naczelnik policyi tajnej, margrabia Paulucci, liberał, Włoch z rasy i pochodzenia, wielbiciel Garibaldiego i rewolucyi czerwonej, patrzył przez palce na to wszystko, co się w Warszawie działo, wreszcie widząc, na co się zanoszą, przewidując blizką burzę, której szczegóły znał i przekonany był, że niczem

zażegnać się nie da, począł udawać chorego i nakoniec w czerwcu 1862 r. wziął urlop do wód za granicę na cztery miesiące i wyjechał z Warszawy. Na miejsce to mianowano jego pomocnika A. Podwysockiego, autora pamiętników o wypadkach warszawskich w 1861—2 r. (*Zapiski очевидца о событиях в Warszawie в 1861 и 1862 годах*). Był on bardzo gorliwy, ale nieudolny i nie długo pełnił te obowiązki.

Wśród tych wszystkich zmian, które przyjmowane były w większej części przez ogół z aprobatą, zaszła jeszcze jedna, która silnie wywarła wrażenie i stała się źródłem tysiąca plotek, uwłaczających margrabiemu. Zmianę tę stanowiło uwolnienie, zawsze „dla dobra służby,” mianowanego w lutym tegoż roku prezydentem Warszawy, Kazimierza Woydy, zamożnego obywatela warszawskiego i uchodzącego za osobistość bardzo lojalną, stąd przez pewne warstwy nielubianego. Bezpośrednim powodem, a raczej pozorem, dla którego tak sromotnie wypędzono z prezydentury Woydę, była okoliczność następująca: Nowoutworzona Rada miejska warszawska, w skład której wchodziło wielu członków zeszłorocznej Delegacji obywatelskiej (Matyas Rosen, doktor Tytus Chalubiński, August Trzetrzewiński, Leopold Kronenberg i t. d.), jak gdyby przez dawną tradycję, kiedy to gorliwie pracowano nad uwolnieniem więzionych za przestępstwa polityczne, zajmowała się teraz bardzo skrętnie sprawą więźniów, siedzących w areszcie przy ratuszu miejskim. Okazało się, że w areszcie tym dzieją się nadużycia, krzyczące o pomoc do Boga. Rada przekonała się z akt urzędowych i papierów, że od dnia 1-go stycznia do 20-go lipca 1862 r. w areszcie tym więziono od jednego dnia do czterech miesięcy przerażająco ogromną liczbę osób, bo aż 14,833, czyli prawie jedną dziesiątą część ówczesnej ludności całej Warszawy; stwierdzono, że pewna kobieta z chorem dzieckiem czteroletnim siedziała za to, że nie miała za-

dnych dowodów legitymacyjnych, z 34 innymi kobietami, przeważnie nierządnicami, w celi ciasnej i brudnej, podczas gdy sąsiednie izby więzienne były zupełnie próżne. Przekonano się, że pewnego dnia w izbie, mającej niepełną 400 stóp kwadratowych przestrzeni, trzymano wśród zaduchu, dochodzącego do 30 stopni gorąca, około trzydziestu osób, schwytanych na ulicy bez latarek. Tym nadużyciom, temu zdeptaniu przepisów higienicznych, odpowiadały i inne warunki. Żywność, ubranie, bielizna więźniów, jak równie i inne potrzeby, znajdowały się w stanie okropnym. Stwierdziwszy to, Rada miejska wystąpiła ze skargą do władzy miejskiej i zażądała koniecznej reformy w tym względzie i zapobieżenia nadużyciom, przyczem rozpisala się o powodach uwięzienia i czasie, jaki aresztowani w więzieniu przepędzili, a rozpisala się w tonie dość drażniącym i przypominającym z wielu względów zeszłoroczne protokoły Delegacji miejskiej. Raport ten Kazimierz Woyda, jako prezydent miasta i prezydujący z urzędu w Radzie, podpisał, zapewne nie bardzo chętnie, przeczuwając niejako, że za wszystko on, nie kto inny, odpowiadać będzie. Że Rada miejska, wdając się w rozmaite wnioski i uwagi, przekroczyła swą atrybucję, to dla każdego było widocznem; jednakże rząd rozuanny, z uwagi, że instytucja ta była jeszcze zbyt młodą i niedoświadczoną, by niekiedy nie miała przekroczyć zakreslonych jej granic, z uwagi nakoniec na czasy pełne niezdrowych miazmatów zbliżającej się burzy, miazmatów rozdrażniających każdego i wszystkich, byłby dał Radzie admonicyę, w zakreslone przez ustawę ramy napowrót ją wtłoczył i na tem skończył kwestyę przekroczenia tych ustaw.

Tymczasem inaczej się stało. Wielopolskiego może rozgniewało to, że wiadomość o stanie więzienia ratuszowego i cyfrze więzionych ukazała się w *Czasie* krakowskim, robiąc niemałą sensacyę. Widocznie któryś

z radców dopuścił się tej zdrady tajemnicy urzędowej. A przytem, ponieważ margrabia miał już od dawna ułożony plan, ażeby prezydentem został syn jego, Zygmunt, więc uchwycił się gorąco nadarzającej się sposobności, i nie wyjaśniając powodów na razie, z wielką ostentacją i krzyczącą niesprawiedliwością, dał Woydzie dymisyę „dla dobra służby.“ Z drugiej strony, nadużycia, wytknięte przez Radę miejską, były zbyt krzyczącemi, by je pominać można było milczeniem. Cichaczem więc inspektora aresztu, który tu zresztą był winowajcą głównym, usunęto, a gdy wśród publiczności poczęły obiegać różne pogłoski o powodach dymisyi Woydy, skorzystano z tego, by ogłosić, że za nadużycia w więzieniu został uwolniony—co, jak wiemy, nie było prawdą. Opublikowano mianowicie, że jeszcze przed przybyciem do Warszawy Wielkiego Księcia Namiestnika dochodziły Jego Cesarską Wysokość wiadomości o niezadowolającym stanie więzień, a szczególnie aresztu policyjnego w Warszawie. Aby złemu nadal zaradzić i środki poprawienia jego obmyślić, władza wyznaczyła oddzielny komitet dla dokładniejszego zbadania środków, dążących do natychmiastowego polepszenia urządzeń, jak lokalów więziennych w ogłości, tak przedewszystkiem aresztu policyjnego.

Ale nie tylko o nepotyzm margrabiego posądzano. Nie było takiego czynu, takiego kroku, by nieprzyjazna mu, rozdrażniona do najwyższego stopnia partya nie widziała z czarnej strony i nie osądzała za prostą zdradę kraju. Obrzucano go wszelkiego rodzaju insynuacyami i obelgami. Zamieszkał on, jako Naczelnik rządu cywilnego, w pałacu Brühlowskim, gdzie zdawały się słaniać jeszcze cienie margrabiów i margrabin, diuków i komtow XVIII wieku, gdzie drżała niejako w atmosferze zwierzała woń starego pudru. Wielopolski na swój gabinet wybrał ten sam pokój od ogrodu, w którym rozegrała się przed kilku miesiącami tragiczna i krwawa scena... Dla

przyozdobienia nieco nagich ścian pałacu, jego wielkich, pustych schodów, kazał, zapewne nie bez zawiadomienia kogo należy, znieść najpiękniejsze kwiaty i rośliny z oranżeryi Łazienkowskiej; fakt ten wyzyskano w ten sposób, że posądzano margrabiego o przywłaszczenie sobie, o nieposzanowanie cudzej własności. Podobnie kazał poznać najpiękniejsze posagi z gabinetu odlewów, co także bystre oczy śledzących każdy krok margrabiego dostrzegły i infamią obrzuciły,—co nie było słusznem, boć należało ozdobić mieszkanie najwyższego dostojnika kraju, mieszkanie nieco zaniedbane i z umeblowaniem, wskutek długiego użycia przez różnych generał-gubernatorów, mocno podniszczonem.

Z razu, oprócz syna Zygmunta, nie miał nikogo przy sobie w tym pustym i ogromnym pałacu, oddany ciężkiej pracy. W końcu lipca jednak zjechała z Krakowa pani margrabina, siostra zmarłego niedawno Tomasza Potockiego, niegdyś bardzo piękna, teraz jeszcze, mimo wieku, zachowująca wybitne ślady tej piękności, wdzięk niewymuszony i powagę wielkiej damy polskiej. Z jej przybyciem ożywił się nieco pusty i posępny pałac Brühlowski. Można było rozpocząć przyjęcia towarzyskie, co było koniecznem,—zbliżyć się nieco do towarzystwa warszawskiego, które stało jakoś na uboczu i z niezadowolaniem przed siebie spoglądało. Margrabia nigdy wielkich stosunków nie miał; jednych odstręczała jego duma, z innymi on sam żyć nie chciał. Na wsi, w Chrobrzu, komunikował się z p. Pawłem Popielem z Kurozwęk, Tomaszem Potockim z Chrzastowa, p. Ostrowskim z Maluszyna, z p. Oraczewskim z Morawicy (który miał jego siostrę rodzoną za żonę) i bodaj czy z kim więcej jeszcze. Sam był wśród swoich mało towarzyskim, choć w Petersburgu między obcymi okazał wiele przymiotów światowych. W domu był zawsze milczący i chmurny. Wszystko to nie mogło ułatwić zawiązania nici towarzy-

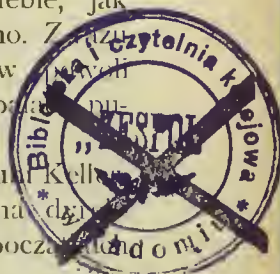
skiej między pałacem Brühlowskim a wielkim światem szlacheckim i mieszczańskim Warszawy, że już pominiemy względy polityczne, z którymi świat ten liczyć się chciał i liczył się w rzeczy samej.

Przyjmowano dwa razy tygodniowo: w poniedziałki wieczorem i we czwartki na obiady wystawne, na które zresztą bardzo szczupłe grono wybranych było zapraszane. W poniedziałki zaś w pysznie oświeconych salonach zbierał się świat urzędniczy, oczywiście zależny od margrabiego, który chciał tego, by dygnitarze urzędowi wszelkiego rodzaju bywali u niego. Pokora tych sfer w salonach margrabskich, gięcie się karków i grzbietów przed potężnym Naczelnikiem rządu cywilnego, budziła w jednych śmiech i szyderstwo, w drugich smutek, że natura ludzka jest tak słabą i tak nędzną. Wice-gospodarzem był syn Zygmunt, prezydent miasta; szydził on nieraz dość głośno z pochylonych postaci dworaków.

Widywano tam dość często arcybiskupa Felińskiego, przeważnie w towarzystwie ks. Domagalskiego, których margrabina, nabożna z natury i stanowiska, bardzo rada zawsze przyjmowała, i sadzając koło siebie, żywą i umiejętnie prowadzoną rozmowę zajmowała. Kobiet wogóle niewiele bywało, gdyż w żałobnych sukniach pokazywać się nie wypadało, a w jaskrawych nie chciały, więc, jak mogły, unikały tych wizyt. To też dość nudno było na poniedziałkowych margrabskich wieczorach. Wszyscy patrzyli na siebie jakby z ironią i cały charakter zebrania był sztywny, zimny i urzędowy. Sam margrabia pokazywał się dość późno, zostawiając żonie przyjmowanie gości. Niekiedy z zasepioną i chmurną twarzą przechadzał się powoli, rzucając słówka o ludziach i rzeczach, zwykle bardzo zjadliwe, które nazajutrz całe miasto powtarzało, które też zresztą w tym tylko celu były wygłaszane. Ręki prawie nikomu nie podawał; czasem umyślnie dobywał chustkę od nosa, aby witających oszukać i skwapliwie

wysuniętą dłoń zostawić w powietrzu. Każde jego słowo na tych wieczorach, nieskończenie nudnych i przykrych, było obliczone, każdy gest obrachowany, każde zbliżenie się do kogoś miało znaczenie. Gdy się też pojawił, wszystkie oczy były nań zwrócone, wszystkie uszy z wyteżeniem słuchały, co z ust jego padnie. Niekiedy zatrzymywał się na środku salonu i tworzył dokola siebie, jak monarcha *cercle*, ale o polityce nigdy nie mówiono. Z czasem dość wielka ciżba poniedziałkowych wieczorów poczęła się zmniejszać i salony Brühlowskiego pustoszały straszliwie...

Nie mogła ich ożywić nawet księżycowa pałacowa zwana „aliantką polityczną“ Wielopolskiego, żona dyktatora Komisji spraw wewnętrznych, która w początkach sierpnia przybyła z Berlina do Warszawy i oczywiście zaraz się znalazła w salonach margrabiego na przyjęciu poniedziałkowym. Olsniewając swymi wdziękami, swą postawą, królować poczęła w tych salonach, pozbawionych najpiękniejszej ich ozdoby, bo kobiet. Zachęcała gorliwie, starała się o to nawet, by na poniedziałki schodzono się do pałacu Brühlowskiego, z margrabią długie odbywała rozmowy i wieść niosła już w parę tygodni po jej przybyciu, że pisze broszurę polityczną. Jakoż napisała ją w kilka miesięcy później, po francusku, o Polakach, W. Ks. Konstantym i Wielopolskim; ale jeżeli oczekiwania były wielkie, zawód był jeszcze większy. Broszura ta zdumiewała wszystkich płytkością sądów i brakiem stylu, oraz prawdziwie kobiecą gadatliwością, o niczem. Teraz atoli nie wiedziano jeszcze, co będzie zawierała ta broszura, i ciekawie przypatrywano się tej jasnowłosej, nowej postaci na horyzoncie warszawskim i zwano ją Egeryą nowego Numy Pompiliusza, zwłaszcza, że wiedziano, iż ten polski Pompiliusz chętnie u swej Egeryi spędzał wieczory. W tej jej zapobiegliwości, w tem gorliwym staraniu się o powodzenie kombinacji politycznej Wielopolskiego, nie



należy upatrywać pobudek wyższych lub jakiejs szczególnej miłości dla Polski. Pani Keller, jako kobieta niezaprzeczenie mądra, tą mieszczańską mądrością mierności, po przybyciu do Warszawy i rozpatrzeniu się w położeniu, przysłała do przekonania, że mąż jej, wcześniej czy później, ale niezawodnie usunięty zostanie z dyrektorstwa. Chcąc więc temu zapobiedz, a zdawało jej się po kobiecemu, że zyskując sobie margrabiego, zdoła to zrobić, udawała nadzwyczajną zwolenniczkę nowego rządu. Ale była to zwolenniczka dla posady i blasku do niej przywiązanego. W tym też celu niekiedy nowożytna Egerya przyprowadzała na salony margrabskie swego męża, hr. Edwarda Kellera, rudego, brzydkiego i nic niemówiącego, zostawiając to zapewne żonie, która w istocie mówiła bardzo wiele i wcale nieźle. Wszyscy z nadzwyczajną ciekawością przypatrywali się tej osobliwszej parze, która nie wiadomo skąd się wzięła, by zająć w Warszawie najważniejsze i najwpływowwsze ministerium. Plotki o pani Keller stały się powszechnymi, zwłaszcza, że w Komisji spraw wewnętrznych spostrzeżono się zaraz, że nowy jej dyrektor odznacza się tak niepokalaną ignoracją i ciasnотą umysłu, iż Wielopolski uznał za stosowne jeszcze raz go zarekomendować krajowi i wytłumaczyć, co on zaczął i skąd się wziął w Warszawie. Tym razem posłużył margrabiemu artykuł, pomieszczony w *Indépendance Belge*, rodzaj korespondencji dziennikarskiej, skreślony zapewne pod natchnieniem samej nimfy Egeryi i skwapliwie przedrukowany przez *Dziennik Powszechny*. Nieznany więc korespondent zapewniał, że hr. Edward Keller pochodzi ze starożytnej rodziny, w której wielu członków, „pozostałych w Prusiech, zajmuje tam wysokie stanowiska;“ że „on sam już dawno jest w służbie rządowej i przez dwadzieścia lat pracowicie przechodził wszystkie szczeble tego długiego zawodu, rozpoczynającego się od najskromniejszych stanowisk, a dochodzącego do wyższych urzędów.“

„Zaznaczywszy, że służył w ministerium oświecenia, skarbu, spraw wewnętrznych, zapewnia, że „obznajmił się ze szczegółowym mechanizmem administracyi i życie jego było długiem i pożytecznem przygotowaniem się do wzniosłego (sic) a trudnego obecnego jego stanowiska.“ Korespondent zaręczał, że hr. Keller „nie przez względy lub protekcję otrzymał od wysokiej łaskawości Cesarzowskiej tekę spraw wewnętrznych w Warszawie,“ ale że „jest to człowiek wypróbowany przez doświadczenie, prace i bieg interesów.“ Kiedy bowiem w czasie wojny wschodniej został wice-gubernatorem wołyńskim, to „pełniąc przez długi czas obowiązki nieobecnego gubernatora, rozwinął zręczność, baczność i stanowczość, które zwróciły uwagę zwierzchników“ W r. 1858 został gubernatorem mińskim. „Tam także—pisze korespondent—wypadki, na nieszczęście zbyt znane, tworząc przy sprawowaniu jego obowiązków znaczne trudności, jeszcze bardziej wystawiły na jaw jego przymioty liberalnego i nieugiętego administratora, oraz prawdziwie pańskie obejście się. Pośród bolesnych uniesień, które musiał powstrzymywać, nigdy nie zabrakło mu ani umiarkowania, ani energii, a szlachta gub. Mińskiej, która kilkakrotnie dziękowała mu publicznie, przez oświadczenie żalu z powodu jego oddalenia się dowiodła, jaką wartość przywiązywała do jego i prawej, wiernej administracyi. Zresztą jeden fakt więcej powiada, niż wszystkie pochwały. Ze wszystkich gubernii litewskich tylko jedna Mińska obeszła się bez ogłoszenia jej w stanie wojennym.“ „Taki jest nowy dyrektor Komisji spraw wewnętrznych—kończy korespondent swój niezręczny i niesmaczny panegiryk.—Byłoby, zdaje się, zbytecznem dodawać, iż podziela on zupełnie pojęcia, sposób zapatrywania i zamiary margrabiego Wielopolskiego, którego usiłowania, pod wysokim kierunkiem oświeconego i liberalnego Księcia, mają Królestwo Polskie na drodze postępu posuwać.“

Artykuł ten przez swoją formę nieudolną, ton przesadny i śmieszny, nie wywarł tego skutku, jakiego się po nim margrabia i jego nimfa Egerya spodziewała.

Ci, którzy mieli sposobność poznać Kellera, urzędnicy jego dykasteryi, z właściwością dzieci i podwładnych, umiających odgadnąć wady swego zwierzchnika, śmieli się z zapewnień *Dziennika*, że Keller ma „pańskie obejście,” mając przed sobą Niemca brzydkiego, niezgrabnego, o ruchach i wzięciu się prostackiem. Twierdzenie o jego rozumie, biegłości, doświadczeniu, wręcz sprzeciwiało się temu, na co patrzyli. Widzieli przed sobą człowieka, niemającego o niczem pojęcia, milczącego uparcie, a jeżeli się czasem odezwał, to zdradzał zdumiewającą nieświadomość w najprostszych rzeczach. Sam Wielopolski miał się dość prędko przekonać, że był to człowiek do niczego, że jeżeli nie przeszkadzał, to dlatego, że miał za mało rozumu, ale i w niczem przy reorganizacji kraju nie dopomógł.

Wśród takich to warunków i takiego otoczenia Wielopolski zabierał się do ciężkiego zadania zreformowania kraju. Pracował krwawo; od godziny 5-ej rano na nogach, ze swym sekretarzem Vidalem przeglądał papiery, czytał, snuł nieskończoną ilość projektów odrodzenia ojczyzny. Cały dzień był zajęty, to w Komisjach rządowych, to w Radzie administracyjnej, to z Wielkim Księciem; chwili prawie spoczynku nie miał. Rano zwykle przyjmował i udzielał audyencji interesantom.

Idealem jego politycznym było Królestwo z przed 1831 r., a w tym względzie tak daleko zachodził, że nawet takie drobne rzeczy, jak przywrócenie dawnego podziału Królestwa na ośm województw, a jak teraz gubernii, uważał za konieczne i niezbędne. Ogłosił nawet o tem w *Dzienniku Powszechnym*, że taki wniosek Rady stanu przedstawiony został Cesarzowi i że ten „rozważyć kazał, czy i jak dalece przywrócenie trzech nieistniejących rządów gubernialnych: podlaskiego, kaliskiego

i kieleckiego, odpowiadać może widokom lepszej administracji i korzyściom skarbu.“ Nigdy jednak do tego nie przyszło i zdaje się, że w Petersburgu na seryo wcale nie myślano o przywróceniu dawnego podziału.

Niemniej nie wszedł w wykonanie projekt Sądu głównego, który margrabia jeszcze w zeszłym roku był przygotował. W projekcie tym szło mu naprzód o usunięcie przestępstw stanu z pod wyrokowania sądów wojennych, a następnie, by przywracając większość form państwowych z przed 1831 roku, i tę także, jedną z najważniejszych, przywrócić. O ten sąd od początku swego wstąpienia do rządu nie przestawał się upominać i przy każdej sposobności kwestyę tę znów podnosił. Rząd, różni generałowie i naczelnicy wojenni byli jak najmocniej temu przeciwni, a na nieszczęście, postępowanie sądów krajowych, uwalniających wszelkich przestępców politycznych, których oddawano im do osądzenia, opozycyę tę usprawiedliwiała. Wypadków takich było kilka, tak, że rząd do pewnego stopnia mógł słusznie twierdzić, że z wyjęciem przestępstw stanu z pod jurysdykcji sądów wojennych przestępstwa te wcale karane nie będą. W tym względzie dawaliśmy sami, jak to zresztą prawie zawsze bywało, broń na siebie. Mimo to, Wielopolski nie ustawał w swych zabiegach. Teraz właśnie zaczęto się znów zastanawiać nad kwestyą Sądu głównego i wzięto pod obrady projekt margrabiego, oraz dwa projekty, które wygotowała od siebie Komisya sprawiedliwości. Ponieważ jednak rząd był stanowczo przeciwny zaprowadzeniu tego rodzaju instytucyi, przytem rozwijające się wypadki wy magały sprężystej działalności sądowej, rzecz więc odłożona została. Wszelako Wielopolski, widząc już wtedy, że tą drogą rzecz ta nie przyjdzie do skutku, postanowił użyć innej, okólnej co prawda, ale, bądź-co-bądź, prowadzącej do celu. Ponieważ na mocy ukazu z dnia 23-go kwietnia 1833 r. namiestnik w Królestwie miał prawo de-

cydować, jakie mianowicie sprawy i czyny karygodne, a charakter przestępstw mające, podlegają rozpoznaniu sądów wojennych.—miał więc nadzieję, że wyjedna u W. Księcia Konstantego odsyłanie spraw tego rodzaju do zwyczajnych sądów karnych. W tej myśli, dla przygotowania sądów krajowych do spełnienia swej powinności, polecił Komisji sprawiedliwości, aby wydała okólnik odpowiedni. Okólnik taki zreferował sędzia do szczególnych poruczeń przy Dyrektorze głównym Komisji sprawiedliwości, Kamionowski, urzędnik bardzo zdolny, ale nie-lubiany, a Komisya rozesała go wszystkim sądom. Okólnik ten wzywał i nazywał to „rzeczą najwyższej wagi, aby sądy karne w Królestwie, przy dochodzeniu i decydowaniu spraw tego rodzaju, przejęły się wysokiem posłannictwem utrzymywania powagi praw porządku społecznego i poszanowania dla władzy, aby ani na chwilę nie zapominały, że od ich energicznego a prawnego działania zawisła jest pomyślność przyszłość kraju, oraz spokojność i bezpieczeństwo wszystkich jego mieszkańców. Odwaga cywilna, ta najpiękniejsza oznaka publicznego urzędnika, godnie pojmującego swoje obowiązki, obok sumiennego i trafnego stosowania przepisów karnych do czynów, pod zawyrokovanie przychodzących, jedynie zdolne są zapewnić sądownictwu krajowemu to znaczenie i poszanowanie, o zyskanie których złączonemi siłami wszystkich swych członków starać się przedewszystkiem powinno.“ Okólnik ten, jak wszystkie w tym kierunku przez Wielopolskiego czynione usiłowania, pozostał rzeczą martwą. Wybuchłe wkrótce potem zbrojne powstanie oddało całą nieomal władzę administracyjną i sądową w ręce wojskowe i projekty margrabiego pozostały w historii tylko pomyślnym jego usiłowań obywatelskich.

Za to sprawy kościelne wchodziły na drogę o wiele lepszą i zdawały się zapowiadać rozwiązanie skuteczniejsze tych licznych zawikłań i niedogodności, w jakich się

znajdował Kościół katolicki w Królestwie. Gdy jeszcze w jesieni roku zeszłego, zebrani w Warszawie na żądanie Wielopolskiego biskupi podali ówczesnemu namiestnikowi, hr. Lambertowi, memoriał o potrzebach Kościoła, to w art. 5 tego memoriału domagali się oni, „aby przy Komisji wyznań i oświecenia ustanowiony był wydział duchowny pod prezydencją arcybiskupa, złożony z biskupów i wyższych duchownych, dla rozstrzygania spraw i interesów Kościoła oraz osób duchownych.“ Otóż obecnie, w ogólnym planie reform dla Królestwa, zatwierdzonym przez Cesarza, figurował i ów wydział, czyli Rada duchowna. Ks. Felińskiemu nadzwyczajnie się ona nie podobala i wzbudziła w nim poważne podejrzenia. Jakkolwiek bowiem owa Rada posiadać miała tylko głos doradczy, wszelako widział on w niej uderzające podobieństwo do Kolegium duchownego w Petersburgu i mocno się nią zaniepokoił. Według bowiem przepisów kościelnych, rządcą i stróżem swej owczarni jestznaczony przez Papieża biskup; z nim przeto rząd winien traktować i porozumiewać się w sprawach religijnych; każda zaś instytucja duchowna, działająca poza plecami biskupa, wobec tego wydawać się musiała ks. Felińskiemu niebezpieczną i podejrzaną. Pod tym względem zresztą zrozumiała jest zupełnie jego drażliwość, gdyż z bliska patrzył na działalność Kolegium petersburskiego, niezatwierdzonego przez Papieża. Nie wiedząc atoli, że projekt owej Rady duchownej wyszedł od biskupów krajowych, przekonany był, że jest to pomysł albo petersburski, albo też margrabiego; i gdy teraz kwestya ta na stół została wniesiona, zdecydowany był jak najenergiczniej przeciw zaprowadzeniu takiej Rady protestować i nigdy, pod żadnym pozorem, na jej istnienie się nie zgodzić. Oczekiwał przytem silnego oporu tak ze strony rządu, jak i samego margrabiego, i przygotowywał się do zaciętej walki. Jakże się atoli zdziwił, gdy Wielopolski najmniejszej nie stawiał opo-

zycy. „Ustanawiając Radę duchowną—rzekł arcybiskupowi,—spełniłem jedynie żądanie biskupów, wyrażone w podanym rządowi memoriale; skoro jednak władza duchowna tego sobie nie życzy, to nie mam nic przeciw pozostawieniu rzeczy tak, jak były.“ Pokazał przytem ks. Felińskiemu ów memoriał biskupów do hr. Lamberta, w którym o Radę ową upraszano. Dość, że Rada ta do skutku nie przyszła, co, w każdym razie, świadczy o dobrych chęciach dla Kościoła tak margrabiego, jak i ówczesnego rządu. Papież, uwiadomiony zwykłą drogą o całej tej sprawie, podziękował listownie ks. Felińskiemu za oddalenie „tak groźnego niebezpieczeństwa“ od Kościoła polskiego.

Taką samą powolność znajdował arcybiskup u rządu ówczesnego i w innych sprawach kościelnych, mianowicie przy urządzaniu Akademii duchownej w Warszawie, seminarium i konsystorza, tak co się tyczyło wyboru osób, jak i programu nauk i zaopatrzenia instytucji duchownych w odpowiednie środki materalne. Pod tym ostatnim względem istniały wtedy w Warszawie warunki oplakane, warunki, powstałe w czasach dawniejszych i całkiem nieodpowiednie wymaganiom dzisiejszym. Na utrzymanie n. p. całego konsystorza, t. j. oficyna, trzech surrogatów, regensa i czterech kancelistów. rząd asygnował wszystkiego 750 rubli rocznie. Oczywista rzecz, że tak drobna suma w żadnym razie wystarczyć nie mogła i wskutek tego urzędnicy konsystorscy zmuszeni byli zajmować jeszcze inne posady, z niemałą ujmą dla zajęć konsystorskich. Teraz atoli, na przedstawienie arcybiskupa, podniesiono etat konsystorza do 8,000 rub., czyli zwiększono go przeszło dziesięć razy. Seminarium archidiecezjalne mieściło się w ciasnej, wilgotnej i cuchnącej kamienicy obok katedry Ś-go Jana i lokal był tam tak szczupły i niedogodny, że w salach wykładowych musiano stawiać łóżka dla kleryków, bo gdzie indziej niejsca dla nich

nie było. Na skutek nalegań arcybiskupa, przeznaczono dla seminarium gmachy, znajdujące się przy klasztorze OO. Karmelitów na Krakowskim-Przedmieściu. Jednem słowem, starano się wszystkim, byle słusznym i usprawiedliwionym żądaniom ks. Felińskiego zadość uczynić; owszem rząd nawet w pewnych razach brał inicjatywę w sprawach kościelnych. W tym mniej więcej czasie wniósł on do Rady stanu projekt prawa, biorący w opiekę duchowieństwo w razie oskarżenia o zbrodnię stanu. Według tego projektu, aresztowanie księdza mogło nastąpić tylko na rozkaz Namiestnika Królestwa; jeżeli zaś w ciągu doby nie będą przedstawione sądowi dowody winy, oskarżony miał być niezwłocznie uwolniony. Takie *habeas corpus* dla duchowieństwa nie miało jednak wejść w wykonanie, wszelako nie z winy rządu, ale samej Rady stanu. Naprzód w czasie dyskusji nad tym przedmiotem w Radzie pierwszy zaoponował arcybiskup Feliński, ze względów czysto kościelnej natury. Twierdził on mianowicie, że jakkolwiek projekt ten, odnośnie do praw, istniejących w Królestwie, jest bardzo dla duchowieństwa korzystny, obdarza je przywilejem wyłącznym,—wszakże duchowieństwo przyjąć go nie może bez upoważnienia Ojca Świętego. Na to W. Książę, prezydujący na tem posiedzeniu, odrzekł, iż przyrzeka porozumieć się w tej sprawie ze Stolicą Apostolską, jak tylko nowe prawo uzyska sankcyę monarszą. Tym więc sposobem usunięty główny szkopuł zdawał się zapewniać urzeczywistnienie projektowi, gdy większość Rady stanu zażądała, aby o uwięzieniu księdza wyrokowała Rada stanu, nie Namiestnik. Rząd na to nie mógł się zgodzić i wiedziano o tem dobrze; dlaczego więc takie żądanie wyrażano, dziś niepodobna odgadnąć, dość, że dzięki temu projekt upadł i więcej o nim mowy nie było.

Największą jednak, największej doniosłości była sprawa małżeństw mieszanych. Jak wiadomo, z mocy ukazu

z r. 1836, osoby pragnące zawrzeć związek małżeński. jeżeli jedna z nich wyznaje religię prawosławną, obo-
wiązane są dopełnić naprzód obrzędu zaślubin w cerkwi
prawosławnej, oraz, że dzieci z takiego małżeństwa spło-
dzone będą chrzczone i wychowane w religii prawosła-
wnej. Prócz tego, ukaz polecał, że małżonek, wyznający
inną religię od prawosławnej, winien dać przyrzeczenie
na piśmie, iż nie będzie z powodu różnicy religii prze-
śladował współmałżonka, że nie przywiedzie go ani na-
mową, ani groźbami, ani żadnym innym sposobem, do
przejścia na jego wyznanie. Przystąpienie któregośkolwiek
z tych przepisów groziło wygnaniem na Syberję. Prawo
to miało ten skutek, że w Królestwie mężczyźni nigdy,
a przynajmniej niezmiernie rzadko żenili się z prawosła-
wnymi, kobiety za to, przeważnie jednak z klas niższych,
podbijały sobie częściej serca swych prawosławnych wiel-
bicieli i za nich wychodziły. Duchowieństwo prawo to uwa-
żało za uciążliwe, gdyż niezgodne ono było z przepisami
kanonicznymi, które, podobnie jak ukaz 1836 r., domagały
się, że jeżeli jeden z małżonków jest katolikiem, to ślub
winien się odbyć w kościele i dzieci mają być wychowa-
ne w religii katolickiej. Biskupi w memoryale, złożonym
namiestnikowi hrabiemu Lambertowi, domagali się znie-
sienia tego prawa; kwestya ta, jak się zdaje, była rozpa-
trywaną w czasie pobytu Wielopolskiego w Petersburgu,
gdyż po powrocie stamtąd, na pierwszym, na jakim był,
posiedzeniu Rady stanu powiedział w dniu 28-m czerwca
w mowie swojej, między innemi: „co do małżeństw mie-
szanych, poleconem zostało Komisji rządowej wyznań
i oświecenia publicznego, aby w porozumieniu z Komisją
rządową sprawiedliwości przystąpiła do rozpatrzenia pra-
wa o małżeństwie z r. 1836, celem przywrócenia dawne-
go prawodawstwa co do zawierania małżeństw miesza-
nych, i aby Komisye te wygotowały projekt stosowny,
z uwagą wszakże na zasady, jakie przez Stolicę Apostol-

ską dla Prus Nadreńskich, Bawaryi i Węgier w oso-
bnych brewach i instrukcyach przepisane zostały, tak,
iżby, gdy Dwór rzymski zgodzi się na zastosowanie tych
brew i instrukcyi do Królestwa Polskiego, projekt przez
władze tutejsze przygotowany mógł być do sankcyi mo-
narszej przedstawiony.“

Przygotowanie tych projektów wlokło się, jak zwy-
kle, bardzo długo i nie prędko zapewne byłyby one uj-
rzały światło dzienne, wszelako W. Książę Konstanty
miał osobiste upoważnienie Cesarza do pozwalania w po-
jedynczych wypadkach, aby rodzice stanowili o religii
dzieci, w małżeństwie mieszanem spłodzonych. Na mocy
takiego upoważnienia Namiestnika, ks. arcybiskup Feliń-
ski w ciągu 1862 r. pobłogosławił cztery małżeństwa mie-
szane, pod warunkiem, że wszystkie dzieci wychowane
będą w religii katolickiej. W rozmowach, jakie w tej
kwestyi miewał arcybiskup z Namiestnikiem, ten ostatni
proponował mu przyjęcie dla Królestwa Polskiego kon-
kordatu, jaki zawarty został ze Stolicą Apostolską w Księ-
stwie Badeńskim, gdzie wybór wyznania dla dzieci
z małżeństw mieszanych pozostawiony jest rodzicom.
Wszelako konkordat ten nakazywał, że ksiądz katolicki,
jako urzędnik stanu cywilnego, nawet w takim razie, je-
żeli narzeczeni warunków Kościoła katolickiego przyjąć
nie chcą, obowiązany jest dać ślub cywilny, bez błogo-
sławieństwa wszakże kościelnego. Arcybiskup na te pro-
pozycye, jak się zdaje, kilkakrotnie ponawiane, stale od-
powiadał, że decydowanie w kwestiach tego rodzaju do
Stolicy Apostolskiej należy. Cała sprawa na tych pro-
jektach utknęła, a zerwanie się zbrojnego powstania zło-
żyło ją do niewyczerpanego archiwum dobrych chęci
i niespełnionych pragnień, jakie każdy naród, niestety!
posiada.

Gdy się to wszystko działo, gdy Wielki Książę sta-
rał się zyskać sobie naród, gdy margrabia oddawał się

ciężkiej pracy, by nowe prawa wprowadzić w wykonanie, gdy snuł projekty, które się nigdy urzeczywistnić nie miały, sprawca zamachu na W. Księcia, czeladnik krawiecki, Ludwik Jaroszyński, siedział w cytadeli. Śledztwo, prowadzone przez Komisję wojenną, wlokło się niezmiernie leniwie, nie dlatego, by członkowie Komisji nie chcieli jak najprędzej dobić się prawdy, ale dlatego, że Jaroszyński nic nie chciał powiedzieć. W Komisji zachowywał się z pewną dumą i lekceważeniem zasiadających w niej sędziów. W odpowiedziach jego, niekiedy szorstkich i prostackich, znać było sferę, z której pochodził. Gdy mu przedstawiono rewolwer, z którego dał ognia do W. Księcia, i zapytano, jakim sposobem doszedł do posiadania tej broni, odrzekł, że „kupił ją od jakiegoś nieznajomego przed trzema tygodniami i zdaje mu się, że za rubli 15,“ że „w tymże czasie od tegoż samego nieznajomego kupił także sztylet za trzy ruble.“ Gdy go zapytano, skąd wziął na to pieniędzy, on, który ich nigdy nie miał, odparł, że „uzbierał z zarobku swego,“ wreszcie dodał opryskliwie, że „pieniędzy nikomu nie kradł, ale zarobił je przez dawniejszą swą pracę.“

W ogólności zachowując uparte, niczem niezachwiane milczenie co do współników zamachu i przyjmując przestępstwo i wszystkie jego skutki na siebie, tłumaczył się nieraz bardzo naiwnie. Zapytany, skąd się wziął w podwórzu teatralnem drugi rewolwer i takież sam sztylet, jaki przy nim znaleziono, odpowiedział, że nie wie. Naciskany, by wyjawil współników, nie zapierał, że ich miał, ale wymienić ich nie może, „gdyż nie chce nikogo gubic niewinnie.“ Napróżno Komisya przedstawiała mu, że zeznanie jego ma widoczny charakter nieprawdy, że nikt temu nie może uwierzyć, żeby on działał samoistnie, że „ze wszystkich warunków jego bytu i położenia raczej należy wnosić, że nie on sam powziął występłą myśl zamachu, lecz, że był do tego przez innych namówiony,

że porzucone na miejscu występu sztylet i pistolet, zupełnie podobne do tych, jakimi on był uzbrojony, widocznie dowodzą, że oprócz niego byli tam i inni spiskowicy,“—Jaroszyński, nie mogąc zaprzeczyć logiczności tych dowodzeń, odpowiedział, że wszystko to prawda, ale „on nie wymieni swych współników, gdyż ich nie zna, i przyjmuje na siebie całą odpowiedzialność za popełnione przez siebie przestępstwo.“

Po przyaresztowaniu Jaroszyńskiego i, jak to jest we zwyczaju, po dokładnem zrewidowaniu go, znaleziono przy nim, oprócz paru rachunków, proklamację do narodu polskiego bez daty i podpisu, zawierającą przyznanie się do wystrzału do Lüdersa, oraz do zamiaru „zabicia nieznanej osoby polskiego nazwiska,“ jak się wyraża relacya urzędowa, a którą to osobą, jak się zdaje, był margrabia Wielopolski. Ponieważ Komisya doskonale wiedziała, skąd, z jakich sfer wyszedł strzał, który strzaskał szczękę Lüdersowi, więc bardzo była ciekawa, kto Jaroszyńskiego namówił do przyjęcia na siebie tego przestępstwa, przewidując zapewne, że byłoby to uczynione w celu zwrócenia poszukiwań w inną stronę. Zapytany więc o to Jaroszyński, niewzruszenie trzymając się swej roli, odrzekł, że on strzelał do Lüdersa; badany jednak szczegółowiej, zakończył szorstkiem i lakonicznem: „strzeliłem i kwita!“

Ale temu twierdzeniu zaprzeczyły zaraz inne świadectwa. Wezwany do śledztwa czeladnik krawiecki, u którego mieszkał Jaroszyński, Stanisław Stańkowski, żona jego Teofila, służąca Barbara Kurczykówna i mieszkający w tejże stancyi starsuszek, nauczyciel muzyki, Aleksander Kurzątkowski, zeznali jednogłośnie, że owego poranku, w którym dokonano zamachu na Lüdersa, Jaroszyński spał w domu i nigdzie nie wychodził; że kiedy o godz. 9-ej rano żona Stańkowskiego, powróciwszy z targu, zaczęła opowiadać słyszaną w mieście nowinę

o tym wypadku, Jaroszyński, jeszcze leżąc na posłaniu, pytał jej: „czy to jednak prawda?” i potem dopiero, ubrawszy się, wyszedł. Było więc oczywistą rzeczą, że Jaroszyński kłamał, przyjmując ten czyn na siebie. Gdy mu stawiono do oczów Stańkowskiego i Kurzątkowskiego, którzy powtórzyli przy nim to zeznanie, przyznał, iż rzeczywiście w tym czasie, w którym strzelono do Lüdersa, był w domu, przyjął zaś na siebie to przestępstwo dlatego, że „mu się tak podobało.“ Nalegany o bliższe objaśnienia, od kogo kupił rewolwer i gdzie go przechowywał, odpowiadał, że „tam, gdzie chciał i gdzie mu było dogodniej, ale gdzie i u kogo mianowicie, nie powie;“ naciskany wreszcie, kończył krótkim zdaniem: „co ja będę gadał!“ Co się tyczy proklamacyi przy nim znalezionej, przyznał się, że jej nie pisał, ale że ją znalazł w ogrodzie Saskim, w pobliżu pompy, tego samego dnia, w którym dokonany był zamach na Lüdersa.

Ponieważ we wszystkich jego odpowiedziach brzmiało przekonanie, że jest bohaterem i że cały naród uważa go wskutek tego bardzo wysoko i między najznakomitszych swych mężów policzy, i przekonanie to dodawało mu mocy do upartego trzymania się raz powziętego systemu obrony, więc szło o to, by zachwiać tem jego mniemaniem i zmusić niejako do wyznania prawdy. Z uwagi, że ten czeladnik krawiecki był człowiekiem religijnym, komisya spróbowała naprzód w tę stronę jego uczuć uderzyć. Posłano więc do cytadeli kapelana wojskowego, by go upomniął ze stanowiska religijnego. Zamknięto ich we dwóch w celi więziennej, bez żadnych innych świadków; co ksiądz mówił z tym nieszczęśliwym i co on mu odpowiadał, nie wiadomo, to tylko pewna, że wezwany zaraz potem do Komisyi śledczej „uporczywie przy poprzednich zeznaniach obstawał.“ Gdy się ten krok nie udał, ktoś z członków Komisyi, więcej przenikliwy i doskonale odgadujący prostą, skrytą, ale entu-

zyastyczną duszę Jaroszyńskiego, wpadł na pomysł odczytania mu dzienników polskich zakordonowych, które, mówiąc o zamachu, uważały go za czyn nierozsądny, zbrodniczy i stanowczo z punktu widzenia interesów polskich na potępienie zasługujący. Jakoż Komisya posłała za tą radą i kazała Jaroszyńskiemu odczytać artykuły, dotyczące jego zamachu. pomieszczone w *Czasie* krakowskim, w *Dzienniku Poznańskim* i *Nadwiślaninie*. Artykuły te tak silne wrażenie wywarły na Jaroszyńskiego, tak dalece zachwiały w nim niewzruszone dotychczas przekonanie o wewnętrznej wartości jego czynu, że oświadczył, iż wszystko powie, do wszystkiego się przyzna. Tem chętniej to czynił teraz, że jeden z członków Komisyi, sędzia Słupski, Polak, uciekł się do obietnicy, której dotzymanie nie było w jego mocy: że, w razie szczerego przyznania się, Jaroszyński wolny będzie od kary śmierci.

Powiedział więc, że do zamachu namówił go Chmieleński, że Rodowicz był pośrednikiem w tej sprawie, że ten ostatni dał mu w przeddzień wystrzału do W. Księcia ową odezwę do narodu polskiego, którą przy Jaroszyńskim znaleziono. Zalecał mu przytem, że jeżeli na miejscu przystępstwa będzie przez policję schwytany, aby odezwę ową podrzucił i do zamachu na Lüdersa się przyznał, dla oswobodzenia od prześladowań człowieka, który rzeczywiście tego dokonał. Szczegółowo przytem opowiedział całą swą odyseję w poszukiwaniu dogodnej chwili, w którejby mógł do W. Księcia strzelić; że od Rodowicza, od czasu, gdy przestał chodzić do warsztatu, dostał w dwóch ratach wogóle siedm rubli. Zeznanie to miało charakter szczerości i nie wątpiono o jego prawdziwości, zwłaszcza, że znalazło ono potwierdzenie w tym fakcie, iż tak Chmieleński jak i Rodowicz gdzieś znikli. Pierwszy z nich, naraziwszy na śmierć człowieka, tegoż samego dnia, w którym padł strzał w sieni teatralnej, wyszedł o godz. 4-ej po południu ze swego mieszkania w hotelu

Saskim, i wzięwszy z sobą klucz, więcej nie powrócił. Zostawił tam nawet swą bieliznę i garderobę, co świadczy, jak pośpiesznie uciekał i jak mocno dbał o siebie, zostawiając na pastwę szubienicy Jaroszyńskiego. Co się tyczy Rodowicza, to ten, według zeznania niejakiego Sołleckiego i Drabika, obu czeladników krawieckich, z którymi razem mieszkał, w dniu zamachu na W. Księcia przyszedł do domu koło godz. 11-ej w nocy, i nic z nimi nie mówiąc, spać się położył. Na drugi dzień rano, o godz. 8-ej, Rodowicz, leżąc jeszcze w łóżku, opowiadał, że wczoraj był w teatrze i że W. Księcia i margrabiego zastrzelono z pistoletu, że słyszał trzy wystrzały i że „publiczność, wychodząca z teatru, śmiejąc się, mówiła, iż na scenie zabity Aleksander Stradella, tymczasem on (Rodowicz) się przekonał, że były zabite powyższe dwie osoby.“ Potem około godz. 9-ej wyszedł i więcej się już w domu nie pokazał, chociaż zostawił w nim swe rzeczy. Przez kilka dni, o czem śledztwo nie wiedziało, ukrywał się w Warszawie u swych znajomych, wreszcie ci zdolali go wyprawić i wysłać za granicę.

Wobec tych zeznań, wobec wyjaśnień, jakie dał Jaroszyński o całym przebiegu zamachu. Komisya nie miała już co robić i śledztwo ukończyła. To też zaraz, dnia 11-go sierpnia, naczelny dowódca wojsk, konsystujących w Królestwie, baron Ramsay, przez rozkaz dzienny polecił oddać Jaroszyńskiego pod sąd wojenny, z tem zastrzeżeniem, ażeby sąd opierał się na ustawie wojennej i żeby wydał wyrok w ciągu 24 godzin. Prezesem sądu został general Merchelewicz, znany w Warszawie z tego, że w poprzednim roku zajmował jakiś czas stanowisko oberpolicmajstra. Zdaje się, że pod wpływem Wielopolskiego W. Książę postanowił, że sąd ten ma być publiczny i przy drzwiach otwartych. Ogłoszono o tem zaraz w gazetach, donosząc, że sąd odbędzie się dnia 14-go sierpnia, o godz. 9-ej rano, w gmachu Rządu

gubernialnego, zwanym pałacem Paca; że „stosownie do objawionego przez Jaroszyńskiego protokółarnie życzenia, adwokat z urzędu, w osobie obrońcy przy senacie, Wincentego Grobickiego, wyznaczony został;“ że sąd, stosownie do praw wojskowych, odbędzie się „przy eskorcie siły zbrojnej;“ że nakoniec bilety wejścia wydawać będą „władze naczelne i prezydent miasta.“

W mieście wiadomość o tem, że Jaroszyński będzie sądzony publicznie (wbrew dotychczasowym zwyczajom, gdyż sądy wojenne odbywały się tajnie), zrobiła pewne wrażenie.

Obronę obwinionego oddano z urzędu mecenasowi Wincentemu Grobickiemu, który niedawno przybył z Petersburga, gdzie pełnił obowiązki sekretarza przy zmarłym ministrze Turkule, człowiekowi niechętnemu ruchowi rewolucyjnemu, ale dobremu prawnikowi. Tymi zapewne względami kierowała się w wyborze obrońcy Komisya sprawiedliwości, nie bez wpływu może Wielopolskiego, który chciał, ażeby obrońca trzymał się jedynie prawa, a nie uciekał się do frazesów, tak modnych w tej porze i tak zawsze łatwych. Grobicki zadość uczynił tym wymaganiom; obrony jego, wygłaszane z żołnierską postawą, miały charakter suchy, treściwy, trzymający się litery prawa; dawał więc pewność, że nie skorzysta ze sposobności, by retorycznymi zwrotami, sentymentalnością frazesów, zyskać sobie poklask tłumów i rewolucjonistów i sytuację, samą z siebie bardzo drażliwą, uczynić jeszcze drażliwszą.

W takich to warunkach miał się rozpocząć sąd nad Jaroszyńskim. Kto mógł, to starał się o bilety wejścia, których liczba, ze względu na miejsce, była ograniczona. Mimo to, zebrała się znaczna liczba publiczności, przeważnie kobiet, w przeszlicznej białej sali dawnego pałacu Paca na ulicy Miodowej, zajętego podówczas przez biura Rządu gubernialnego warszawskiego. Na ulicach, któremi

miął jeehać Jaroszyński, skupily się znaczne tłumy ciekawych. Zjawił on się w karecie zamkniętej, otoczonej z przodu i z tyłu dwoma szwadronami jazdy, huzarami i ułanami, oraz kilku żandarmami. Z wielkim trzaskiem, hukiem i brzękiem, cała ta kalwakata pędziła po ulicach, a mnóstwo żydostwa, zawsze żadnego wszelkiego rodzaju widowisk, poczęło krzyczyć: „hura!” Na dziedzińcu pałacu stał cały batalion piechoty; słowem, przy rozwinięciu znacznych sił wojskowych rozpoczynano ten sąd publiczny i w widocznej obawie, by on nie wywołał jakichś rozruchów.

Gdy się Jaroszyński ukazał w sali ze swą postawą szczupłą, z swą twarzą pospolitą, choć młodą i niebrzydką, ciemny brunet, sniadej cery, ubrany dość starannie—publiczność powitała go lekkim szmerem ciekawości. Skoro sąd zasiadł na swych miejscach, wszystko generałowie, strojni w bogate mundury, gdy zaraz prawie z początku ukazano publiczności dowody rzeczowe: rewolwery, sztylety, mundur W. Księcia krwią poplamiony,—zrobiło to tak silną sensację, że wielu z niechęcią poczęło patrzeć na Jaroszyńskiego. Odpowiadał on szczerze i otwarcie, tonem głębokiego przygnębienia. Zapytany po polsku, gdyż cały proces toczył się w języku ojczystym, czy to on strzelał do W. Księcia?—odrzekł głośno, że tak, że uczynił to „z miłości dla ojczyzny,” że żadnego innego przestępstwa nie popełnił i do tajnego stowarzyszenia przeciw rządowi nie należał. Pytany, czy w cytadeli w czasie prowadzonego śledztwa nie dopuszczano się względem niego środków przymusowych, odrzekł, że nie, że „z czystym sercem, jako prawdziwy Polak,” twierdzić to może.

Obrońca Jaroszyńskiego, Grobicki, którego zadanie było bardzo trudne, bo bronić obwinionego musiał, a bronić tak, by rządu w niczem nie obrazić, i samemu się nie narazić i opinii rozgorączkowanej na siebie nie oburzyć,

ze zwykłym sobie chłodem i cytowaniem rozlicznych ustaw prawnych, domagał się, by przestępstwo było sądzone według obowiązującej w tej części kraju ordynacyi kryminalnej pruskiej, dlatego, że śledztwo było prowadzone na zasadzie tejże ordynacyi, że przyznanie się obwinionego nie jest dostatecznem, bo z akt sprawy nie widać, ażeby Wielki Książę Konstanty uznał w Jaroszyńskim tę osobę, która do niego strzelała. Grobicki twierdził dalej, że przyznanie się do winy wtedy dopiero nabiera znaczenia, kiedy nastąpi w porządku sądowym, wskutek zapytań sędziego, kiedy obejmuje główne wypadki i czyny i nie może być zbite przez inne okoliczności. Utrzymywał dalej, że zeznanie Jaroszyńskiego było niejasne, bezzasadne i niezgodne z okolicznościami, przez śledztwo wykrytemi. Z początku Jaroszyński twierdził, że nikt go nie namówił, później zaś, gdy Komisya śledcza dała mu obietnicę, że w razie szczerego przyznania się będzie wolny od śmierci, wskazał osoby, które go niby namówiły, czego śledztwo nie potwierdziło; że niema zeznań świadków, gdyż milicyanci Biały i Malinowski, którym zależało na tem, by obwiniony był schwytany, bo w razie przeciwnym podlegaliby odpowiedzialności, nie mogą tem samem świadczyć; że zeznania księcia Bebutowa i innych, niestwierdzone przysięgą, są tegoż samego znaczenia; że zatem wyrok nie powinien być tak surowy, jak prawo wymaga. W końcu domagał się, „aby obietnica, uczyniona Jaroszyńskiemu przez Komisję śledczą, była dotrzymana.” Rozprawy sądowe skończyły się o godz. 3-ej po południu, a narada sądu trwała przeszło trzy godziny i dopiero o godzinie 6-ej wieczorem prezydujący Merchelewicz ogłosił wyrok, skazujący Jaroszyńskiego na śmierć przez powieszenie. Audytoryat w dwa dni dopiero potem ogłosił po dziennikach swą odpowiedź na obronę Grobickiego i między innemi zaznaczył, że „pozostawia władzy wyższej wyrzeczenie, o ile Komisya śledcza mogła obwinione-

mu czynić nadzieję ulaskawienia;“ że nie ordynacya pruska ma sądzić sprawy o zamach na życie „osób Najwyższych,“ ale „sądy wojenne, obecnie w tutejszym kraju, ogłoszonym w stanie wojennym, zaprowadzone;“ polecił wreszcie, aby Chmieleński i Rodowicz, w razie znalezienia ich, byli stawieni przed sąd wojenny i rysopis ich ogłosić kazał. W. Książę wyrok ten w całej jego rozciągłości dnia 19-go sierpnia zatwierdził i dnia 21-go t. m. wykonać polecił.

Tak się skończył ten proces i śledztwo, które przez kilka tygodni z rzędu trzymało w naprężeniu uwagę całej Warszawy, a przynajmniej bardzo licznego w niej stronnictwa rewolucyjnego. W ciągu śledztwa wiele osób pociągano do dawania wyjaśnień, i po okazaniu się, że są niewinni, puszczano na wolność. Tylko właścicielkę warsztatu na ul. Nowo-Senatorskiej, wdowę Szczycińską, u której pracował Jaroszyński, porządkiem administracyjnym zesłano.

II.

Śledztwo w sprawie Jaroszyńskiego, dzięki jego przyjęciu na siebie wszelkiej winy i upartemu milczeniu, jeżeli tajemnicą pokryło wiele rzeczy i wielu ludzi, to przecież wyjaśniło ten jeden oczywisty i niezaprzeczony fakt, że główna nienawiść ultraczerwonych rewolucjonistów skierowaną jest przeciw Wielopolskiemu. Ten Polak, stojący na czele rządu, wprawiał ich w tak niepohamowany gniew, że poza pożytkiem politycznym, jaki widzieli w „zglądzeniu“ Wielopolskiego, śmierć jego sprawiłaby im jeszcze osobistą satysfakcję, ukojenie trawiącej ich nienawiści. To też myśl dokonania zamachu na osobie margrabiego ani na chwilę ich nie opuszczała; przykład już był dany, a jak wiadomo, tego rodzaju przykłady są na-

der zaraziliwe. Przytem dochodziły ich wieści głuche, niepewne, ale przez to jeszcze bardziej niepokojące i wszystko w przesadnych kształtach przedstawiające, o próbach zbliżenia się stronnictwa Białych i wogóle stronnictwa szlacheckiego ku Wielopolskiemu; czuli oni to dobrze, iż gdyby to stronnictwo raz tylko szczerze i otwarcie poparło margrabiego, to o żadnej rewolucyi, o żadnem powstaniu marzyłoby nawet nie można było. Trzeba więc raz na zawsze temu koniec położyć—mówili oni,—zniechęconego Wielopolskiego usunąć i wszelkie próby reakcyi szlacheckiej w korzeniu podciąć. Dlatego myśl zabicia margrabiego ani na chwilę nie zeszła z programu rewolucjonistów.

Myśl tę popierał usilnie Chmieleński. Po zamachu na W. Ks. Konstantego, przeczuwając, i słusznie, że jego nazwisko, wcześniej czy później, wypłynie w tej sprawie na wierzch, jak wiemy, tego samego jeszcze dnia opuścił hotel Saski, w którym mieszkał od pół roku, a opuścił tak pośpiesznie, iż rzeczy swoje zostawił i klucz od numeru zabrał. Ukrywał się teraz u znajomych w Warszawie, ścigany listami gończymi policyi. On to razem z Jarosławem Dąbrowskim głównie uorganizował i doprowadził do skutku zamach na margrabiego Wielopolskiego. O nową ofiarę, któraby się tego czynu podjęła, nie było trudno; wśród rozszerzającej się coraz bardziej organizacyi, w skład której najrozmaitsze wchodziły żywioły, można było każdej chwili znaleźć straceńców, gotowych na wszystko, istoty wykołajone, żyjące bez celu i nadziei, nielekające się śmierci. A jeżeli jeszcze ta śmierć w ich mniemaniu mogła się przydać na coś ojczyźnie, otoczyć choćby Herostratowym blaskiem ich imię, to już nie wahali się ani chwili i szli na oślep tam, gdzie im kazano, lub do czego ich namówiono. W atmosferze unosiły się przytem niezdrowe miazmaty istnej dżumy rewolucyjnej i zarażały umysły młodzieży; wicher burzy straszliwej

i wszystko niszczącej, zerwawszy się raz, porywał za sobą i ludzi i rzeczy.

Do organizacyi tej, która, jak polip, rozszerzając się, coraz bardziej ogarniała sobą średnie, przeważnie mieszczańskie warstwy, należał w tej porze niejaki Ludwik Aleksander Ryll, litograf, który jednak nie doszedł nawet do stopnia czeladnika; był zawsze tylko uczniem. Młody chłopiec, zaledwie 20-ty rok życia liczący (ur. d. 16 października 1842 r.), miał już za sobą całą przeszłość burzliwą i pełną nędzy i należał do rzędu tych egzystencyi bez jutra i bez przyszłości, jakich pełno jest zawsze w każdym wielkiem mieście. Samo urodzenie jego miało na sobie pewne znanie romantycznej tajemniczosci. Według pierwszych relacyi, jakie o nim zebrano, przyszedł on na świat we wsi Blizne, w Radomskim, w okolicy fabrycznej; ojciec jego zwał się Filip i był w fabrykach tych giserem. Później dokładniejsze poszukiwania przekonały, że urodził się we wsi Brzeziny, w gubernii Warszawskiej, majątku hr. Gutakowskiego. Okazało się dalej, że ów Filip Ryll, giser, nie był jego ojcem, ale, jak się zdaje, było to dziecko nieprawe, zrodzone z owego hr. Gutakowskiego i żony Rylla, Barbary. Filip Ryll pracował przez jakiś czas w fabryce Ewansa w Warszawie, ale około r. 1868 gdzieś zniknął i mniemany syn nic o nim odtąd nie wiedział, matka zaś Barbara, zapewne wskutek wpływów swego hrabiowskiego kochanka, w epoce, gdy jej syn stał się głośną postacią historyczną, znajdowała się w klasztorze PP. Sakramentek na Nowem-Mieście i tam miała całe utrzymanie. Dzieckiem, w takich warunkach romantycznych zrodzonym, od wczesnej młodości zajmował się ów przypuszczalny jego ojciec, hr. Gutakowski, który w jakiś czas po narodzinach młodego Ludwika, sprzedawszy swe majątki w Królestwie, przeniósł się był na mieszkanie do Poznania, chłopca wziął ze sobą i zajął się jego wychowaniem. Z początku oddał go był do

szkoły niemieckiej w Lesznie, ale w rok później przeniósł go do gimnazjum realnego w Poznaniu. Chłopiec jednak uczyć się bardzo nie chciał, tak, że dociągnawszy ledwie do piątej klasy, był odebrany z gimnazjum i oddany do nauki na litografa. Gdy wreszcie i temu zajęciu młody Ludwik Ryll niechętnie się oddawał, hr. Gutakowski odesłał go, około r. 1859, do Warszawy, pod pozorem, żeby się dalej kształcił w swej sztuce i prawdopodobnie aby się pozbyć niesforne go chłopca. Tutaj Ryll nie zastał już swego mniemanego ojca, gisera, który podobno zabrawszy co mógł, przepadł gdzieś bez wieści. Znalazł atoli matkę, żyjącą z łaski zakonnic, i swe rodzeństwo—braci: Antoniego i Ambrożego, biedaków, mieszkających w ubóstwie na Gołębiej, i siostrę Franciszkę. Dzieci te, zdaje się, były już prawem dziećmi gisera Rylla. Ludwik z rodziną swą nie żył w zgodzie; dostawszy się w hulaszczy wir wielkiego miasta, nie robić mu się nie chciało, włóczył się po piwiarniach, czyli tak zwanych w Warszawie „bawaryach,” sprzedawał co miał, i tak jakiś czas pędził nędzne i rujnujące życie.

Dla poprawienia sobie losu, wyprzedawszy się ze wszystkiego do tego stopnia, że tylko został w jednym surducie, wybrał się do Łodzi. Ale i tam tej naturze zepsutej i rozpróżnionej nie wiodło się. Wrócił do Warszawy jeszcze bardziej obdarty. Tu doszedł do ostatniej nędzy, tak, że dla zarobienia paru złotych pracował u kowala, ale poranił sobie tylko i potłukł mocno ręce i nogi, więc rzucił to zajęcie. Wśród swego hulaszczego życia, wśród włóczenia się między najgorszym towarzystwem ludzi obojej płci, dostał brzydkiej choroby i musiał iść do szpitala. Wyleczywszy się, obdarty, prawie nagi, znalazł jeszcze raz rękę pomocną, która go chciała poratować. Odszukał go pełnomocnik hr. Gutakowskiego, niejaki Załeski, który umyślnie w tym celu przyjechał z Poznania; oporządził, dał trochę grosza, zapłacił za mieszkanie i umie-

ścił u litografa Regulskiego, ale Ryll i tutaj nie długo zabawiał. Przychodził do roboty późno, pracować mu się nie chciało, bardzo często zjawiał się pijany, czem znudzony Regulski wymówił mu u siebie miejsce. Znów pozostawiony bez kawałka chleba, począł się chwycić różnych zarobków. Jak poprzednio z biedy pracować chciał u kowala, tak teraz wynajął się malarzowi pokojowemu, Darewskiemu, i robił u niego dwa miesiące, wreszcie wrócił do właściwego swego fachu i dostał się do litografii Janiszewskiego, ale znów z powodu zwykłego sobie próżniactwa i pijaństwa po dwóch tygodniach musiał zakład ten opuścić. Miał jednak przyjaciela, do którego zawsze w ostatniej nędzy się uciekał. Przyjacielem tym był szewc, Ignacy Staniszewski, zamieszkały na Nowym-Świecie, człowiek młody, ale już żonaty i ojciec czworga dzieci, który, jak mógł, pomagał Ryllowi, a nawet przyjął go do siebie na mieszkanie, na trzecie piętro, do ubogiej i małej stancyjki.

Jakoś w czasie wielkiego postu 1862 r. udało się Ryllowi dostać do jednego z najpierwszych zakładów litograficznych w Warszawie, Flecka. Samego Flecka nie było, bo za litografowanie rozmaitych odezów i pieśni rewolucyjnych był jeszcze w roku zeszłym wywieziony do Rosyi, zakładem zaś zarządzała jego żona. Ta przyjęła Rylla i płaciła mu 20 złp. (3 ruble) tygodniowo. Z początku Ryll prowadził się jako tako, ale koło Wielkiej-Nocy począł po dawnemu pić, hulać i próżniaczyć się, więc Fleckowa wydalila go z warsztatu. Wtedy dostał się do litografii Zygmunta Wrońskiego, który miał swój zakład na ulicy Trębackiej. Tutaj, jak później zeznawali jego koledzy, nigdy nie widziano go trzeźwym, zawsze był „dobrze usmirowany,” jak się wyrażali w gwarze ludowej warszawskiej. Był przytem nadzwyczaj burzliwego usposobienia—o najmniejszą rzecz wpadał w gniew niepomowany, kłócił się z kolegami, groził, że im ręce i nogi

połamanie. Nędza, brak celu w życiu, brak zapewnionego jutra, ta wieczna troska o chleb, wyrobiła w nim w tej dobie usposobienie rozpaczliwe. Razu pewnego w uniesieniu zawołał, że „skończy na tem, iż zostanie zbójem, a wtedy zobacz, jakim on jest.”

Ale jeszcze raz miało mu się uśmiechnąć szczęście. Prawdopodobny jego ojciec, hr. Gutakowski, nie spuszczał go z oczów i przez nowego swego pełnomocnika, niejakiego Franciszka Piętkę, właściciela domu w Warszawie, odszukał Rylla i obiecał mu płacić 12 do 15 rubli miesięcznie, jeżeli się będzie dobrze prowadził. Przez jakiś czas nawet płacił za niego mieszkanie u szewca Staniszewskiego. Niestety! dla tej natury, zwyrodniałej przez nędzę, zepsutej przez wielkie miasto, rozpróżnianej i rozpitej, poprawa, wejście na drogę pracy uczciwej i cichej, było prawie niemożliwem. Wskutek tego Piętka nie dawał mu tyle, ile z razu obiecał, owszem groził, że zupełnie dawać przestanie, jeżeli Ryll dalej tak samo jak dotąd prowadzić się będzie. Tak stały rzeczy, gdy około św. Jana 1862 r. przybył do Warszawy sam hr. Gutakowski, zobaczył się z Ryllem i nie był wcale zbudowany ani jego postawą, ani ubraniem, ani zachowaniem się; owszem wyrobił w sobie przekonanie, że z jego syna nic nie będzie i że nie warto się nim zajmować. Wyjeżdżając, nie dał mu ani grosza i zakazał Piętce wspierać dalej marnotrawcę i hulaka. Znajdował się więc Ryll teraz w ostatnim stopniu nędzy; mieszkał ciągle z łaski u szewca Staniszewskiego; nie miał ani ubrania, ani bielizny, ani pościeli i sypiał na brudnej sofce swego przyjaciela, bez poduszki i bez kołdry. Był też strasznie rozdrażniony; coraz bardziej skarżył się na świat i ludzi, groził, że swego opiekuna i domniemanego ojca za pierwszą lepszą sposobnością „zbije na kwaśne jabłko,” i wielokrotnie dawał się z tem słyszeć, że gotów jest na wszystko, tak mu życie i to robaczywe istnienie zbrzydło.

Ponieważ z tem swoim pesymistycznym usposobieniem nie ukrywał się wcale, więc wiedział o tem ten i ów. Czasy były gorące. stronnictwo rewolucyjne Chmielińskich, Dąbrowskich i im podobnych zapaleńców, zdecydowane było na środki ostateczne i potrzebowało właśnie takich straceńców jak Ryll, takich zrozpaczonych i wykończonych istot, zdolnych do wszystkiego, do wszelkiego, choćby najszałęszego kroku. Postanowiono więc użyć go do zamachu na Wielopolskiego, a czynności namówienia go do tego podjął się niejaki Stanisław Janicki, subjekt z księgarni Friedleina, należący z przekonani do stronnictwa ultraczerwonego. Znał on Rylla niezbyt dawno, parę niesięcy zaledwie; wszedł z nim w stosunki wtedy, gdy ten pracował w litografii Fleckowej, gdzie Janicki przychodził z rachunkami; ale była to znajomość bardzo pobieżna, tak dalece, że Ryll nie wiedział jego nazwiska nawet i zwał go po prostu tylko Stanisławem. Otóż Janicki pewnego dnia w początkach lipca, w epoce tego popularnego pesymizmu, jaki ogarniał trapiętego nędzą chłopca, spotkał Rylla wieczorem na ulicy Senatorskiej, gdy ten już wracał z kolacyi po całodzienniej robocie u Wronskiego, i poprosił do cukierni na herbatę. Tu w pogawędce Ryll, zapytany, jak mu się powodzi, opowiedział swe położenie, swą biedę i walkę znią, oświadczył nawet, że gotów jest zaciągnąć się do wojska, zrobić jakie „głupstwo,” byle iść do więzienia, mieć dach nad głową i chleb zapewniony. Janicki, wpatrując się weń pilnie, a miał wzrok nadzwyczaj przenikliwy, „który w Ryllu budził mimowolne podejrzenie,” jak się wyraża sprawozdanie urzędowe, pocieszył go nadzieją, że, może wkrótce jego los się polepszy, poczem zaraz się rozstali. W trzy dni potem, dnia 6 lipca, w niedzielę, Janicki poprosił Rylla, by przyszedł na Foksal, gdzie w owe czasy był przepyszny, stary ogród i gdzie mieścił się zakład gastronomiczny. Gdy Ryll o zamówionej godzinie się zjawił, zastał tam już Stanisława, bo

tak go ciągle nazywał, w zielonych okularach na oczach i w towarzystwie dwóch młodych ludzi, z których jednego zwano Feliksem, a który, jak się później dowiedziano, nazywał się Kowalskim; drugi, znacznie starszy, koło 30 lat liczący, brunet, z wielkimi wąsami i surowym wyrazem twarzy, pozostał tak dla Komisji śledczej, jak i dla historii, nieznanym. Według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa, tym tajemniczym nieznanym był sam Chmieliński, który, jak wiemy, przez pewien czas jeszcze po zamachu na W. Księcia, ukrywał się w Warszawie i w organizowaniu zamachu na Wielopolskiego brał czynny udział. Dość, że w czasie tej schadzki na Foksalu, należącym, przez dziwną ironię losu, do zmarłego niedawno Tomasza hr. Potockiego, szwagra margrabiego, pierwszy Feliks, któremu, jak zauważył Ryll, „w czasie rozmowy ręce trzęsły się nerwowo,” rozpoczął pogawędkę o polityce. Zapewniał tedy, że wkrótce w Warszawie wybuchnie powstanie zbrojne, że porobiono już do tego wszelkie przygotowania, że odbędzie się bez krwi rozlewu (a mówiąc tak, miał zapewne na myśli mniemany spisek wojskowy Dąbrowskiego), że organizacya powstańcza rozszerzona jest bardzo silnie po całym kraju, że wprawdzie na prowincyi niema wielu takich ludzi, którzyby gotowi byli poświęcić życie i majątek dla ojczyzny, ale że w Warszawie za to jest inaczej. Utrzymywał dalej, że on i jego tajemniczy towarzysze urządzali wszystkie przeszłoroczne manifestacye i że dokonali swego, bo obudzili ducha w narodzie. Wszelako teraz główną przeszkodą pomyślnego rozwoju całej akcji jest margrabia Wielopolski; że w planie ich leży konieczne zgładzenie tego człowieka i, bądź-co-bądź, zgładzić go muszą. Przy tem wszystkiem częstowali Rylla piwem, którego sami bardzo niewiele pili. Ryll zauważył nieco opodał kilku młodych ludzi, którzy w rozmowie udziału nie brali, ale zdawali się należeć do towarzystwa Feliksa i owego milczącego nieznanego.

Na tem, zdaje się, skończyła się pierwsza schadzka. We dwa dni potem, a więc dnia 8-go lipca, we wtorek, Ryll spotkał jednego z tych młodych ludzi, którzy w czasie pobytu na Foksalu przechadzali się po ogrodzie i byli, jak się zdaje, towarzyszami Janickiego, Kowalskiego i trzeciego nieznajomego. Był to młody człowiek, bez żadnego zarostu, a, jak się później okazało, również litograf, Jan Rzońca, dziesiętnik w organizacyi, który także wkrótce miał się stać osobistością historyczną. Zaprosił on znów Rylla na Foksal. Zastali tam Stanisława Janickiego, i przepędziwszy jakiś czas przy piwie, udali się do mieszkania tego ostatniego na ulicy Senatorskiej. a stąd późnym już wieczorem, bo koło godz. 10-ej, Rzońca zabrał Rylla i zawiózł na róg ulicy Wielkiej i Siennej. W bocznej oficynie, w mieszkaniu złożonem z kuchni i jednego pokoiku, na drugim piętrze, zastali Feliksa Kowalskiego i tajemniczego nieznajomego, którego Rzońca nazwał przed Rylllem „obrońcą kraju.“ Obaj siedzieli po ciemku, co tem większy urok nadawało całej schadzce. Tutaj to, w mrocznym półcieniu nocy lipcowej, ostatecznie, jak się zdaje, namówiono Rylla do podjęcia się zamachu, na co on w swem rozpaczliwym usposobieniu ducha chętnie się zgodził. Zapewniano go, że jeżeli po zamachu zdoła się ukryć, to dadzą mu wszelką możliwą pomoc, że wyślą go za granicę, gdzie będzie miał zapewnione utrzymanie. „Obrońca kraju,“ zobowiązawszy Rylla, ażeby był gotów na wszelkie zawołanie, odszedł, a za nim wszyscy. W cztery dni później, a zatem mniej więcej koło 12-go lipca, do litografii Wronskiego, gdzie Ryll ciągle pracował, zgłosił się ów nieznajomy „obrońca kraju“ i pokazał swej ofierze jakieś pismo, z podpisami niewyraźnie skreślonymi i z dwiema pieczęciami, dające okazicielowi, jako obrońcy ojczyzny, pełnomocnictwo do wszelkich możliwych działań. Taktyka ta, powtórzona nieomal dosłownie z tej, jakiej używał Chmieleński wzglę-

dem Jaroszyńskiego, ów tytuł, jaki sobie wówczas nadawał, „naczelnika spisku,“ ów sfałszowany rozkaz Komitetu centralnego, nakazujący zamach na W. Księcia, każe przypuszczać, że i tym razem owym tajemniczym „obrońcą kraju“ był nie kto inny, tylko Chmieleński, prowadzący dalej swe wstrętne rzemiosło wysyłania drugich na szubienicę. Po pokazaniu owego papieru, rekomendującego niejako „obrońcę ojczyzny,“ zabrał on ze sobą Rylla na Foksal, zachęcał go do dotrzymania przyrzeczenia, pokazywał mu rewolwer, który miał przy sobie pod ubraniem, i zapewniał, że wszystko już jest gotowe do wykonania zamachu, że Ryllowi ułatwią ucieczkę, że stać będzie w pogotowiu powóz, który, jeżeli Ryll zdąży weń wskoczyć po strzale do margrabiego, zawiezie go do jednego z domów przechodnich, gdzie oczekiwać nań będą przyjaciele; że przed zamachem będzie musiał zażyć trucizny, z której, jeżeli po zamachu uciec zdoła, bezwarunkowo będzie wyleczony; w przeciwnym zaś wypadku, to jest w razie, gdyby został schwytany, wkrótce umrze i tym sposobem uniknie śmierci na szubienicy. Ryll tego wszystkiego słuchał i zdaje się, że był w ciągłym stanie oszołomienia, gdyż „obrońca ojczyzny“ poił go różnymi trunkami i dał mu przytem dwa ruble. Niekiedy jednak w straceńcu podnosiły się wątpliwości, czy dobrze robi, zgadzając się na zabicie człowieka, który nic mu nie był winien i o którym różne obiegały opinie. Raz nawet zapytał się Staniszewskiego, u którego mieszkał, co też w kołach rzemieślniczych mówią o Wielopolskim? Ale Staniszewski, człowiek prosty, niewykształcony, zajęty ciężką pracą na chleb dla licznej rodziny, nie zajmował się tego rodzaju sprawami i odrzekł, że nie wie. Odtąd Ryll z „obrońcą ojczyzny“ spotykał się dość często, a zawsze na Foksalu. Stale go teraz otaczali: Feliks Kowalski, Stanisław Janicki i Jan Rzońca; włączyli się z nim po ogródkach i bawaryach i poiłi nieustannie. Głównie jednak scho-

dzili się na Foksalu, gdzie od czasu do czasu zjawiał się „obrońca ojczyzny“, mówił niewiele i zawsze tonem wyższości i tajemnicy, przez co wywierał niemałe wrażenie. Raz znów dał Ryllowi rubla. gdyż ten, porzuciwszy teraz robotę, był bez grosza.

Układano rozmaite plany zamachu pod cienistymi lipami starego ogrodu Potockich. Z razu Jarosław Dąbrowski, który właściwie całą tą sprawą kierował, powziął myśl, ażeby Rylla przebrać w mundur oficerski, jaki obowiązał się dostarczyć, uzbroić w rewolwer i posłać do Belwederu, gdzie, jak wiadano, margrabia prawie codziennie bywał u W. Księcia, i czekając na audyencyę, miał zwyczaj przechadzać się po parku Belwederskim. Dąbrowski więc proponował, ażeby Ryll ukrył się w ogrodzie i w czasie takiej przechadzki margrabiego dał doń ognia. Dostanie się do parku miał ułatwić ów mundur wojskowy oficera sztabu; ale kompletnego uniformu nie można było dostać, a ten, o który wystarał się Dąbrowski, leżał źle na Ryllu i tak śmiesznie wyglądał on w nim, że byłby się przez to od razu zdradził, więc porzucono ten plan i postanowiono dokonać zamachu gdziekolwiek na ulicy. Podawano i inne plany, które, przy bliższym rozbiorze, okazały się niemożliwymi do wykonania; czas przytem naglił, gdyż na tych wszystkich namowach i pertraktacyach upłynął już blisko miesiąc i słusznie spiskowcy lękać się poczęli, by zbyt długo naciągana struna nie pękła i Ryll się nie cofnął. Przytem szło im może i o to, by przygotowujące się uroczystości chrztu nowonarodzonego syna W. Księcia, Wacława, naznaczone na dzień 9-ty sierpnia, zakłócić i odwrócić od nich uwagę mas. Sam Ryll, zdaje się, wiedział, a może przeczuwał, że zamach ostatecznie musi być jak najprędzej wykonany.

Gdy d. 7-go sierpnia. we czwartek, wychodził rano ze swego mieszkania, rzekł do Staniszewskiego w języku

ludowym warszawskim: „dziś będę miał, zdaje się, kwestę; możebyś mi mógł dopomódz.“ Ale Staniszewski odrzekł, że nie może mu nic dopomódz, bo ma żonę chorą i dzieci, że on się na tem wszystkiem nie rozumie i pożegnał Rylla życzeniem powodzenia. Około godziny 11-ej rano, gdy Ryll ze swymi towarzyszami zjawił się na Foksalu, przybył tam także „obrońca ojczyzny“ i oświadczył, że zamach musi być dziś koniecznie dokonany, że nadarza się po temu jak najlepsza sposobność, gdyż margrabia będzie o godz. 1-ej w Komisji skarbu, której gmach, leżący w głębi dużego dziedzińca, połączony podwórzami z tak zwanym Pałacem dyrektorów i zabudowaniami Banku Polskiego, zapewnia możliwość łatwej ucieczki. Dla zachęcenia Rylla, a prędzej oszołomienia go zupełnie, częstowali go piwem, którego ten wypił trzy duże kufle, wódką, winem i ponczem. Ponawiając mu obietnice pomocy i zapewniając, że wszystko jak najlepiej pójdzie i pójść musi, zaproponował, by zaraz poszli do Komisji skarbu i miejsce dobrze obejrzel. Wyruszyli więc i po drodze wstąpili jeszcze do cukierni w domu Mintra na placu Wareckim, gdzie dziś mieści się Zarząd pocztowy; tu znów „obrońca ojczyzny“ poczęstował Rylla trzema kieliszkami wódki i tłuż szklankami ponczu, do których coś dosypał. Idąc, wstąpili jeszcze do dwóch cukierni, gdzie również pili, tak, że Ryll zupełnie odurzony doszedł wreszcie do Komisji skarbu.

Tu „obrońca“ dokładnie go objaśnił, co i jak ma robić, wsunął mu do kieszeni rewolwer i kazał po zamachu uciekać przez dziedziniec Pałacu dyrektorów ku Bankowi, zapewniając, że na ulicy Elektoralnej będzie mu podana pomoc, poczem, zachęciwszy go kilku gorącymi słowami, zostawił samego i zniknął. Była może godzina pierwsza po południu; dzień był chłodny i wietrzny, rano deszcz padał, ale koło południa się wyjaśniło. Ryll, zostawszy sam, obejrzał jeszcze raz miejscowość. W sieni

Komisji zauważył kilku urzędników, a pod kolumnami podjazdu siedzącą przekupkę, sprzedającą różne wiktuały. Zresztą było tu pusto. Po wielkim dziedzińcu przebiegał czasem jaki urzędnik lub woźny, a dalsze podwórza, przez które zamierzał uciekać, były prawie całkiem puste. Dokonawszy tego nader pobieżnego przeglądu, wyszedł na ulicę, bo pragnienie straszne mu dokuczało. Chcąc je ugasić, wstąpił do najbliższego szynku i wypił kufel piwa, poczem wrócił na swe stanowisko i przeszło godzinę przechadzał się po dziedzińcu, oczekując na margrabiego i nie zwróciwszy na siebie niczyjej uwagi. Znużony temu denerwującym oczekiwaniem, prawie przekonany, że Wielopolski już nie przyjedzie, postanowił odejść, gdy nagle wbiegł na dziedziniec Rzońca, i przechodząc szybko koło Rylla, szepnął mu: „margrabia jedzie!” - Jakoż zaraz potem rozległ się turkot wjeżdżającego na podwórze powozu otwartego, w którym czerniała olbrzymia postać Wielopolskiego. Na koźle, obok stangreta, mieścił się woźny z teką pod pachą. Przez dziwną fatalność, przez ten przypadek, który tak ważną rolę zawsze odgrywa w dziejach pojedynczych ludzi i narodów, wszystko się na to złożyło, by zamach przyszedł do skutku. Ponieważ śledztwo w sprawie Jaroszyńskiego wykryło, że partya ultraczerwieniów pragnie pozbawić życia Wielopolskiego, ponieważ wreszcie policya, pobudzona tem do czujności, miała jakieś, acz bardzo niedokładne i niepewne dane, że się przygotowuje zamach na Naczelnika rządu cywilnego, więc przedsięwzięto niektóre, bardzo zresztą nieznaczące i niewystarczające ostrożności. Polegały one mianowicie na tem, że zwykle codziennie rano sekretarz margrabiego, Vidal, zawiadaniał piśmiennie komisarza cyrkulu I policyjnego, w którego obrębie leżał pałac Brühlowski, dokąd dnia tego margrabia ma się udać, a komisarz natychmiast komunikował o tem odnośnemu cyrkulowi. Wtedy przed gmach, czy to była jaka Komisya, czy Zamek, czy

Belweder, posyłano kilku policyantów, zwykłą po cywilnemu przebranych, których obowiązkiem było bacznie śledzić wszelkie osoby, znajdujące się w pobliżu. Owego dnia, 7-go sierpnia, margrabia zamierzał udać się na posiedzenie Komisji sprawiedliwości i Vidal odnośne zawiadomienie posłał gdzie należy, i na ulicy Długiej od dwóch godzin policyanci uważnie obserwowali wszystkich przechodniów przed gmachem rzeczonyj Komisji. Tymczasem margrabia w ostatniej prawie chwili, wskutek nieznanym nam przyczyn, zmienił zamiar i pojechał do Komisji skarbu. Stało się to tak późno, że Vidal nie miał czasu zawiadomić o tej zmianie policyi. Ta więc nie nie wiedziała, ale za to policya rewolucyjna doskonale była poinformowana, co znaczy, że miała swe stosunki nawet wśród osób, otaczających z bliska margrabiego.

Ryll, powiadomiony przez Rzońcę o rychłym przyjeździe Wielopolskiego, słysząc wreszcie turkot powozu, z razu stanął przy jednym z filarów perystylu, ale że mu tu nie wydawało się dobrze, więc pośpiesznie wszedł do sieni i zatrzymał się po lewej stronie, obok małych drzwi szklanych. Było wtedy trzy kwadransy na trzecią. Tymczasem, gdy margrabia wolno wchodził na schody, prowadzące do sieni Komisji, Ryll wysunął się z po za owych drzwi szklanych i z odległości może dwóch kroków wymierzył rewolwer prosto w piersi Naczelnika rządu. Ale margrabia nie stracił przytomności, szybko podniósł grubą laskę, jaką miał w ręku, i swym potężnym głosem krzyknął: „co ty tu robisz, zbójcu!” Ten krzyk, olbrzymia postawa, podniesiona wreszcie laska, takie wrażenie zrobiły na Ryllu, że się zmieszał, opuścił na dół rewolwer i bez dania wystrzału począł uciekać. Wielopolski, ze strasznie wzburzoną twarzą i ciągle podniesioną laską, postąpił parę kroków za uciekającym, aby krzyknąć: „chwytajcie łotra!” i przekonany, że ten ucieka, że go tam gdzieś złapią, że rzecz cała skończona,

zawrócił się i począł wstępować na schody. prowadzące na piętro. Ale Ryll nie uciekał. Wyskoczywszy z sieni, oprzytomniał widocznie, nie widząc już nad sobą groźnego kija, zatrzymał się, i nie mierzając wcale, z pośpiechem nerwowym dał ognia w kierunku margrabiego, a odskoczywszy jeszcze krok, drugi raz wystrzelił. Pierwsza kula trafiła w szafę, stojącą w sieni naprzeciw wejścia, a druga w drzwi, prowadzące do tejże sieni, a raczej w odrzwia. Ryll, po daniu tych strzałów bezcelowych i świadczących o wyraźnej nieprzytomności strzelającego, począł uciekać, według umowy, ku podwórzom Pałacu dyrektorów i Banku, skąd, jak wiemy, chciał się dostać do ulicy Elektoralnej i tam otrzymać pomoc od przyjaciół. Ale już na donośny krzyk margrabiego puszczono się za nim w pogoń i ogromna wrzawa się podniosła. Pierwszy rzucił się za uciekającym woźny dyżurny, ten sam, który przyjechał z margrabią, Antoni Bajger. Biegł i krzyczał z całych sił: „łapaj! trzymaj!“ Wrzawa ta jeszcze bardziej się wzmogła, gdy stangret margrabiego, Jan Wścislowski, w którego oczach Ryll dał dwa razy ognia, bojąc się porzucić ręce konie, zaciął je i z ogłuszającym trzaskiem powozu i koni popędził za uciekającym, krzycząc także z całych sił: „trzymaj! łapaj!“ A Ryll tymczasem uciekał.

Do ścigających go przyłączył się także niejaki Michał Kozłowski, woźny w drukarni Komisji skarbu, który, usłyszawszy strzały i krzyki, wybiegł i pierwszy dopadł do Rylla. Ten atoli nagle odwrócił się i wymierzył rewolwer do Kozłowskiego, który, chyląc się tchórzliwie, powstrzymał się nagle w pościgu i dał tym sposobem Ryllowi dość czasu dla dostania się już na ostatnie podwórze bankowe. Ale tu zabiegł mu drogę jeden z żołnierzy, którzy trzymali wartę w gmachach bankowych, gefrejter Kuźma Prazdnikow. Ryll nowego tego nieprzyjaciela usunął ze swej drogi także przez zmierzenie się doń z rewolweru, ale już krzyki grzmiały coraz dono-

śniejście, warta żołnierska wybiegła i wszystko to Rylla ścigać poczęło, jak dzikiego zwierza. Ten dopadł jednak do ostatniej bramy Banku, prowadzącej na ulicę Elektoralną. W chwili, gdy tę bramę przekraczał, ujął go z tyłu za ręce stróż, Franciszek Koszanowski, i przy pomocy nadbiegłego gefrejtera Prazdnikowa, oraz dwóch jeszcze żołnierzy, szamoczącego się obezwładnili, rewolwer odebrali i do oficera dowodzącego wartą zaprowadzili. Uwiadomiona o wszystkim policja natychmiast aresztowanego Rylla odebrała z rąk wziniankowego oficera i około godziny czwartej po południu pod silną strażą odstawiła do cytadeli.

Tu objawiły się u Rylla gwałtowne symptomy choroby, mianowicie kurcze i bólesci, tak, że oprócz kilku drobnych zeznań, jak się nazywa i gdzie mieszka, nic więcej się od niego nie można było dowiedzieć. Wezwany natychmiast lekarz główny szpitala wojskowego w cytadeli, dr. Wołoducki, zaopiniował, że powodem choroby był przestrah i pijaństwo, Komisya śledcza wszelako później przekonać się miała, że Ryll był otruty. Jakkolwiek na razie zapobieżono śmierci natychmiastowej, wszelako przyjsć on do siebie nie mógł i aż do końca był chory.

W mieście tymczasem wieść o zamachu z szybkością nadzwyczajną się rozbiegła i na publiczności, przyzwyczajonej już do tego dwoma poprzednimi, nie wywarła wielkiego wrażenia. Tegoż dnia jeszcze, w parę godzin po wypadku, policja otoczyła dokoła dom, w którym mieszkał Ryll u szewca Staniszewskiego, dokonała tam szczegółowej rewizyi, samego szewca przyaresztowała i powiozła do cytadeli. Niemniej aresztowano wszystkich współkolegów Rylla z litografii Regulskiego i Wronskiego i zamknięto ich w dziesiątym pawilonie.

Sam Wielopolski, natychmiast po zamachu, przesłał żonie do pałacu Brühlowskiego, w obawie zapewne, by

przesadzone wieści jej nie zaniepokoiły, krótkie doniesienie tej treści: „strzelono do mnie, mam się dobrze i odbywam dalej posiedzenie.“ Na posiedzeniu tem zauważono jednak, że był silnie wzburzony i gniewny, a gdy powrócił do domu, przybyli doń zaraz z powinszowaniem szczęśliwego ocalenia: W. Ks. Namiestnik Konstanty i bawiający w Warszawie, z powodu chrzcin Wacława, W. Ks. Aleksander Aleksandrowicz, późniejszy Cesarz Aleksander III. Nazajutrz, przyjętym w takich wypadkach zwyczajem, stawili się w salonach pałacu Brühlowskiego: arcybiskup Feliński na czele duchowieństwa, dowódca główny generał Ramsay z całym swoim sztabem, Rady: administracyjna, stanu i miejska, wszyscy konsulowie zagraniczni, władze administracyjne i sądowe, oraz wybitniejsi obywatele miejscy i wiejscy, dla złożenia „wyrazów swej boleści z powodu zamierzonego morderstwa, oraz wynurzenia radości z ocalenia życia“ Naczelnika rządu cywilnego — jak się wyraża relacya urzędowa. Przyjął ich chmurny i dumny, i zwracając się do Rady miejskiej i urzędników różnych władz, wygłosił mowę, w której przedewszystkiem położył nacisk na to, iż do spełnienia zamachu wybrano przeddzień uroczystości chrzcin nowonarodzonego syna Wielko-książęcego, Wacława, ponieważ, jak się zdaje, sądzono, że nowa zbrodnia powstrzyma ogłoszenie o rozmaitych dobroczynnych i zbawiennych środkach, na dzień ten zamierzone; że dążeniem stronnictwa bezrządu jest tamowanie w Królestwie wszelkich ulepszeń; wywoływaniem surowych środków chce ono udaremniać reformy nadane, a pomimo jawnego i codziennego wykonywania reform we wszystkich kierunkach, przez dziennikarstwo zagraniczne tego stronnictwa, przeciwko oczywistej prawdzie, niewykonanie zarzucać i rozgłaszać, oraz rozdrażnienie umysłów rozniecać. „I tutaj znów — zakończył swą mowę — zwolennicy bezrządu w kraju i za krajem omylą się w swoich rachubach.“ Niestety!

w kilka miesięcy później miał się boleśnie przekonać, że nie „stronnicy bezrządu,“ jak ich stale nazywał, ale on się w swoich rachubach omylił.

Tymczasem ze wszech stron posypały się depesze telegraficzne i listy, winszujące Wielopolskiemu, że uszedł ręki zabójczej. Cesarz i Cesarzowa, za pośrednictwem obojga Namiestnictwa, nadesłali wyrazy swego współczucia; W. Ks. Helena Pawłówna, bawiająca teraz w Badenie, także przysłała kilka słów powinszowania; wreszcie z różnych stolic Europy i od różnych dygnitarzy przychodziły depesze, żale, skargi. Nowoprzybyły do Warszawy konsul francuski Valbesan, następca kokietującego z rewolucją Ségura, manifestacyjnie i osobno, razem ze swym sekretarzem Berangerem, zjawił się w pałacu Brühlowskim, by wypowiedzieć w mowie gładkiej i wyuczonej swe ubolewanie nad szaleństwem Polaków. Dobry znajomy Wielopolskiego, członek Rady państwa, hr. Sumarokow, przebywający w tej porze w Dreźnie, nadesłał list bardzo oryginalny i niepozbawiony orientalne obrazowości. „Gdy wilk — pisał — chce pożreć trzodę owiec, stara się przedewszystkiem usunąć psy. Ponieważ pan jesteś najniebezpieczniejszy i najczujniejszy, rzeczą jest prostą, że, po niedawnym zamachu na Jego Cesarską Wysokość, stałeś się celem ich strzałów. Uważam oba wypadki za cud Opatrzności, której pan jesteś wybrańcem, dla oswobodzenia kraju od teroryzmu anarchistów, pod jarzmem których jęczy prawie od dwóch lat. Poluj dalej na tego wilka zgłodniałego.“ Ale jeżeli u obcych zamach wywołał nieklamane oburzenie i zdziwienie nad nierozumem stronnictwa ruchu, w kraju uczucia były różnorodne i nawzajem się neutralizujące. Pan Andrzej Zamoyski, na którego większość szlachty miała zwrócone oczy i według którego się wzorowała, na wieść o zamachu wybuchnął z razu oburzeniem, odezwąło się tkwiące w nim poczucie dobra publicznego. „Idę do niego, idę!“ mówił, i wybrał

się zaraz nazajutrz do pałacu Brühlowskiego. ale przed krątą się zatrzymał, przechadzać się począł w głębokiem zamysleniu i w walce ze sobą samym, z lepszymi swymi instynktami, i wrócił w końcu do domu. nie przekroczywszy progu mieszkania Naczelnika rządu cywilnego. Czas krakowski zaznaczył tylko mimochodem, że zamach był i dodał, że zamach nie wywarł w Warszawie wielkiego wrażenia, co w istocie było prawdą; *Dziennik Poznański*, zawsze trzeźwiejszy i pełen odwagi obywatelskiej. potępił zamach i dodał, że szkodzi on tylko sprawie polskiej. Prasa tajna warszawska, *Strażnica* i *Ruch*, milczała o tym zamachu uparcie, lub półgębkiem się tylko odzywała.

Wśród tego wszystkiego Ryll siedział w cytadeli, ciągle chory, i komisya śledcza z trudnością mogła cokolwiek z niego wydobyć. Rewolwer, znaleziony przy nim, miał jeszcze trzy naboje z nałożonymi na brandki pisto-nami, dwa zaś były wystrzelone, i pochodził z fabryki angielskiej. Więzień nikogo nie wydawał i otwarcie przyznawał się do zamiaru zabicia margrabiego. Ponieważ *Dziennik Powszechny* w parę dni po zamachu ogłosił, że Rylllem opiekował się pewien „hrabia,” więc plotka chwyciła się tego chciwie i twierdziła, że Ryll jest synem nieprawym margrabiego, i snując na ten temat cały romans, stworzyła tragedję o ojco i synobójcy. i że ten syn strzelał przez zemstę za opuszczenie go zupełne. *Strażnica* nawet o pogłosce tej napomknęła i utrzymywała, że „Ryll otwarcie zarzucał margrabiemu kradzież!” Powoli, wśród tych plotek, komisya śledcza dobadywała się prawdy. Aresztowanie wielu osób wykryło naprzd nazwisko sub-jekta księgarskiego od Friedleina—Janickiego, który zdołał się ukryć; wyszło na wierzch powtórnie nazwisko Chnielenńskiego, a co najważniejsza—Łokietka Dąbrow-skiego.

Na tego ostatniego policją już od niejakiego czasu miała zwrócone oczy. Zbytecznie on się rzucał, zbyt ob-

szerne miał stosunki wśród młodzieży cywilnej warszawskiej, z którymi się nie ukrywał, by nie miał wpaść w podejrzenie, które wzrosło właśnie teraz, wskutek szczególnego zbiegu okoliczności z jednej strony, a lekkomyślnej nieostrożności samego Łokietka z drugiej. Właśnie w tej porze, gdy odbywało się śledztwo w sprawie Rylla i ten począł napomykać, że chciano mu dostarczyć wojskowego munduru sztabu generalnego dla łatwiejszego dokonania zamachu, przypadła tak demonstracyjnie obchodzona w roku zeszłym uroczystość unii lubelskiej dnia 12 sierpnia. Ukazały się, jak zwykle, drukowane odezwy, zachęcające do obchodu tej rocznicy. Sama manifestacya miała podobny, jak i w roku zeszłym, charakter. Kobiety na ten dzień zrzuciły żałobę i przybrały się w suknie jasne w barwach narodowych; mężczyźni w białe i kolorowe halsztuki. Od rana kościoły były przepelnione modlącymi się; w warsztatach rzemieślniczych świętowano. Po południu rozpoczęło się wspaniałe *corso* w Alejach Ujazdowskich, z mnóstwem pięknych kobiet, barwnie ustrojonych, które jak kwiaty błyszczwały na tle bujnej zieleni tej ślicznej ulicy. W ogrodzie Saskim spacerowało także wiele kobiet, przybranych w szarfy trójkolorowe, napelniając przepyszne kasztanowe aleje ruchem i gwarem. Między temi kobietami znalazła się także ukochana, a jak teraz, już narzeczona Łokietka Dąbrowskiego, panna Pelagia Zgliszczynska, ustrojona, jak wszystkie, w barwy polskie. Przechadzającej się przez parę godzin towarzyszył ciągle Dąbrowski, ubrany w mundur oficera sztabu, co powszechną zwracało na siebie uwagę już przez to samo, że było to niezwykle widowisko, by oficer rosyjski towarzyszył Polce i jeszcze w dzień taki, w dzień manifestacyi politycznej. Jeżeli wszyscy się temu ciekawie przypatrywali i różne wnioski snuli, tem ciekawiej patrzyła policya i tem bardziej podejrzanę wnioski z tego widoku wyprowadzała. Też samej nocy z dnia 12-go na 13-y sierpnia żandarmi i po-

licya wkroczyła do mieszkania Dąbrowskiego, odbyła u niego scisłą rewizję, znalazła kilkadziesiąt sztuk rozmaitego rodzaju broni, a co najważniejsza, niekompletny mundur oficera sztabu generalnego, taki sam, o jakim Ryll mówił przed komisją śledczą. Przyaresztowano więc natychmiast Dąbrowskiego i powieziono do cytadeli. W kołach wojskowych i policyjnych aresztowanie to nie małą sensację sprawiło, i miano, jak wiemy, uzasadnione podejrzenia, że nakoniec trafiono do samego ogniska spisku. Ale Dąbrowski z posiadania munduru łatwo się wytłuma- czył; Ryll zaś, gdy mu do oczów przyprowadzono Łokietka, odrzekł, „że wcale nie zna tego człowieka.“ Nie się więc urywała, nadzieje bladły, mimo to Dąbrowski zanadto wiele budził podejrzeń, by go miano uwolnić. Trzymano go więc dalej w dziesiątym pawilonie i tym sposobem ten charakter szalony usunięto od akcji w chwili bodaj czy nie najważniejszej. Zobaczymy, że Łokietek, zamknięty, oddzielony od świata, nie przestał jednak cią- głego wpływu na wypadki wywierać.

Ogół tymczasem o tem wszystkim nie wiedział, o Ryllu prawie zapomniiał, gdyż całą jego uwagę zajął od- bywający się właśnie w dniu 14-m sierpnia proces Jaro- szyńskiego, oraz nowy zamach na życie margrabiego, jaki dokonany został nazajutrz, t. j. dnia 15 sierpnia, po owym procesie. Spełnił ów zamach Jan Rzońca, także, podobnie jak Ryll, uczeń litograf, jego dobry znajomy i przyjaciel, biorący czynny udział w pierwszym na margrabięgo machu, dziesiątnik w organizacji, chłopiec młody, zaledwie lat 19 liczący (urodzony w Warszawie z ojca Macieja, czeladnika ciesielskiego, już w czasie tych wypadków nie- żyjącego, i matki Franciszki z Kuśmierskich). Nizki, blon- dyn, dość krępej budowy, pracował w litografii Regul- skiego i lubiany był przez swych kolegów dla przyjaciel- skiego i wesołego usposobienia. Charakter miał przytem niezwykle burzliwy i awanturniczy. W początkach 1862

r., dowiedziawszy się, że w Warszawie, na końcu Leszna, istnieje dom, w którym nikt nie mieszka z powodu, że tam „przeszkadza,“ jak się wyrażano w kołach ludowych, namówił kilku kolegów i znajomych, którzy uzbroiwszy się w noże, siekiery, w co kto mógł, poszli z nim razem do tego domu, w zamiarze przepędzenia tam nocy i przy- patrzenia się z bliska strachom. Ale policyja, uprzedzona przez kogoś, że Rzońca uzbrojony z towarzyszymi knuje jakieś polityczne zamiary, przyaresztowała wszystkich, a przekonawszy się o ich niewinności, po kilku dniach wypuściła. Nie ochłodziło to jednak Rzońcy. Gdziekol- wiek była jakaś awantura, bijatyka, on tam być musiał i zazwyczaj czynny brał udział, nie pytając, kto ma słu- szność, byle się bić i awanturować. Wykształcenie miał nie- wielkie, choć, jak na sfery, do których należał, dość zna- czne; uczył się w szkole elementarnej na ulicy Gołębiej, z której wyszedł ze znajomością czytania i pisania po pol- sku i rosyjsku, oraz z początkami języka niemieckiego. Robotnik z niego był niezły; do litografii Regulskiego przychodził regularnie i zarabiał tygodniowo 6 rub., z któ- rych siebie i wreszcie matkę utrzymywał. Matka ta, wdo- wa staruszka, mieszkała z nim razem w domu № 68 na Starem-Mieście i trudniła się sprzedażą obwarzanków. Pożycie z nią miał niewesołe. Matka często robiła mu wyrzuty, że marnuje pieniądze, że późno wraca do domu, a wielokrotnie zabierała mu wszystek zarobek i grosza nie dawała. Znudzony tem wszystkim, wreszcie nale- żąc do organizacji, chcąc być zapewne swobodniejszym w swych czynach, wyniósł się od matki w pierwszych dniach lipca i zamieszkał w domu przechodnim Roeslera na Krakowskim-Przedmieściu u dymisyonowanych jun- krów: Stanisława Nowińskiego i Józefa Wysockiego, którzy wynajmowali niewielki pokój od jakiejś akuszerki. Nale- żał już wtedy do koła ultraczerwonych, na czele których stali Chmieleński i Dąbrowski, i głośno mawiał, że w ra-

zie potrzeby gotów jest spełnić wszelkie rozkazy władz tajnych. Znał się z występującym w sprawie Rylla subjektem z księgarni Friedleina, Stanisławem Janickim, który u niego często bywał. W końcu lipca zapoznał się z niejakim Saturninem Skrzeczyńskim, subjektem z handlu blawatnego, który przybył do Warszawy z Krakowa, pod pozorem znalezienia sobie zajęcia, i, jak się zdaje, należał do partii międzynarodowej socjalno-rewolucyjnej, gdyż zajmował się przepisywaniem jakiegoś artykułu, który miał wydrukować w piśmie *Głos robotnika*, jakie zanierzano wydawać. W ostatnich czasach przed zamachem Rzońca był mocno zasepiony, co przy jego zwykle wesołym usposobieniu zwróciło uwagę kolegów, tak, że go pytali o przyczynę tego smutku. Odrzekł, że jest zapracowany mocno, skarżył się na wyczerpujące swe zatrudnienie i oświadczył, że radby nieco odpocząć. Wiemy już, że o tej porze stale towarzyszył Ryllowi, brał udział we wszystkich schadzkach na Foksalu i naradach co do zamachu, że nawet uwiadomił Rylla w dzienniku Komisji skarbu o zbliżaniu się powozu margrabiego. Nazwisko też jego w komisji śledczej, prowadzącej badania Rylla, jedno z pierwszych wypłynęło na wierzch. Wezwany wskutek tego do cytadeli, zaparł się, by miał jakikolwiek udział w zamachu Rylla, że nawet o zamiarze tego zamachu nie wiedział. Ryll, pytany o Rzońcę, to samo powiedział, tak, że tego ostatniego zaraz uwolniono. Wzruszenie jednak, straszna groźba, wisząca nad jego głową, tak nań oddziaływała, że, powróciwszy z cytadeli, rozchorował się i parę dni przeleżał w łóżku. Ale była to natura nadzwyczaj wrażliwa i nerwowa; gdy w kilka dni później znalazł się na publicznym procesie Jaroszyńskiego w pałacu Paca, całe otoczenie, cały charakter tego procesu takie nań uczynił wrażenie, że gdy przyjaciele, po wyjściu z sali, poczęli mu mówić, że trzeba margrabiego koniecznie „zgladzić,” od razu zgodził się na to i zawołał: „jutro pójdę bić Wielopolskiego.”

Jakoż postanowienie to chciał wykonać szczerze i wykonał. Nazajutrz, d. 15-go sierpnia, w dzień uroczyste obchodzony przez kościół katolicki, wstał, jako w dzień świąteczny, nieco później niż zwykle, bo o godz. 8-ej rano, i wyszedł razem ze Skrzeczyńskim, który go już, jak się zdaje, miał nie odstępować i pełnić te same obowiązki, jakie przy Jaroszyńskim pełnił Rodowicz, a przy Ryllu sam Chmieleński. Udał się do matki, wziął od niej książkę do nabożeństwa i poszedł do kościoła św. Jana, gdzie padłszy na kolana, modlił się gorąco. O co? o to, by mu Bóg dodał siły do spełnienia złego i zgubnego dla ojczyzny czynu? czy może o lepszą dolę dla tej ojczyzny, którą on i jemu podobni w przepaść popychali? Około godz. 1-ej Rzońca wrócił do domu i poszedł z Wysockim na obiad, poczem wstąpił znów do domu, wyjął z kieszeni wziętą od matki książkę do nabożeństwa i położył ją na stole. W domu zabawił parę godzin, wypił wszystką wódkę, jaką miał w mieszkaniu, a nawet wybiegł sam, by przynieść jej więcej — i pił ciągle. O godzinie 4-ej przyszło do niego dwóch nieznajomych Wysockiemu młodych ludzi, pod pozorem, że chcą razem z nim i Rzońcą zamieszkać, ale ten odrzekł im, że nie ma czasu teraz o tem mówić, i razem z nimi wyszedł. Kto byli ci młodzi ludzie, nie wiadomo; to pewna, że wstępowali do różnych szynków, pili i powoli skierowali się w Aleje Ujazdowskie, gdzie zamach miał być dokonany.

Wiedzieli oni bowiem dobrze, iż margrabia miał zwyczaj nad wieczorem, jeżeli dzień był piękny, wyjeżdżać w otwartym powozie w te Aleje, gdzie zwykle w tej porze cały świat elegancki Warszawy odbywał przejażdżki konne, w powozach i dorożkach. Tu więc udali się i w oczekiwaniu tego przyjazdu usiedli na ławkach naprzeciwko miejscowości, zwanej Doliną Szwajcarską. Tym razem zdecydowano się nie używać broni palnej, którą ci młodzi ludzie, mieszcuchy, władać nie

umieli i dzięki czemu dwa zamachy zupełnie się nie powiodły, ale zaopatrzono Rzońcę w kindżał, którego ostrze pokryto masą zatrutą. Zdaje się, że począwszy od Nowego Światu, rozstawieni byli inni spiskowcy, którzy od kilku już dni śledzili kierunek spacerów margrabskich. Stangret bowiem Wielopolskiego, znany nam z gwałtownego za Ryllem pościgu, Wścislowski, dnia poprzedniego zauważył na wymienionej ulicy mężczyznę, znanego mu już dawniej, z czasów, gdy był w Krakowie, jak przypuszczać można, Skrzeczyńskiego, który na widok zbliżającego się powozu machnął chustką, jakby dając znak stojącemu o kilka kroków odeń mężczyźnie. Było może wpół do ósmej wieczorem, gdy margrabia, mając po prawej ręce żonę, a za sobą jadącego w osobnym powoziku syna, Józefa, ukazał się w Alejach od strony ulicy Pięknej, dążąc do Łazienek. Gdy powóz zbliżył się do miejsca, gdzie siedział z przyjaciółmi Rzońca, ten zerwał się z ławki szybko, jednym skokiem przesadził rów, dzielący aleję pieszą od kołowej, i rzucił się na stopień pojazdu. Tu, uchwyciwszy się jedną ręką za powóz, drugą wydobyl z pod palta szeroki kindżał i starał się nim uderzyć margrabiego w szyję. Ten uniknął niechybnej i męczącej śmierci dzięki temu, że się wporę uchylił, tak, że kindżał uderzył bokiem w kapelusz i nasunął go mocno na oczy Wielopolskiego. W tejże chwili stangret Wścislowski, czy na krzyk margrabiego, czy też zauważywszy wskakującego na stopień Rzońcę, tak silnie uderzył go biczem po twarzy, że ten zachwiał się na razie, mimo to utrzymał się na stopniu i powtórnie dla zadania ciosu podniósł kindżał. Ale Wielopolski już się zerwał na nogi, i zdolawszy wydobyć rewolwer, wymierzył go w pierś szaleńca. Ten myślał teraz tylko o swem ocaleniu. Szybko zeskoczył na ziemię i począł uciekać Aleją w stronę miasta. Lecz już go ścigano. Syn Wielopolskiego, Józef, adający, jakeśmy wspomnieli, za ojcem z tyłu, świadek



tej całej strasznej sceny, wyskoczył z powozu i wraz z lokajem swoim, Kańskim, i puścił się w pogoń za uciekającym; to samo uczynił stangret margrabiego, Wścislowski, który oddawszy leżce siedzącemu obok siebie lokajowi, wyruszył także w pogoń za Rzońcą. Wszyscy trzej krzyczeli co mieli sił: „łapaj! trzymaj!” — a Józef hr. Wielopolski prócz tego dawał gwałtowne i przeraźliwe sygnały świstawką, którą miał przy sobie.

Rzońca tymczasem uciekał pędem, przesuwał się wśród zdumionej i przerażonej publiczności, z której nikt nie myślał go zatrzymywać. Pierwszy zastąpił mu drogę niejaki Kutner, dynisyonowany radca honorowy, jak go nazywa sprawozdanie urzędowe, zdaje się Rosyanin, który szedł ze swą żoną. Starał się on uchwycić za odzież uciekającego, lecz ten podniósł dobyty z pod ubrania kindżał i z dzikiem wejrzeniem zamierzył się na niego. To poskutkowało; Kutner odskoczył na bok, zostawiając Rzońcy wolną drogę. W chwili, gdy radca honorowy za innymi zaczął krzyczeć: „trzymaj!” z pośrodku tłumnie nadbiegającej publiczności wysunął się jakiś młody człowiek i tonem groźnym rzekł: „milcz!... bo z tobą może się stać to samo!” — poczem znikł w zbiegowisku, a Kutner uznał za stosowne nie mieszać się nie do swoich rzeczy i nie brać udziału w dalszym pościgu. A pościg ten zwiększył się teraz dwoma policyantami: Franciszkiem Moterem i Janem Kiliczewskim, którzy stali na straży w Alei.

Wśród tego wszystkiego Rzońca, dobiegłszy do rogu ulicy Pięknej, skręcił w nią nagle. Tu niejaki Edwin Nefe, pomocnik mechanika głównego telegrafów warszawskich, Kurlandczyk rodem, usłyszawszy za sobą krzyki: „łapaj! trzymaj!” — odwrócił się i spostrzegł pędzącego Rzońcę, a za nim p. Józefa Wielopolskiego z pistoletem w ręku i wołającego, że strzeli, oraz innych ludzi. Rzońca, biegnąc, rzucił po drodze kindżał, a potem pochwę od

niego. Wtedy Nefe zastąpił mu drogę i zatrzymał go, a zaraz też nadbiegł p. Józef Wielopolski, służba i policyja, i ostatecznie obóz władniono Rzońce. Wśród nadzwyczajnie tłumnego zbiegowiska publiczności poprowadzono Rzońcę bladego, ciężko dyszącego, z oczami błędnymi, do powozu, w którym siedział margrabia. „Czy to ty zamierzałeś mnie zabić?—spytał tenże—i co cię do tego spowodowało?—Napół nieprzytomny Rzońca, widocznie straciwszy świadomość, do kogo mówi, odrzekł głosem krzykliwym: „tak, panie generale! chciałem to uczynić z rozpacz!“. W drodze do cyrkułu policyjnego, dokąd go także odprowadzał p. Józef Wielopolski, na zapytanie tegoż, kogo miał zamiar zabić? Rzońca odpowiedział: „wszystko jedno kogo, księcia, czy margrabiego Wielopolskiego, czy nareszcie jakiego generała, aby tylko dostać się do więzienia i być wolnym od kłopotów, jakich od matki doświadczałem.“ Gdy skutek jakiegoś gwałtowniejszego ruchu Rzońcy p. Józef Wielopolski zagroził mu, gdyby chciał uciekać, wystrząsał z pistoletu, który ciągle trzymał w ręku, Rzońca odrzekł dumnie, że „nie ucieknie, bo jest szlachcicem polskim.“

W kancelaryi cyrkułu policyjnego, dokąd Rzońca był przyprowadzony, bez wahania wymienił swe imię i nazwisko, oraz gdzie mieszka, i przyznał się do zamachu, twierdząc, że jedynie rozpacz go zmusiła i oplakany z matką stosunek; że chciał bądź-co-bądź do więzienia się dostać, że o jego zamiarze nikt nie wiedział i nikomu się z nim nie zwierzał; jednym słowem, czynowi swemu starał się odjąć wszelki charakter polityczny.

Zapytany, skąd dostał kindżał? odrzekł, że przed trzema dniami kupił go od nieznajomego mu Czerkiesa na tarasie zamkowym za 2 złp. i kilka groszy. Przy rewizyi znaleziono przy nim w kieszeni czapkę, choć na głowie miał kapelusz; tłumaczył się, że w razie udania się do zamachu, chciał kapelusz zrzucić, a natomiast włożyć czapkę,

by tem snadniej w tłumie się ukryć i pogoń zmylić. Po tych przedwstępnych badaniach odesłano go do cytadeli, a policyja tymczasem i wojsko otoczyło dom Roeslera, w którym Rzońca mieszkał, i nie wpuszczając, ani nie wypuszczając nikogo przez noc całą, dokonała tam jak najściślejszej rewizyi i Nowińskiego wraz z Wysockim przyaresztowała. W cytadeli na Rzońcy okazały się objawy tej samej choroby, której ulegli Jaroszyński i Ryll, coby dowodziło, że był on także otruty. Wezwany natychmiast naczelnny lekarz szpitala wojskowego Aleksandrowskiego zaopiniował, że więzień w tym stanie zdrowia nie może być badany; odłożono to do dnia następnego, a tymczasem zajęto się oględzinami kindżału. Pokazało się, że brzeszczot jego pokryty był grubą warstwą jakiejś szarej masy, a po poddaniu jej analizie, na przód w laboratorium szpitalnem, a następnie w laboratorium Akademii medycznej, przekonano się, że jest to gwałtowna trucizna, zwana strychniną. Gdy jeden gram tej masy zeszkrobano z kindżału, rozpuszczono w wodzie i na lyżeczce od kawy wiano do pyska dwumiesięcznego szczenięcia, to po trzech sekundach zdechło, pieniać się i męcząc szkaradnie. Sama masa była mieszaniną strychniny z gumą i w ogólności znajdowało się jej na kindżale około 20, czystej zaś strychniny około 10 gramów. Rada lekarska w Królestwie zaopiniowała przytem, że strychnina silniej i prędzej działa wprowadzona do krwi, niż do żołądka. Ci więc, którzy kindżał tą gwałtowną trucizną nasmarowali, doskonale byli obznajmieni z jej właściwościami—i gdyby margrabia został choćby lekko zadraśnięty przez Rzońcę, to z pewnością nie uniknąłby śmierci.

Zamach ten wywołał o wiele silniejsze, niż poprzedni, wrażenie w mieście i kraju całym. Dwa zamachy w ciągu tygodnia świadczyły w każdym razie o gwałtowności prądów, targających stronnictwem rewolucyjnem, o jego silnych namiętnościach, o postanowieniu niecofania się

przed niczem. Tajemniczy dreszcz grozy przeszedł po wszystkich: każdy, kto nie stracił jeszcze poczucia istotnych potrzeb i korzyści krajowych, ujrzał, że lecimy w przepaść, w której strzaskaną zostanie na długo kość pacierzowa ciała narodowego i jego samoistość.

Już w publiczności, będącej w Alejach Ujazdowskich świadkiem zamachu, odezwało się zdrowe poczucie mas, że tą drogą nie dojdzie się nigdy do zbawienia ojczyzny. Gdy margrabia, zaraz po ujęciu, wracał, kłaniali mu się, tu i owdzie nawet odzywały się okrzyki i powinszowania, że ocalał przed ręką skrytobójcy. Tegoż dnia jeszcze, samym wieczorem, pojawili się w pałacu Brühlowskim wszyscy konsulowie i składali Wielopolskiemu wyrazy radości z powodu ocalenia jego życia, „drogiego dla kraju i społeczeństwa,” jak się wyrażali. Zamach ten zresztą rzucił straszliwy popłoch na sfery najwyższe rządowe. W. Księżę, w obawie, by ultraczecwieńcy nie posunęli się do jakiego szalonego kroku, pod pierwszym wrażeniem trwogi przysłał margrabiemu zaraz wieczorem dwóch kozaków ze straży z rozkazem, by go strzegli. Posypały się ze wszystkich stron telegramy i listy w ilości o wiele znaczniejszej i tonie dobitniejszym, niż po pierwszym zamachu. Cesarz, za pośrednictwem W. Księcia Namiestnika, przysłał depeszę, w której, obok zwykłych wyrażen z powodu ocalenia życia Wielopolskiego, zalecał W. Księciu i margrabiemu, ażeby zachowywali wszelkie możliwe środki ostrożności i zakończył temi słowy: „myśli moje są z wami, niech was Bóg strzeże!” W. Księżna Helena Pawłówna, bawiąca ciągle w Badenie, nadesłała także telegram, w którym pisała: „od zgrozy do zgrozy idziemy! Niech Bóg czuwa nad wami i zmiłuje się nad waszą ojczyzną!” Księżę Górczakow, minister spraw zagranicznych rosyjskich, w zwykłym swym stylu, nieco patetycznym, telegrafował: „Bóg cię osłania widocznie. Tu (w Petersburgu) zyskałeś

współczucie wszystkich; twej odwadze niezachwianej oddano świetną sprawiedliwość. Osobiście dumny jestem z tego, że cię odgadł od razu. Podobnie jak ty, tak i my nie zejdziemy z dotychczasowej drogi postępowania względem Polski. Mam nadzieję, że, przy energii, Warszawa będzie oczyszczoną z tego gniazda zbrodniarzy, których bezkarność rzuciłaby plamę na cześć narodową.”

Nadesłali mu także depesze jego przyjaciele, a rzecz można i wielbiciiele petersburscy, ambasadorowie: Fournier i lord Napier; z Polaków zaś: Zygmunt Helcel, stary przyjaciel margrabiego, i Roman Załuski, ale podobno mało kto więcej. W kilka dni później przyszedł list (wydrukowany na naczelnem miejscu w *Dzienniku Powszechnym* i przez wszystkie pisma powtórzony) od ks. Macieja Majerczaka, administratora dyecezyi Kieleckiej, w którym pisał, że mu się „krew w żyłach ścina na myśl o następstwach tak strasznego zamysłu,” lecz dwukrotne ocalenie margrabiego „napełniło go tą radością, pełną nadziei, i tem niezachwianem przekonaniem, że Bóg jest za narodem i kierunkiem Wielopolskiego.” Nazajutrz rano W. Księżę razem z żoną złożył wizytę margrabiemu i długo z nim rozmawiał, a przedmiotem tej rozmowy nie mogło być nic innego, jak nowy zamach i jego następstwa. Koło południa, zwykłym obyczajem, zjechali się do pałacu Brühlowskiego wszyscy dygnitarze krajowi i wszyscy przedstawiciele władz rządowych. Ponieważ arcybiskup Feliński nie był obecny w Warszawie, gdyż udał się z wizytą pasterską do dyecezyi, więc na czele duchowieństwa stanął ks. biskup sufragani Plater, oficyał Paweł Rzewuski i reprezentanci wszystkich klasztorów warszawskich. Byli tam i ministranci luterscy i kalwińscy, byli rabini żydowscy. Był Ramsay, dowódca główny wojsk w Królestwie, Rada stanu, Rada administracyjna, Rada miejska z prezydentem Woydą na czele, który właśnie miał się dowiedzieć na tem publicznem zebraniu o swem

uwolnieniu „dla dobra służby.“ Z pośrodku tego świetnego i błyszczącego zgromadzenia wystąpił radca tajny Łęski, przyszły minister, sekretarz stanu w Petersburgu po Tymowskim (który, dzięki wpływowi Wielopolskiego, miał być wkrótce usunięty), i w imieniu Rady administracyjnej, której był członkiem, jako dyrektor Komisji skarbu, miał mowę do Wielopolskiego. W przemowie tej, przygotowanej wcześniej i zapewne z wiedzą margrabiego, Łęski „wynurzył silne życzenie,“ jak się wyraża relacja urzędowa, aby Naczelnik rządu cywilnego w obecnych okolicznościach nie wyjeżdżał bez zbrojnej eskorty.“ Życzenie to nie było pierwszym, jakie w tej sprawie doszło do Wielopolskiego. Już Cesarz, jakśmy to widzieli, i W. Księżę domagali się, by margrabia otoczył się koniecznymi ostrożnościami, by przestał uczęszczać do kościołów, gdzie, sądzono, że mu największe grozić może niebezpieczeństwo.

To też na wyrażone przez Łęskiego „usilne życzenie“ odrzekł wśród owego, prawie publicznego zgromadzenia, że, pomimo poprzedniego zamachu, unikał używania eskorty, wszakże ze względu, iż życie jego w teraźniejszych okolicznościach coraz więcej do kraju należy, że wreszcie, z powodu uporeczywie ponawianych zamachów, eskortę przyjąć musi. Dodał przytem, że mordercze usiłowania i ponawiane groźby przeciw niemu „zgrai, która stolicą ować zapragnęła, nie złamają go na duchu, ani z obranej drogi nie strąca.“ Odtąd w rzeczy samej w pałacu Brühlowskim zaprowadzono mnóstwo straży i ostrożności. Na dziedzińcu stała kompania piechoty, dla której w prawym skrzydle urządzono specjalną kordegardę, a jeden żołnierz dzień i noc na platformie przed nią się przechadzał, mając baczne oko na to zwrócone, co się w całym obejściu pałacowym dzieje. Przed wielką bramą od ulicy, która odtąd zawsze była zamknięta, stało ciągle około dziesięciu policyantów, kto-

rzy nikogo nie przepuszczali do środka, nie wybadawszy go wprzód starannie.

W małych ogródkach od ulicy Wierzbowej stały także stráže wojskowe, których bagnety widać było przez kraty żelazne i z poza muru; w ogrodzie głównym, ciągnącym się z tyłu pałacu i rozdzielonym od ogrodu Saskiego tylko murem, także stała straż, prócz tego zdjęto schody żelazne, po których z balkonu zstępowano do tego ogrodu. Co się tyczy eskorty, która miała margrabiego otaczać w czasie jego wyjazdów na miasto, to z razu chciano mu dać kozaków, z jakimi jeździł W. Księżę i jego żona, ale odmówił i wziął ku swej obronie żandarmów. z tego względu głównie, a co silnie charakteryzuje Wielopolskiego, że oddziały żandarmeryi, w Królestwie stojące, znajdowały się na jego etacie i tym sposobem niejako były wyobrazicielami autonomii kraju. Odtąd ukazywał się zawsze na ulicach w zamkniętej karecie, o której całe legendy się potworzyły, że była z wierzchu i spodu blachą stalową okuta, zaprzężonej w dwa szparokie, siwe konie, otoczony dziesięciu żandarmami, z których dwóch biegło przodem, dwóch z tyłu, a po trzech po bokach. Ciężka ta jazda pędziła z wielkim trząskiem i hukiem, co razem z turkotem jadącej wyciągniętym klusem karety napełniało ogromną wrzawą ulice, tak, że przejazd Wielopolskiego zwano „siną lub gradową chmurą.“ *)

Odtąd rozpoczęło się dla niego prawdziwie męczeńskie życie, każda chwila była zatruta niepokojem. Z uro-

*) Lisieki (Le marquis, II, 329) powiada, że żandarmi ci uważali Wielopolskiego za więźnia stanu i przytacza taką anegdotę: Podoficer dowodzący eskortą pewnego dnia, siadając na konia, rzekł: „Panie Boże, kiedy Cesarz zdecyduje się na zesłanie tego buntownika na Syberyę i uwolni nas od tej pańszczyzny?“ Anegdota powyższa, jeżeli nie jest prawdziwą, to w każdym razie nie jest pozbawioną pewnej dozy soli attyckiej.

dzenia ziemianin, przywykły do ruchu. do powietrza. do szerokiego oddechu pól i lasów, teraz musiał siedzieć zamknięty, odmawiać sobie przechadzek pieszych. wycieczek za miasto, potrzebnych dla jego konstytucji fizycznej, przywykłej do tego wszystkiego. Zawsze jadł bardzo wiele, bardzo łakomie i szybko. co przy ruchu i świeżem, wiejskiem powietrzu, dotąd mu nie szkodziło. ale teraz zły wpływ na jego zdrowie wywierać zaczęło i prawdopodobnie w tych dniach ciężkich i bolesnych powstał w nim zaród choroby, która go w kilkanaście lat później do grobu zawieść miała. Mimo jednak tych nadzwyczajnych ostrożności, jakimi go otaczano i jakimi, przez dziwną obawę w takim olbrzymie, sam się otoczył, partya czerwono-rewolucyjna usiłowała w ostatnich dniach sierpnia jeszcze jednego dokonać zamachu na jego życie. Wśród mnóstwa listów, które codziennie odbierał, jeden z nich, przyniesiony z poczty, sam otworzył. a że był skreślony bardzo drobnem i bladawem piśmem, a margrabia był krótkowidz. więc poszedł do okna i list bardzo blisko przysunął do twarzy. W tejże chwili zrobiło mu się niedobrze, co się nawet parę razy powtórzyło. Sekretarz margrabiego, znany nam już Maksymilian Vidal, wzięwszy z kolei ów list, doznał także silnego zawrotu głowy. Sam list był obojętnej treści, analiza chemiczna, której był poddany, nic nie wykryła, nie ulegało wszelako wątpliwości, że jakiś pył trujący w piśmie tem się znajdował. Sprawę całą zachowano w najściślejszej tajemnicy, tak, że nie doszła ona do wiadomości ogółu. Śledztwo, jak większa część śledstw tej epoki, do żadnych rezultatów nie doprowadziło—i sprawca tego nowego zamachu, przypominającego średniowiecznych włoskich trucicieli, prawdopodobnie na zawsze będzie nieznany.

Wszystko to, dręcząc fizycznie i moralnie Wielopolskiego, współcześnie rozdrażniało go niesłuchanie i popychało do kroków, którychby napewno w innych wa-

runkach i przy spokojniejszym poglądzie na rzeczy nigdy nie był zrobił. Do rzędu takich kroków należy osławione rozporządzenie o kapeluszach, które w trzy dni po zamachu Rzończy ukazało się w *Dzienniku Powszechnym*, wywołując prawdziwą burzę przeciw margrabiemu i narażając go na najgorsze z następstw, bo na śmieszność. „Urzednicy władz wszelkich — czytamy w tym, jedynym w swoim rodzaju rozkazie — otrzymali od zwierzchników swoich polecenie, aby, oddzielając się od stronnictwa bezrządu, które w ostatnich czasach zakazało mężczyznom używania formy kapeluszy, w cywilizowanej Europie w zwyczaju będących, nosili odtąd publicznie kapelusze cylindrowe, gdyż wszelkie inne, jakiegobądź nakrycie głowy poczytane im będzie za współudział w manifestacjach, narzuconych Warszawie przez bandę zлочynców.“ Polecenie to, z kobiecą drobiazgowością zajmujące się ubraniem urzędników, śmieszne i pełne współcześnie goryczy i złe ukrywanego gniewu w swej podstawie, było podobno pomysłem Miniszewskiego, owego dziennikarza wywłoki i rewolucjonisty, który teraz stał się bardzo legalnym i bardzo lojalnym, i właśnie w tych dniach został urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy dyrektorze Komisji spraw wewnętrznych. Ale Miniszewski, dając taką radę, miał tyle taktu i wstydlivosti, że chciał, by polecenie to zamknięte było wyłącznie w sferach urzędowych i by na zewnątrz różnych dykasteryi nie wyszło; Wielopolski zaś w gniewie i uniesieniu, które jest zawsze złym doradcą, kazał to niefortunne rozporządzenie o kapeluszach ogłosić publicznie przez dzienniki. Nie zastanowił się nad tem, że rząd, który się ucieka do takich środków, który rozkazami zmusza swych członków do objawienia swej lojalności, przestaje być rządem, głośno przyznaje się do klęski. A nadewszystko dla tłumów dowcipnisiów miejskich, czyhających chciwie na wszelkie potknięcie się margrabiego. była to sposobność nielada, by jej wyzyskać nie mieli

Ten wielki minister, przedstawiający zawsze siebie samego jako poważnie zamyszonego nad losami ojczyzny i nad najważniejszymi zagadnieniami jej bytu, nagle mieszejący się do toalety swych podwładnych, był tak tragicznie śmiesznym, tak zmałał fatalnie w oczach wszystkich, że jeżeli kto miał jeszcze jaką wątpliwość co do tego, to ją postradać musiał.

Prasa też polska zagraniczna i miejscowa tajna z chciwością rzuciła się na owe nieszczęsne kapelusze i porównała je do znanych rozkazów o goleniu bród i oświepcaniu cygar na ulicach. *Strażnica* zaznaczała z ironią pełną złośliwości, że „Wielopolski przeprowadza takie rzeczy, o które rozbiła się cała wysoka intelligencja Kruzensterna. Przed paru dniami, pod zagrożeniem dymisji, rozkazano wszystkim urzędnikom przywdziać na głowę wysokie kapelusze. Prawdziwie genialna to głowa Wielopolski, kiedy takie zmiany w państwie zaprowadzić umie.“ W innem znów miejscu to samo pismo powiada: „Potwornym rozkazem o kapeluszach stanowczo odstrychnął (Wielopolski) od siebie urzędników i wykazał, jakiego to gatunku posiada rozum; a jakkolwiek urzędnicy nie okazali dosyć charakteru i siły, jakkolwiek nie utrzymali swej godności, gdyż w wielkiej liczbie przywdziali cylindry, to zawsze sława rozumu margrabiego stoczyła się w przepaść głupstwa i śmieszności, razem z niskimi kapeluszami z głów tchórzliwych urzędników, i margrabia spadł na szczebel, na którym walczyć musi z szydzącymi z niego ulicznikami! Otóż to jest rozum tyle sławiony i okrzykiwany! Rozkaz noszenia wysokich kapeluszy wywołał tak dalece nieprzyjemne wrażenie na wszystkich, nawet na zwolenników i wielbicieli margrabiego, że zatarł oburzenie, jakie zamachy spowodowały, i zmroził wiele objawów korzystnych tak dla Wielopolskiego, jak i dla kraju. Zdarzyło się, że właśnie w tej porze szlachta zapadłej Pińszczyzny, zebrawszy się na sejmiki, przerażona wypadkami warszawskimi, postanowiła zbiorowy przeciw nim wygotować pro-

test. Jeszcze zastanawiano się nad tem, kto i jak ma ten protest podpisać, czy ogłosić go w dziennikach, czy też przesłać na ręce Naczelnika rządu cywilnego, gdy wtem poczta przyniosła nieszczęśliwe rozporządzenie o kapeluszach, które tak obruszyło większość, że rozjechało się, nic nie postanowiwszy. Przykre to następstwo nierozumnego rozporządzenia Wielopolski doskonale zapewne odczuwał, ale był nadzwyczajnie rozdrażniony i nadzwyczajną trapiący obawą. Głośno teraz po Warszawie opowiadano sobie, prawdziwą czy nie, ale bardzo charakterystyczną pogłoskę, że margrabia był w tak nieustannym paroksyzmie strachu, iż do jednego z urzędników Komisji spraw wewnętrznych, zbliżającego się doń niespodzianie z papierami, strzelił z rewolweru, który teraz stale przy sobie nosił, ale, na szczęście, chybił.

Mimo tych wszystkich faktów, działających ujemnie na dodatnią stronę zamachów, t. j. na oburzenie i zgrozę, jaką one wywołały, oburzenie to jednak było tak silne, że brało górę i dało początek całemu szeregowi objawów, które, gdyby Wielopolski spokojnie i umiejętnie był wyzyskał, byłby może na inną drogę pchnął losy polskie i swoje. W archikatedrze, we dwa dni po zamachu, w niedzielę, biskup Plater, w zastępstwie ciągle nieobecnego ks. Felińskiego, odprawił solenne nabożeństwo za ocalenie życia Wielopolskiego. Odprawiały się też nabożeństwa w całym kraju, zwłaszcza, że co do tego otrzymały wszystkie władze dyecezyjne wyraźne polecenie dyrektora Komisji wyznań i oświecenia, Krzywickiego. Pisał on pod dniem 16-m sierpnia, że „duchowieństwo, które z powołania przewodniczyć winno objawom, potępiającym wszelkie zboczenia z drogi chrześcijańskiej moralności, a tem bardziej zbrodni, nie da się wyprzedzić innym stanom w wyrażeniu swego współczucia i w modlitwach dziękczynnych z powodu powtórnego ocalenia, tak wielce dla kraju pożytecznego.“ Odprawiano więc nabożeństwa.

które, jeżeli dla swego charakteru oficjalnego nie mogły mieć głębszego znaczenia, to za to niespodziewane wystąpienie dwóch gazet warszawskich z potępieniem zamachu było dowodem, że reakcja przeciw ultraczerwiencom budzi się potężnie w umysłach. *Gazeta Polska* pomieściła zaraz nazajutrz po zamachu Rzońcy artykuł, napisany przez J. I. Kraszewskiego, artykuł pełen bolesnego zwątpienia w przyszłość narodową. Autor pyta: „jest-li to ten sam nasz kraj poświęceń, heroizmu, gotowości do czystych ofiar, rozplamienia uczuciami szlachetnemi? Jest-li to kraj nadziei, jakim był przez kilka wieków, czy kraj rozpacz, jakim go uczynili fabrykanci fałszywych doktryn?” „Tak, jesteśmy na tej niebezpiecznej spadzistości, po której potoczyć się możemy w przepaść. Słowo rozsądku bezsilne, zaklęcie na ojczyznę odepchnięte; wyrazy próżno rozbijają się o kamienne jakieś osłupienie; najświętsze mowy wiatr roznosi... zostaje, co przedtem było, rozpacz. Przeklęty, kto ją zrodził! Ludzkość w swych dziejach i narody w swem życiu nie znają rozpacz, dopóki im świeci wiara w siebie i wiara w przyszłość. Zwątpiliżemy o sobie? Dzień po dniu przynosi tego dowody, które przerażają i obalają nawet najtrwalszych, niepewność ogarnia umysły, zwątpienie mrozi serca.” „Żaden przecie naród nie odrodził się takimi rozpaczliwymi zapasy z pojedynczymi osobami. Historya nie składa w rękach indywidualów losów narodu, one są jej narzędziami, pomocnikami, tłumaczami, nigdy jedynym czynnikiem i koniecznym. Gdy myśl przerażona cofnie się do obchodu dnia 2-go marca, do tej uroczystości wielkiej, poważnej, pełnej rezygnacyi i namaszczenia, co za straszliwa różnica! jaka niezmierna przestrzeń nas od niej dzieli! Zamiast iść na przód, zeszliśmy w nierozwidnione żadnym promykiem manowce... zamiast postępu, widzimy upadek, zamęt w pojęciach, zwątpienie w sercach.” „Ludzie teoryi i doktryn przewrotnych wiodą łączną do obłąkania młódz, która w sercu, nie w ro-

zumie, szuka przewodnika; dajemy się ślepo prowadzić takim, co sami nie śmiać działać, bez litości i czci używają narzędzi, na których nierozwite władze rachują. Gdzie zająć mamy? dokąd nas to poprowadzi? Niech wszyscy uczciwi ludzie w sercach swych odpowiedzą.” Na artykule tym pięknym i silnym znać jednak nożyce cenzury, która go w wielu miejscach szkaradnie pocięła i poszarpała, mimo to nie pozostał on bez wrażenia, gdyż był wyrazem pojęć i wyobrażeń ogromnej większości intelligencyi krajowej.

Kraszewski w swym artykule zaznacza, że wszystkiego powiedzieć nie może: „czemuż nie wolno nam roztoczyć tu myśli tak, jakby ona na widok tego czarnego obrazu chciała się rozwinąć?” Niestety! wieleby się wypowiedzieć pragnęło, a mało wyrzec można. W jednym słowie zamyka się obraz chwili całej: „nieszczęście.”

Gazeta Warszawska w parę dni później wydrukowała w tej samej sprawie niemniej silny i potępiający zamachy artykuł wstępny, pióra Keniga. „Kto rzucił w serca nasienia rozpacz—pyta autor,—kto przysposobił umysły do chwytania się teoryi nie na naszym wyrodzonych gruncie, na tym niech boleść i łzy pokoleń, jako klątwa, wołająca o pomstę do Boga, ciąży. Ale rozpacz jest strasznym grzechem przed Bogiem, więc kiedy przed Bogiem, to i przed ojczyzną. Staliśmy i ostaliśmy się wiarą, nią tylko dalej wspierać się możemy, a niemierna narodu większość ani na chwilę jej nie straciła, pomimo prób najcięższych; nawet wśród najwyższych boleści nie dała sobą rozpacz owładnąć.” „Występujemy w imię miłości ojczyzny, której głos brzmi w sercach, gdy inne nawet umilkły, w imię tego sumienia narodowego, które z rozkoszą rozpatruje jasne karty dziejów swego kraju i czuwać winno, by przyszłe nie ustępowały poprzednim w czystości. W przeciągu siedmiu tygodni w mieście naszym zaszło kilka zamachów. Czy spełniający je mogli i chcieli spojrzeć w straszną przyszłość, w jaką całość kraju za sobą powlec chcieli? Czyż nie słyszą głosów,

swobodnie występować mogących, a wołających do nich z innych stron Polski o upamiętanie? Czyż nie widzą około siebie przerażenia, że sprawa narodu może być zaprowadzoną na zgubne rozdroża? Czyż наконец nie wiedzą, że wszelki zamach podobny w ostatecznym wypadku osłabia tylko sprawę, w której imieniu był spełniony? że kładzie oręż w ręce jej przeciwników? „Czy słowa nasze trafią tam, gdzie je kierujemy, czy uleczą niektóre serca? Bóg niech to sprawi—Bóg, którego karcąca, ale zarazem opiekuńcza ręka jest w sprawach kraju naszego widoczną dla każdego, kto w ducha pokorze przypomni sobie tak niedawne dni, rozważy bieg wypadków i badać zechce, czy to ludzka je zgotowała ręka? Występując dziś z tem usiłowaniem nawrócenia rozpaczą zbłąkanych, z tą proteścya, wypełniłiśmy obowiązek, jaki na nas sumiennie, a przede wszystkim miłość kraju nakłada.“ Artykuły te, niestety! nie trafiły tam, dokąd je kierowano, nie uleczyły niektórych serc, a choć nie pozostały bez znacznego wrażenia na wszystkich ludzi rozumniejszych, na Czerwieńców, o których szło najwięcej, nie wpłynęły wcale, owszem autorów tych odezw, których odwagę cywilną w czasach tak gorących podziwiać i za wzór stawiać należy, naraziły tylko na dotkliwe obelgi i oskarżenia ze strony tajemnych pisemek rewolucyjnych.

Wśród tego wszystkiego zbliżył się dzień kaźni Ludwika Jaroszyńskiego,znaczony w confirmacyi wyroku przez W. Księcia Namiestnika na 21-y sierpnia. Po mieście przed dniem tym krążyły najróżnorodniejsze pogłoski; wielu twierdziło, że W. Książę ułaskawi skazańca, że będzie nad nim tylko wykonany pozorny obrządek powieszenia, ale w ostatniej chwili pod szubienicą, jak w dramacie romantycznym, zjawi się poseł W. Księcia z wyrokiem ułaskawiającym. Dnia 21-go sierpnia, w czwartek, od wczesnego poranku tłumy zaległy pola przed cytadelą, gdzie na jej stoku, mniej więcej w tem samym

miejsku, gdzie dziś znajduje się dworzec kolei Nadwiślańskiej, sterczała ponura, czarno pomalowana szubienica, rysując się wyraźnie na jasnym, pogodnym niebie sierpniowym. Dzień był ciepły, nieupalny; powietrze przy lekkim wietrze wschodnim nadzwyczaj duszne i suche. Wśród gromadnego zbiegowiska widzów, złożonych przeważnie z klas najniższych, powtarzano sobie Bóg wie skąd zaczerpnięte wiadomości o ostatnich chwilach Jaroszyńskiego. Mówiono więc, że do końca zachował niczem niezakłócony spokój ducha, a nawet pewną wesołość, że wczoraj zjadł z apetytem wieczerzę i zaprosił na nią będącego przy nim Kapucyna, ks. Honorata. Nie ulegał wszakże wątpliwości, że liczył na ułaskawienie do ostatniej chwili. Z Ojcem Honoratem przepędził ostatnie dwa dni i dwie noce swego życia. Księdzu nie wolno było wydalać się przez ten czas z cytadeli i dopiero wieczorem w wigilię kaźni pozwolono mu pojechać po Komunię świętą. Jaroszyński nie widział w swym czynie żadnego przestępstwa, a gdy mu O. Honorat przedstawiał, że czynem tym obraził Boga, dał poznać, że uważa księdza za nieprzychylnego sprawie ojczystej. Z wielkiem zdziwieniem i niedowierzaniem słuchał jego słów. Wyspowiadał się jednak i do końca był dość spokojny; przekonany wreszcie, że popełnił przestępstwo, tłumaczył się przed księdzem swą nieświadomością. W dniu kaźni przed godziną 9-tą rano ukazał się wychodzący z bramy cytadeli orszak żałobny, złożony z piechoty z dobozami na przedzie, którzy uderzali monotonna w bębny. Jaroszyński jechał, siedząc na ławce, na wózku kwadratowym, zwanym „karą“, z O. Honoratem obok siebie, otoczony dookoła żandarmami z dobytą bronią. Ubrany był czysto i starannie, umyty, uczesany i nieco dziko spoglądał przed siebie. Piechota otoczyła szafot. Jaroszyńskiego wprowadzono na szafot okutego w kajdany, które dopiero pod szubienicą rozkuto. Gdy włożono nań śmiertelną

koszulę i ręce mu w tyle związane, a ksiądz z wózka krzyżem go błogosławił, bo mu na szafot wstępu wzbroniono. Jaroszyński coś mówić począł, ale nieustanny turkot bębnow zagłuszył jego słowa.

Trup Jaroszyńskiego, owinięty w białą koszulę śmiertelną, z pod której wyglądały jego duże nogi, wisiał na szubienicy aż do późnej nocy, zapewne na postrach dla wszystkich, przez cały dzień oglądany przez liczne tłumy z pomiędzy najniższych klas ludności.

Zaraz nazajutrz po tragicznej śmierci Jaroszyńskiego ukazało się ogłoszenie w urzędowym *Dzienniku Powszechnym*, że w sobotę dnia 23-go sierpnia sądzonym będzie Ludwik Ryll, który się dopuścił zamachu na margrabiego w sieni Komisji skarbu, ale że sąd ten odbędzie się w Komisji wojennej w cytadeli, z powodu, że „podług zdania lekarzy, wezwanych dla zaopiniowania o stanie zdrowia Ludwika Rylla, tenże, mimo znacznej ulgi w słabości, na jaką zapadł zaraz po aresztowaniu go, nie może być stawiony przed sądem publicznym.”

Jakkolwiek powód ten był prawdziwym, wszelako wobec sądu jawnego, jakiemu podlegał Jaroszyński, wobec gloszonej skłonności W. Księcia do sądów publicznych, powrót do dawnych form stał się źródłem tysiąca przypuszczeń i plotek wszelkiego rodzaju. Odżyła pierwotnie rozpuszczona i uparcie teraz powtarzana pogłoska że Ryll jest nieprawym synem margrabiego, i że tenże, lękając się, by w sądzie jawnym rzecz ta nie wyszła na wierzch, kazał swego syna nieszczęśliwego sądzić tajnie, przy zamkniętych drzwiach, gdzieś w głębi cytadeli. Byli i tacy, co i *Strážnica* zaznaczyła, którzy głośno mówili, że Ryll wie o jakiejś kradzieży, jakoby przez margrabiego dokonanej, i że o tem w Komisji rozpowiadał i dlatego tajnie sądzonym będzie. Tak to złość ludzka i namiętności polityczne dopuszczają się najhaniebniejszych, najplugawszych oszczerstw, by znienawidzonego człowieka potępić.

Wszystko to jednak było kłamstwem, czego najlepszym dowodem było to, że nad Rzońcąznaczono na tenże dzień 23-go sierpnia, jak nad Jaroszyńskim, sąd publiczny w białej sali pałacu Paca. obrońcą z urzędu wyznaczony został mecenas Józef Karpiński, człowiek bardzo zacny, doskonały znawca prawa, ale adwokat nieosobliwy. Już poprzednio chciano mu powierzyć obronę Jaroszyńskiego, lecz bawił on wtedy z rodziną w Ojcowie, i właśnie teraz, ledwie powrócił do Warszawy, na dwa dni przed procesem Rzońcy, zgłosił się doń sędzia Kamionowski i uwiadomił o poleceniu Komisji sprawiedliwości. Zaopatrzono go zaraz w bilet wolnego wejścia do cytadeli i kazano stawić się przed margr.. Wielopolskim. Karpiński, mocno niezadowolony z tego wszystkiego, udał się natychmiast do cytadeli, widział się z Rzońcą, który zrobił na nim wrażenie człowieka słabo rozwiniętego umysłowo i który uparcie twierdził, że zamach nie miał charakteru politycznego, że głównym powodem, dla którego dopuścił się tego przestępstwa, było zniechęcenie do życia. Gdy Karpiński w naznaczonym terminie zjawił się u margrabiego, ten dał mu takie same jak Grobickiemu, obrońcy Jaroszyńskiego, ostrzeżenie.

Bilety wejścia na ten sąd, w ograniczonej liczbie, wydawał, obok innych władz, prezydent miasta, p. Zygmunt Wielopolski. Wszystko zresztą odbywało się tak samo, jak w sądzie nad Jaroszyńskim; przewodniczył generał Merchelewicz, oskarżał audytor sztabu głównego. Rzońcę przywieziono w karecie zamkniętej, otoczonej silną strażą kozacką. Miał on na nogach kajdany, które, idąc, dzwonił głośno; ubrany był w swe suknie, mocno podniszczone. Małego wzrostu, jasny, prawie aż popielaty blondyn, bez zarostu, wyglądał po prostu na wyrostka, którego do pewnego stopnia cieszyła ta wielka ważność, jaką nadawano jego figurze, ta straż, ten sąd złożony z generałów, ta uroczysta powaga dokoła. Wesola jego twarz, male, ruchliwe, śmie-

jące się oczy przebiegały z przedmiotu na przedmiot, nigdzie długo się nie zatrzymując. Przedstawiał on skończony typ ulicznika warszawskiego, wyrosłego i wychowanego przez ulicę wielkiego miasta. Wprowadzony do pokoju obok sali głównej, obrzucił on szybko oczami znajdujących się w niej oficerów i wartę, i siadłszy na ławce, poprosił jednego z żandarmów, żeby mu kazał przynieść kawy, a tymczasem zapalił papierosa. Gdy mu kawę z najbliższej cukierni przyniesiono, wypił ją z wielkim apetytem, poczem znów palił papierosy i już przez cały czas, do chwili wezwania go do sądu, nie spuścił wzroku ze swych nóg, pogrążony w smętnej jakiejś zadumie. Gdy przyszedł przywołany kowal dla zdjęcia kajdan i Rzońcę doprowadzono do kowadła, na chwilę stracił swój obojętny spokój i nogi widocznie pod nim dygotały. W sali sądowej, w owej pysznej białej sali, gdzie niedawno rozległ się wyrok śmierci, wydany na Jaroszyńskiego, widać było na stole, zielonem suknem nakrytym, dowody rzeczowe zamachu, a mianowicie: czapkę, którą znaleziono w kieszeni przy Rzońcy, i sżyłet zatruty strychniną. Sala była pełna; publiczność jednak przeważnie składała się z wojskowych. Przed kratą, niedaleko sądu, stała niemłoda już kobieta, uboga ubrana, matka Rzońcy, z twarzą czerwoną, pospolitą, przekupki warszawskiej. W czasie czytania aktu oskarżenia, nadzwyczaj długiego i napisanego zwykłym stylem referatów rządowych, Rzońca zachowywał się zupełnie obojętnie na to, co o nim w tej chwili mówiono, i na tę publiczność, która, z oczami ciekawie weni wlepionymi, śledzić się zdawała najdrobniejsze drgania jego fizyognomii. Ożywił się dopiero nieco, gdy prezydujący, po ukończeniu aktu oskarżenia, zapytał: czy przyznaje się do winy? Wstał i głosem młodzieńczym, biegając niespokojnie oczami dokoła, odrzekł, że nie, że on wcale nie miał zamiaru zabijania Wielopolskiego, że w jego czynie nie było nic politycznego, że chciał tylko, by go

uwięziono, wręszcie stracono, bo mu życie się sprzykrzyło i stosunek do matki był oplakany.

Był to ten sam system obrony, którego się trzymał przed komisją śledczą, system, dzięki któremu, podobnie jak dwaj jego poprzednicy, nikogo nie wydał i śledztwo nigdy się nie dowiedziało wszystkich szczegółów przygotowania zamachów. Gdy prezydujący zapytał Rzońcę, dlaczego, kiedy mu szło tylko o aresztowanie, po nieudanym zamachu począł uciekać i zastępującym mu drogę groził nawet sżyłetem,—nic nie odrzekł, bo i cóż miał powiedzieć? Wreszcie sąd odwołał się do pomocy matki, by zakłęła syna do przyznania się i wyjawienia wszystkich szczegółów zamachu. Matka wystąpiła tedy na przód i ze łzami zadość uczyniła woli sądu; ale Rzońca dość obojętnie wysłuchał prostackich zakłec matki i wcale się niemi nie wzruszył. Obrońca obwinionego, adwokat Józef Karpiński, starał się udowodnić, że ponieważ zamach Rzońcy nie ma cechy przestępstwa politycznego, więc nie powinien podlegać kompetencji sądów wojennych, ale cywilnych, gdyż w ogłoszeniu o stanie wojennym w Królestwie było wyraźnie powiedziane, że tylko zabójstwo, w celu politycznym dokonane, będzie sądzone na zasadzie polowych praw karnych; prosił dalej, by przy sądzeniu zwrócono uwagę na przyczyny moralne, które zmusiły Rzońcę do przestępstwa, t. j. na biedę materyalną, jakiej doznawał, na nieporozumienia w rodzinie, pragnienie wydobyć się z położenia przykrego, nakoniec na wiek młody przestępcy.

Wszystko to jednak nie wpłynęło na sąd. Wyroku nie ogłoszono w sali, gdzie odbywały się rozprawy; przy ich ukończeniu tylko prezydujący zaproponował matce Rzońcy, ażeby pożegnała się z synem, co też ta uczyniła, szlochając głośno, ale nie mogąc przełać zapewne swego udanego wzruszenia na syna, który zachował swą poprzednią oswiałą obojętność. W dniu tym tak Ryll przez

sąd tajny w cytadeli, jak i Rzońca przez sąd jawny w pałacu Paca. skazani zostali na pozbawienie wszystkich praw stanu i na śmierć przez powieszenie. Krwawy ten wyrok zaraz nazajutrz, d. 24 sierpnia, został przez W. Księcia Konstantego zatwierdzony, a samą egzekucję dwóch przestępców naznaczono na dzień 26 tegoż miesiąca. Miano nadzieję, że Wielopolski postara się o uwolnienie od śmierci tych chłopców, namówionych przez innych. Ale margrabia w tej porze był zanadto rozdrażniony i zanadto przerażony, by miał się o to starać; w naturze jego przysięm leżała zemsta za wszelkie zło, jakie mu kiedykolwiek i ktokolwiek wyrządził.

Ponieważ Ryll i Rzońca sięgnęli po jego życie, ponieważ nabawili go trwogi, umrzeć więc musieli, łaski dla nich i przebaczenia nie było i być nie mogło. Powieszono więc ich obu we wtorek, d. 26 sierpnia, o godz. 9 rano. Na placu, na stoku cytadeli, zebrało się mnóstwo publiczności, coraz ciekawszej tego rodzaju krwawych widowisk. Poranek był nadzwyczaj chłodny i Rzońca, stojąc na szafocie, wyraźnie dygotał z zimna, a może z trwogi przed śmiercią i z żalu za życiem młodem. Ryll był tak chory, że go prawie wniesiono na szubienicę, i całkiem nieprzytomny. Ciała obu wisiały w swych białych koszulach śmiertelnych do późnej nocy.

Prasa tajna nie pominęła sposobności, by bluzgać potokiem żółci i jadu na Wielopolskiego. *Strażnica*, zwykle dość spokojna, tym razem wpadła w gwałtowne uniesienie, przekraczające granice przyzwoitości drukowanego słowa.

Kiedy tak stronnictwo rewolucyjne używało wszelkich sposobów, plotek ustnych i oszczerstw drukowanych, by rząd zożydzić w oczach narodu, rząd też uznał, że po długim i jak najgubniejszym dla niego milczeniu należy się także odezwać publicznie, odwołać się do sumienia i serca narodu. Inicyatywę w tym względzie dał

Krzywicki, nowy dyrektor Komisyi oświecenia, który w tym rządzie, porywanym także, pod wpływem rozdrażnionego i rozgoryczonego swego naczelnika, przez namiętności chwili i zaślepienia, patrzył na rzeczy najchłodniej i najtrzeźwiej, co zapewne zawdzięczał swej naturze i szkole, jaką przeszedł w Petersburgu. W kilka dni po zamachu Rzońcy wydał on okólnik do wszystkich zwierzchników zakładów naukowych, w którym, właściwym sobie stylem jasnym i pełnym prostoty, niemniej przeto niepozbawionym pewnego uroku i piękności, zaznaczał naprzód, że „jeżeli świętym jest obowiązkiem każdego pojedynczego obywatela potępiać występne teorye, w imieniu ojczyzny propagowane, teorye, z których płynie szalony obłąd, ogarniający masy, prowadzący do fałszywych o dobro kraju wyobrażeń, nakazujący bezbożnie używać nawet zbrodni, aby to dobro osiągnąć — niemniej świętym jest obowiązkiem władzy upomnieć tych, co od niej wprost zależą, aby każdy wszelkimi siłami opierał się temu zgubnemu prądowi, który może unieść w jakąś ciemną i straszliwą przepaść wszystkie zasady, jakie kraj od wieków szanował, wszystkie uczucia, na których stoi moralność narodu, wszystkie nadzieje lepszej przyszłości, których ziszczenia serce każdego Polaka tak gorąco pragnie.“ Wzywał więc wszystkich nauczycieli szkół, przypominając im niebezpieczeństwo obecnej chwili i ważność ich stanowiska, aby wpływali na młodzież. „Nauka — pisał, — z której płyną zdrowe zasady, jest ich (nauczycieli) powołaniem; powaga wyższej myśli i lepszej rzeczy ludzkich znajomości jest podstawą ich wpływu; sąd o tem wszystkim, co społeczność ludzką podnosi, a co ją poniża, co dla niej jest marzeniem, a co prawdą, co ją zabezpiecza, a co burzy — jest fundamentem tego zaufania, jakie ich otaczać powinno. Niechże każde ich słowo dowodzi, że na wysokości tego stanowiska stoją; niech każde ich ocenienie obecnych wypadków napiętnowane

będzie tą dojrzałością sądu, jakiej po nich oczekują ich znajomi, przyjaciele, władza edukacyjna, jakiej wymagać mają prawo rodzice, oddający im swe dzieci, jaka święta jest ich powinnością względem tej młodzieży, której wyobraźnia rozbudza się wprzód niż rozum, którą odurzyć najłatwiej, na której też myśl niedoświadczoną i pojęcia niedojrzałe wichrzyciele polityczni najpierwej i najskuteczniej działać usiłują. Równie w kółkach domowych jak i w zebraniach towarzyskich, każdy członek zgromadzenia nauczycielskiego znajdzie sposobność jawnie i chłodno objawić swój sposób zapatrywania się na ten nieszczęśliwy stan umysłów, do któregośmy doszli; każdy nie tylko prostem oburzeniem, ale i rozumowaniem, opartem na niezbitnej logice wypadków, powinien mieć odwagę przekonać, jeżeli mu kogo przekonywać przyjdzie, że nigdy i nigdzie dobro kraju nie wyrosło ze zbrodni; że drogą zawichrzeń do pomyślności powszechnej dojść niepodobna; że to zły i fałszywy patryotyzm, który prowadzi do zupełnej ruiny tej ziemi, którą każdy nadewszystko kochać, której pokoju, bezpieczeństwa, całości i kwitnienia pragnąć powinien.“ Odezwa ta, piękna niezaprzeczenie, przejęta najszczerzą, najgorętszą miłością ojczyzny. pełna strasznych przeczuć na przyszłość, które, niestety! stać się miały rzeczywistością, jak wszystkie odezwy tej doby, za późno przyszła i skutku prawie żadnego nie wywarła. Ciało nauczycielskie albo zdjęte było strachem przed rewolucją, zarażone brakiem prawdziwie obywatelskiej odwagi cywilnej, albo też w swoich młodszych członkach przejęte było ideami powstańcami i należało nawet do organizacji powstańczej. Tacy nauczyciele jak najgorzej oddziaływali na młodzież i nie myśleli wcale nikogo przekonywać, że „zły to i fałszywy patryotyzm, który prowadzi do ruiny tej ziemi,“ bo oni pewni byli, że z tej ruiny, z tych popiołów Polska, jak bajeczny Feniks, odrodzi się i powstanie młoda, świeża, potężna i nieśmiertelna.

Krzywicki, nie poprzestając jednak na tem, wystosował jeszcze jeden okólnik do nauczycieli religii i do opiekunów szkół elementarnych. Przypomniawszy, że Jaroszyński kilkakrotnie i nagłać pytał namawiającego go do zamachu Chmieleńskiego, „czy prawdziwym jest katolikiem,“ „czy go bierze na swoje sumienie i czy zamach istotnie dla dobra ojczyzny posłuży,“ zwracał ich uwagę na tę smutną, jak się wyraził, okoliczność, że w „kraju naszym można napotkać ludzi, w których sercu tak słabo ugruntowane są najprostsze zasady katechizmu, mówiące o bojaźni Bożej i miłości bliźniego; że w społeczności naszej mogą krążyć tak ujemne pojęcia o dobru kraju, o znaczeniu chrześcijanina i katolika, że są ciemni, których w jednej rozmowie przekonać można, że ojczyzna da się zbawić zabójstwem, że katolik może w jej imieniu zabijać, że kraj może uczcić mordercę, że ktokolwiekbyś może wziąć na swoje sumienie cudzą zbrodnię i zbrodniarza od gniewu Boga, od zgryzot wewnętrznych i od ciężaru grzechu uwolnić i zasłonić.“ Wobec tego Komisya wyznań i oświecenia upomina wszystkich nauczycieli religii i opiekunów szkół elementarnych i rzemieślniczych, „aby na to zgubne skrzywienie wyobrażeń szczególną zwrócili bacność.“ „Niech nie zaniedbują żadnej sposobności — mówi dalej, — aby wpoić w umysły tę tak prostą, a tak często pomijaną prawdę, że kto kraj swój prawdziwie kocha, kto szczerze pragnie przyczynić się do jego pomyślności, jednym słowem, kto chce być dobrym obywatelem, nie do nadzwyczajnych wysiłków uciekać się, lecz w obranym zakresie codziennie, nieustannie, póki życia starczy, z chrześcijańską wytrwałością i ufnością w wyroki Opatrzności pracować powinien. Niemasz stanowiska, na któremby nie można najskuteczniej służyć krajowi; czy powołaniem czyjem jest urząd, czy warsztat, czy książka, czy pług, wszędzie i zawsze poszanowaniem praw Boskich i ludzkich, szacunkiem swojego stanu, sumiennem spełnia-

niem jego obowiązków, pracą i tylko pracą prawdziwie i po synowsku rodzinnej ziemi służyć może.“

Lecz najważniejszą, najdonioślejszą z tych wszystkich odezw rządowych była odezwa W. Księcia Namiestnika do narodu, ogłoszona dnia 27-go sierpnia. a więc nazajutrz po wykonaniu wyroku na Ryllu i Rzońcy. Odezwa ta, zredagowana przynajmniej w zasadniczej swej osnowie przez Wielopolskiego, została ogłoszona przez wszystkie dzienniki i wydrukowana dużym pismem na wielkich arkuszach białego papieru, rozesłana w ogromnej ilości egzemplarzy do wszystkich miast, miasteczek i wsi i rozlepiona na miejscach najwidoczniejszych. Wydanie jej teraz doradził margrabia, on, który nie chciał, aby się odwołano do narodu po zamachu Jaroszyńskiego, co słuszne musiało budzić podejrzenie, że strach paniczny, jaki nim owładnął po dwóch zamachach na niego, był główną pobudką tego kroku. Cesarz, uwiadomiony o zamiarze ogłoszenia publikacji, zgodził się na nią i pisał: „oby Bóg dał, by odezwa wywarła skutek zbawienny.“ Tym sposobem ukazał się nakoniec ten plód, zbyt późno na świat zrodzony i przez to samo niemogący wyrzucić tego „zbawiennego skutku“, którego tak gorąco pragnął Cesarz Aleksander II. Wielki Książę, znacząc z początku, że mianowanie go namiestnikiem było „niewątpliwym dowodem dobrotliwych chęci Cesarza“ ku Polakom; że przyjmując te obowiązki, nie tał przed sobą trudności zadania, „lecz czystość uczuć“ jego, „nadzieja w Boga i w udziale wszystkich Polaków, ojczyznę prawdziwie kochających i o jej rzetelne dobro troskliwych“, dodała mu otuchy; i że w takim usposobieniu usłuchał głosu monarchy, „a w zakład uczuć swoich przywiózł z sobą co ma sercu najdroższego, małżonkę swoją i dzieci,“ a to nazajutrz po zamachu na przedstawiciela Cesarza. „Wszakże — brzmiała dalej odezwa, — zanim jeszcze stopy moje dotknęły się waszej ziemi, uzbrojone już było ramię mordercy, który wnet cios mi miał zadać. Śmierć czyhała

na mnie w pośrodku rzeszy wychodzących na moje spotkanie i postępowała za pierwszymi krokami moimi, kiedy szedłem przed ołtarze Pańskie. Łaską tylko Boskiej Opatrzności zostałem ocalony. Odtąd dwa jeszcze zamachy spełniono na mężu, którego ufność Cesarza i Króla dodała mi z pośród was jako współpracownika w wielkim moim powołaniu. Ramię sprawiedliwości dotknęło winowajców. Rząd Najjaśniejszego Pana będzie umiał ukrócić występne knowania, a osłonić opieką prawa ludzi dobrej woli.“ Po tym wstępie następują takie słowa: „Polacy! czyliż dopuścicie, aby występne stronnictwo, nieliczne, lecz zapamiętałe i do najohydniejszych środków uciekające się, stawiało zapory między tronem i narodem i tamowało spełnienie zamiarów Najjaśniejszego Pana? Czyliż ścierpicie, aby pod pozorem wolności i miłości ojczyzny potworne sprzysiężenie teroryzowało naród bezustannymi groźbami? Bądźcie godni pełnych chwały przodków swoich, pamiętajcie, że dotąd żadna karta dziejów waszych nie nosiła na sobie zmazy czynów tak ohydnych. Postępowaniem waszem przekonajcie świat cały, że zrzucacie z siebie solidarność wszelką zbrodni, naród hańbiących.“ Tu odezwa wymienia nadane już reformy i kończy się jak następuje: „Nie dopuszczajcie więc, aby zupełne ich (reform) wykonanie i dalsze rozwinięcie tamowane być mogło przez zbrodnicze stronnictwo, poświęcające dobro kraju ziszczeniu swych zasad wywrotu, przez stronnictwo, umiejące tylko niszczyć, ale nie budować! Polacy! połóżcie we mnie zaufanie równe temu, jakie ja w was położyłem. Połączcie się ze mną w jednym uczuciu, pracujcie wspólnie i zgodnie około dobra Polski, prosząc Boga, aby usiłowaniom naszym błogosławił, a nowa epoka dobrego bytu i szczęścia otworzy się dla tej ojczyzny, którą tak miłujecie.“

Czy w kraju, od dwudziestu blisko miesięcy podniecanym przez odezwy, pełne częstokroć ognistego zapалу takie słowa chłodne mogły wyrzucić na masy, na tłumy,

o które szło głównie, jakiegokolwiek wrażenie? A przytem proklamacja w niczem nie uspokajała tych wszystkich umysłów, które drżały na myśl powstania, ale zarazem uważały, że teraz jest jedyna chwila, w której można zażądać jakiejś pewności, jakiejś wieczystej gwarancji, że nadane reformy będą dalej rozwijane i nie ulegną wcześniej czy później odmianie. Tej pewności odezwa nie dawała. Na 54 wiersze tekstu zawierała ona zaledwie ośm poświęconych najważniejszej kwestyi, t. j. kwestyi reform, które uważała jako „zadośćuczynienie prawdziwym potrzebom,” ale o ich przyszłości nic nie mówiła i nadziei dalszego ich rozwoju nie robiła. To też wszyscy umiarkowani, wszyscy ludzie starsi, żalowali mocno, głośno uskarżali się, że w proklamacji nie zaznaczono, nie położono nacisku na to, iż reformy nigdy nie będą cofnięte, nadane koncesye odwołane. Odzywali się oni, że skoro już Namiestnik raz przemówił, a przemówił dlatego, że ujrzał przepaść pod nogami kraju, którym rządził, to powinien był przedewszystkiem wyszukać takie zakłęcie, takie słowo uroczne, któreby mogło wpłynąć na uspokojenie umysłów. Takim zaklęciem czarodziejskiem, według umiarkowanych, mogło być publicznie i głośno wypowiedziane zapewnienie, że koncesye odebrane nie będą, i takie słowo byłoby paktem nowym między Polską i Rosją, po zerwaniu i zdeptaniu przez obie strony wszystkich dawnych paktów. Inni znowu uważali, że jakkolwiek proklamacja W. Księcia nie może być uważana za akt takiej uroczystej międzynarodowej umowy, przecież do pewnego stopnia przez samo odezwanie się do narodu polskiego jest niejako gwarancją moralną, że rząd z drogi, na którą wszedł, nie chce się cofnąć, a przynajmniej nie prędko i nie łatwo się cofnie. Przeciw tym opiniom jak najgwałtowniej występowało stronnictwo Czerwieńców. Twierdziło ono, że proklamacja niczego nie dowodziła i niczego nie gwarantowała, że jest ona po prostu wynikiem trwogi, jaka ogarnęła Wielopolskiego po dwóch ostatnich

zamachach; że chciał on przez szereg słów patryotycznych uspokoić kraj i sobie zapewnić życie. Gdyby bowiem było inaczej — mówili oni, — to czemuż W. Książę nie wydał takiej odezwy zaraz po zamachu Jaroszyńskiego? Wszak okoliczności były te same, i wyrzuciwszy cztery wiersze o „dwóch zamachach, spełnionych na mężu, którego ufność Cesarza i Króla dodała mi jako współpracownika,” proklamacja mogłaby być równie dobrze ogłoszoną dnia 5-go lipca, jak i 27-go sierpnia. Odezwa więc nie jest wcale obrazem uczuć wielkoksiążęcych, nie jest żadną gwarancją moralną, że rząd drogi, na którą wszedł, nie opuści tak łatwo i prędko, że wreszcie w proklamacji nie idzie o zabezpieczenie życia W. Księcia, który nie wydał proklamacji po wystrzale Jaroszyńskiego, ale idzie głównie o wykazanie grozy i ohydy, leżącej w zamachu na męża, wybranego „z pośród was.” Jednem słowem, proklamacja jest wyłącznie dziełem Wielopolskiego i gwoi jego spokojności osobistej napisana.

Wszystkie te starcia, spory i dyskusye świadczyły wszakże o jednym, że proklamacja W. Księcia na umysły klas wyższych, na ludzi umiających myśleć i zastanawiać się, wywarła wrażenie nie swemi słowami lub treścią, ale tym faktem, że W. Ks. Konstanty przemówił nakoniec do Polaków i wzywał ich, by się z nim „połączyli w jednym uczuciu, dobru Polski.” Już teraz najbardziej różowo patrzący na położenie widzieli, że jeżeli rzeczy pójdą dalej tym samym jak dotąd torem, to wybuch powstania zbrojnego w jak najkrótszym czasie jest rzeczą nieuniknioną, a nie było znów takiego człowieka w ówczesnej Polsce, z wyjątkiem zaciętrzewionych rewolucjonistów, któryby nie był przekonany, że powstanie zbrojne to największe nieszczęście dla kraju. Wydawało się zatem wielu, że teraz jest najsposobniejsza chwila, by opierając się na wezwaniu W. Księcia, wypowiedzianem w proklamacji w słowach: „połączcie się ze mną w jednym uczuciu, pracujmy wspólnie i zgodnie około dobra Polski,” istotnie dać gremialne

poparcie rządowi przez akt odpowiedni i tym sposobem położyć tamę rewolucyjnym i zgubnym dążnościom garści ludzi, nikomu nieznanym, którzy zuchwale wzięli na siebie kierownictwo losami Polski. Myśl ta wśród szlachty, wśród byłych członków Towarzystwa rolniczego, wśród prowincjonalnej organizacyi białej, wszędzie znajdowała uznanie. Zjeżdżano się, naradzano, mówiono bardzo wiele i ogromne ożywienie dało się spostrzegać w kraju, zwłaszcza w Lubelskiem, Radomskiem i Augustowskiem. Ożywienie to nie mogło się nie odbić na Dyrekcyi białej w Warszawie, na którą nacisk z prowincyi robiono, która zresztą nie potrzebowała być naciskana, by widzieć, że chwila jest ważną i że krok jakiś stanowczy uczynić należy. Podobnie więc jak na prowincyi, naradzano się i tutaj, schodzono, dyskutowano, a w dyskusjach tych brało udział wielu ze szlachty prowincjonalnej, którzy powoli zjeżdżali się do Warszawy, pociągnięci ważnością wypadków, poczuciem, że w tej chwili łamią się losy przeznaczeń polskich i że od kroku, na jaki stronnictwo umiarkowane się ostatecznie zdecyduje, zależeć będzie przyszłość kraju. Na tych naradach w Dyrekcyi białej, odbywających się w różnych miejscach, przeważnie po prywatnych mieszkaniach jej członków, a najczęściej u Władysława hr. Zamoyskiego i u Kronenberga, nabyto tego przekonania, że jeżeli się teraz nie zapobiegnie, to powstanie niechybnie w ciągu kilku miesięcy wybuchnie. Ale co robić? jak zażegnać zbliżającą się burzę? jaką tamę niszczącej fali postawić? Jedyne środki widziano w przywróceniu konstytucyi z 1815 r. i w przyłączeniu do Królestwa tak zwanych prowincyi Zachodnich, a przynajmniej nadania im podobnych reform, jakie Królestwo już otrzymało. Sądzo, że tym sposobem, nyskawszy tak szerokie ustępstwa, będzie można dążności rewolucyjno-powstańcze zahamować i koniec im położyć, zapominając, że Czerwieńcom i ogromnej większości narodu nie szło wcale o konstitu-

cyę i reformy, rozszerzone nawet na Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę, ale o niepodległość zupełną. Wszelako Dyrekcyja mniemała, że jeżeli rząd robi to nowe ustępstwo, to ona, oparta na całej szlachcie, na wszystkich ludziach trzeźwych i rozumnych, zdoła hydrze rewolucyi kaganiec nałożyć. Bądź-co-bądź, takie warunki postawiła i w takim tylko razie przyrzekła dać swoje poparcie rządowi. Szło teraz o to, by się dowiedzieć bezpośrednio, czy Wielopolski nie jest przeciwny tym żądaniom i czy, chociażby w dalszej przyszłości, starać się będzie o ich urzeczywistnienie, a pośrednio wybadać go, dokąd on właściwie dąży i czego chce. Dla nabycia takiego przeświadczenia, uchwalono wysłać deputacyę do margrabiego z gro-na Dyrekcyi. Czy jednakże, tak mocodawcy, jak i ich mandataryusze, wierzyli w możliwość takiej kombinacyi? czy mogli przypuszczać z dobrą wiarą, że margrabia, jako wysoki urzędnik, jako człowiek rozumny wreszcie, zgodzi się na ich żądanie? Z pewnością między zebranymi nie było ani jednego, któryby mógł wierzyć w to, że rząd rosyjski ustępstwo takie uczyni, niezmuszony do niego koniecznością, lub wyczerpaniem zupełnem po długiej i krwawej wojnie. Wszyscy o tem wiedzieli, a jednak stawiali takie postulaty, bo tak im kazały ówczesne aspiracye narodowe. Wszakże, mimo niewiary w powodzenie swego posłannictwa, deputacya udała się do pałacu Brühlowskiego. Margrabia przyjął ją bardzo ozięble, bardzo chmurno i bardzo dumnie, co tych panów mocno, już zaraz z początku, ochłodziło. Mimo to, wypowiedzieli mu cel swego przybycia i zapewnili jak najuroczyściej, że jeżeli margrabia żądania, które mu przedstawiono, uzna za słuszne i dobre i jeżeli obieca działać w ich myśli, choćby w dalekiej przyszłości, to w takim razie całe stronnictwo umiarkowane będzie mu bezwarunkowo posłusznem i będzie spełniało dane sobie rozkazy, bez wymagania jakichkolwiek od Wielopolskiego objaśnień. Margrabia, wysłucha-

wszy w milczeniu deputacyi. odrzekł sucho i dumnie: „Wszczego, ani niczyjego poparcia nie żądam i nie potrzebuję. Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy.“ Była to odpowiedź straszna dla obu stron, pełna grozy tragicznej.

Wielopolski wiedział dobrze, iż wszelkie nadzieje na poparcie jego polityki, jeżeli nie przez kraj cały, to przynajmniej przez jego najwybitniejsze warstwy, stanowczo rozpadły i rozwiały się, jak zwodniczy miraż w pustyni; że został sam, sam jeden z olbrzymim ciężarem na barkach i że ten ciężar wcześniej czy później nowego Krzyżtofora polskiego sobą przyniesie. Skończyły się dni nadziei, zbliżał się z niepowstrzymaną siłą ostatni akt dramatu, ostatnie jego rozwiązanie. To samo widzieli deputowani i Dyrekcyja. Przed ich wyobraźnią podnosiło się już ponure, krwią ciekące widmo powstania, jako nieunikniona teraz, logiczna i fatalna konieczność.

Ale życie, wypadki, przedza dziejowa ma nieraz zupełnie inną logikę, niż ludzie. Zdarzył się bowiem mniej więcej w tym czasie fakt, który inny kierunek nadał myślom członków Dyrekcyi, a nadewszystko który zmore powstania oddalał w nieskończoność przyszłych kolei dziejowych. Fakt ten był wynikiem długiej, tajemnej intrygi, snutej cierpliwie i wolno koło W. Księcia i omotującej go powoli; z intrygi tej jednak, mającej za podstawę prywatę i urazy osobiste, przez szczególne zrządzenie losów, wykwiatało zbawienie dla Polski. Źródłem tej intrygi był Aleksander hr. Przeździecki, znany w literaturze zbieracz i archeolog, żywiący jeszcze od czasu zapisu Świdzińskiego, przez którego był mianowany jednym z wykonawców testamentu, głęboką i niezatartą urazę do Wielopolskiego i czekający tylko sposobnej chwili, by się na margrabim dotkliwie pomścić. Zapoznał on się, a może znał się od dawna z generałem Chreptowiczem, marszałkiem dworu W. Księcia, i przy pomocy tegoż, na wspólną z Francisz-

kiem Węgłęńskim, pracowali, by podkopać w W. Ks. Konstantym ufność do margrabiego. Węgłęński, członek niegdyś Komitetu Towarzystwa rolniczego, podobnie jak wszyscy, od dawna margrabiemu nie sprzyjał, a w dodatku teraz świeżo dotkliwie przezeń obrażony został, a przynajmniej uważał się za obrażonego.

Margrabia pragnął, za jedno z ogniw swego planu postawił sobie oddanie wszystkich najwyższych urzędów krajowych w ręce najwybitniejszych przedstawicieli szlachty. Jak wiemy, gubernatorstwa oddał już takim przedstawicielom; dyrektorstwo Komisji spraw wewnętrznych w myśli zdecydowany był wcześniej czy później odebrać niedołężnemu Kellerowi, a oddać Ostrowskiemu, dotychczasowemu gubernatorowi radomskiemu; na dyrektora Komisji sprawiedliwości wybrał sobie Węgłęńskiego, a Komisji skarbu Kurtza. Rozpoczęte z nimi pertraktacje nie doprowadziły do niczego; obaj żądali, by margrabia powiedział im, dokąd dąży, lub, mówiąc prościej, czy myśli o odbudowaniu Polski dawnej. Gdy Wielopolski nie chciał im wyjawiać zamiarów swoich, bo i nie było czego wyjawiać, gdyż cała jego działalność wyraźnie przedstawiała jego plany,—odmówili skwaszeni i rozdrażnieni.

Nieszczęściem bowiem polskiem, wadą umysłów naszych, było i jest zawsze, że lubimy w każdej akcji politycznej wyszukiwać jakichś skrytych, wielkich planów tajemnych, choć bezstronne, spokojne przypatrzenie się rzeczom przekonywa, że tych planów niema i być nie może. Posądzano Wielopolskiego o jakieś mgliste idee panslawistyczne i do takiej naturalnie polityki, wymarzonej w głowach fantazyujących prawdziwie po polsku, przykładając ręki nie chciano. „Margrabia—wołał Kurtz—każe nam siadać do powozu, ale nie mówi, dokąd nas zawiezie,“ a tymczasem Wielopolski nigdzie indziej ich zawozić nie chciał i głośno o tem każdy czyn jego mówił, tylko do Królestwa takiego, jakie stworzył kongres wiedeński. Pomimo

jednak odmowy obu tych panów, stosunki margrabiego z Węgłęńskim powoli się jakoś ułożyły i ten ostatni po zamachu Rzońcy umyślnie ze wsi przyjechał, by margrabiemu powinszować ocalenia, oraz, jako radca stanu, znaleźć się w tak krytycznej chwili obok Naczelnika rządu. Po przybyciu udał się natychmiast do pałacu Brühlowskiego. „Zobaczysz, jak będę grzeczny, słuchaj tylko” — rzekł Wielopolski do krewnego, gdy zameldowano Węgłęńskiego. Ten przybył z przekonaniem, że odbędzie konferencję polityczną, że może zdoła wyrozumieć polskiego „sfinksa politycznego,” i zawiódł się srodze. Margrabia przez cały czas bawił go rozmową o teatrze. Węgłęński wyszedł głęboko tem dotknięty i obrażony, gdyż sądził, że Wielopolski go lekceważy.

Otóż teraz zdarzyła się sposobność pomszczenia swej urazy na Wielopolskim i Węgłęński na wspólną z hr. Przeździeckim starali się za pośrednictwem generała Chreptowicza wpływać na W. Księcia, przedstawiając mu, że rządy margrabiego są szkodliwe tak dla W. Ks. Konstantego samego, jak dla kraju. Szkodliwość ta przedewszystkiem leżała w bezprzykładnej niepopularności Wielopolskiego, w nienawiści, jaką wzbudzał, a której część padając z konieczności na W. Księcia, nie dozwoli mu nigdy ustalić spokojności w kraju. Zdania te powtarzał ciągle także sam Węgłęński, który począł teraz bywać w Belwederze prawie codziennie i długie narady niwiał z Namiestnikiem. Jakież, według Węgłęńskiego, było wyjście z tego położenia, które sam W. Książę, zwłaszcza po dwóch ostatnich zamachach, uważał za istotnie groźne? Nic innego, tylko usunięcie Wielopolskiego z wysokiego urzędu, a na jego miejsce posadzenie p. Andrzeja Zamoyskiego, „ulubienica narodu,” lub też innego człowieka zdolnego i wpływowego. Węgłęński nie wymieniał nazwiska tego człowieka, który, obok Zamoyskiego, mógłby zastąpić margrabiego, ale zdaje się, że Przeździecki za pośrednictwem Chreptowicza na-

suwał myśl W. Księciu, że tym człowiekiem mógłby być Węgłęński. W Dyrekcyi białej wiadano o tych naradach, nieomal codziennych, Węgłęńskiego z W. Księciem, ale nikt treści ich nie znał; wiedział zapewne i Wielopolski i dlatego tak był drażliwy, ilekroć Zamoyski w jakiegokolwiek akcji politycznej brał udział.

• Bądź-co-bądź, te ciągle podszepty, popierane fatalnym rozwojem wypadków, dążących widocznie do katastrofy, zrobiły swoje i W. Książę postanowił zbliżyć się do p. Andrzeja i wyrozumieć go dobrze. Jakoż mniej więcej w tym czasie generał Chreptowicz, pewnego dnia przybyły niby z prywatną wizytą, zapytał od niechcenia Zamoyskiego, dlaczego nie bywa w Belwederze, i dodał, że W. Książę zawsze mileby go widział u siebie i radby pomówić z nim o interesach kraju. Tego rodzaju pytania trzykrotnie się powtarzały, a Zamoyski stale odpowiadał, że „nie bywa w Belwederze dlatego, ażeby Wielopolski nie posadzał go o robienie intryg, ale na rozkaz W. Księcia zawsze jest gotów do mówienia z nim o interesach kraju.” Wskutek tej odpowiedzi, w kilka dni po ogłoszeniu odezwy W. Księcia do narodu, a mianowicie dnia 2-go września, rano, p. Andrzej otrzymał za pośrednictwem generała Chreptowicza wezwanie przybycia o godz. 8-ej wieczorem do Łazienek, dokąd W. Książę przeniósł się niedawno z Belwederu. Zjawiwszy się o naznaczonej godzinie w gabinecie Namiestnika, Zamoyski, zwyczajem swoim, zawsze praktykowanym, ilekroć odwiedzał wysokich dostojników rosyjskich, zatrzymał się przy drzwiach wyprostowany, chłodny, zasklepiony w angielskie zimno, aż W. Ks. Konstanty podszedł do niego, wziął za rękę, i przyprowadziwszy do biurka, prosił siedzieć. W. Książę, zadawszy pytanie, dlaczego p. Andrzej u niego nie bywa, na co tenże tak samo jak Chreptowiczowi odpowiedział, przeszedł do spraw politycznych; prosił, by mu Zamoyski dał obraz położenia kraju tak, jak się ono jemu przedsta-

wia, i wykazał, nie krępując się niczem, szczerze i otwarcie, przyczyny niezadowolenia powszechnego. Pan Andrzej w odpowiedzi na to sięgnął do przeszłości, mówił o historii porozbiorowej, skreślił w barwach jaskrawych i dosadnych panowanie cesarza Mikołaja I, jego rządy, i rozgrzewając się powoli, tracąc przybrany i sztuczny chłód angielski, zawołał, mówiąc o reformach i czasach obecnych: „il faut, que cette comédie cesse“ (trzeba, żeby się ta komedia raz skończyła). Słowa te nie podobały się bardzo W. Księciu i zażądał ich odwołania. Wówczas p. Andrzej powiedział, że są to słowa wyrzeczone przez cesarza Mikołaja po powstaniu 1831 r., gdy była mowa o konstytucji polskiej. Przez chwilę w gabinecie zapanowało przykre i dręczące milczenie, wreszcie W. Książę ze spokojem, który go przy rozgrzewającym się coraz bardziej p. Andrzeju ani na chwilę nie opuścił, zaznaczył, że mu są dobrze wiadome pragnienia i dążności Polaków, że chcą oni koniecznie przywrócenia dawnych granic polskich, ale że to jest niemożliwe, bo Litwa nigdy do Polski nie należała. Na przeciwne dowodzenie Zamoyskiego nic nie odrzekł i zwrócił rozmowę na obecne okoliczności. Pytał więc, co teraz robić trzeba, czy niema jakiego sposobu uspokojenia kraju, czego właściwie chcą ludzie umiarkowani, jak postępować, by reformy mogły być urzeczywistnione; że hrabia, gdyby chciał szczerze, mógłby ułagodzić umysły przez wpływ, jaki posiada wśród wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, że powinien postarać się o obniżenie życzeń, przekraczających wszelkie granice. „Wszyscy pana kochają, szanują i posłuchają z pewnością — zakończył, — tylko chciej tego, hrabio, szczerze, inaczej roztworzy się przepaść, w którą nie my, ale wy wpadniecie. Decyduj się, hrabio!“ Słowa te, niezaprzeczenie rozumne i przejęte życzliwością dla kraju, nie wywarły żadnego wpływu na Zamoyskiego. Odzyskując swój chłód pierwotny, rzekł: „Ja zawsze pragnąłem i pra-

gnę spokoju mojej ojczyzny i sędzę, że nikt o tem nie wątpi, ale mój wpływ na umysły nie jest tak wielki, jak to sobie W. Ks. Mość wyobraża. Pochlebia mi to bardzo, coś mi W. Ks. Mość powiedział, ale rzeczy nie tak się mają. Gdyby mnie się kto zapytał, czego trzeba dla uspokojenia kraju, odrzekłbym bez wahania: złączenia wszystkich prowincyi dawnej Polski pod twoim, Mości Książę, zarządem, ze stolicą w Warszawie. Ale to jest moja opinia. Inni może inaczej myślą. Mogę zebrać przyjaciół moich i znajomych i poprosić ich, by mi szczerze i otwarcie swe zdanie w tej kwestyi wyjawili. O tem, co oni mi powiedzą, nie omieszkam donieść W. K. Mości. Innego sposobu nie widzę.“ „Dobrze, zbierz pan swych przyjaciół i spytaj“—rzekł Ks. Konstanty i na tem rozmowa się skończyła.

Była to, zaiste, fatalna rozmowa. Jeżeli odrysowała ona w zupełności cały charakter pana Andrzeja, w którego, rzecz można, wcieliły się wszystkie ówczesne pragnienia i ideały polityczne polskie, to z drugiej strony musiała ona przygnębiające wrażenie wywrzeć na W. Księcia. W duszy jego musiało podobne zbudzić się uczucie, jakiego doznał przed paru dniami margrabia Wielopolski, gdy mu deputacya szlachecka stawiała warunki poparcia jego rządów.

Pan Andrzej, powróciwszy od W. Księcia, całą rozmowę swoją opowiedział Grabińskiemu, dawnemu sekretarzowi Towarzystwa rolniczego, który oczywiście rzeczy pod korcem nie trzymał, ale uwiadamił o niej wszystkich. Nazajutrz już cała Warszawa o rozmowie tej wiedziała. Zrobiła ona nadzwyczaj silne wrażenie, komentowano ją, zastanawiano się nad nią i ostatecznie uważano ją za bardzo ważną, jaką niezaprzeczenie była. Dla przewodników szlacheckich, dla Dyrekcyi białej, która słała deputacyę do Wielopolskiego i która, wobec jego dumnej odpowiedzi, znalazła się w położeniu bez wyjścia,

w strasznej rozterce duszy, bo, jakeśmy rzekli, koniecznem następstwem tej odpowiedzi nie było nic innego, jak rzuć się w objęcia Czerwieńców i wywołanie powstania, co jednak uważano, i słusznie, za samobójstwo, za zamach na życie ojczyzny, — rozmowa pana Andrzeja z W. Księciem stała się nagle punktem wyjścia i jakim jeszcze punktem! Skoro Wielopolski — mówiono sobie teraz — naszego poparcia nie chce i nie potrzebuje, więc pominiemy Wielopolskiego, a traktować będziemy z W. Księciem. zwłaszcza, że on sam do tego zachęca, sam żąda naszej pomocy. Zdanie to popierali ci wszyscy, którzy pragnęli obalenia znienawidzonego magnata, różni Węgleńscy i nie-Węgleńscy, którzy marzyli o objęciu po nim spuścizny. Zabrano się więc gorąco do rzeczy i Dyrekcyja poczęła rozpisywać listy, by członkowie i nieczłonkowie organizacji białej zjechali się do Warszawy na walną naradę, nie ukrywając tego wcale, że zwoływanie to dzieje się z wolą i wiedzą W. Księcia Namiestnika. Jakoż zrobił się gorączkowy ruch w całym kraju: kto tylko mógł, spieszył do stolicy, gdzie zdawało się, że rozegrają się niezmierniej doniosłości wypadki, bodaj czy nie donioslejsze od niezapomnianych przeszłorocznych dni lutowych. Znalazło się także w Warszawie kilku ziemian z Litwy i Rusi, którzy w części sami przybyli, a najprawdopodobniej wezwani byli przez Dyrekcyę. Dzięki temu wszystkiemu, na posiedzeniach Dyrekcyi zebrano się wkrótce w pierwszych dniach września około trzystu obywateli ziemskich i miejskich, gdyż Warszawa znaczny kontyngens ludzi usposobionych umiarkowanie dostarczyła. Na wszystkich robiło to niezmiernie wrażenie, że na rogatkach, pomimo stanu wojennego, nie pytano się nikogo o paszporty, a policya względem przybyłych okazywała nadzwyczajną uprzejmość. Mówiono też, może nie bez pewnej słuszności, że w kwestyi paszportów takie były rozkazy W. Księcia, który chciał, by zjazd i narada odbyła się bez żadnych

przeszkód i by każdy miał do niej wstęp niczem nieskrępowany. Już na pierwszym posiedzeniu, mniej więcej koło 10-go września, podniesioną była kwestya adresu do W. Księcia. Projekt ten wniósł Stanisław Zamoyski, syn p. Andrzeja, który na posiedzeniach nie bywał, do niczego się nie mieszał, stał poza całą tą akcyą, ale wiadano, z czem zresztą p. Stanisław się nie krył, że działa on w imieniu ojca i od niego natchnienia odbiera. Z razu narady odbywały się województwami, pod prezydencyą jednego z wojewódzkich, potem sejmowali deputaci w liczbie dwóch lub trzech z każdego województwa, wreszcie koła wojewódzkie, jak wiadomo, złożone z samych wojewódzkich, na które zapraszano Dyrekcyę. Z początku w zebraniach tych panował istny chaos przekonań i wyobrażeń. Większość szlachty, udając się do Warszawy, jechała w tem przekonaniu, że należy zmanifestować swe dążności białe, że trzeba rząd poprzeć i w odpowiedzi na proklamacyę Namiestnika napisać adres, potępiający zamachy i działalność Czerwieńców; niemniej przeto chciano skorzystać ze sposobności i jako warunek danego rządowi poparcia domagać się od niego instytucyi narodowych. Tak przynajmniej mówiono między sobą na wsi, gdy się zgromadzano po dworach i wybierano do Warszawy. Pod tem jednak zdaniem: instytucye narodowe, różni różne snuli pojęcia i ściśle ich sobie nie określano. Zdaje się jednak, że najdalsze żądania szlachty, pojedynczo wziętej, nie sięgały poza konstytucyę 1815 roku.

Ale inna rzecz była rozprawiać na wsi, w gronie kilku lub kilkunastu sąsiadów, a zupełnie co innego, gdy się znaleziono na palącym bruku Warszawy, w jej atmosferze ognistej i trawiącej, a nadewszystko gdy się ujrzało w wielkiej gromadzie i minowoli szeptano sobie słowa poety: „jeszcze kupa nas!“ Oczywiście nie obeszło się bez tego, że Czerwieńcy, krzywo patrząc na cały zjazd, kręcili się między zebranymi i ze zjadliwą ironią witali ich słowami: „przyjechaliście zrobić nową Targowicę,“ co

na ludzi ówczesnych, nadzwyczaj drażliwych o swą opinię obywatelską, nie pozostawało bez wpływu. Przytem w samym obozie Białym teraz, gdy stanął gromadnie, okazała się ogromna różnorodność pojęć i opinii. Znalazło się naprzód wielu stronników Wielopolskiego, wielu dygnitarzy, przezeń mianowanych; domagali się, by zebranie jedynie zajęło się kwestyą poparcia rządu. Ilekroć podniesiono kwestyę nowych ustępstw ze strony rządu, stanowczo się temu sprzeciwiali, a natomiast, rysując obraz zagrożonego przez Czerwonych społeczeństwa, wołali, że „trzeba użyć niezwłocznie środków zapobiegających, wesprzeć rząd dla zduszenia hydry rewolucyi, gdyż inaczej rodziny i majątki przedniejszych warstw polskich zagrożone będą przez zwolenników Komitetu centralnego.“ Zdania te wszakże nie znajdowały echa, przyjmowano je i zbywano milczeniem. Powoli jednak umysły się gorączkowały; zgromadzenia, z razu bardzo chwiejne i ostrożne w wyrażeniu swych opinii, nabierały charakteru ostrego i zdecydowanego, zwłaszcza, że Czerwienicy skrycie ale systematycznie nie przestali wpływać na pojedynczych członków zebrania. Kwestya podania adresu do W. Księcia nie ulegała wcale dyskusyi, wszyscy go uważali za konieczny, po to zresztą się zebrano. Nie o to więc chodziło, ale o to, co ma adres zawierać, i tu wyszły na wierzch najróżnorodniejsze żądania, najrozmaitsze opinie. Jedni domagali się, by w adresie domagano się zwołania reprezentantów kraju, którzyby radzili o obecnem jego położeniu; inni chcieli prosić W. Księcia w formie bardzo przyzwoitej i dyplomatycznej o nadanie krajowi konstytucyi i przyłączenie Litwy i Rusi; inni znowu uważali to wszystko za rzeczy niemożliwe i wołali, aby zredagowano adres jak najtreściwszy, jak najlakończniejszy, nieokreślony, taki sam, jaki zamierzano podać namiestnikowi Lambertowi podczas wyborów do rad w jesieni roku zeszłego; inni nakoniec pragnęli, aby w adresie zaznaczyć votum nieufności dla mar-

grabiego Wielopolskiego i żądać jego usunięcia od władzy. Znaleźli się tacy, którzy proponowali odrzucenie formy adresu, a natomiast wydanie pewnego rodzaju manifestu sejmowego, gdzie miały być otwarcie i bez obsłonek wypowiedziane wszelkie żądania: konstytucya, sejm, wojsko, przyłączenie Litwy i Rusi. Chcieli oni, by z tym manifestem cała zebrana w Warszawie szlachta udała się do W. Księcia, albo też wybrani przez nią deputowani, po dwóch z każdego województwa.

Taki obrót rzeczy nie podobał się nadzwyczajnie p. Andrzejowi, i słusznie. Jeżeli szlachta została zwołana, to nie dlatego, by pisała jakieś adresy i stawiała żądania, których nikt od niej nie wymaga, ale żeby powiedziała, jakie są sposoby uspokojenia kraju. W rozgoryczeniu, jakie nim owładało, nazwał myśl adresu „dzieciństwem“ i „głupstwem“ i wprost domagał się, aby zebrani zajęli się tem tylko, po co zostali zwołani. Zebranie otrzymało także ostrzeżenie i z innej strony, ze strony W. Księcia samego. Przez pośrednictwo osób trzecich, przez owych dygnitarzy, którzy na zgromadzeniach bywali, zapytał on się poufnie wybitniejszych członków zjazdu: „jakie ustępstwa, wedle ich zdania, byłyby zdolne zadowolić Polaków i nakłonić ich do wspierania rządu w walce z burzycielami porządku?“ Niestety! umysły były już zanadto rozgorączkowane, serca długą, gorzką i palącą dyskusyą roznamietnione, by odpowiedź mogła być rozumna politycznie, choć w jej sformułowaniu zachowano spokój i powagę. „Czerwoni—odpowiedziano poufnemu posłańcowi W. Księcia—nie dążą wcale do wywrotu społecznego, ale pragną pozyskać prawo polityczne, zgodne z dawnym rozwojem historycznym, a odpowiednie do potrzeb obecnych. Nie przesadzamy rzeczy stanowczo, nie mając do tego odpowiedniego mandatu, prawdopodobnie jednak połączenie i nadanie zupełnego samorządu prowincjom polskim pod berłem Cesarza rosyjskiego wzbudziłoby w narodzie ufnosć do Monarchy

i ubezwładniłoby wszelkie zachcianki, zmierzające do powstania.“ Nic więc nowego W. Księżę się nie dowiedział; o Litwie i Rusi, o konieczności przyłączenia ich do Królestwa, jeżeli ma być w kraju spokojność, słyszał ciągle i słyszy jeszcze ciągle. Ale to, co dotąd przyjmował z uśmiechem pobłażliwości, teraz poczęło go drażnić, a wreszcie kazał powiedzieć owej starszyźnie, aby nie ważyła się pod żadnym pozorem i pod najsurowszą odpowiedzialnością przysyłać mu adresu z tego rodzaju żądaniami.

Wobec takiej postawy i takich słów W. Księcia, kwestya adresu do niego, głośne i publiczne poparcie rządu, wyraźna manifestacya na jego korzyść, stanowczo przepadła. Wzięły górę podszepty Czerwonych, ich nieustanne insynuacye i szyderstwa, gniew wreszcie niezdrowy, i za nic nie chciano już odnosić się do W. Księcia. Z drugiej strony nie chciano rozjechać się bez jakiegoś aktu uroczystego, bez wyraźnego i jawnego zaznaczenia swych żądań i aspiracyi.

Do takiego kroku wszystko popychało: i podszepty Czerwieńców, i gromadna ilość zebranych, i atmosfera stolicy i potrzeba, odczuwana głęboko, zarysowania swych pragnień. Szukano drogi zadośćuczynienia tej potrzebie i wpadnięto na myśl dziwną zaiste, Bóg wie w czyjej głowie zrodzoną, ażeby, skoro nie można samemu W. Księciu podać adresu, podać go p. Andrzejowi Zamoyskiemu i akt ten drogą prywatną uczynić głośnym i wszystkim wiadomym. A przytem dla licznych nieprzyjaciół Wielopolskiego taki adres, złożony na ręce p. Andrzeja, był niezaprzeczonem votum nieufności dla ministra, który nie umiał sobie zjednać sympatyi narodu. Zdaje się, że uchwała wystosowania pisma do p. Andrzeja zapadła dnia 11-go września i, pomimo opozycji wielu, do rzędu których należał także członek Dyrekcyi, znany nam już Paszkiewicz, głośno wołający, że krok taki „nie ma za grosz sensu.“ projekt ten ogromną przeszedł większością. Postanowiono więc redagować taki adres, uroczystie go wręczyć Zamoyskiemu,

z tem zastrzeżeniem, by przy okoliczności przyjaznej podał go do wiadomości W. Księcia. Pan Andrzej, uwiadomiony poufnie o tej osobliwszej zaiste uchwale, opierał się jej, ile mógł, i za pośrednictwem najbliższych swych doradców, Aleksandra Kurtza, Franciszka Węgleńskiego i innych, starał się szlachtę odwieść od tego kroku. Gdy jednak usiłowania te rozbiły się o upór zebranych, gdy się poczęły rozlegać głosy, że Zamoyski w chwili najkrytyczniejszej zamierza opuścić szlachtę i, jak Piłat drugi, umyć ręce,—uległ, bo uledez musiał, bo redakcyi takiego pisma sprzeciwić się nie mógł, i postanowił je uważać i traktować jako prywatny wyraz poglądów pewnej grupy obywateli, nieobowiązujący go do niczego.

Tymczasem zebrani, nie zważając na opozycyę pana Andrzeja, przekonani, że, gdy doń przyjdą z adresem, drzwi im przed nosem nie zamkną, z tą gromadną ufnością w swe siły i swą przewagę, jaka zawsze znamionowała szlachtę polską, zabrali się do redakcyi adresu. Według jednych, powierzono ją zwyklemu pióru zebrani szlacheckich tej doby, Edmundowi Stawiskiemu, według innych—Karolowi Ruprechtowi.

Dokument ten jest, zaprawdę, jednym z najdziwniejszych, najosobliwszych objawów tej epoki, obfitującej w tyle niezrozumiałych zagadek. Przedewszystkiem był on nielogicznym w stosunku do tego, po co się zjechało. Miano potępić zamachy, a w adresie niema ani słowa o zamachach; miano poprzeć rząd i istniejący stan rzeczy, a domagano się przyłączenia Litwy i Rusi, jak gdyby zebrani mieli na zawołanie krocie bagnetów i krocie dział, gotowych nadać wagę ich żądaniom. Adres, jednym słowem, był zupełnem zerwaniem z rządem i jeszcze zupełniejszym poparciem programu Czerwieńców. Na pochwałę rozumu polskiego powiedzieć trzeba, że nie wszyscy chcieli podpisać ten wysoce nietaktowny, nierozumny i niepolityczny dokument, choć taka odmowa zagrażała mianem zdrajcy, odstępcy,

Targowiczana. Na przeszło trzystu zebranych podpisało się około dwustu, ale później spostrzeżono się, że nie należy tych dwustu osób narażać na przypuszczalną represję rządu i, na przedstawienie Dyrekcyi, arkusze z podpisami zniszczono, a sam tylko adres bez podpisów zamierzono wręczyć p. Andrzejowi. Gdy się nakoniec w uroczystej deputacyi do niego udano, ten, trzymając się raz powziętego postanowienia: uważać adres za wyraz opinii prywatnych, a zatem nienadający żadnego mandatu i nieobowiązujący do żadnych kroków, a przez takie traktowanie tego aktu odebrać mu wszelki charakter publiczny i polityczny,—adres wziął do ręki, i nie czytając go wcale, rozpoczął z zebranymi pogawędkę o urodzajach i zasiewach i pożegnał, nie dopuściwszy do podniesienia jakiegokolwiek kwestyi politycznej lub odnoszącej się do samego adresu. Szlachta, bardzo niezadowolona z tego przyjęcia, z mocno skwaszonymi minami wyszła, i jak gdyby lękając się następstw swego kroku, co najrychlej, z razu pojedynczo, wreszcie tłumnie poczęła wyjeżdżać z Warszawy. I byłoby się wszystko na tem skończyło, p. Andrzej byłby adres schował do swego archiwum rodzinnego, gdzie tyle dokumentów polskiej lekkomyślności się kryje, a choć ojczyzna nic na tym zjeździe nie skorzystała, sytuacja w niczem się nie poprawiła, owszem pogorszyła się znacznie,—to przynajmniej on osobiście nie pokutowałby za błędy innych. Ale na to zgodzić się nie mogli ani twórcy adresu, ani Czerwienicy, snujący się między szlachtą i baczne oko na wszystko, co się dzieje, mający. Adres tego samego jeszcze dnia rozbiegł się po Warszawie, z wyjeżdżającą szlachtą po prowincyi; przepisywano go i podrzucano po miejscach publicznych, restauracyach, cukierniach, kawiarniach, tak, że w ciągu dwudziestu czterech godzin nie było nikogo w Warszawie, a w parę dni później i w kraju, ktoby adresu tego nie czytał. Do rąk W. Księcia dostał on się także nadzwyczaj szybko, i jeżeli wierzyć można niektórym relacyom, wprzód

nawet, niż go otrzymał p. Andrzej Zamoyski z rąk deputacyi szlacheckiej. W. Książę był zdumiony tym aktem, potem rozgniewany mocno i w pierwszym uniesieniu chciał wszystkich uczestników zjazdu wysłać na Syberyę, choć większość już heroicznie drapnęła z Warszawy, a przytem nie było legalnego powodu do takiego kroku. Miano w rękę odpis adresu, ale oryginału jego nie miano, nie miano także podpisów; nie było więc podstawy i osób, któreby można pociągnąć do odpowiedzialności, prócz jednego p. Andrzeja. Nie ulega wątpliwości, że Wielopolski tak rzeczy przedstawił W. Księciu i że zarazem poradził skorzystać ze sposobności, by p. Andrzeja raz na zawsze pozbyć się z kraju. Margrabia przez taką radę osiągał cel podwójny: publiczny i prywatny; pierwszy przez to, że zdawało mu się, iż usuwając z drogi Zamoyskiego, ułatwiał sobie zadanie uspokojenia kraju,—drugi, że przestał lękać się o swe osobiste stanowisko, które sobie bardzo cenił i które uważał za mocno zagrożone popularnością p. Andrzeja. A zresztą zemstę miał on zawsze za prawdziwą rozkosz bogów... Uwiadomiono więc o wszystkim Cesarza i nakreślono sobie plan postępowania, do którego wykonania wzięto się z możliwą szybkością.

Dnia 14-go września, o godz. 10-ej wieczorem, jeden z adjutantów W. Księcia, rotmistrz Sierzputowski, Polak z rodu, został wezwany do Łazienek i otrzymał rozkaz, ażeby przygotował się na jutro, na godzinę 10 rano, do podróży do Petersburga w towarzystwie Andrzeja hr. Zamoyskiego. „Masz czekać—mówił W. Książę—na dworcu kolei Petersburskiej od godziny 9-ej rano. Uprzedzam, że Zamoyski nie jest aresztowany, na wszelki jednak wypadek będziesz miał w jednym z ostatnich wagonów sześciu żandarmów z oficerem.“ Sierzputowski zrobił uwagę, że eskorta taka nie jest wcale potrzebną. „A jeżeli przyjaciele Zamoyskiego będą chcieli go odbić?“—zapytał W. Książę, co świadczy, jak dalece krok swój względem p. Andrzeja

uważał za niebezpieczny i ważny, i jak dalece był rozgoryczkowany. Sierżputowski, o wiele chłodniejszy, odparł, że nikt się o to nie pokusi, że to jest niemożliwe, że zresztą sam Zamoyski, jako szlachcic i człowiek taktowny, nigdy na coś podobnego nie zezwoli i z pewnością nie ucieknie. „Ha! jak chcesz — zakończył W. Książę; — zostawiam to twemu rozumowi i twej roztropności.”

Nazajutrz, dnia 15-go września, adjutant W. Księcia, Alf Wrześniewski, dwa razy, o godzinie 9-ej i 10-ej rano, był u Zamoyskiego, ale widzieć się z nim nie mógł, bo ten ostatni spał jeszcze. Wreszcie o godzinie 11-ej zjawił się policmajster, pułkownik Rozwadowski, i oświadczył p. Andrzejowi, że W. Książę czeka na niego. Około godziny 12-ej Zamoyski udał się w karecie do Łazienek. W. Książę Konstanty przyjął go w tym samym gabinecie, w którym przed dwoma tygodniami w formie wielkksiążęcej kurtuazyi zapraszał go, by był u niego częstszym gościem. Prócz generała Chreptowicza, nikogo więcej nie było. Zamoyski, wchodząc, spostrzegł na biurku parę rewolwerów i pugi nał, i wlepił w nie oczy z niemem pytaniem W. Książę zauważył to, i wsuwając rewolwery pod licznie rozrzucone papiery, rzekł, że jest to broń, którą „mordercy chcieli go życia pozbawić.” „Smutne to są wspomnienia” — zauważył hrabia. W. Książę był chmurny i surowy, nie prosił wcale gościa siedzieć, i chwytając zawiązującą się rozmowę około faktu zamachu, począł mówić, że zamach ten miał także swoją dobrą stronę, gdyż krwią jego własną przypieczętował związek między nim i narodem, dobru którego chce się poświęcić; że dwukrotnie zwracał się do p. Andrzeja, odwołując się do jego uczuć patryotycznych: pierwszy raz nazajutrz po zamachu, a drugi w prywatnej rozmowie; że w interesie sprawy, której się podjął i wobec ważności wypadków starał się wykazać konieczność, by wszyscy Polacy rozumni skupili się koło rządu i tym sposobem dali dowód, że nie łączą się ze stronnictwem wywrotu

i jego zbrodnicznymi czynami; że usiłował wykazać także, iż w chwilach tak krytycznych niemożliwą jest neutralność, że są tylko dwie drogi do wyboru: albo iść z rządem, albo przeciw niemu. Następnie W. Książę przeszedł do sprawy ostatniego adresu i zażądał, by mu go p. Andrzej oddał; pan Andrzej tłumaczył się, że w całej tej sprawie nie odgrywał żadnej roli, kwestyę zaś oddania dokumentu pominął milczeniem. W. Ks. Konstanty widocznie począł się unosić, zaznaczył, że Zamoyski nie odmówił przyjęcia adresu, że jest to akt nielegalny, którego żaden rząd tolerować nie może, bez okazania widocznej słabości; że on nigdy nie pozwoli na to, by zebranie osób prywatnych uzurpowało sobie prawo reprezentacyi narodowej i żeby ktokolwiek, choćby nawet hr. Zamoyski, ośmielał się przyjmować mandat kierownictwa krajem; że on, W. Książę, przybył do Polski z silnem postanowieniem trzymania się drogi legalnej i nie może pozwolić na to, by ktokolwiek ośmielał się wykraczać z tej drogi, i zakończył słowami: „jesteś pan naczelnikiem stronnictwa” (vous êtes chef d'un parti). Pan Andrzej zauważył na to, że W. Książę jest źle poinformowany, ale Namiestnik nie dał mu dokończyć zdania i zawołał: że „nie wolno przeczyć Wielkiemu Księciu” (on ne dément pas un grand duc), że pan Andrzej uda się natychmiast do Petersburga, by zdać rachunek ze swego postępowania przed Monarchą.

Gdy wieść o tej decyzji Namiestnika doszła do arcybiskupa Felińskiego, pośpieszył on do W. Księcia i począł mu przekładać, jak smutne następstwa krok taki może wywołać. W. Książę zasłaniał się wolą Cesarską. Wobec tego interwencya ks. Felińskiego pozostała bez skutku.

Dla przygotowania się do tej dalekiej, a jak należało przypuszczać, nie prędko mogącej się skończyć podróży, dano p. Andrzejowi tylko dwie godziny czasu. Zrobiono jeszcze to ustępstwo, że pozwolono, by syn Stanisław towarzyszył ojcu w doli wygnania, bo Zamoyscy nie wąt-

pili, że jest to wygnanie, proste zesłanie na Syberyę. O godzinie 3-ej po południu wjechały na dziedziniec pałacu na Nowym-Świecie dwie karety; w jednej z nich siedział oberpolicmajster, Muchanow, w drugiej komendant placu, książę Bebutow. Pan Andrzej siadł z ostatnim, a syn z Muchanowem, i wydostano się przez bramę od ulicy Święto-Krzyskiej. Na dworcu kolei czekał już Sierzputowski, mocno zaniepokojony tą długą zwłoką, zwłaszcza że był tu od godziny 9-ej rano. W owe czasy jeszcze regularnej komunikacji kolejowej nie było; dla p. Andrzeja więc dano pociąg specjalny z wagonem pierwszej klasy, bardzo wytwornym, zaopatrzonym we wszystko, by na stacyach nie trzeba było wychodzić. Zresztą obiady, gorące jedzenia, Sierzputowski zamawiał naprzód przy pomocy telegrafu. Sądził on, że pociąg przybędzie do Carskiego Sioła dopiero o godz. 12-ej wieczorem dnia 16-go września, a że miał do Cesarza, zamieszkującego wtedy w tej ulubionej przez siebie miejscowości, depesze od Namiestnika, postanowił więc nie jechać z Zamoyskim do Petersburga, ale zażądał telegrafem od szefa żandarmów, ażeby w tym celu wysłał na spotkanie osobnego oficera. Jakoż w Carskiem Siole zjawił się jakiś generał żandarmski, ubrany w mundur galowy i we wszystkie orderzy, którego gdy Sierzputowski wprowadził do wagonu, zajmowanego przez p. Andrzeja, ten zmieszał się mocno i rzekł: „więc teraz rzeczywiście jestem aresztowany?“ (maintenant je suis vraiment arrêté?), Sierzputowski wytłómaczył zdenerwowanemu widocznie tem wszystkim p. Andrzejowi, że wcale tak nie jest, że jeżeli go opuszcza, to tylko dlatego, by oddać Cesarzowi w Carskiem Siole depesze od W. Księcia i że nazajutrz przedstawi mu się w hotelu Europejskim na ulicy Michajłowskiej, jak tylko Cesarz go uwolni. Jakoż rozstano się; Zamoyski pojechał z generałem żandarmskim do Petersburga, a Sierzputowski udał się do pałacu w Carskiem Siole. Ponieważ dnia owego odbywał się na

pokojach Cesarzowej bal, z powodu uroczystości pułkowej pułku Gaczyńskiego kirasyerów, więc Cesarz przyjął Sierzputowskiego dopiero około godz. 1-ej po północy, rozmawiał z nim dość długo i kazał mu jechać do Petersburga, dla uprzedzenia Zamoyskiego, że Cesarz wezwie go do siebie za kilka dni, a mianowicie po powrocie z Nowogrodu, gdzie miało się odbyć uroczyste odsłonięcie pomnika, wzniesionego na pamiątkę tysiącletniego istnienia Państwa Rosyjskiego. W końcu Cesarz polecił Sierzputowskiemu, aby koniecznie był w Warszawie w dniu 20-m września i zawiózł życzenia Cesarskie W. Księciu w dniu jego urodzin. Wówczas Sierzputowski zapytał się, czy jeżeli Zamoyski poprosi go, by cokolwiek przewiózł do Warszawy jego rodzinie, czy ma to wziąć, czy nie? „Stanowczo (rieszitelno) wszystko, co da“—odrzekł Cesarz.

Okolo 23-go września zażądano z Warszawy od p. Andrzeja, aby przez piśmienną deklarację zaprzeczył obiegającym po kraju pogłoskom, iż zjazd szlachty był zwołany na żądanie W. Księcia Namiestnika. P. Andrzej deklarację żadaną dnia 23-go września złożył, którą *Dziennik Powszechny* ogłosił zaraz: „Pośpieszam oświadczyć—pisał p. Andrzej,—iż od Jego Cesarskiej Wysokości żadnego jakiegobądź upoważnienia nie otrzymałem i że też nikogo nie zwoływałem.“ Widzenie się Zamoyskiego z Cesarzem nastąpiło dopiero w połowie października, po powrocie Cesarza Aleksandra II z uroczystości tysiąclecia Rosyi, obchodzonych w starym Nowogrodzie. Co i o czem Cesarz mówił z p. Andrzejem, dokładnie nie wiadomo; rozmowa toczyła się tylko między nimi dwoma, bez żadnego postronnego świadka, i trwać miała około dwóch godzin.

W kilka dni potem Zamoyski opuścił Petersburg i udał się przez Berlin do Paryża, gdzie stanął dnia 18-go października i już nigdy nie miał ujrzeć Warszawy, w której tak przeważną i tak doniosłą odegrał rolę. Odtąd przebywał po większej części w Paryżu.

W Warszawie w dalszym ciągu rozwijały się wypadki i ostateczna katastrofa szybko się zbliżała. Wieść o wywiezieniu tak popularnej i tak lubianej powszechnie osobistości nadzwyczajnie szybko rozbiegła się po mieście, dając pole do tysiąca plotek, fantastycznych opowiadań i przesadnych powieści. Wobec tego rząd nie mógł całej tej sprawy ukrywać i tegoż dnia 15-go września ukazało się w *Dzienniku Powszechnym* doniesienie następujące: „Ostatnimi dniami pewna liczba właścicieli ziemskich, nielegalnie zwołana, zjechała się w Warszawie i skutkiem obrad, u hr. Andrzeja Zamoyskiego odbywanych, ułożyła do niego odezwę, mającą streszczać jakoby żądania narodu, a przekraczającą zakres instytucji krajowych. Rząd Najjaśniejszego Pana nie dopuści, ażeby zbiór osób prywatnych przywłaszczał sobie znaczenie ukonstytuowanego ciała i żeby ktokolwiek z pośród poddanych Cesarza i Króla występował jako organ i przewodnik takiego zebrania. Za postępowanie to, ustanowionemu porządkowi przeciwne, hr. Andrzej Zamoyski przed Monarchą swoim odpowiadać winien. W tym celu hr. Zamoyski wysłany został dziś do Petersburga.“ Doniesienie to w niczem nie wpłynęło na opinię publiczną. Wszyscy, instynktem mas kierowani, w czem się zresztą nie mylili, przypisywali wywiezienie p. Andrzeja Wielopolskiemu. Nikt nie wątpił, że wywieziony na Syberję wygnany będzie, i nienawiść ku margrabiemu wzrastała. Wiedzano przytem dobrze, czego interesowani nie ukrywali, owszem starali się wszelkimi siłami o rozpowszechnienie tego faktu, że p. Andrzej zwołał zjazd obywatelski na wyraźne żądanie W. Księcia i tem bardziej oburzano się na rząd. Tymczasem w kwestyi owego pozwolenia było, zdaje się, proste nieporozumienie, a może nieścisłość wyrażen. W. Książę zezwolił na skomunikowanie się p. Andrzeja z jego przyjaciółmi politycznymi, ale nigdy zapewne nie myślał, nie przypuszczał nawet, że to skomunikowanie się ma nastąpić na drodze

zjazdu i sejmu formalnego. Ale choć ci i owi doskonale pojmowali tę różnicę, jednakże umyślnie, dla wzbudzenia tem większej nienawiści przeciw rządowi, usilnie rozpowszechniali pogłoskę o pozwoleniu na zjazd ze strony W. Księcia, a potem o ukaraniu Zamoyskiego, tak, że nakoniec wywołali owo ze strony p. Andrzeja zaprzeczenie, które opublikował *Dziennik Powszechny*. Mimo to jednak obwinienia rządu nie ustawały. Dzienniki zagraniczne, zwłaszcza francuskie, które przez samo przybycie wygnanca do Paryża mocno interesowały się tą sprawą, nazywały Zamoyskiego ofiarą nienawiści Wielopolskiego. Prasa zakordonowa polska szeroko na ten temat się rozpisywała i obrzucała obelgami znienawidzonego naczelnika rządu. Prasa za to tajna warszawska niewiele o tej sprawie mówiła, nieomal pokrywała ją milczeniem. *Ruch* tylko raz mimochodem zaznaczył, że podanie adresu przez szlachtę było czynnością opartą na złudzeniu i nieprzynoszącą żadnej korzyści. Ogół znów, tak rozpowszechnione w Warszawie plotkarstwo, polska słabość politykowania i wysnuwania z każdego faktu jak najfantastyczniejszych rezultatów z miesięcznego blisko pobytu Zamoyskiego w Petersburgu, z tego, że mieszkał tam zupełnie swobodnie, że przyjmował i bywał u różnych dygnitarzy, wyprowadzała wnioski, że p. Andrzej nie tylko nie będzie wygnany, ale wróci z nowemi koncesjami, a nadewszystko zajmie stanowisko znienawidzonego Wielopolskiego. Dla położenia końca tym plotkom i oskarżeniom, drukowanym po dziennikach zagranicznych, pomieszczono w półurzędowym organie, wychodzącym w Petersburgu p. t. *Journal de Saint-Petersbourg*, artykuł obszerny, opisujący cały przebieg sprawy Zamoyskiego, i sądząc po pewnych wyrażeniach i zwrotach, jak się zdaje, zredagowany przez Wielopolskiego w Warszawie. Przytoczywszy fakt zebrania się obywateli ziemskich i podjętej przez nich decyzji, *Journal de Saint-Petersbourg* powiada: „Z jednej strony żaden rząd nie

mógł ścierpieć istnienia prywatnego zebrania bez mandatu prawnego, przywłaszczającego sobie z własnej powagi prawo przemawiania w imieniu narodu, potępiania działań administracyi, wymagania zmian zasadniczych podstaw rządu, rozszerzenia granic Królestwa, rozbierania i stawiania jako warunku współudziału kraju, załatwiania kwestyi politycznych, wniesionych i rozstrzygniętych przez osoby prywatne, nieukonstytuowane prawnie w ciało polityczne. Królestwo Polskie z inicjatywy monarszej zostało uposażone instytucjami, określającymi drogę regularną wyrażenia potrzeb i rozwoju interesów kraju. Rząd zatem nie mógł dopuścić, aby prywatne zgromadzenie przyjęło stanowisko rządu w rządzie i ażeby część kraju przywłaszczyła sobie prawo przemawiania w imieniu całego narodu.“ Powtórzywszy następnie zaprzeczenie hr. Zamoyskiego, że żadnego zjazdu nie zwoływał, cytowany dziennik takie wywodzi konkluzje: „Zgromadzenie właścicieli ziemskich i następstwa jego były skutkiem nierozważnego uniesienia. Wszakże stanowiło ono niemniej naruszenie prawa, czego następstwa mogły być bardzo ważne. Dążyło ono do przerwania regularnego biegu rozmaitych instytucyi, do których udziału większa część mniemanych delegowanych mogła być powołana wskutek wyborów, a które to instytucye mają na celu zbadanie i rozwój prawdziwych interesów kraju. Zwracało ich zatem z prawnej drogi, otwartej dla ich działalności, gdzie obowiązkiem klas oświeconszych i mających wpływ jest, aby pierwsze odpowiedziały na wezwanie, które o ich współudział, w interesie dobra publicznego uczynił monarcha. Zgromadzenie to mogło dostarczyć żywiołów i utworzyć punkt środkowy dla wzburzenia, które starają się utrzymać, a ku uspokojeniu którego dążą wszystkie usiłowania rządu. Sam hr. Zamoyski, przyjmując mandat mu poruczony, wystawiał się na to, że imię jego przemieni się na sztandar, którym stronnictwo bezrządu nie omieszką osłonić anarchicznych dążeń,

odpychanych przez wszystkich uczciwych i przywiązanych do kraju ludzi w Polsce. Są to następstwa, od których rząd chciał go uchronić, wzywając go do Petersburga. Oprócz tego Cesarz uznał, że powrót hr. Zamoyskiego do Warszawy w obecnych okolicznościach przedstawiałby wiele niedogodności. Hr. Zamoyski uda się na jakiś czas za granicę. Taka jest rzeczywista prawda o wypadku, który dziennikarstwo zagraniczne pochwyciło, w celu przeistoczenia go.“

Bądź-co-bądź, Andrzej hr. Zamoyski, którego dumny, zawistny i mściwy margrabia uważał za główny powód swych niepowodzeń, został usunięty, z kraju wygnany i Wielopolski był teraz sam panem pobojuwiska. O ile jednak w głównych, podstawowych czynach swej działalności okazywał wielki rozum, gorącą miłość ojczyzny, wytrawne znanstwo spraw administracyjnych kraju, o tyle w drobiazgach popełniał błędy, a nadewszystko od czasu do czasu popuszczał wodze swej namiętności drażnienia i dawania się we znaki osobom i stronnictwom sobie nie-nawistnym. Zdarzyło się, że mniej więcej w tym samym czasie, gdy się rozgrywała sprawa szlacheckiego adresu do hr. Zamoyskiego, w Lublinie agitatorzy rozrzucili kartkę drukowaną, zatytułowaną: „do sióstr Lublinianek,“ w której uskarżali się na to, że „znajdują się panie, którym zaczyna się już przykrzyć żaloba narodowa,“ i ostrzegając je, że „minał już czas, w którym można było bezkarnie lekceważyć obowiązki narodowe.“ grozili, że nazwiska takich pań ogłoszą, „aby je pokryć wstydem.“ Odezwa ta była jedną z tych, jakich setki rozbiegały się od roku po kraju, i ani stylem nieudolnym, ani napuszystą frazeologią nie odróżniała się od innych i nie zasługiwała na jakąś szczególną uwagę. Wielopolski jednak inaczej sądził. Dla odwdzięczenia się zebranej w Warszawie szlachcie za to, że mu publicznie dała votum nieufności, skorzystał z tej odezwy, by za pośrednictwem urzędowego *Dziennika*

Powszechnego kilka zjadliwych uwag przesłać pod adresem tejże szlachty. Zaznaczywszy, że widocznie w Lubelskiem żałoba narodowa ustępować zaczyna, skoro tajne odezwy za jej rzucenie grożą karą „wstydu,” powiada, że „w niejednym miejscu, gdzie żałoba jeszcze widzieć się daje, lud wiejski nazywa ją żałobą po pańszczyźnie, w ślad czego żydzi w niejednym mieście na prowincyi mogliby powiedzieć, że jest to żałoba po przywilejach „de non tolerandis judeis,” że „znaczna część narodu. żywił jego najlichnieszy, a wprowadzeniem w budowę społeczną najmłodszy, włościanie nasi, nosili w sercach i w przekazanych im z plemienia do plemienia wspomnieniach, wiekową żałobę po Kazimierzu Wielkim; nosili ją także po nim gnębieni przez długi czas żydzi. Za teraźniejszego panowania dokonane reformy, ziszczając dla narodu dziejowy przekaz Króla chłopków, żałobę tę zdjęły z ich duszy.” W zdaniach tych, skreślonych z widocznem usiłowaniem dokuczenia szlachcie i mieszczaństwu, mieściło się formalne oskarżenie tych dwóch warstw społecznych o hołdowanie dążnościom feudalnym. Ten pan polski, którego ród wyrósł z pańszczyzny i królewszczyzny, ten człowiek, który przed kilkunastu laty wołał do księcia Metternicha: „weź nasze głowy, ale nim je zdejmiesz, oddaj nam serca naszych włościan!” — dziś serca tych włościan sam starał się odebrać szlachcie, do której z rodu, tradycji i przekonania należał. Taką to ironię mieszcza w sobie niekiedy wypadki i takim zmianom ulegają ludzie pod wpływem namiętności politycznych.

Ale nie poprzestał on na tem. Wśród nieustannego rozdrażnienia, w jakim teraz ciągle się znajdował, wpadł sam, czy też namówiono go, na nieszczęśliwą myśl ośmieszania patryotyzmu ówczesnego przy pomocy pisina satyryczno-humorystycznego. Z razu chciano oddziaływać na ogół za pomocą poważnej broszury, którą napisał Miniszewski, p. t. „Ruch polski,” i którą, wydrukowaną w Lipsku,

w mnóstwie egzemplarzy rozrzucono po kraju; gdy to nie skutkowało, zwłaszcza, gdy taka broszura nie nadawała się do satyrycznych wycieczek i chłosty humorystycznej, do czego miał zawsze skłonność margrabia, zgodzono się więc na pismko, peryodycznie mające się ukazywać, z natury swej przeznaczone dla szerokich mas, a zatem mogące skuteczniej oddziaływać. Ale ponieważ wiadano, kto pisze „Komunały,” bo taki tytuł niefortunnie wybrany i nic niemówiący nadano owemu pismku, i pod czyją one pozostają egidą, więc dodatniego skutku wyrzucić nie mogły, a przeciwnie, rozdrażniały tylko i tak już nadzwyczaj podrażnione stosunki między margrabią i publicznością polską. Pierwszy numer, a jak Miniszewski nazywał „wiązka” ukazała się w końcu września, w drukarni Ungra; jako redaktor podpisywał się „Achilles Katzenbergowius, Polak rodowity.” Numer zaczynał się przeglądem politycznym, pisany niby w stylu humorystycznym, ale cały humor zawierał się na przykład w takim dowcipie, że książę Czarnogórski, wojujący w tej porze z Turkami, lepiejby zrobił, żeby zabrał się ze swym narodem i swą chudobą i wyniósł do dziewiczej Ameryki. „Należałoby mu przesłać taką radę — pisał Katzenbergowius, — ale, na nieszczęście, poczta teraz nie chodzi do Cetynii, a znaleźć w naszym miasteczku gońca, mającego dość odwagi i całe buty, jest bardzo trudno.” W tym tonie trzymany jest rzut oka na politykę bieżącą, jak również drugi artykuł, zatytułowany: „Przegląd spraw domowych.” O literaturze mówi, że „śpi;” „nic się nie pisze i nic nie drukuje. Piszą tylko książeczki dla chłopów, a chłopci czytać nie umieją.” Potem idą: „Rozmowy podsłuchane na ulicy,” w których, naśladując głośniego berlińskiego „Kladderadatscha,” wprowadza Szulcego i Millera. Ci bardzo się cieszą z awantur polskich, gdyż, dzięki im, powoli zagarną ziemię polską i zrobią z niej Niemcy. Było w tem wiele niestety prawdy, ale powiedziane to było niesmacznie i niedowcipnie. W końcu szły wierszyki z pod-

pisem „Agapit Delille,” albo „Pafnucy Homer”—i na tem koniec. W całości swej *Komunalty* nie były ani mądre, ani humorystyczne; wszystko w nich pisane było słabo, bez talentu, nudnie; każdy concept, czuć było, jak mozołnie został wysmażony. To też wrażenia one nie robiły; mniemana satyra nieudolnością swoją nikogo poprawić nie mogła. Pierwszy numer tego piśmidła przez prostą ciekawość czytano bardzo chciwie, następnych już nie, bo naprawdę nie było co czytać. Władze tajne zbyt wielki zaiste robiły zaszczyt *Komunalom*, zabraniając ich kupowania i sprzedawania po księgarniach. *Czas* krakowski niepotrzebnie się unosił i wołał: że „*Komunalty* mogą ciekawi w rękawiczkach podnieść z rynsztoka;” już drugiego numeru nikt nie czytał, tak to wszystko było słabe, nieudolne, śmiertelnie nudne a złe. Chłopacy, sprzedający po ulicach gazety, wołali, ukazując *Komunalty*: „Kupujcie panowie gazetę, w której wymyślają Polakom!” ale nikt nie kupował. Swoją drogą oburzenie było tak powszechne, że numeru trzeciego żadna drukarnia w Warszawie, nawet Jaworskiego, u którego odbijał się *Dziennik Powszechny*, drukować nie chciała, lękając się gróźb i nienawiści ogólnej. Wielopolski więc wysłał Sobieszczańskiego za granicę, który wydał ten numer w Naumburgu u Petza, w ilości 600 egzemplarzy, z podpisem „Warszawa.” Numer ten jednak sprowadzony do kraju, wśród grozy rozwijających się wypadków, złożony w Komisji oświecenia na składzie, na widok publiczny wypuszczony nie został.

Nowy więc pomysł użycia bicza satyry społecznej, częstokroć bardzo skutecznego na taką chorobę, jakiej Polska wówczas ulegała, pomysł, w gniewie poczęty i nieudolnie wykonany, korzyści oczekiwanych nie przyniósł, przyczynił się tylko do podrażnienia i do wzmożenia nienawiści przeciw margrabiemu. Wszelako, jeżeli te drobne rzeczy świadczyły, że wielki rozum statysty na swe słabości, na które w innych czasach i w innych okoliczno-

ściach niktby nie zważał, to w przeprowadzeniu zainicjowanych reform, w dalszym rozwoju zupełnej autonomii kraju Wielopolski okazywał niezwykłą sprężystość, energię i niezmordowaną pracę. Przez ukaz z Krasnego Siola z dnia 12 sierpnia zniesiono zależność poczty w Królestwie; w kilka dni potem, przez ukaz z tegoż Krasnego Siola z dnia 19-go sierpnia, ustanowiono oddzielny i niezawisły od Zarządu komunikacji w Cesarstwie Zarząd komunikacji wodnej i lądowej w Królestwie. Powoli już nic nie miało łączyć Polski z Rosyą, tylko osoba Monarchy; autonomia zupełna i niczem nieskrępowana stawiała się faktem, otwierało się obszerne pole pracy dla wszystkich miłujących szczerze i rozumnie kraj. Ze swej strony rząd Królestwa, pomimo zamachów, pomimo licznych oznak szeroko rozgałęzionego spisku, starał się wszelkimi sposobami złagodzić surowość stanu wojennego i uczynić życie pod nim znośniejszem. Muchanow, nowy oberpolicmajster warszawski, dozwolił w dniu 28-m lipca chodzić po mieście wieczorami bez latarek, zniósł przepis nierozumny, żadnego pożytku nieprzynoszący, a dokuczliwy już przez to, że każdego spóźnionego przechodnia po mieście zmuszał do dzwigania latarki i pamiętania o niej. Co najważniejsza jednak, W. Księżę w pierwszych dniach września uznał za stosowne znieść zupełnie stan wojenny w niektórych prowincjach kraju. W tym celu przez rozporządzenie z dnia 8-go września zniósł całkowicie stan wojenny we wszystkich powiatach gubernii Radomskiej, a mianowicie: w Radomskim, Sandomierskim, Opoczyńskim, Opatowskim, Kieleckim, Miechowskim, Stopnickim i Olkuskim, z wyjątkiem miast: Radomia i Kielc. Wszelako przepisy co do posiadania broni zachowano w zupełnej swej mocy, oraz że przestępstwa polityczne wszędzie i zawsze mają być sądzone przez sądy polowe wojenne. W miesiąc później, dnia 10-go października, zniesiono tenże stan wojenny w guberniach: Lubelskiej i Augu-

stowskiej, z wyjątkiem miast: Lublina, Siedlec i Suwałk. Wreszcie w dwa miesiące potem, w końcu samym tego fatalnego 1862 r., zniesiono dnia 16-go grudnia stan wojenny w guberniach: Warszawskiej i Płockiej, z wyjątkiem Warszawy, Kalisza, Płocka i miejscowości, położonych wzdłuż drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej. Tym sposobem już ku schyłkowi roku cały nieomal kraj, prócz miast najgłówniejszych, wolny był od uciążliwości stanu wojennego, co dowodziło, jak dalece rząd, prawie w przededniu burzy straszliwej, niedokładnie był poinformowany o tem, co się dzieje w kraju. Wprawdzie z drugiej strony stan wojenny, źle i niedbale wykonywany przez różnych naczelników wojennych, ludzi nieprzygotowanych do tego i niemających najmniejszego pojęcia o administracyi, częstokroć krępowanych przez najrozmaitsze w swej działalności instrukcyje dodatkowe, otrzymujących liczne zalecenia łagodnego obchodzenia się z mieszkańcami, nie przynosił tych korzyści, jakie mógł przynieść i jakich się po nim spodziewano. Wszelako koncentrując władzę w jednej osobie, w danej chwili, przy sprężystym użytku tej władzy, mógł być pożytecznym. Zniesienie więc jego w tym czasie było błędem.

Najważniejszą jednak sprawą, która, dzięki energii Wielopolskiego, poczęła się nieco na przód posuwać, była sprawa oczynszowania włościan. Szła ona dość opornie, gdyż umów dobrowolnych, na które prawo dozwalało, owszem zalecało je nawet, między włościanami a dworem, było bardzo niewiele. Do dnia 23-go czerwca takich umów w gubernii Warszawskiej zawarto zaledwie ośm, a mianowicie: we wsi Czerniakowie pod Warszawą, należącej do wdowy po Tomaszu hr. Potockim, za którego życia jeszcze cała ta sprawa się załatwiła. W myśl swego projektu, który w roku zeszłym propagował na zebraniu Towarzystwa rolniczego, starał on się umowę z włościanami tak ułożyć, ażeby oni powoli doszli do własności przez zapłatę sumy,

wynikającej z pomnożenia rocznego czynszu nie przez 20, jak to się zwykle praktykowało, lecz przez $16\frac{2}{3}$. Był to pierwszy przykład tego rodzaju operacyi, ale, o ile sięgają nasze wiadomości, jedyny w kraju. Zawarto także umowę dobrowolną we wsi Trzylatkowie w pow. Warszawskim, należącej do p. Tomasza Wilkońskiego; dalej we wsi Stropieszyn w pow. Kaliskim, własności p. Antoniego Celińskiego, oraz Cekowie, do tegoż należącej; we wsi Wygonka, w tymże powiecie położonej, należącej do p. Romana Radolińskiego. W pow. Wieluńskim trzy wsie, należące do p. Tadeusza Trepi, a mianowicie: Mokrsko Szlacheckie, Słupsko i Piaski, przystąpiły do dobrowolnego oczynszowania. We wszystkich tych majątkach, oprócz stosunkowo bardzo niskiego czynszu ¹⁾, właściciele starali się wszelkie możliwe ulgi robić włościanom, darowywali im parę rat czynszowych, część czynszów przeznaczali na założenie szkoły i t. p., w czem wyraźnie przebijają się myśl wyższa, obywatelska i patriotyczna, załagodzenie starej nienawiści między dworem i chatą ²⁾.

Tak jednak drobna ilość umów dobrowolnych świadczyła, jak ciężko będzie szła sprawa. Rząd dopiero w d. 22-m lipca w oddzielnych drukach rozesłał do wszystkich wójtów gmin ogłoszenie o czynszowaniu, a zarazem polecił odczytać chłopom objaśnienia, ułożone przez Komisję spra-

¹⁾ W Czerniakowie czynsz był najwyższy, odpowiadający wartości włóki, obliczonej na rubli 1,524, ale Czerniaków leżał tuż pod Warszawą, obfitował w łąki i ogrodowizny, które znaczne korzyści przynosiły włościanom. W innych wsiach czynsz odpowiadał przecięciowo 600 rublom za włókę.

²⁾ *Dziennik Powszechny* w urzędowym artykule chwalił też za to szlachtę (№ 142): „Rzetelna zasługa—pisał—należy się właścicielom dóbr, umiejącym urządzić stosunki swoje z włościanami w drodze dobrowolnych układów, które przy dzisiejszem usposobieniu włościan tam tylko osiągnąć się dadzą, gdzie szczere chęci i ustępstwa dziedziców zbudzić zdołają nawzajem dobrą wiarę i ufność.”

wiedliwości i zatwierdzone przez Radę administracyjną. W objaśnieniu tem w formie możliwie jasnej i prostej przedstawiono całą treść prawa z d. 5-go czerwca, oraz drogę, jaką iść należy do jego urzeczywistnienia; w końcu ostrzegano ich przed namowami złych ludzi: „Nie słuchajcie rad i namów ludzi przewrotnych—wołał prawodawca polski do chłopu polskiego,—którzy (jak to rządowi wiadomo), częstokroć podburzają was i manią (tak!) kłamliwymi widokami w jedynym celu wyduszenia pieniędzy; narażają was na stratę drogiego czasu, waśnią z właścicielami, stawiają w nieposłuszeństwie woli i rozkazom rządu, a stąd, zamiast los wasz poprawić, przyprowadzają o zgubę i często na was surowe kary ściągają.“

Ostrzeżenie takie do pewnego stopnia było koniecznem, jakkolwiek przy podejrzliwym charakterze kmiecia polskiego, który nikomu nie wierzył, a wszystkich posądzał o złą wolę, mało skuteczne. Głuche wieści, które, podobne do kamienia rzuconego w drzemiącą wodę, coraz szersze i dalsze fale wytwarzającego, padając w martwe morze chłopskie, rodziły mnóstwo nadziei, mnóstwo marzeń, podburzały chciwość dusz prostackich i nie kazały niczem się wiązać w teraźniejszości, bo przyszłość o wiele więcej dać może. Teraz bowiem wszyscy starali się dostać do chłopów: i rząd, i szlachcie i czerwieniec polski, i coraz bardziej mącili nieprzejrzone ciemności tych głów, pełnych instynktów człowieka pierwotnego.

Czerwienicy warszawscy i nie warszawscy starali się wpływać także na chłopów. Twierdzili oni głośno, że prawo o czynszowaniu z urzędu nie tylko nie rozwiązuje kwestyi włościańskiej (o czem nikt nie wątpił), ale owszem zaostrza ją jeszcze bardziej. Utrzymywali więc, że w Królestwie osad pańszczyźnianych, kwalifikujących się według ukazu z d. 5-go czerwca do czynszowania, jest zaledwie 274,014, co rachując na jedną osadę po $4\frac{1}{2}$ głów, wyniesie 1,263,050 ludzi. Tymczasem w owej epoce ludność wiejską

w Królestwie obliczano na 3,584,414 głów. Takim więc sposobem czynszowaną zostanie zaledwie trzecia część nieszkańców wsi. Ten milion czynszowanych—mówili oni—jest masą bardzo potężną, ale nie jest ludem całym. „Poza tą cyfrą stoi ogromna, przeszło dwumilionowa masa, dla której dzisiejsze czynszowanie jest albo obojętne, albo nawet bolesne.“ I jakież stąd wnioski? Oto taki, że prawo Wielopolskiego jest prawem połowicznem, że ono w niczem nie zaszkodzi przyszłemu powstaniu, do którego „chamski Erebus“ darowizną gruntów da się zachęcić. Z tem wszystkim nie przestawano oddziaływać na chłopów wszelkimi możliwymi, jakie tylko miano pod ręką, środkami. Rzecz prosta, że najsilniejszym narzędziem po temu stało się niższe duchowieństwo, fanatycznie i patryotycznie usposobione, które widocznie przechylało się do rewolucyi i chętnie wszelkie zlecenia agitatorów wypełniało. Jako potężny środek ku temu służył konfesyonał, a nadewszystko kazalnica, z której, nawet w tej porze jeszcze, mimo stanu wojennego, rozlegały się głośne potępienia. Chłop jednak, który o tyle wierzył księdzu, o ile to nie dotyczyło polityki i interesów materyalnych, niechętnie tego słuchał i głośno powtarzał, że „dobrodzieja przekupili panowie.“ Wszelkie też starania duchowieństwa dla wzbudzenia w kmieciu przekonania, że wszystko to, co się robi w sprawie stosunków włościańskich, robi szlachta z własnej inicjatywy, a nie rząd, rozbiły się o szósty zmysł chłopski: nieufność. Nie wierzył on instynktownie w trwałość przedsięwziętych robót i oczekiwał uwłaszczenia, jako jedynego wyjścia w tej kwestyi. Niechętnie się więc czynszował, a w wielu miejscach wprost nie chciał przystępować do umów czynszowych. A przytem niższe duchowieństwo, proboszczowie i wikaryusze, oraz licznie po kraju rozrzucone klasztory żywiły przekonania jak najradykałniejsze pod tym względem. Ci różni plebani i zakonnicy, rekrutujący się po większej części z ludu, kryli w głębi serca niechęć ku szlachcie

i domagali się uwłaszczenia, raz jako koniecznej ekspiacji za błędy przeszłości, a potem jako jedynego środka zbawienia ojczyzny. Zgadiali się oni pod tym względem z ogrozną większością narodu i z zasadami wyznawanymi przez komitety powstańcze. Ukazała się w tym czasie litografowana broszurka p. t. „Słowo polskiego duchowieństwa do polskiego obywatelstwa, albo zmartwychwstanie Polski w obliczu chrześcijańskiego duchowieństwa,” która domagała się od szlachty, aby w imię przyszłości ojczyzny nie bawiła się w oczynszowanie, w połowiczne załatwienie kwestyi włościańskiej, ale od razu przystąpiła do uwłaszczenia. Broszura ta została w przeważnej części nakładu skonfiskowana przez policję przy rewizyi i aresztowaniu niejakiego Sochaczewskiego, niegdyś studenta Szkoły sztuk pięknych; rozeszła się więc w niewielkiej ilości egzemplarzy i przez to wpływu wyrzeć nie mogła, ale dosadnie maluje pogląd duchowieństwa polskiego na kwestyę włościańską w Królestwie. „Po ostatniej Towarzystwa rolniczego uchwale w Warszawie—pisze autor broszury,—o której (rozumie się, uchwale) wieść najżywszą przejęła nas radością po kraju całym, staliście się panami na chwilę całego położenia, widzieliśmy już na głowę pobitych wrogów ojczyzny naszej; lud skłonny był, jak uważaliśmy, wam zaufać, słowo nasze nie byłoby do niego bezskuteczne, pragnęliśmy tylko coprędzej widzieć was uiszczających się z obowiązków: sądząc, że w przystąpieniu do układów z ludem kierować się będziecie szczeremi pobudkami patryotyzmu, że oceniliście ważność chwili, że dla zjednania sobie ludu gotowi jesteście do ofiary. Tymczasem jakże bolesnem było rozczarowanie nasze, gdyśmy spostrzegli wkrótce, że z malej liczby wybranych do Towarzystwa jeszcze nie wszyscy byli wybrani; prędko przeminał zapał, którym was na chwilę pocziwa natchnęła Warszawa, a miejsce szlachetnych postanowień zimna zajęła rachuba. Cóż mówić o kraju całym? Jeżeli tedy chcecie lud sobie zobowiązać, w czem bez wąt-

pienia jedyna leży nadzieja zbawienia ojczyzny, niechże was część przynajmniej większa oświadczy się z jednością działania, a wtenczas mniej liczny niesławny zastęp w narodzie uledzby musiał; inaczej ofiary nawet niektórych, jak nazywacie, będą bezowocne. Zaprawdę, czyli możecie się spodziewać, że lud zobowiązecie, jeżeli domagać się będziecie wyższej stopy czynszów, niż on widzi w dobrach rządowych?” „Nie oglądajcie się na ostatni reskrypt rządu, podnoszący czynsz i dający wam miecz w rękę przeciwko ludowi, bo to jest jeszcze jedna kość niezgody, wyrzucona z piekła pomiędzy was i lud. Wyłączwszy wszelkie współdziałanie rządu, sami ostatecznym i wieczystym układem z ludem zróbcie sobie z niego niezależnych sąsiadów, gdyż widzimy, że niektórzy z was pod formą oczynszowania, które jako poroniony plód uważamy, chcą utrzymać lud w zależności, tak niestety w przeszłości dla niego oplakanej. domagając się za opał lub pastwisko stałej robocizny, która nie może być czem innem, jak tylko dalszym ciągiem pańszczyzny.”

Oprócz tej odezwy, wystosowanej wyłącznie do szlachty, ukazywały się i inne, przeznaczone dla chłopów, ale ten o nich nie wiedział, a jeżeli mu je odczytał panicz, który przyjechał na wakacje do domu, i, radykalnie w mieście usposobiony, drwił sobie po cichu ze „szlagońskich fanaberyi” ojca, lub rozentuzyzmowana fałszywym patryotyzmem panienka,—to słuchacze więcej wzdychali melancholijnie, drapali się po kudłatych głowach, przestępowali z nogi na nogę i kończyli całą sprawę słowami: „niech ta Pan Jezus pomoże temu, kto chce najlepiej.” Wróciwszy jednak do chałupy, wygadywał na panicza i panienkę, że go buntują, i czasem denuncyował do najbliższego naczelnika wojennego. Położenie zaiste było straszne i prawie bez wyjścia; nad milionową masą ludu unosił się ponury duch nieograniczonych nadziei, a nadzieje te miały być urzeczywistnione tylko przez rząd.

Wśród takich to warunków, wśród takich głuchych falowań umysłów chłopskich, Wielopolski usiłował przeprowadzić oczynszowanie, którego nikt szczerze nie chciał, z którego wszyscy byli niezadowoleni, tak dobrze chłop jak i szlachta. Tak zwane Delegacye czynszowe, wybierane z pośrodku członków Rad powiatowych, dla przeprowadzenia czynszowania z urzędu, formowały się niechętnie i leniwie. Naprzód utworzyły się w gubernii Radomskiej, gdzie do grudnia 1862 roku zaledwie 60 dóbr zgłosiło się o regulację czynszów z urzędu; co ważniejsza jednak, że zaraz z samego początku poddały krytyce postępowanie rządu w tej sprawie. W dwóch powiatach tej gubernii, nieomal nazajutrz po ukonstytuowaniu się, Delegacye zażądały, aby cytowane przez nas wyżej objaśnienie prawa o czynszowaniu z urzędu, które to objaśnienie, jak wiemy, wszędzie włościanom mieli odczytywać wójci gmin, zostało wstrzymane. Członkowie Rad powiatowych, przeważnie ziemianie, doskonale wiedzieli o fermencie, jaki panuje wśród chłopów, których od dwóch lat blisko obrabiały wszelkiego rodzaju odezwy, podszepty, cyrkularze. Nowy więc okólnik, napisany dość niejasno, prawdopodobnie nie będzie zrozumiany przez chłopów, a przynajmniej w każdym razie wzbudzi w nich nowe nadzieje i nowe wątpliwości. To przekonanie wśród członków Delegacji było tak powszechnem, że w jednym z powiatów zażądano wniesienia do protokołu wniosku, że „ogłoszenie objaśnień do prawa o oczynszowaniu tylko utrudni działanie Delegacji.“ Rząd wnioski te odrzucił, jako nieprawnie wyrzeczone, gdyż przekraczały one atrybucye Rad powiatowych; mógł wszelako nabyć przekonania, jak trudnem i mozolnem będzie przeprowadzenie oczynszowania wobec powszechnej przeciw temu prawu niechęci. W ogólności sprawa ta zapowiadała, że ciągnąć się będzie długo, a wszyscy przewidywali, że wypadki się nie zatrzymają w kraju, że niema nowego Jozuego, któryby temu palącemu i wszystko pożerającemu słońcu

stanąć kazał, że owszem toczy się ono z przyspieszoną szybkością i wszystko, co się teraz robi, wywróci do góry nogami. Dlatego też, obok zaznaczonej już przez nas niechęci ku nowemu prawu, które nie zadowalało nikogo, żadnego ze stronnictw ówczesnych, nikt jeszcze nie wierzył w jego przyszłość i trwałość i nikt też szczerze do jego urzeczywistnienia się nie brał, jako do tworu bez jutra.

Takie było ogólne położenie rzeczy, w takim oplakanem ze wszech miar stadyum znajdowała się najważniejsza, najdonioslejsza zaiste sprawa włościańska, gdy Wielopolski, wygnawszy ostatecznie z kraju Zamoyskiego, został sam. z tem przekonaniem, że teraz nikt mu już bróździć i nikt w jego działalności przeszkadzać nie będzie. Nabył on teraz przekonania, że skoro w kraju nie może znaleźć poparcia, to działać będzie bez tego poparcia, wbrew woli wszystkich, siłą i przemocą, i „zrobi coś dobrego dla Polski, ale bez Polaków.“ W poczuciu swej mocy, swej dumy, ufności w siebie, łudził się nadzieją, że zamysł ten przeprowadzi. Znał on potęgę rządu, tej maszyny skomplikowanej coprawda, ale, bądź-co-bądź, działającej sprężystości, i pewny był, że przy odpowiedniem użyciu tej siły wszelkie przeszkody obali i swoje zrobi. Wprawdzie niekiedy lekkim niepokojem przejmowali go Czerwoni i ich komitety, które od czasu do czasu dawały znać o sobie i które miały za sobą całą ludność miejską i większą część szlachty. Czasami zapuszczał z wyżyn, na których stał, oczy swoje w ciemne głębie spisku, rojącego się jakimiś nieznanymi istotami, ale i tu był pewny, że da sobie radę z tem czemś, coprawda pozornie nieuchwytnem, ale w rzeczywistości bardzo konkretnem. Już teraz w głowie swojej snuć począł projekta zadania potężnego ciosu spiskowi i rewolucji.

Nim jednak opiszemy bliżej te projekta i ich straszne dla kraju skutki, wypada nam wprzód zajrzeć do tajników spisków podziemnych, które, jak bajeczny szekspirowski

las Birnammu, poruszać się poczęły i obalać miały nie dramatycznego Makbeta, ale Polskę całą, a z nią Wielopolskiego i innych.

III.

Podczas gdy się te wszystkie głęboko tragiczne sceny rozgrywały, gdy rewolwer i sztylet brał na się rolę zbawcy ojczyzny, przysiężenie, pelzając powoli, coraz szersze kręgi zataczało, coraz większą ilość ludzi i rzeczy w swe palące objęcia chwytało. Stojące na czele spisku ciało, wyłonione z chaotycznego zamętu różnych Komitetów, przybrało miano centralnego Komitetu narodowego, co miało oznaczać, że jest jedyną prawną władzą, jedynym ciałem, skupionem z mgławicy przysiężenia, że poza nim inne tego rodzaju organizmy istnieć nie mogły i nie powinny. Skład tego pierwszego Komitetu centralnego, tak jak on się utworzył w pierwszych dniach czerwca, lub na początku lipca, był następujący: Agaton Giller, Witold Marczewski, Bronisław Szwarc, Władysław Koskowski, Jarosław Dąbrowski i Władysław Daniłowski. Z całego tego grona ludzi, których wypadek, zamęt, panujący w wierzchnich słojach organizacyi, zetknął i zlepił w jedno ciało, prócz Gillera nie było nikogo, któregoby nazwisko coś mówiło, było znane jeżeli już nie krajowi całemu, to choć jednej jakiegokolwiek w nim warstwie. Giller, liczący w tej porze 31 lat (ur. w 1831 r. w Kaliszu), Sybirak, który za spisek, osnuty w Warszawie w r. 1850, wysłany został za Bajkał i za amnestią w kilka lat potem powrócony, zajmował się literaturą i w sferach nielicznych czytelników tej doby imię jego było dość znane. Napisał i wydał mniej więcej w tych czasach interesującą książkę, zawierającą: „Opis zabajkałskiej krainy w Syberyi“ oraz od r. 1861 redagował *Czytelnię niedzielną*, piśmko przeznaczone dla sfer rzemieślniczych,

stąd imię jego w tych kołach, zwłaszcza w Warszawie, było popularne, choć sam jako człowiek nie był bardzo lubiany. Zrozumiały nadzwyczajnie, lubo pozbawiony gruntowniejszego wykształcenia, pożerany niezdrową ambycją, właściwą ludziom tej epoki, obdarzony bardzo niernym talentem pisarskim, mistyk nieco w przekonaniach, pełen sztucznej powagi, nie budził w nikim sympatii ku sobie. Z natury posępny i chmurny, miał w sobie coś ze średniowiecznego mnicha fanatycznego. Powstawał nieustannie przeciw zbytkom i demoralizacyi Warszawy; utrzymywał, że rząd stara się zepsuć Polaków, że w tym celu daje subsydy teatrowi, wspiera balet, ten „rozsadnik zepsucia“, jak się wyrażał. Ileż razy ten trybun ascetyzmu wołał: „niech żyje Sparta! precz z rozpustą!“ Wszystko to nie jednało mu przyjaciół; wielu jego surowość uważało za udanie, choć tak nie było, i nie lubiano go powszechnie. Wszakże, bądź-co-bądź, było to jedyne imię w tem nowo-skonsolidowanem ciele rewolucyjnem, imię coś mówiące i jako tako znane. Inni i tego za sobą nie mieli, a jednak uważali się za uprawnionych do kierowania losami i przyszłością narodu. W tem zebraniu się przypadkowem ludzi Giller przedstawiał kierunek umiarkowanie-powstańczy, inni byli zaciekłymi rewolucjonistami, z nikim i niczem się nie liczącymi.

Dąbrowski, znany w sferach rewolucyjnych pod nazwą „Łokietka“, oficer sztabu generalnego, był człowiekiem pełnym szalonych pomysłów i projektów, które wrzały w tej głowie, wiecznie niby wulkan gorejącej. Nie lepsi byli jego koledzy. Szwarc, wychowany we Francyi, inżynier z fachu, był przy tem wszystkiem głową bardzo słabą, lekkomyślną i mało wyrobioną. W tym mózgu szalonym idee zachodnie rewolucyjne nieprawy związek zawarły z ideałami polskimi i mrzonki reform socyalnych z myślą odbudowania Polski; istny groch z kapustą, który czynił ze Szwarcego osobistość bardzo niebezpieczną, bardzo zaślepioną i przez cia-

snotę umysłu groźną dla kraju i jego przyszłości. Najrozu-
mniejsze zdania, najoczywistsze dowody nie były go
w stanie nigdy przekonać, że źle robi, że ojczyznę na wspólnkę
z jej wrogami na krzyżu rozpina, jeżeli w swej głowie za-
kutej, w swem zaciętrzewieniu uznał, że właśnie to, co on
wymyślił i postanowił, jest najlepsze i najrozu-
mniejsze. Pod tym względem wtórowali mu i inni. Władysław Koskowski,
który zresztą w pięć dni po zawiązaniu Komitetu został
z niego usunięty, ustępując Szwarcemu i zajmując odtąd
stanowisko podrzędniejsze, należał także do tej, niezbyt je-
szcze w tej porze licznej sfery ludzi w Polsce, którzy usiło-
wali utworzyć istne małżeństwo na wiarę między ideami
rewolucyjnymi i socjalnymi Europy zachodniej a ideami
powstańcami polskimi. Licząc 33 lata w tej dobie (ur.
1827 r. w Płocku), miał już za sobą całą przeszłość, peł-
ną burz i przygód; raz powstaniec, bijący się w 1848 r.
pod Miłosławiem, to znów emigrant, sączący w Paryżu
w duszę polską jad socjalizmu i rewolucyj francuskiej, to
wygnaniec w Orenburgu, amnestyowany w r. 1858, był
podobnym, jak Szwarce, amalgamatem nieprzetrawionych
dobrze idei obcych, gwałtem zaszczepianych na wielo-
krotnie potrząskanej przez pioruny dziejowe polskiej plonce
powstańczej. O Daniłowskim później powiemy, gdyż zary-
suje on się najlepiej w czynach.

Takim był skład tego Komitetu, który przezwiał się
centralnym i który zuchwale i samowładnie podjął się kie-
rownictwa losami narodu. Jedynym przedstawicielem jakie-
go takiego umiarkowania i liczenia się z okolicznościami
był Agaton Giller, a w części i Witold Marczewski; reszta
to szaleńcy, nikomu nieznani, gdzieś z ciemnych otchłani
bytu narodowego wyrzuceni na wierzch w konwulsyjnych
drganiach wulkanu powstańczego. Jakkolwiek Chmieliński
został sromotnie wyrzucony z Komitetu, jakkolwiek za to
omal nie rozpędził go w dniu zamachu na W. Ks. Kon-
stantego, jednakże członkowie tego ciała, jak Dąbrowski,

Daniłowski, Koskowski, a nawet i Szwarce, nie zerwali
z nim stosunków, co w każdym razie świadczy o dziwnem
pojęciu uczciwości politycznej i społecznej. Pomimo, że
Komitet po rzeczonem zamachu, na jednym z pierwszych
swych posiedzeń, pod przewagą Gillera i zawsze popie-
rającego go Marczewskiego, zawotował potępienie zama-
chów i zakaz ich na przyszłość, „jako niebezpiecznych dla
sprawy narodowej,” Dąbrowski, Daniłowski, a nawet
Szwarce, brali udział w przygotowaniach do zamachów
Rylla i Rzońcy. W takim składzie ciała rządzącego, gdzie
co chwila najróżnorodniejsze prądy dawały znać o sobie,
gdzie każdy uważał się za uprawnionego do działania na
własną rękę, nie mogło nic iść dobrze i składnie, a zwła-
szcza z góry można było przewidzieć, że jak we wszyst-
kich spiskach na świecie, tak i tu, wcześniej czy później,
najszaśleńsi, najgorętsi i najgłośniejsi krzykacze wezmą
górze i wszystką robotę utopiają w morzu nieszczęścia po-
wszechnego.

Mimo to, z razu pod wpływem Gillera, który swą
niecierpiącą opozycji zarozumiałością i napaśzoną powagą,
swym sztucznym chłodem wreszcie, na chwilę zyskać so-
bie potrafił znaczenie w Komitecie, starano się zaprowa-
dzić jaki taki ład w organizacyi, która, mnożąc się szybko,
tworzyła w tej dobie istną mgławicę kosmiczną, pełną wi-
rów i wichrów wewnętrznych. Zaczęto przedewszystkiem
od siebie, od organizacyi Komitetu samego, trzeba było
bowiem podzielić się sprawowaniem różnych interesów,
które wchodziły w zakres kompetencji najwyższej władzy,
za jaką uważał się Komitet. Naczelnictwo więc miasta
Warszawy, stanowisko utworzone jeszcze przez Komitet
miejski i piastowane ciągle przez Jarosława Dąbrowskiego,
pozostało nadal w jego ręku, dając mu tym sposobem
istotną i naprawdę jedyną władzę, jaką posiadał terazniej-
szy i wszystkie przyszłe Komitety i Rządy. Już przez to
samo, że Naczelnik miasta miał pod swym zarządem całą

organizację miejską, karną i posłuszną, był on właściwym panem sytuacji i zwykle robił to, co chciał, zmieniał skład ciała rządzącego, ilekroć mu się to spodobało. Było to oczywiście błędem—urzędnika, stosunkowo dość podrzędnego, wprowadzać do składu Komitetu,—ale błąd ten, jakkolwiek widoczny dla wszystkich, w tej chwili był niemożliwym do uniknięcia, gdyż osobistość Jarosława Dąbrowskiego tak była wybitną i znaczącą, że usunąć go ze składu Komitetu było wprost niepodobieństwem. Jak wiemy, Dąbrowski, zgodnie z warcholskim zwyczajem większej części członków Komitetu, lubiał działać na własną rękę i nie oglądał się wcale na to, co uchwalił lub postanowił Komitet, którego zresztą nie lubiał i na który był zagniewany, że zapobiegł wybuchowi powstania, naznaczonego na lipiec. Dlatego też, wbrew zakazowi Komitetu co do zamachów, urządzał je na margrabiego i wcale nie zważał na to, co powie Giller lub Marczewski, zwłaszcza, że miał za sobą takich szaleńców, jak Szwarce, Koskowski i Rolski. Prócz naczelnictwa miasta, Dąbrowski spełniał obowiązki zarządzającego wydziałem wojny i Litwy, jako niby delegat Komitetu tamtejszego. Właściwie zarząd Litwy nie miał żadnych podstaw realnych, gdyż organizacja tam przyjmowała się bardzo trudno i szersze przybrała nieco rozmiary w puszczy Białowieskiej, dzięki, jakżeśmy już we właściwym miejscu powiedzieli, Waleremu Wróblewskiemu, i w obwodzie Białostockim, dzięki Szwarcemu, który wyniósłszy się stamtąd przed prześladowaniem policyi białostockiej, wszystkie, zdaje się, nici zachował w swych rękach, ale do dalszego rozwoju organizacji przyczynić się nie mógł. W Wilnie krzątał się koło zawiązania tej organizacji niejaki Nestor Dulaurant, urzędnik kolei Warszawsko-Petersburskiej, ale rzecz szła opornie i o właściwym spisku mowy tu być nie mogło, choćby dla tej przyczyny, że nie było materiałów po temu. Szlachta, przedstawiająca jedyny, rzecz można, żywioł polski na Li-

twie, miała swą, do pewnego stopnia jawną organizację białą i nie chciała wchodzić do potajemnego sprzysiężenia czerwonego, urządzanego przez figury podrzędne, przez jakiegoś strażnika leśnego, inżyniera, doktora lub urzędnika kolejowego, sfery, dla których pracowity szlachcic polskolitewski żywił lekceważenie, jeżeli nie pogardę. Przytem, z natury rzeczy, szlachta była jak najprzeciwniejszą powstaniu, do którego Czerwoni wyraźnie dążyli, nie mogła więc brać udziału w ich organizacji. Pozostawali więc tylko urzędnicy nowobudującej się kolei Warszawsko-Petersburskiej i drobne mieszczaństwo po miastach i miasteczkach. Żywioł to był nieliczny, ciemny, zasklepiiony w swych interesach i dlatego organizacja czerwona na Litwie szła bardzo opornie i powoli, i zarządzać tu czem tak bardzo nie było. Dąbrowski więc miał wydział, w którym nie było co robić; zresztą Litwą nie zajmował on się wcale, mając aż nadto czynności w samej Warszawie, zdając się w tym względzie, jeżeli się nie mylimy, na Szwarcego, do którego atrybucji należał zarząd prowincjami, leżącymi na prawym brzegu Wisły, z konieczności więc sięgał on i do Litwy, a głównie w Podlaskie i Białostockie, gdzie, jak wiemy, miał swe relacje.

W tym podziale różnych czynności Giller wziął na siebie sprawy zagraniczne i prasę. Pozostali członkowie Komitetu tak się podzielili zajęciami: Marczewski wziął zarząd kraju po lewym brzegu Wisły, oraz komunikację, co mu tem snadniej przyszło, że, jako inżynier, służący na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, i jako właściciel ziemski w Piotrkowskim, miał tam obszerne stosunki. Do pomocy dodany mu był Jan Wernicki, urzędnik pocztowy, figura bardzo licha, lekkomyślny, strojniś, umizgający się do kobiet. Właściwie organizacją poczty powstańczej i komunikacji zajmował się Tomasz Winnicki, także urzędnik pocztowy, człowiek bardzo wyróżniający się, który pod tym względem niezaprzeczenie okazał dużo zdolności i ta-

lentu organizatorskiego. Poczta powstańcza wśród wszelkiego rodzaju wstrząśnień i przeszkód funkcjonowała z możliwą dokładnością. Ale są to czasy późniejsze; teraz Winnicki i Marczewski zabierali się dopiero do urządzenia tej nader ważnej galezi sprzysiężenia i z dobrem zrozumieniem rzeczy trzymali sprawę całą w ścisłej tajemnicy, dzięki czemu uniknęli mieszania się innych i niepowołanych do tego wydziału. Nakoniec ostatni członek Komitetu, akademik Władysław Daniłowski, przyjęty niegdyś, po rozwiązaniu się Komitetu akademickiego, był, jak zawsze, reprezentantem młodzieży i miał się niby zajmować sprawami Galicyi i Rusi. Ślamazarny nieco, powolny w wysłowieniu i czynach, krył w sobie jednak najgorętsze, najzapaleńsze przekonania rewolucyjne i skłonność ku skrajnym działaniom.

Szło teraz o to, by opracować szczegółową instrukcję tak dla samego Komitetu, jak i dla całej organizacji. Osiągało się przez to cel podwójny, bo wprowadzało się pewien ład i porządek w luźne dotąd ogniwa sprzysiężenia, a zarazem poddawało się je pod władzę Komitetu, który dotąd, rzec można, wisiał w powietrzu, organizacji prowincjonalnej był całkiem nieznany i w większej części zupełnie o jego istnieniu nie wiedziano. Napisanie tej instrukcji powierzono Gillerowi, staremu, wytrawnemu spiskowcowi, a zarazem literatowi. W głowie tego człowieka, nieposiadającego talentu pisarskiego, ale niepozabawionego zdolności organizatorskich i rozumu, urodziła się myśl dziwna, osobliwsza, myśl niesłychana prawie dotąd, możliwa tylko w czasach takich, jak te, które opisujemy. Myśl ta może niezupełnie była jego własnością, powziął ją może kto inny, może leżała ona w powietrzu, jak wszystkie szerokie pomysły (już *Strażnica* w roku zeszłym mówiła o niej), ale ostatecznie Giller ją sformułował i do pewnego stopnia w czyn wcielił. Tą myślą niesłychaną w XIX wieku, prawie niewykonalną wobec ty-

siąca potężnych narzędzi, jakie każdy rząd posiada w swych rękach, było stworzenie tajnego państwa polskiego, tajnego rządu polskiego, funkcjonującego regularnie przy pomocy mnóstwa odpowiednio uorganizowanych instytucji i władz. To nie był już spisek, nie było sprzysiężenie, bo organizacja ta z natury rzeczy funkcjonować musiała jawnie i widocznie dla każdego; widać było wszystkie koła i kółka jej, tylko nieznane były nazwiska osób, wprawiających tę wielką maszynę w ruch. O cóż wreszcie szło? Szło głównie o to, by przy pomocy rozlicznych ogniw tajnej organizacji sparaliżować rząd jawny, podkopywać go wszędzie, zapobiegać wykonywaniu jego poleceń i dekretów, odjąć mu wszelką władzę, uczynić go prostym narzędziem, biblijnymi cymbalami bez dźwięku. Do tego zamiaru rozległego i, zdawałoby się, prawie niemożliwego do wykonania, postanowiono głównie użyć funkcjonariuszów rządu jawnego, w jego policyi nieć policyę, w jego władzach władzę. Tym sposobem wszelkie tajne rozporządzenia rządu musiałyby być zdradzone przed rządem powstańczym i w swym zarodku sparaliżowane. Tego rodzaju pomysł mógłby być wykonany tylko w takim kraju i położeniu, w jakim była Polska ówczesna, przy tym podniesionym do najwyższego tonu nastroju, jaki ożywiały wszystkie warstwy, przy ówczesnych dążnościach powstańczych. Na tej to podstawie oparto cały pomysł, pozornie tak dziwny i niewzyczajny, ale właśnie dla tego samego wykonalny, bo w ówczesnym społeczeństwie polskim wszystkie stosunki, wszystkie wyobrażenia i pojęcia były sanie przez się dziwnymi i niewzyczajnymi. Świat ówczesny polski, jak niegdyś Hamletowy świat duński, wyszedł ze swych karbów i dlatego mogły się w nim rodzić takie pomysły, zaprzeczające najoczywistszym, najprostszy pojęciom o ustalonym porządku społecznym i o jego sile.

Myśl ta oczywiście nie od razu weszła w wykonanie,

w praktyce uległa wielu zmianom, ale w tej chwili istniała w zarodzie w głowie Gillera, a może i innych, i przebiega się ona wyraźnie w instrukcyi, jaką w tej dobie skreślił dla Komitetu centralnego i organizacji powstańczej, oraz w artykułach, jakie drukował organ tegoż Komitetu, *Ruch*.

W instrukcyi, wydrukowanej na osobnych kartkach i datowanej dnia 24-go lipca, zawierał się przedewszystkiem program Komitetu centralnego. Program ten, ujęty w dziewięć osobnych paragrafów, zapowiadał, że „organizacja narodowa ma na celu przygotowanie kraju do powszechnego, a na dobry skutek obrachowanego powstania, które ma wywalczyć niepodległość Polski w granicach 1771 r., a dla wszystkich jej mieszkańców, bez różnicy religii, zupełną wolność i równość w obliczu prawa, z poszanowaniem praw narodowości z nią złączonych.“

Właściwością wszystkich tajnych sprzysiężeń, prawem nieuniknionem i fatalnem jest to, że władza naczelna, zamiast niemi sterować, powoli musi ustępować kierunkowi, dążnościom i pragnieniom sprzysiężonych warstw niższych. Komitet centralny musiał ulegać aspiracyom ogółu sprzysiężonych i w nakreśleniu drogi postępowania nie mógł się trzymać własnych widoków organizacji. Zapowiadając odbudowanie Polski w granicach 1771 r., Giller działał wbrew własnemu przekonaniu i dobrze zrozumianej polityce, którą on doskonale pojmował, gdyż tego rodzaju zapowiedź groziła wojną trzem państwom rozbiorowym, z których każde, pojedynczo wzięte, było o wiele silniejsze od przyszłej Polski powstańczej i które przez taką zapowiedź we własnym interesie starać się musiały o stłumienie ruchu polskiego. W Komitecie prawdopodobnie nie było ani jednego człowieka, nie wyjmując nawet Szwarcego i Rolskiego, któryby po bliższem zastanowieniu się nie przyszedł do przekonania, że takie wyzywanie trzech potężnych mocarstw było nie tylko błędem, ale po pro-

stu nierozsądkiem i narażeniem na nieodzowną klęskę najistotniejszych interesów kraju. To też później, pod wpływem twardych okoliczności, tak Komitet centralny, jak i Rząd narodowy, wielokrotnie przeniewierzał się temu programowi, ale teraz nacisk aspiracyi narodowych, pragnienia mas, rządzących się zwykle nie rozumem, ale uczuciem, były tak stanowcze, że Komitet uleść im musiał, gdyż w przeciwnym razie samby egzystować nie mógł. Tym sposobem w początkach swego istnienia pić już był zmuszony gorzki wywar rządzenia sprzysiężeniem.

Niemniej błędem było głoszenie o załatwieniu ostatecznem sprawy włościańskiej. Wszyscy ci młodzi ludzie, którzy składali Komitet centralny, odcytani byli w polskich ewangeljach powstańczych, w Mochnackim, Mierosławskim, Alcyacie, w odezwach i programach Centralizacyi demokratycznej i wierzyli w to mocno, że darowizną ziemi zdołają ciężką ludową czarniawę poruszyć. Dlatego też w programie swoim wyraźnie zapowiedzieli uwłaszczenie włościan, niby słodką obietnicę, która, sądzili, przyjaźnie dla ich działań usposobi chłopą. Tymczasem zapominali o tem, że chłop ich odezw i programów czytać nie będzie i o istnieniu Komitetu centralnego nigdy, a przynajmniej bardzo późno i nie dokładnie się dowie, że zatem będzie to nabój w powietrze wystrzelony, którego pojedyncze jednak śróciny dotkliwie mogą obrazić szlachtę, jedyną warstwę, na której w przyszłym powstaniu rzetelnie się oprzeć będzie można. Jakoż szlachta dość nieufnie spoglądała na ten program i na owo zapowiedziane uwłaszczenie chłopą, nie dlatego, by w ogromnej swej większości nie czuła potrzeby jego uwłaszczenia i nie była przekonana, że wcześniej czy później przyjdzie ono musi do skutku, ale dlatego, iż zapowiedź ta, przez Czerwieńców dana, budziła jej podejrzenia, że mają oni na celu nie tyle niepodległość Polski, ile rewolucję socyalną. Szlachta, jak ktoś słusznie w owe czasy powiedział, wyobrażała sobie Czerwonych jako ludzi wysokich, z ogro-

nnymi wąsami, w huzarskich butach, z czterema przynajmniej pistoletami za pasem, jednym słowem jako zażartych, rozczochranych demagogów, którzy dla osiągnięcia swych celów socyalnych gotowi są wszystko do góry nogami wywrócić, wszelki porządek społeczny podkopać i nieszczęśliwą ojczyznę w stokroć gorsze nieszczęście pogrążyć. Niejasna, ogólnikowa zapowiedź uwłaszczenia, obietnica zapłacenia za ziemię szlachcie z jakichś „ogólnych źródeł państwa,” nieistniejącego jeszcze, te podejrzenia wzmocnić musiała i zniechęcić do programu i do ludzi go wygłaszających jedyną warstwę narodu, bez której żadne powstanie w Polsce dwóch dni nawet utrzymałoby się nie mogło. Był to więc drugi błąd programu, tem ważniejszy, że nie zyskiwał chłopa, a niepokoił szlachtę i kazał się jej mieć na ostrożności, ale błąd niemożliwy do uniknięcia wobec ogólnych, przeważających w tak zwanej intelligencji miejskiej wyobrażeń o potrzebie radykalnego uregulowania stosunków włościańskich. O tej kwestyi więc Komitet centralny w programie swoim nie mógł zamilczeć, jeżeli chciał istnieć i rządzić.

Druga część instrukcyi, wygotowanej przez Gillera, zajmowała się wyłącznie formą organizacyi i zaprowadzeniem w niej ładu i sforności, w tej nadziei, że przez to łatwiej przyjdzie Komitetowi ogarnąć i ośwładnąć niezliczoną ilość kółek, tworzących się samorzutnie tak w Warszawie, jak i na prowincyi. W głównej osnowie Komitet przyjął organizację dziesiętną, istniejącą już od dawna; ustanowił tylko hierarchię; naczelnik dziesiątki zwać się miał dziesiętnikiem i miał podlegać naczelnikowi setki, noszącemu miano setnika, a ten okręgowemu czyli tysiącownikowi. Okręgowi w Warszawie zależni są od wydziału miejskiego, złożonego z trzech członków Komitetu, z których jeden nosił miano naczelnika miasta. Na prowincyi nie było okręgowych, tylko naczelnicy powiatów podlegali wojewódzkiemu, który bezpośrednio się komunikuje z Komitetem, od

niego odbiera rozkazy, składa mu raporta. Na Litwie, Rusi, w Galicyi i Poznańskiem Komitet polecał urządzenie takiej samej organizacyi; zależnej od miejscowych komitetów prowincjonalnych, komunikujących się za pośrednictwem stałego ajenta z Komitetem centralnym. Emigracya, za granicami Polski będąca, miała się tak samo uorganizować i zależeć od Komitetu emigracyjnego, podwładnego Komitetowi centralnemu. Takim jest główny szkielet ustroju tego niesłychanego w dziejach sprzysiężenia, szkielet pełen prostoty i dlatego bardzo silny, tak, że z małemi zmianami przetrwał on wszystkie burze, wszystkie wstrząśnienia wewnętrzne i zewnętrzne, i skończył dopiero z upadkiem powstania. Ponad całą tą maszyną rewolucyjną stał Komitet centralny, który według instrukcyi „rezyduje w Warszawie i skupia w sobie całą organizację powstańczą. Ma on charakter władzy nieograniczonej, z której nikomu sprawozdania nie robi, ani też tłumaczenia ze swych czynów nie daje. Usuniętym być może tylko za zgodą większości głosów Komitetu. Wszelki rokosz przeciw jego władzy uznanym będzie za bezskuteczny i nielegalizujący nowego położenia rzeczy.” Wbrew wszystkim znanym w historii sprzysiężeniom, w których wszyscy członkowie byli sobie równi i poza sprawami wojskowemi żadnej hierarchii nie ustanawiali, Komitet centralny od razu występuje jako władza nieograniczona, niezależna od różnych słoików spisku, i przemawia jako władza. Określił on również wewnętrzną swoją organizację, według której miał się składać z siedmiu członków, wybieranych przez sam Komitet i usuwanych przez niego większością głosów. Przewidując możność aresztowania tego lub owego członka, Komitet zastrzegł sobie prawo dobierania przez pozostałych brakującej liczby, „mając głównie na uwadze siłę charakteru, rozum i usposobienie powstańcze nowych członków.” Uchwały w Komitecie zapadają większością głosów. Prezydujący na posiedzeniach miał się zwać „regulatorem,” ale nazwa ta nie

utrzymała się w praktyce, jak również liczba członków nie zawsze dochodziła do siedmiu, owszem w większości wypadków Komitet i późniejszy Rząd narodowy składał się z pięciu członków. Również licznym zmianom ulegał podział Komitetu na wydziały. W tej chwili, według instrukcji, miało ich być pięć: spraw Warszawy, spraw prowincyi, spraw zagranicznych, policyi i skarbu. Do departamentu spraw zagranicznych włączono wydział prasy, „którą ma pod swoim bezpośrednim nadzorem i przez którą kieruje opinią publiczną.“ Prócz tego na departament ten włożono obowiązek urządzenia poczty. Kolejno każdy z członków Komitetu miał być dyżurnym i miejsce jego pobytu winno być wiadome wydziałowi miejskiemu. Zarządzający wydziałami, czyli po prostu ministrowie, nieli nosić miano „wydziałowych“ i oni także obowiązani byli wiedzieć, kto jest z kolei dyżurnym i gdzie go znaleźć można w każdej chwili. „W wykonywaniu swej nieograniczonej władzy—czytamy w końcu instrukcji—Centralny Komitet za wykroczenia swoich podwładnych naczelników przeciw rozkazom Komitetu i Kierunkowi Organizacyi w programie wskazanym, daje dymisyę, albo zanięcia się w sąd, lub go z innych osób назнача i winnego pociąga do tłumaczenia. Chwilę powstania sam Komitet назнача, plan jego układa (?), wyznacza Naczelnika wojskowego Polski i rząd tymczasowy, a z rozpoczęciem jego funkcjonowania Komitet i Organizacya narodowa rozwiązują się.“

Najważniejszą wadą i błędem ustroju komitetowego było to, że jego członkiem stałym, z urzędu niejako, był wydziałowy miejski, czyli, jak go stale nazywano, naczelnik miasta. W ogólności niepotrzebnie tworzone osobne ministerjum do spraw warszawskich, ale skoro je utworzono, to już nie można było zwierzchnika tego stawiać niżej od innych ministrów i nie wpuszczać do Komitetu. Tym sposobem wszelako ukuto na siebie własnowolnie niecz i zasiano zarzewie wielu burz i nieszczęść. Naczelnik mia-

sta, mając w swych ręku całą organizacyę miejską, bezwzględnie mu posłuszną, miał, jakżeśmy to już parokrotnie zaznaczyli, istotną siłę materyjalną, której Komitet nie posiadał, opierając się tylko na sile mioralnej. To też ilekroć naczelnicy miasta byli ludźmi energicznymi, a takich była większość, tylekroć działali na własną rękę, nie uważali na uchwały Komitetu, owszem ciało to często rozpędzali z kretemsem. Wprawdzie Giller, odczuwając niejako niebezpieczeństwo, jakie groziło zwierzchniemu ciału sprzysiężenia ze strony naczelników miasta i w ogóle organizacyi miejskiej, zastrzegł sobie w jednym z paragrafów instrukcji, że wszyscy przełożeni i podwładni dziesiątek i setek „winni są bezwzględne posłuszeństwo Komitetowi Centralnemu Narodowemu,“ ale inna jest rzecz prawo pisane, a inna życie samo i jeszcze życie w tak strasznych i niezwykłych warunkach.

Instrukcyja ta i program odbity został w znacznej ilości egzemplarzy i oczywiście wcześniej czy później dostać się musiał do rąk rządu; dostał się jednak ów program stosunkowo dość późno, bo dopiero w miesiąc po jego wydaniu, co świadczy, jak słabą i jak niedołężną była policya ówczesna, zwłaszcza w Królestwie nie była doskonałą i czujną, a teraz organizacya powstańcza miejska siłała się wszelkimi sposobami do reszty ją popsuć, co udało się jej w zupełności. Jako złożona z Polaków w ogromnej większości, nie mogła być obojętną na prądy i uczucia, przebiegające rodzinne jej społeczeństwo; łatwo też ulegała namowom i wkrótce przyszło do tego, że znaczna część jej agentów należała do organizacyi powstańczej i tym sposobem sparaliżowano całą działalność tego najskuteczniejszego narzędzia rządowego. Naczelnik jego w Warszawie, oberpolicmajster Muchanow, był człowiekiem dobrym, ale nierozgarniętym, wreszcie przy obejnowaniu urzędu zastrzegł sobie, że nie będzie miał nic do czynienia z policją tajną, która też teraz po Podwysockim prawie wcale nie istniała. Ulu-

bionym frazesem Muchanowa było: „mieszkańcy coś przygotowują, ale co właściwie, nie wiadomo” — i na tem wszystko się kończyło i kończyć musiało, gdyż najtajniejsze rozporządzenia policyjne dostawały się zaraz po ich wydaniu do rąk powstańczego Naczelnika miasta, który wykonaniu ich zapobiegał rozmaitymi sposobami, o ile to było w jego możliwości. Ostatnie jednak zamachy na W. Księcia i Wielopolskiego wywołały w sferach rządowych oburzenie, a co za tem idzie, silny nacisk na policję, by się wzięła do rzeczy energicznie i spisek wykryła. Ilekroć takie rozkazy przyszły, tylekroć kipiało w policji i pozornie okazywała ona nadzwyczajną, gorączkową czynność. Kręciła się więc po mieście, rozpędzała zbiegowiska, aresztowała po ulicach mnóstwo osób niewinnych na to tylko, by przepelniać niemi areszta i po paru dniach znów je wypróżniać. Na prowincyi położenie było jeszcze o wiele gorsze. Po miastach i miasteczkach burniistrze, inspektorzy policyjni byli Polakami, na których oddziaływał stan powszechny umysłów, przytem pozbawieni byli wszelkiego sprytu policyjnego i przez długi spokój w kraju odwykli od pełnienia należytego swych obowiązków. Zresztą nie było kim i czem sprawać tych obowiązków. Policja, nawet w miastach gubernialnych, składała się zwykle z kilku starych dziadów, po większej części wysłużonych żołnierzy, którzy w wyszarżanych lub podartych mundurach, w przedpłotopowej formy czapkach, „skopkani” zwanych, z kijem w ręku, a pałasina, zwykle na tyle zawieszonym, którego z pochwy wydobyć nie można było, włóczyli się po ulicach bez celu. O spisku, o możliwości wysledzenia go, pojęcia nawet nie mieli, zresztą przed każdym surdutowym panem, przed aplikantem tego lub owego urzędu nisko się klaniali. Wprawdzie w miastach gubernialnych i powiatowych był jeszcze jeden rodzaj policji, t. j. zandarmerya, płatna przez skarb Królestwa, wojskowo uorganizowana, złożona z doborowych fizycznie ludzi, posiadająca wszelkie środki do

wysledzenia sprzysiężenia tajnego, — ale i tutaj długoletni pokój w kraju, wiatr liberalizmu, wiejący z Petersburga, zrobił swoje. Kapitanowie zandarmeryi, rezydujący po miastach, w trzech czwartych Polacy, starzy i niedołężni inwalidzi, nie umieli sobie dać rady ze spiskiem, a ich podwładni, żołnierze i podoficerowie, włóczyli się po wsiach i patrzyli tylko, gdzie się z komina kurzy, by się najeść za darmo i łapowe dostać. Zdawałoby się, że takiemu rozpaczliwemu położeniu policji w kraju zapobiedz powinien ogłoszony w roku zeszłym stan wojenny. Ale i tutaj zły wybór ludzi popsuł wszystko. Naczelnikami wojennymi, którzy mieli obszerną władzę, zostawali zwykle komendanci garnizonów miejscowych, oficerowie bez należytego pojęcia o administracyi i policji. Wskutek tego więcej przynosili oni szkody, niż pożytku. Postępując bez taktu, bez znajomości ludzi, rzeczy i obyczajów, wierząc bezwzględnie denuncyacyom, dopuszczali się licznych nadużyć, ale do jądra spisku dotrzeć nie umieli, dbając przede wszystkim o to tylko, by spokój zewnętrzny był zachowany, by manifestacyi nie urządzano, hymnów zakazanych nie śpiewano i w czamarkach lub konfederatkach nie chodzono. Zdarzało się przytem wielokrotnie, że naczelnik wojenny pisał do Warszawy skargę na takiego lub owego urzędnika i określał go jako „burzyciela porządku,” jako „bardzo niebezpiecznego człowieka.” Wielopolski, otrzymawszy takie doniesienie, zapytywał się gubernatora lub naczelnika powiatu, czy to prawda, co o tym lub owym pisze pan naczelnik wojenny, i zwykle otrzymał jak najuroczystsze zapewnienie, że oskarżenie jest bezzasadne, że obwiniony jest człowiekiem spokojnym, lojalnym i oddanym swym obowiązkom. Wreszcie kolejne znoszenie stanu oblężenia odebrało naczelnikom wojennym władzę, jaką posiadali, i tym sposobem jedna z możliwości wysledzenia spisku unicestwioną została. Na wsiach położenie było jeszcze gorsze. Dziedzic był wójtem, należał zwykle do

organizacyi Białej lub Czerwonej i każdemu emisaryuszowi lub agitatorowi chętnie wydawał paszport, a przynajmniej patrzył przez palce na to, co się koło niego dzieje. Bardzo często bywało i tak, że i rządcą, ekonom lub gorzelany był jakim dygnitarzem w organizacyi, o czem dziedzic wiedział, i choć niechętny był spiskowi, przecież w obawie, w tem poczuciu, że żadnemu działaniu, mającemu na celu wolność ojczyzny, opierać się nie należy, był pokornym sługą swego podwładnego i robił co ten mu kazał.

W takim położeniu jednej z najważniejszych władz każdego rządu, zwłaszcza w czasach tak burzliwych, wśród społeczeństwa tak wstrząśniętego do głębi, nie można było nawet marzyć o wykryciu organizacyi powstańczej, rozszerzającej się coraz bardziej i wciągającej wszystko i wszystkich w swe objęcia. Mimo to, powtarzamy, ostatnie zamachy zelektryzowały policję warszawską. Pod silnym naciskiem władz zwierzchnich wzięła się ona energiczniej do rzeczy, wykryła kilka dziesiątek i aresztowała 66 spiskowych, oraz dostała do rąk program i instrukcję dla organizacyi. Coprawda, zdobycz to była ani wielka, ani ważna. Aresztowani należeli do najniższych słoików organizacyi, przeważnie rzemieślnicy, robotnicy, doróżkarze i t. p., i pożytku z ich schwytania żadnego nie było, gdyż nie wiedzieli oni wiele i nic też powiedzieć nie mogli; program zaś objaśniał tylko rząd o formach sprzysiężenia, a poza tem innej korzyści nie przynosił. Wszelako Wielopolski, może w zamiarze otworzenia oczów narodowi na niebezpieczeństwo, jakie nad nim wisi, program ten streścił w urzędowym *Dzienniku Powszechnym*, formę zaś organizacyi dosłownie przedrukował, zaopatrując ją w kilka uwag zjadliwych. „Pismo to pokazuje dowodnie—mówił *Dziennik*,—że sprzysiężenie, usiłujące miotać Warszawą i krajem i z drogi reform i ulepszeń towarzyskich strącić nas w przepaść odmetu, nosi na sobie te same cechy, jak knowania i spiski stronnictwa bezrządu, w niektórych in-

nych krajach na Zachodzie odkryte i ukrócone, z tą niestety różnicą, iż u nas mordy należą do codziennych środków działania tego stronnictwa, które na naszej ziemi tem większą okazuje zapalczywość, im więcej reformy i zbawienne ulepszenia przez administrację krajową w nowym jej składzie niezachwianie przeprowadzone, wszelką podstawę bytu temu stronnictwu odejmują i potępienie wszystkich ludzi dobrej woli w narodzie na knowania jego ściągają.“

Ogłoszenie to zrobiło ogromne w kraju wrażenie, gdzie większość ludzi miała jeszcze bardzo mętne i niejasne pojęcia o sprzysiężeniu i jego urządzeniu całem. Teraz dowiedziano się, że sprzysiężenie to ma systematyczną organizację, że na czele jego stoi komitet i że komitet ten dąży do powstania, „na dobry skutek obrachowanego.“ To, co było dotąd ciemne, stało się nagle dla wszystkich bardzo widnem, dzięki organowi urzędowemu, i ogłoszenie jego przyniosło tylko pożytek samemu Komitetowi, który, widząc się odkrytym, uznał teraz za stosowne występować jawnie. Zaraz też, w odpowiedzi na to ogłoszenie, Komitet centralny w № 5 *Ruchu* opublikował swój program i opatrzył go odpowiednim komentarzem.

Wśród takich to warunków Komitet centralny rozpoczął swą działalność, która głęboko wyżłobić się miała w dziejach naszych nieszczęść. Działanie to, samo przez się bardzo trudne wobec rządu, który wszelkimi siłami starał się mu zapobiedz, a członków organizacyi wysledzić, miało znaleźć nowe przeszkody, pochodzące od tych licznych grup rewolucyjnych, jakimi roily się wówczas kraj i emigracya, od tego mnóstwa drobnych ambicyi, które uważały się za najzdolniejsze i najbardziej uprawomocnione do kierownictwa losami narodu.

Dla Komitetu centralnego, ciężko i pracowicie organizującego się w kraju wśród tysiąca przeszkód, wszystko to były rzeczy bardzo przykre, ale zapobiedz im nie mógł

i nie był w stanie. Nabywał tylko przekonania, że ze strony emigracji, przywykłej przez lat trzydzieści do rządzenia krajem, będzie miał wiele kłopotów i wiele z nią zatargów. Na szczęście, jeżeli to szczęściem nazwać można, zanosilo się chwilowo na lepsze ułożenie stosunków między Komitetem a emigracją. Jeszcze w marcu 1862 r. wśród rozbitego na rozmaite stronnictwa wychodztwa polskiego, za staraniem kilku osób, należących do partii demokratycznej, a mianowicie głośnego posła na sejm 1831 r. Jana hr. Ledóchowskiego, Jana Nepomucena Janowskiego, pisarza politycznego małych bardzo zdolności, ale gorącego patriotyzmu w znaczeniu czerwono-demokratycznym, Leona Zienkowicza i innych mniej znanych, zorganizowało się wśród wychodztwa ciało, które przybrało miano Komitetu emigracyjnego. Marząc o idealnej jedności, tym śnie rozkosznym, którym się przez lat trzydzieści kołysała emigracja i żywiła nadzieję, że go kiedyś urzeczywistnić zdoła, Komitetowi szło głównie „o wspieranie wewnętrznego krajowego rozwoju i słuzenie sprawie skutecznego a silnego powstania na wszystkich drogach, które zewnątrz Polski pomocnicze zajmują stanowisko względem jej zmartwychpowstania o własnych siłach i własną zasługą.“ Tłómacząc na język zwyczajny tę nieco zawiłą stylizację, nowozawiany Komitet emigracyjny miał na celu dopomaganie i wspieranie działań krajowych, dążących do powstania. Jakoż komitet taki zawiązał się i weszli do niego, oprócz wyżej wymienionych, jeszcze niejaki Adolf Chrystowski, Seweryn Elżanowski, redaktor wychodzącego od paru lat *Przeglądu rzeczy polskich*, Leon Mazurkiewicz, Antoni Żabicki i wreszcie generał Józef Wysocki. Jakkolwiek Komitet, jak wszystkie zresztą ciała emigracyjne w tej dobie, niewielkie miał znaczenie i niezupełnie był uznawany przez wychodztwo, nawet należące do jego stronnictwa, jakkolwiek był bardzo biedny, w ciągu kilku miesięcy zebrał zaledwie 10,000 franków, jednakże stanowił on pewną całość skon-

solidowaną, reprezentował, bądź-co-bądź, pewne stronnictwo i Komitetowi centralnemu warszawskiemu, dążącemu do ogarnięcia wszystkiego, szło o to, by zyskać na swą stronę ów Komitet emigracyjny i uczynić go zależnym od siebie. W tym celu, zaraz w początkach swego istnienia, bo w lipcu, wysłał do Paryża agenta, niejakiego Stefana Bobrowskiego, studenta Uniwersytetu kijowskiego, skuzynowanego z uwięzionym już w tej porze Apollem Korzeniowskim (żona tego ostatniego, słynna z piękności Ewelina, była rodzoną siostrą Bobrowskiego), człowieka najczernerwiejszych przekonań, który w kilka miesięcy później miał przeważną odegrać w wypadkach rolę,—by rzecz tę do skutku doprowadził. Jakoż dzięki zapalowi, którym przejęty był Bobrowski, dzięki energii, jaką rozwinął, Komitet emigracyjny poddał się kierunkowi Komitetu centralnego z pewnemi zastrzeżeniami i swobodą działania w zakresie spraw zagranicznych. Jeżeli atoli Komitetowi centralnemu, dzięki energicznemu zabiegom Bobrowskiego, udało się tak szczęśliwie opanować, że się tak wyrazimy, Komitet emigracyjny, to z najważniejszą osobistością tej emigracji, z człowiekiem, używającym ogromnego wpływu wśród młodzieży, jednym słowem z Mierosławskim, rzeczy poszły o wiele gorzej. W chwili, gdy w Warszawie Komitet centralny ciężko się wyłaniał z burzliwych fal sprzysiężenia, „zmartwychwstały wódz,“ jak zwano Mierosławskiego od czasu rewolucji berlińskiej, rozpoczął w Paryżu wydawnictwo pisemka pod tytułem *Baczność*, w którym, zwykłym swym językiem bombastycznym, jako hasło stawia: „Polskę całą przez rewolucję społeczną i powstanie.“

Te szumno-brzmiające frazesy, na szczęście, wielkiego wrażenia w kraju wywierać nie mogły, dla tej prostej przyczyny, że ich nie czytano, gdyż *Baczność* w bardzo niewielkiej ilości egzemplarzy przybywała do Królestwa *).

*) Jak dalece Mierosławski był lekkomyślnym, świadczy artykuł, pomieszczony w pierwszym numerze *Baczności*, p. t. „Siły

Mierosławski, przeczuwając, że tą drogą nic nie zrobi, wysłał w lipcu do Warszawy swego sekretarza, znanego dobrze z doby pierwszych akademickich manifestacji w roku 1860, Jana Kurzyne, z żądaniem, ażeby Komitet centralny uznał „urodzonego dyktatora” za swego prezesa, żeby odeń przyjmował instrukcje i żeby nic nie działał bez jego woli i wiedzy. Kurzyna przybył do Warszawy pod przybranym nazwiskiem i za paszportem francuskim, na imię kupca Kirchnera wydanym, i rzecz całą Komitetowi przedstawił, oraz okazał instrukcje Mierosławskiego, jakie ze sobą przywiózł. Ale Komitet zanadto cenił swe zwierzchnie stanowisko, z takim trudem wywalczone, zanadto był przejęty tradycyjną zasadą, jeszcze przez Karola Majewskiego w dobie pierwszych kółek propagowaną, że nie emigracja krajem, ale kraj emigracją kierować powinien. Zapytano więc Kurzyny naprzód: czy generał Mierosławski, w razie przyjęcia przez Komitet jego propozycji, przyjedzie do Warszawy i stale w niej rezydować będzie? Kurzyna rozwiódł się bardzo szeroko, odrzekł jednak, że to jest niemożliwe. Wówczas odrzucono to „śmieszne,” jak je nazywano, żądanie, łagodząc je obietnicą, że jak powstanie zbrojne wybuchnie, to generał powołany zostanie na jego naczelnego wodza.

nasze i nieprzyjacielskie,” w którym dowodził, że Rosya, Prusy i Austria razem, na wypadek wojny, tylko 360,000 wojska wystawić są zdolne, kiedy Polska może wyprowadzić w pole 500,000 wojowników, zasilonych przez podobną liczbę rezerwy, czyli, jak się wyraził, „jeden wróg na trzech Polaków” wypada zaledwie. Takimi to nieuzasadnionymi rachunkami tumaniał ten warchoł na wielką skalę oczy młodzieży, która weń ślepo wierzyła. To już nie była nieuczciwość, ale zbrodnia po prostu. Że był przytem nieuczciwym, dowodzi jeszcze jeden fakt. Ogłosił, że współpracownikiem *Baczności* jest znany historyk, zamieszkały we Lwowie, Henryk Szmitt, któremu się to nawet nie śniło i publicznie przeciw temu protestował, że do współpracownictwa nikt go nie zapraszał.

Rzecz cała na tem się skończyła dla Komitetu, ale nie dla Mierosławskiego. Niespokojna jego natura nie mogła znieść, by w Polsce cośkolwiek robiono bez niego i poza nim. Zdaje się, iż przeczuwał on, że pretensje jego przez Komitet centralny odrzucone zostaną, i na ten wypadek dał prawdopodobnie Kurzynie instrukcję, jak ma sobie postąpić, a przynajmniej nie ulega wątpliwości, że się listownie ze sobą komunikowali. Rezultatem tego były zabiegi Kurzyny w Warszawie o założenie osobnego Komitetu, któryby podszywając się pod Komitet centralny, roboty tegoż paraliżował, a organizację całą w swe ręce zagarnął. Nie było to zbyt trudnem. Na bruku warszawskim roilo się od umysłów rozegzaltowanych do najwyższego stopnia, od niedouczonej rewolucjonistów, od głów szalonych, które, połapawszy tu i owdzie poszarpane szmaty teorii skrajnych, gotowe były do wszystkiego, by burzę wywołać. Wielu przytem było niechętnych Komitetowi centralnemu; wielu należących niegdyś do dawnego Koła, do Komitetu miejskiego, do zniesionego Koła akademickiego, niezadowolonych z powolnych, jak mówili, działań tegoż Komitetu—z tego, że naznaczone na lipiec powstanie odwołał, że odkładał je na czas nieoznaczony, że mówił o jakimś „dobrze obrachowanym skutku.” Wreszcie weszło już w zwyczaj, w praktykę niemal codzienną, od paru lat trwającą: zakładanie nowych kół i komitetów; anarchiczne dążności, nieunikniony wynik panującego dotąd chaosu w organizacji, przeszły w krew wielu bardzo ludzi tej epoki, niedouczonej, napojonych przewrotnymi ideami, chwytających się chciwie każdej jaskrawszej myśli, która ich głowy mętne i rozgorączkowane uderzała i olśniewała. Przytem w samym Komitecie nie było jednolitych wyobrażeń i dążeń. Większość, jak Dąbrowski, Szwarce, Daniłowski, Koskowski, niechętną była Gillerowi i Marczewskiemu, zwłaszcza pierwszemu, za jego zarozumiałość, ton wyższości, jakiego używał, i za chęć przewodniczenia w Komitecie. Dąbrowski

Daniłowski i Koskowski byli wreszcie wyznawcami najskrajniejszych teorii i potrzeby natychmiastowego powstania.

W takim stanie rzeczy i umysłów snadno przyszło Kurzynie zyskanie zwolenników swego zamiaru. Przede wszystkim z samego Komitetu centralnego pociągnął do siebie Daniłowskiego i Koskowskiego, którzy nie uważali tego za rzecz złą i niegodziwą, iż zasiadając w Komitecie centralnym, zasiadali współcześnie we wrogim mu Komitecie Mierosławskiego. Tak były pomieszane pojęcia, taki bezład panował w umysłach i dążnościach. Obok nich, Kurzyna, siedząc blisko miesiąc w Warszawie, zdołał zebrać innych jeszcze członków do ciała, które miało rządzić Polską pod naczelnym kierownictwem „anioła rewolucji,” jak zwali niekiedy Mierosławskiego zapaleni jego obrońcy i wielbicieli. Weszli więc w skład nowego Komitetu: Zygmunt Rościszewski, ziemianin, dalej Stanisław Kaczkowski, buchalter w prywatnym jakimś banku, człowiek głowy bardzo słabej, charakteru lichego, późniejszy zabójca w pojedynku muzyka Dulemby; wreszcie Feliks Bauerfeind, syn bogatego garbarza warszawskiego. Jako agenci do Komitetu tegoż należeli jeszcze: brat Rościszewskiego, Józef, oraz jego szwagier Marchwiński. Wszystko to byli młokosi, ledwie z pod różgi ojcowskiej wyszli, zapaleńcy, maleńcy Robespierzy domorośli, gotowi zabijać, ścinać, wieszać, przekonani, że tylko Polska w krwi wykąpana po szyję może wydobyć się na wolność. Sformowali się oni w sierpniu i przybrali miano „Komitetu rewolucyjnego,” zaopatrzyli się w pieczęć z orłem, pogonią i archaniołem, bez korony, wbrew pieczęci Komitetu centralnego, na której był tylko herb Polski i Litwy z koroną. Kurzyna obdarzył ich w ustawę, drukowaną w Paryżu, w której cała organizacja powstańcza miała nosić miano „Związku narodowego rewolucyjnego.” Według tej ustawy, celem związku było „odbudowanie Polski w granicach przedrozbiorowych, na zasadach demokratycznych.” i że jedynym

środkiem, prowadzącym do celu, jest powstanie zbrojne, że zatem głównym zadaniem związku będzie przygotowanie środków do przyszłego powstania. Na czele Związku stał „Komitet narodowy rewolucyjny” pod prezydencją generała Ludwika Mierosławskiego, „pod którego wyłącznym a szczegółowym kierunkiem zostają wszystkie prace i przygotowania zagraniczne.” Organizację prowincjonalną ustawa opiera na systemie piątek, za zdradę grozi surowymi karami i ustanawia przysięgę. Co się zaś tyczy samego Komitetu, to ma on się składać z pięciu członków, którzy zmieniać się mogą „tylko za zgodą generała Ludwika Mierosławskiego, jako odpowiedzialnego (tak!) prezesa Związku.”

Komitet Mierosławskiego dzielił się na pięć wydziałów: administracji prowincjonalnej, administracji miasta Warszawy i policyi, skarbu, komunikacji, korespondencji ze związkami innych prowincji i zagranicą. Komitet w pełnym komplecie uważa się za trybunał rewolucyjny i obowiązany jest składać co miesiąc raport ze swych czynności prezydującemu. Wydział polityczno-administracyjny za granicą pozostaje pod kierunkiem „obywatela Jana Kurzyny.” Taką była w głównych zarysach organizacja Związku i Komitetu rewolucyjnego. W organizacji prowincjonalnej ważną rolę odgrywać mieli naczelnicy powiatowi. Obowiązani oni byli między innymi przynajmniej raz na miesiąc donosić „o wszelkich ważniejszych wypadkach, jako też o ruchach wojsk nieprzyjacielskich, o postanowieniach i prześladowaniach, o usposobieniu między ludem i starożytnymi, o wszystkich krokach i zamiarach czy to frakcyi kontrarewolucyjnej legalizującej, czy też panslawistycznej Wielopolskiego, czy też nakoniec o niewczesnych wyskokach demagogów i anarchistów wszelkiego rodzaju. Winni dalej: wygotować, a następnie dopełniać wykaz statystyczny wszystkich miast i wsi powiatu. Przy wypełnieniu rubryk wykazu tego należy mieć wzgląd na miejscowość pod względem gospodarskim, przemysłowym i handlowym, jako

też i na mieszkańców samych, których podzielić należy na trzy kategorie: a) gotowych do powstania, b) obojętnych i niezdecydowanych, c) kotrarewolucjonistów, pod jaką bądź nazwą i pretekstem występujących. Oprócz charakteru politycznego, poznać należy pozycję socjalną ludzi. Nadto ile możności wykazać zasoby powiatu w kapitałach, czy też surowych materiałach wojennych, jak skóra, sukno, płótno, żelazo, konie i t. p., któreby w danym razie na rzecz powstania zarekwirowane być mogły.“ Wreszcie „naczelnik powiatu postara się nałożyć podatek na niewtajemniczonych pod jakim bądź pozorem i zarządzi wydobywanie kapitałów z wszelkich możliwych źródeł, których wynajdywanie i wyzyskiwanie pozostawia się jego gorliwości.“

Powyższa ustawa więc wchodziła we wszystkie atrybucje Komitetu centralnego i, przyjmując te same mniej więcej formy, mogła mu bardzo zaszkodzić. Na szczęście, bo i takie położenie szczęściem nazwać należy, Komitet rewolucyjny niewiele mógł działać. gdyż, obok krzykactwa i kiwania palcem w bucie, członkowie jego nie odznaczali się zbyt dużą odwagą odnośnie do Komitetu centralnego, którego się bardzo bali, ale potajemnie szkalowali go, podkopywali gdzie mogli i szkodzili jak mogli. Komitet centralny miał o nich niejaki wiadomości, ale niedość dokładne; zajęty ważniejszymi sprawami, nie bardzo zważał na działalność młokosów, przytem znajdowali oni zawsze obrońców i osłonicieli w Daniłowskim i Koskowskim, którzy, jak wiemy, w obu komitetach zasiadali. Zresztą miało to miejsce nie tylko wewnątrz, w kraju, ale i zewnątrz, za granicą, pomimo istnienia tam Komitetu centralnego. W Paryżu wydrukowano w znacznej ilości egzemplarzy, z datą 12-go sierpnia 1862 roku i z podpisem „Towarzystwo młodzieży polskiej za granicą z polecenia Komitetu narodowego centralnego,“ odezwe „do braci Polaków, znajdujących się w austriackich szeregach.“ Odezwa ta, wydana prawdo-

podobnie bez wiedzy Komitetu centralnego, rozrzucona po Galicyi w mnóstwie odbitek, zachęcała żołnierzy polskich, służących w szeregach austriackich, wprost do rokoszu i była krokiem wysoce niepolitycznym, gdyż słusznie mogła zniechęcić Austrię do sprawy polskiej, tę Austrię, którą zdrowa i rozumna polityka nakazywała przedewszystkiem oszczędzać.

Wśród takich to warunków działał i rozwijał się Komitet centralny. Zamachy na Wielopolskiego, dokonywane bez wiedzy i współdziału Komitetu, aż nadto widocznie przekonywały go o szalonych wirach, unoszących się pod cichą pozornie powierzchnią organizacyi; aresztowanie wreszcie w połowie sierpnia Jarosława Dąbrowskiego wstrząsnęło nim mocno, gdyż należało przypuszczać, że rząd trafił na właściwą drogę w poszukiwaniach swoich. Na chwilę powierzono naczelnictwo miasta Gustawowi Wasilewskiemu, nim nie zjawił się w Warszawie Zygmunt Padlewski, który po rozbiciu szkoły podchorążych polskich we Włoszech powrócił do kraju, by tu odegrać jedną z najważniejszych i najtragiczniejszych zarazem ról.

W tej porze był Padlewski w kwiecie młodości, liczył bowiem zaledwie 27 lat życia (urodzony w 1835 r. we wsi Czerniawce pod Berdyczowem), i burza rewolucyjna polska, jak wielu innych, straciła go z drogi najświetniejszej może kariery. Należał on z pochodzenia swego do wyższej szlachty. Ojciec jego, Władysław Padlewski, brał czynny udział w powstaniu listopadowem; syn, wykształcony wojskowo, pójść miał teraz tą samą drogą. Uczył się w korpusie kadetów w Brześciu Litewskim, gdzie także Dąbrowski i wielu innych pobierało pierwsze nauki, poczem w r. 1854 przeszedł do akademii wojskowej w Petersburgu i odznaczał się nadzwyczajną zdolnością do matematyki. Z akademii tej wyszedł w stopniu porucznika artylerii gwardyi. Wysoko wykształcony, mężczyzna piękny, wytworny w formach i obejściu, zyskiwał sobie wszędzie przy-

jaźń ludzką i miłość kobiet, ten najpewniejszy sposób do kariery w stolicy północnej. Z zerwaniem się wichrów warszawskich, Padlewski, jak wielu jemu podobnych, pędzących wesole i bez troski życie w Petersburgu, przebiegających z salonu do salonu, z zabawy na zabawę, skupił się w sobie, zawiązał pewne, acz nader luźne stosunki z kółkiem oficerskim Dąbrowskiego, wreszcie pod koniec 1861 r. wziął urlop i pojechał do Warszawy. Przypatrzwszy się położeniu rzeczy naocznie, rozgorączkowany i upojony jej atmosferą, puścił się do Paryża, na emigrację, zanurzył się w wir najróżnorodniejszych prądów, jakie rwały sercami i głowami młodzieży polskiej, wygnanej wypadkami lub dobrowolnie na obczyznę. Z powstaniem szkoły podchorążych w Genui, zapisał się do niej, wreszcie po usunięciu Mierosławskiego, z którym od razu stanął na stopie namiennej nieprzyjaźni, wykladał w niej strategię, taktykę i artylerię. Teraz, po rozwiązaniu szkoły, miał przybyć do Warszawy, wejść do Komitetu i napoić go żarem swych uczuć płomiennych, zepchnąć z drogi powolnych przygotowań i rzucić w walkę straszliwą, krwawą i ponurą, w której sam paść miał ofiarą. Postać niezaprzeczenie czysta, niekiedy piękna, ale, niestety! szalona i fatalna dla ojczyzny, którą niewątpliwie kochał gorąco, ale kochał po swojemu, ślepo, nierozumnie.

Ze stanowiska rewolucyjnego rzeczy biorąc, takie energiczne, palące się nieustannie niby wulkan postacie, jak Padlewski, były konieczne, gdyż Komitet centralny w pierwszych paru miesiącach swego istnienia nie rozwinął zbyt wielkiej działalności. To, co się robiło, robiło się bez niego i poza nim. Zamachy na własną rękę urządzał Chmieliński i Dąbrowski; organizacja rozszerzała się szybko, ale szło to bez współdziału Komitetu, samą siłą pędu raz nabytego. Tu i owdzie wysyłano agentów, ale rzeczy zbyt na przód się nie posuwały. Giller, który zyskał przeważne znaczenie w Komitecie, nie był człowiekiem czynu; więcej

pisał, niż działał. Na chłopów, na tę główną i jedyną podstawę przyszłego powstania, nie miano prawie żadnego wpływu i nie potrafiono się o to postarać. Wydano wprawdzie w dniu 12-m sierpnia odezwę do chłopów, jak gdyby chłopci mogli ją czytać i jak gdyby mogła ona mieć jakikolwiek skutek na te dusze prostackie, wierzące tylko w siłę i mające na celu jedynie osobiste, materialne interesa. W odezwie tej Komitet powiada, że „doszło do jego wiadomości, iż włościanie niektórych okolic nie wierzą w świętość sprawy polskiej, nie ufają swoim pasterzom, którzy chcą ich, dla ich własnego dobra, na drogę narodową sprowadzić,“ że troszczą się ci włościanie o przyszły los swój i dzieci swoich, jak Polska będzie, i o to, czy będą ich brali do wojska, czy ziemię będą mieli i „czy sól i tabaka będą tańsze.“ Otóż Komitet oświadcza i zapewnia, że „na sól, tytoń i tabakę nie będzie podatku, bo skarb nie będzie potrzebował wydawać milionów, bo obejdzie się małą liczbą wojska;“ że „szkoły będą zakładane po wszystkich gminach i parafiach, każdemu, jakiby on nie był (tak!), wolno będzie posyłać dzieci i do niższych szkół, i do powiatowych i do wojewódzkich, ażeby jak i inne dzieci, tak i dzieci włościańskie wychodziły na urzędników, na oficerów w wojsku, lub na księży, każdy według swego powołania; jeżeli zaś rodzice nie będą w stanie opłacać szkoły, to te koszta sam Rząd narodowy poniesie;“ że „każdy będzie ciągnął los do wojska i służył z prawem wyjścia na wyższe stopnie; a że nie będzie potrzeba wysyłać żołnierza poza kraj o tysiące mil, jak teraz na Sybir i na Kaukaz, czas służby będzie krótszy, bo najwyżej na lat sześć, i nie będzie się wybierało więcej niż jednego z tysiąca;“ że „kościół i cmentarze Rząd polski weźmie pod swoją opiekę, ładnie wszystkie każe odnawiać, a gdzie będzie potrzeba, i nowe wybudować każe;“ że „czynszów na ziemiach rządowych Rząd polski nie będzie pobierał, a grunta, na których siedzą włościanie, odda im na własność wie-

czystą z pokolenia w pokolenie; ziemie zaś włościańskie z dóbr nieskarbowych Rząd polski odda włościanom na własność, a czynsze ich panom ratami spłaci, aby każdy włościanin w całej Polsce, Litwie i Rusi był wolny i swobodny, bez żadnej różnicy między nim a panem lub mieszczaninem; jeżeli zaś włościanie nie będą Rządu polskiego słuchali i nie pomogą mu w walce, to żadne z tych dobrodziejstw na nich nie spadnie.“

Odezwa ta świadczyła o jednym tylko, to jest o zupełnej nieznajomości chłopca polskiego, którego sądzili z naiwnością mieszcuchów, że zdolają sobie zyskać obietnicą zakładania szkół, reparacyi kościołów i darowizną gruntów. Chłop wszystkie te dary przyjąłby z pocałowaniem ręki, ale dla ich uzyskania jednej kropli krwi by nie przelał, bo nie miał wiary do dających, lękał się jak Grek starożytny Danaów i ich darów. W Komitecie zasiadali ludzie, którzy wyrwani z kraju i wygnani na Sybir, jak Dąbrowski i Giller, albo wyłącznie oddani pracy zawodowej, jak Marczewski, lub wychowani za granicą, jak Szwarce, albo wreszcie młodzieńcy, świeżo z ławki szkolnej wypuszczeni, nie mieli najmniejszego pojęcia o chłopie polskim i wytworzyli sobie o nim wyobrażenie według książek, według bombastycznych tyrad Mierosławskiego lub ckliwo-sentymentalnych powieści *Kmiotka* i *Czytelni Niedzielnej*. Sądził oni, że na te dusze proste, napół pierwotne, w ideałach swych ograniczone do materialnych używań i pożądań, słowo, odezwa patetyczna wystarczy, i pisali takie odezwy i pewni byli, że „gdy wybijie godzina powstania,“ lud polski zerwie się z siłą szaloną, z siłą bezwzględną martwej natury i jak nowy Atylla, jak nowy „bicz Boży,“ strąci wszystko i stworzy Polskę wielką, Polskę młodą i nową, Polskę siermiężną...

Komitet wreszcie znajdował się teraz w stanie silnego podrażnienia. Odezwa do narodu polskiego, wydana przez W. Ks. Konstantego, wrażenie, jakie ona wywarła, ruch objawiający się wśród szlachty i wśród wszystkich trzeźwiej-

szych umysłów, aby kraj, obejmowany coraz bardziej przez rewolucję, stojący nad brzegiem przepaści, ratować przez szczere poparcie rządu; ogłoszenie w *Dzienniku Poznańskim* zasad i celów organizacyi, które wyraźnie powiadały, do czego Komitet centralny, złożony z ludzi nikomu nieznanym, a uzurpujących sobie prawo rządzenia krajem i decydowania o jego losach, dąży; wszystko to, powtarzamy, spowodowało, że nagle Komitet ujrzał się zachwianym. Widział on doskonale, że jeden krok ze strony szlachty, jedno podanie ręki rządowi, a wszyscy Gillerowie, Szwarce, Marczewscy znikną z wyżyn, na które się wdrapali, i zapadną znów w tę historyczną nicość i szarżyznę, z jakiej nigdy nie powinni byli wychodzić; że cała owa potężna, z której się tak chlubili, organizacja powstańcza będzie mogła wprawdzie jeszcze niejedną manifestację zrobić, niejednego zamachu dokonać, tu i owdzie zawieruchę wywołać, ale kraju za sobą nie porwie, powstania nie spowoduje i sama w sobie się spali lub rozpadnie i rozleci, jak stare płótno zleżałe. W takim położeniu rzeczy, agitując z jednej strony przez licznych swych agentów między szlachtą, która zjechała do Warszawy i mówiła o adresie do W. Księcia, oskarżając ją głośno o tworzenie „nowej Targowicy,“ ukazując jej zdala widmo zdrady,—z drugiej strony postanowili nadrobić zuchwalstwem, jakimś krokiem śmiałym i decydującym, by ocalić mocno zachwianą swą sytuację. Takim krokiem wydało im się ogłoszenie siebie za jedyny rząd prawy polski. Wiemy już, że myśl taka od dawna leżała w Komitecie, a zwłaszcza w głowie jego kierownika, Gillera, że starał się on ją w czyn wprowadzić wolno i systematycznie, wyjść z mrocznych ciemności spisku na widną drogę jawnego sprzysiężenia.

Chciał on dojść do tego przez powolne podkopywanie rządu, ogarnięcie wszystkich jego podstaw, ale to wymagało działania długiego i systematycznego. Teraz zaś czasu na to nie było; ziemia pod nogami się chwiała, i nie

mając siły, postanowił, powtarzamy, nadrobić zuchwałstwem. Już starożytni, z wyborną znajomością natury rzeczy, mówili, że śmiałym los sprzyja—i maksyma ta miała się jeszcze raz sprawdzić w kraju, na jego nieszczęście.

W tym celu w dniu 1-ym września wydał odezwę, drukowaną na dużych półarkuszach, zredagowaną przez Agatona Gillera i podpisaną: „Centralny narodowy Komitet“ i opatrzoną pieczęcią z orłem i pogonią. W odezwie tej otwarcie i bez osłonek zaznaczył swe istnienie. Nazwawszy we wstępie rządu obce w Polsce bezrządem, zaznaczywszy, że *Dziennik Powszechny* ogłosił formę organizacyi, oświadcza w tonie wysoko nastrojonego patosu: „Ogłaszamy wobec Boga, całego Narodu polskiego i świata całego, że naród zorganizował się w obronie praw wolności i niepodległości swojej i że się bronić będzie do ostatka, aż do zupełnego zwycięstwa. Oświadczamy, że Centralny narodowy Komitet, który jest wyrazem nie tylko wojskowej, ale i narodowej moralnej organizacyi kraju, od chwili obecnej występować będzie już jako jawny przewodnik, jako rzeczywisty własny rząd krajowy, że uprawnionym do tego zostaje ufnością i poparciem narodu i że dopóty w charakterze rządu występować będzie, dopóki naród wolnymi głosami ufności mu swojej nie odbierze, wolnym wyborem nowego rządu nie postawi“ i t. d.

Odezwa ta, to jawne przyznanie się do sprzysiężenia i do ostatecznych jego celów, wywarła w ogóle bardzo silne wrażenie nawet na umysły najchłodniejsze i najobjętniejsze, jak również na sfery rządowe. Już teraz wszyscy wiedzieli, nikomu to nie mogło być tajem, że istnieje spisek szeroko rozgałęziony, mający nad sobą władzę zwierzchnią, spisek głośno o sobie mówiący, wyraźnie dążący do powstania. Komitet centralny występował jak władza jawna, w oczach mas otoczona urokiem przez to, że napół tajemnicza, że nie wiadomo było, kto w niej zasiadał, i bujna wyobraźnia tłumów, wszechpotężna plotka

miała szerokie pole do snucia najdziwaczniejszych przypuszczeń i wniosków. Na prowincyi, gdzie uważano, że się coś robi, że istnieje sprzysiężenie, ale wyobrażano je sobie w kształtach bardzo mętnych i niejasnych, teraz wiedzano, czego się trzymać. Niezwyczajność zjawiska, nigdy zaiste niewidzianego w historii, olśniewała wszystkich, niby nagła błyskawica, i w najchłodniejszych budziła wątpliwość, czy rzeczą patryotyczną będzie stawianie oporu takiemu położeniu. W zuchwałstwie Komitetu widziano siłę, pewność działania, może na bardzo potężnych podstawach opartego, i mimowoli zadawano sobie pytanie: ażali godzi się Polakowi rękę od tego działania odsuwać, ażali nie będzie to zdradą ojczyzny? Jednem słowem Komitet centralny odezwą tą zapewnił sobie takie powodzenie, takie zwycięstwo, jakiego nawet w najśmielszych swoich marzeniach nie przypuszczał.

To też Komitet coraz śmielej teraz występuje i coraz wyraźniej usiłuje zagarnąć wszystkie siły narodowe, by je zużytkować w przyszłym powstaniu. Ale na czemże właściwie oprzeć się miało to powstanie? skąd wydobyć tak wielką moc, by ta mogła się zmierzyć z potężnem Cesarstwem Rosyjskiem? Jeżeli tacy szaleńcy, jak Dąbrowski, Szwarce, Koskowski lub Daniłowski, mogli wierzyć w to, że jedno słowo Komitetu setki obrońców polskich wywoła, że wszystkie kamienie w Polsce, jak w baśni ludowej, dotknięte cudownem zieleńcem tego słowa, ożyją i w rycerzy się zmieniają,—to chłodniejszy Giller wierzyć temu nie mógł i nie wierzył. Słabą też ufność miał w ruchawkę ludową. A jednak mówił i dążył do powstania, tylko że to powstanie widział jeszcze w bardzo oddalonych czasach, po długim szeregu wszelkiego rodzaju przygotowań. Żyjąc ciągle w kole Sybiraków, jak Henryk Krajewski, Karol Ruprecht i inni, którzy przecież widzieli spiski, brali w nich udział i wiedzieli, co jest warte bezbronne powstanie, ulegał ich wpływom i uwagom i wszelkimi sposo-

bami starał się wyszukać tę podstawę, na którejby można oprzeć przyszły ruch zbrojny polski. Ponieważ Dąbrowski bardzo wiele mówił i wiele liczył na partycję rewolucyjną w Rosyi, z którą jakoby był w ścisłych stosunkach, a kierowaną przez Hercena, wydawcę *Kołokoła* w Londynie, ponieważ za Dąbrowskim wszyscy to powtarzali i nadzieje swoje na owej partycji opierali, postanowił więc tę rzecz zbadać, udać się za granicę, dotrzeć do Hercena i od niego zażądać wyjaśnień. Jakoż razem z Zygmuntem Padlewskim, z którym, zdaje się, spotkał się w Paryżu, wyruszył w końcu września do Londynu. Giller wziął ze sobą list Komitetu centralnego do Hercena, zapewne przez siebie zredagowany i noszący datę 20-go września. W liście tym Komitet kładł nacisk na to, że nie wszyscy pojmują charakter ruchu polskiego, a zwłaszcza Rosyanie, którzy widzą w nim chęć odbudowania „szlacheckiej Polski,” co jest błędem, że „myśl zasadnicza, z którą Polska powstaje dzisiaj, polega na zupełnem uznaniu praw włościan do ziemi przez nich uprawianej, jako też na przyznaniu każdemu narodowi najzupełniejszego prawa do rozrządzania swoim losem.” W tem ostatniem zdaniu Komitet miał na myśli Ruś i Litwę, ale zdradzał pewną niekonsekwencję, z której nieprzyjaciele jego nie omieszkali skorzystać. Twierdząc, że „nie uznaje ani nowych granic, ani rządów, zbudowanych na ruinach naszej wolności,” że „Polski podzielonej nie pojmuję, tylko Polskę całą, jaką tworzy połączona Polska, Litwa i Ruś, bez żadnej hegemonii któregoś z tych trzech narodów,” utrzymywał, że „wychodząc z tego punktu, dąży do odbudowania Polski w dawnych jej granicach, pozostawiając narodom w nich zamieszkującym, to jest: Litwinom i Rusinom, wolność zupełną pozostawiania w związku z Polską, lub też rozrządzenia sobą podług własnej woli,” że jednakże „w dzisiejszych działaniach przygotowawczych poczytuje sobie za najświętszy obowiązek wszelkich dołożyć starań, ażeby

Litwa i Ukraina postępowały równolegle z Polską i ażeby powstanie narodowe objęło jednocześnie wszystkie części naszej uciśnionej ojczyzny.” Logika była nieosobliwa; jeżeli bowiem Komitet nie chciał znać innej Polski, jak w dawnych jej granicach, to jakim sposobem Litwinom i Rusinom mógł dawać swobodę pozostawiania w związku z Polską, lub nie? A gdyby też nie chcieli tego związku, gdyby zapragnęli nie już pozostania przy Rosyi, ale utworzenia, zgodnie z dawną tradycją, osobnego państwa litewsko-ruskiego (a zobaczymy później, że w rzeczy samej Litwa, a w części i Ruś, żywiła takie separatystyczne dążności), to cóżby się wtedy stało z zasadniczym, tak szumnie głoszonym programem Komitetu, że zadaniem jego jest odbudowanie Polski w granicach 1772 roku? Zdaje się jednak, że niekonsekwencja ta popełnioną była świadomie, w chęci niezrażenia stronnictwa rewolucyjnego rosyjskiego, o którym wiadano, że na wszystko jest gotowe, byle nie na uszczuplenie granic swego państwa. Do uszów członków Komitetu dochodziły wieści, iż w Petersburgu rewolucyoniści rosyjscy głośno mówili, że wszystko będzie dobrze z Polakami, dopóki kwestya Rusi i Litwy na stół nie wyjdzie; o Litwę i Ruś „jak psy o kość się pogryziemy”—wołali oni. Prawdopodobnie więc nie chcąc ich zrażać, przywiązując przesadzoną wagę do ich poparcia i wierząc w ich siłę, puszczało się na ślizkie pole wykrętów dyplomatycznych i taką nielogiczność o Rusi i Litwie w liście do Hercena, a właściwie do jego dziennika, napisano.

Szło bowiem głównie o to, żeby list ten *Kołokół* opublikował, żeby tym sposobem całe stronnictwo rewolucyjne rosyjskie dowiedziało się o istnieniu Komitetu centralnego, o jego dążnościach i gotowości podania ręki spiskowcom petersburskim. List ten, ciekawy specymen umizgów polskich Pankracych do rosyjskich Bazarowów, Hercen w numerze *Kołokoła* z dnia 1-go października wydrukował

w całości, a w numerze z dnia 15-go t. m. dołączył odpowiedź, w której, ze zwykłą rewolucyonom tej doby przesadą, powiada, że list Komitetu centralnego „stanowi nową epokę w wielkiej epopei polskiej walki za niepodległość;” twierdzi dalej z głęboką nieznajomością własnego społeczeństwa, którem zdawało mu się, że kieruje, iż „nie wątpi o głębokiem, czynnem współczuciu, jakie słowa Komitetu obudzą we wszystkich Rosyanach, pragnących zrzucić z siebie przestarzałe i upokarzające jarzmo rządowej opieki.” Zresztą osobiście zapewniał Hercen wysłańców Komitetu, że im dopomoże swymi stosunkami z partją rewolucyjną rosyjską, twierdził, jak wszyscy ludzie oddaleni od kraju ojczystego, że partja ta jest silną, że rewolucya lada chwila w Rosyi wybuchnie, rewolucya straszna, bo ludowa, do której wszystkie klasy się przyłączą, gdyż z powodu połowicznego załatwienia kwestyi usamowolnienia włościan, z powodu niedostateczności reform, wprowadzonych podówczas w kraju, w Rosyi istnieje powszechne niezadowolnienie.

To było wszystko, co Hercen, człowiek myśliciel, rewolucyonista przy biurku, ale nie w czynie, zrobił dla Czerwieńców polskich, i dwaj wysłańcy Komitetu centralnego wrócili do Warszawy z poważną wątpliwością w duszy, czy przyszłe powstanie może się jakiegokolwiek pomocy czynnej spodziewać od rewolucyonistów rosyjskich. W Warszawie przez czas ich nieobecności zaszły niemałe zmiany. Wskutek wydalenia się Gillera i Padlewskiego, który po Dąbrowskim objął nominalnie naczelnictwo miasta, Komitet musiał uleść przemianie i przybrał nowych członków. Józef Rolski, Czerwieniec zapalony, syn oficera b. wojsk polskich, został chwilowo naczelnikiem miasta; do Komitetu wezwano Aleksandra Biernawskiego, studenta akademii medycznej, i znanego nam już Gustawa Wasilewskiego. Z dawnych członków pozostał Szwarce i Marczewski. Przeważały teraz żywioły ultraczerwone i, nie-

hamowane przez Gillera, gwałtownie pędziły do powstania, czemu chłodniejsi z karygodną słabością oprzeć się nie umieli. Wreszcie nowy ten Komitet wszedł na drogę teroryzmu i krwawych represalii, dał początek całemu szeregowi tajnych morderstw, które ponury cień rzucają na ruch i powstanie 1862 i 1863 roku. Różne przyczyny złożyły się na to, że Komitet sankcyonować i nakazywać zaczął mordowanie wrogich sobie ludzi; najgłówniejszą z nich jest ta, że większość młodzieńców, którzy podjęli się kierowania losem narodu, źle wykształconych, wyćwiczonych na różnych pamfletach Mierosławskiego, na pochwytych wypadkach teoryach rewolucyi francuskiej, głosiła opinie jak najskrajniejsze. Małych Maratów, Robespierrow, Fouquier-Tainvillów, Saint-Justów było mnóstwo w ówczesnej organizacyi, którzy, naśladowując [niezręcznie swe prototypy, drapując się w ich krwawe lachmany, obrzydzenie po prostu budzili, ale przez swe krzykactwo, radykalizm i zapal zmuszali do milczenia spokojniejszych i rozważniejszych. Drugim nareszcie powodem było coraz silniejsze i niebezpieczniejsze występowanie policyi, tajnych agentów, rozpuszczonych po mieście dla wysłedzenia sprzysiężenia. To śledzenie, podejrzenia, groźba niebezpieczeństwa, wisząca nieustannie nad głowami sprzysiężonych, rozdrażniała ich nadzwyczajnie, zaślepiała ich tak dalece, że zatracili poczucie tego, co jest godziwem lub nie, co pożytecznem lub szkodliwem sprawie narodowej, nawet ze stanowiska powstańczego sądzonej. Jawne i głośne wystąpienie Komitetu centralnego, ogłoszenie się za jedyny prawy rząd polski, nieukrywanie swego istnienia, liczne odezwy, jakie rozrzucał, wszystko to pobudziło policyę do nadzwyczajnych wysiłków, do których wreszcie zmuszały ją surowe rozkazy od władz wyższych. Mimo to wszystko, policya nic ważnego wykryć nie mogła; wiedziała o sprzysiężeniu, znała doskonale formę organizacyi, świadomą była istnienia Komitetu centralnego, ale do osób go skła-

dających dotrzeć nie mogła. Było to istotnie osobliwe, jedyne w swoim rodzaju położenie. W wielkiem mieście, pod rządem, który posiadał wszelkie możliwe narzędzia i sprzęt, potrzebne dla wykonania jego woli i postanowień, istniało sprzysiężenie szeroko rozgałęzione, na tysiące liczące swych członków, jawnie i otwarcie mówiące o sobie, a przecież tak tajemne, że policya ani jednego nazwiska schwycić nie mogła. Po wszystkich kawiarniach, szynkach, restauracjach rozprawiano głośno o Komitecie, tu i owdzie nawet członków jego wymieniano, a policya o tem nie wiedziała i dowiedzieć się nie mogła. W jednym z numerów *Ruchu* sprzysiężenie nakazywało, ażeby nikt nie nosił przy sobie adresów i w domu ich nie przechowywał, gdyż mogą one wpaść w ręce agentów rządowych i szkodę organizacyi przynieść. Takie więc nawet rozporządzenia wychodziły, rozporządzenia drukowane, które wszyscy mogli czytać, a policya wobec tego była bezsilna. Niekiedy zdarzało się jej schwycić tu i owdzie jakiegoś czeladnika, wyrobownika, służącego, należącego do organizacyi, do najniższych jej słoików, i na tem wszystko się kończyło, gdyż aresztowany poza swą dziesiątką nikogo więcej nie znał, a jeżeli znał, to milczał. Dzięki temu do wyżyn, pomimo wszelkich wysiłków, dotrzeć nie można było.

W takim stanie rzeczy, gdy nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nieudolna policya warszawska nic nigdy nie wykryje, ktoś poradził W. Księżu, ażeby sprowadził z zagranicy agentów, zwłaszcza z Anglii, słynnej po wsze czasy ze swej wybornej, intelligentnej i doskonale uorganizowanej policyi. W. Książę zasięgnął w tym względzie opinii Wielopolskiego, który nie widział w tem nic złego i złego, owszem uważał to za rzecz naturalną, że rząd ucieka się do wszelkich sposobów, będących w jego mocy, dla wyśledzenia spisku, grożącego najserdeczniejszym interesom narodowym. Za pośrednictwem posła rosyjskiego, który w tej sprawie porozumiał się z ówczesnym premie-

rem, lordem Derby, nie bardzo zresztą zadowolonym z tego rodzaju żądania, sprowadzono w październiku do Warszawy dwóch policyantów angielskich. Jeden z nich, Walker nazwiskiem, był komisarzem dzielnicy Westminsterkiej w Londynie; drugi, Whicher, był dziesiętnikiem policyi tajnej. Zalecano ich z Londynu jako ludzi bardzo zręcznych, roztropnych, mówiących kilku językami i mających wygląd dżentelmenów. Przyjechali, przedstawili się komu należy, i na pierwszej konferencji z oberpolicmajstrem warszawskim, Muchanowem, oświadczyli, że jeżeli mają coś zrobić, to potrzebują do pomocy choć dziesięciu ludzi przyzwoicie wyglądających, bystrych, zdrowych i w zachowaniu się swoim spokojnych. Takie żądanie dla naczelnika policyi warszawskiej, rekrutującej się z najniższych warstw iniejskich, z żołnierzy wysłużonych, z próżniaków, którym się nic robić nie chciało i szukających chleba w służbie policyjnej, było wprost niemożliwem. Odpowiedział, że dziesięciu takich ludzi nie ma, nie ma nawet pięciu. Wtedy zażądali choćby tylko dwóch, a gdy i tych znaleźć było trudno, oznajmili, że w takich warunkach nic zrobić nie mogą i domagali się, by ich do Londynu odesłano. Dano im więc po 1,000 funtów szterlingów i wrócili do Anglii. Próba się więc nie udała i choć stosunkowo była dość kosztowna, jednakże dla rządu nie pozostała bez pewnej korzyści. Ponieważ przybyłym agentom angielskim zwrócono uwagę na spiskujących wojskowych garnizonu warszawskiego, o czem rząd miał niejaki wiadomości, czego dowodziła odezwa Hercenowska, wydrukowana w *Kołokole*, do oficerów rosyjskich, liczne wreszcie proklamacye, rozrzucone między wojskiem, więc pp. Walker i Whicher przez kilka dni swego pobytu w Warszawie w tym kierunku działali i porobili zdumiewające na tak krótki czas odkrycia, świadczące o niezwykłym uzdolnieniu obu. Za ich wskazówkami aresztowano Ferdynanda Warkaskiego, porucznika pułku Ładoskiego piechoty; Michała

Heidenreicha, sztabkapitana pułku dragonów Ekaterynosławskich, głośnego później w zbrojnym powstaniu pod pseudonimem Kruka; Łatkiewicza, podporucznika siódmej brygady artyleryjskiej; Kriegera, porucznika pułku Muromskiego piechoty; Czesława Pławskiego, porucznika czwartej brygady lekkiej artyleryi; esaulę Benedykta Kuczkowskiego, komendanta pierwszej sotni kozaków kubańskich. Posuwając się po nici, sięgnięto i do Wilna, gdzie chciano przyaresztować kapitana sztabu generalnego, Ludwika Zwierzdowskiego, mającego w kilka miesięcy później zasłynąć w powstaniu pod pseudonimem Topora,—ale dzięki wstawieniu generała Minkwiza i samego Nazimowa, nie zrobiono tego, przeniesiono tylko Zwierzdowskiego do Moskwy. Heidenreicha także wkrótce wypuszczono z więzienia, ale innych trzymano, doszukując się koniecznie spisku, którego, szczerze mówiąc, nie było, były tylko jego zaczątki.

Wszystko to wiadomem było Komitetowi, organizującemu się coraz lepiej i posiadającemu w swym składzie wielu bardzo zdolnych ludzi, tak, że przed ich okiem nie ukryć się nie mogło. Przybycie agentów angielskich, arestowania wśród oficerów, które na koła wojskowe prawdziwy popłoch rzuciły, rozdrażniły mocno organizację miejską. Zdarzyło się właśnie w tym czasie, gdy wskutek wyjazdu Gillera Komitet centralny przybrał mocno czerwoną barwę i składał się z domorosłych Maratów, że naczelnik tajnej policyi rządowej, radca dworu Felkner, były inspektor szkolny, dymisyonowany „dla dobra służby“ przez Wielopolskiego, schwycił dużych rozmiarów przesyłkę, idącą z Londynu i zawierającą, jak się zdaje, znaczną ilość egzemplarzy *Kołokola*. Na Felknera policya od dawna już miała oko. W numerze 5-m *Ruchu* z dnia 17-go września pomieszczono nawet ostrzeżenie tej treści: „należy się strzedz następujących agentów tajnych, których rysopisy i nazwiska podajemy,“ a między agentami na pierwszym miejscu wymieniony był Felkner ze wskazaniem jego mieszkania. Obecnie

schwytywanie przez niego wzmiankowanej przesyłki londyńskiej, wskutek czego aresztowano kilku ziemian, mieszkających nad granicą pruską, dopełniło miary i postanowiono Felknera z wiedzą i za pozwoleniem naczelnika miasta „sprzątnąć.“ Dokonanie tej czynności, rozpoczynającej szereg strasznych egzekucyi tajnych, powierzono niejakiemu Janowi Męcarskiemu, aplikantowi magistratu warszawskiego, a w organizacyi narodowej tysiącnikowi, do którego zarządu należała ta dzielnica miasta, w której mieszkał Felkner (ulica Twarda, numer domu 1095). Męcarski, młody, dwudziestoletni zaledwie chłopiec, podjął się tego krwawego zamiaru, co dowodzi, jak dalece pod wpływem namiętności politycznych uczucia tępieją, i nie zwłócząc, wybrał z pomiędzy tysiąca ludzi mu podwładnych sześciu, którzy mu się wydali najodważniejszymi i najzdolniejszymi do tego rodzaju czynności, a mianowicie: Władysława Kotkowskiego, aplikanta na komorze celnej; Romualda Dzwonkowskiego i Józefa Marcinkiewicza, urzędników magistratu; Marcelęgo Szulca, zdaje się niemającego żadnego zajęcia, syna rachmistrza w rządzie gubernialnym; Stanisława Rabińskiego, ucznia gimnazjum; wreszcie tajemniczą postać, znaną w kołach organizacyi pod pseudonimem Jana Mularza, a którego właściwego nazwiska nigdy dowiedzieć się nie miano. Wszystkich tych młodych ludzi, z których najstarszy Kotkowski 29 lat liczył, a najmłodsi Szulc i Rabiński zaledwie po lat 17, Męcarski zgromadził u siebie w mieszkaniu na ulicy Chłodnej i przy zapuszczonych roletach, przy stole, na którym mieścił się krzyż z Męką Pańską, sześć sztyletów i strycek, oświadczył im, że „Komitet centralny narodowy rozkazał zabić Felknera, naczelnika policyi tajnej, co musi być wykonanem; że Komitet zna gotowość obecnych do poświęceń i ich uczucia patryotyczne, nie wątpi więc, że rozkaz jego spełnionym będzie.“ Gdy zebrani zgodzili się na to, Męcarski kazał im zaprzysiądz na krucyfiks, wygłaszając sam słowa przysięgi, poczem za-

powiedział, że „kto parę z ust puści” o tem, co tu widział i słyszał, to ulegnie takiemu samemu losowi, jaki przeznaczony jest dla Felknera. Wreszcie oświadczył, że Komitet centralny obiecał wykonawcom zabójstwa po sto rubli nagrody, a ich pomocnikom po 20 rubli. Piśmiennego rozkazu Komitetu zebranym nie pokazał wcale, dlatego, że go nie miał i mieć nie mógł, bo projekt zabójstwa wyszedł nie od Komitetu, który prawdopodobnie o niem nie wiedział, ale od organizacyi miejskiej. W ten sposób zostało przygotowane pierwsze morderstwo polityczne. Komendę nad „wykonawcami woli narodowej,” jak lubili się nazywać tego rodzaju skrytobójcy, objął Kotkowski, jako najstarszy, typ zdemoralizowanego warszawskiego ulicznika, z całą jego chłodną odwagą, stanowczością, pewną brawurą i zdziwieniem serca. Ponieważ przyszli jego współnicy nie znali Felknera, więc kilkakrotnie pokazywał im go na ulicy, oraz podprowadzał pod okna pokoju, w którym Felkner zwykł był pracować. Przypatrywali się więc przyszłej swej ofierze, włóczyli się po restauracyach i cukierniach, zwłaszcza prześiadawali głównie w cukierni na placu Dzieciątka Jezus, w domu Mintera, gdzie już na parę miesięcy przedtem Chmieleński uguszczał Ryllą, ale do rzeczy się nie zabierali, a czas upływał, Felkner swoje robił i coraz niebezpieczniejszym się stawał dla organizacyi. Wobec tego Mękowski dnia 7-go listopada zebrał tę bandę całą morderców ponownie u siebie w mieszkaniu i oświadczył im niezadowolnienie Komitetu centralnego, że „tylko włóczą się po cukierniach i nic nie robią.” Usprawiedliwiali się, iż nie wiedzieli, „że to tak pilno,” ale skoro tak, to gotowi są przystąpić do dzieła, choćby zaraz jutro. Mękowski zgodził się na to krwawe jutro, kazał im jeszcze raz przysiądź i urzędowo komendę nad całą bandą oddał Kotkowskiemu. Jakoż nazajutrz, dnia 8-go listopada, Kotkowski swą straszną komendę, uzbrojoną w sztylety, rozstawił od samego rana po różnych punktach, tak na ulicy Twardej, jak i przy-

gających do niej. Felkner kilkakrotnie kolo czatujących na niego przechodził, ale zawsze przy takich okolicznościach, że napad był wprost niemożliwy. Nad wieczorem, między godziną 4-tą a 5-tą, Kotkowski i paru starszych poszło do jednej z trzeciorzędnych traktyerni, żeby co przekąsić, gdy nagle któryś z młodszych wpadł i dał znać, że „widział Felknera i, jak się zdaje, idzie do domu.” Kotkowski wybiegł śpiesznie i ze swymi towarzyszami skierował się ku temu domowi. Tutaj ustawił on Mularza i Szulca, sam zaś schował się w sieni za furtką w bramie, która, stosownie do rozporządzeń stanu wojennego, była zamkniętą, w tej nadziei, że jeżeli tamci dwaj stehórzą, lub tylko zranią naczelnika agentów, to on w sieni ostatecznie z nimi się załatwi. Jakoż w rzeczy samej Mularz i Szulc stehórzyli, Felkner przeszedł kolo nich i nietknięty znalazł się w sieni. Kotkowski, który przez szczelinę w bramie obserwował wszystko, gdy Felkner wszedł do sieni, rzucił się na niego niespodziewanie, schwycił za gardło, przycisnął do ściany i zadał mu straszny cios sztyletem w piersi. Zaraz też, zapewne zawstydzony swem tchórzostwem, słysząc szamotanie się i jęk ofiary, Mularz i Szulc wpadli do sieni i trzykrotnie pchnęli puginami Felknera, który krzyknawszy tylko: „puszczaj, bestyo!” padł na ziemię nieżywy. Dokonawszy tego krwawego czynu, wszyscy trzej coprędzej wyskoczyli na ulicę, rozbiegli się w różne strony i znikli w mrokach szybko zapadającej nocy listopadowej. Ale Kotkowski, co dosadnie charakteryzuje jego cyniczne zachwalstwo i brawurę, przypomniał sobie, że w czasie szamotania się z ofiarą spadła mu z ramion burka i że burka ta została w sieni przy trupie. Żał mu było wobec chłodnego wieczoru burki, a może w niej były jakieś wskazówki, które go mogły zdradzić, a przytem należało, według przyrzeczenia, danego Mękowskiemu, przynieść jaki dowód oczywisty, że Felkner nie żyje. Niewiele więc myśląc, zawrócił i wszedł do sieni, gdzie w kaluży krwi leżał trup naczelnika.

nika tajnej policji. Tu zastał już gromadę ludzi, którzy się zbiegli na wieść o morderstwie, a wśród których przeważały kobiety, głównie żydówki. Kotkowski podniósł burkę i w oczach wszystkich, z zadziwiającym spokojem, oderznął ucho martwemu, schował je do kieszeni i szybko wymknął się na ulicę. Takim to było pierwsze skrytobójstwo polityczne, które niejako udowadnia starą prawdę, że w każdym człowieku w głębi duszy drzemie dzikie i okrutne zwierzę. Kotkowski i jego towarzysze szukali potem przez cały wieczór Męcarskiego, ale dopiero o godz. 9-ej znaleźli go w domu; wysłuchał on sprawozdania Kotkowskiego, wziął odeń krwawe trofeum, dla pokazania, jak mówił, Komitetowi centralnemu, i dał trzem zabójcom zamiast obiecanych stu tylko po 30 rubli, pozostałym zaś znacznie mniej. Jeżeli wierzyć można niektórym doniesieniom, po tem wszystkim sztyletnicy mieli wyprawić sobie ucztę u Męcarskiego, w której wzięła udział kochanica tegoż, niejaka Anna czy Aniela Wiśniewska. Tej Męcarski, na dowód swej miłości, miał podarować oderzniete od trupa ucho Felknera. Podanie to jednak jest wątpliwem. Zabójstwo naczelnika policji tajnej, dokonane w biały dzień, na ludnej ulicy, rzuciło wielki popłoch na policję warszawską. Rzecz całą zachowano w tajemnicy, choć wszyscy w mieście o niej mówili, i nakazano jak najściślejsze śledztwo. Przyprowadzono służącego Felknera, uwięziono kilka osób zupełnie niewinnych, ale prawdziwych winowajców nie znaleziono, aż dopiero w trzy lata później.

Zabójstwo Felknera miało swój bardzo tragiczny epilog, który wprawdzie nie należy do historii, ale rzuca jasne światło na ludzi i czasy. W trzy dni po zabójstwie, Męcarski, lękając się zapewne, by rzecz się nie wydała, znikł gdzieś, nie powiedziawszy nawet o tem swej kochance, Annie Wiśniewskiej. Była to kobieta bardzo energiczna, a może szczerze przywiązana do swego kochanka, więc poczęła się rozpytywać o niego. Ktoś jej

powiedział, że Męcarski pojechał do Lublina. Za pożyczone od Marcinkiewicza kilka złotych puściła się do tego miasta, gdzie oczywiście Jasia, jak go nazywała, nie znalazła. Rozgniewana zawodem, rozżalona mocno, powróciwszy do Warszawy, przysłała do Marcinkiewicza i powiedziała mu: „jeżeli pan Józef nie powie mi, gdzie jest Jaś, to ja was nauczę.“ Słowami temi nieszczęsna kobieta wydała na siebie wyrok śmierci. Kotkowski, uwiadomiony o wszystkim, lękając się grożącej mu zdrady, postanowił wraz z Marcinkiewiczem „skończyć z Andzią.“ W tym celu, umówiwszy się wprzód z dorożkarzem Wnorowskim, należącym także do organizacji, zaproponowali Wiśniewskiej, by z nimi pojechała za rogatkę Żąbkowską na Pradze, do lasu, gdzie zapewniali, że Męcarski ukrywa się w chacie gajowego. Wiśniewska, nie podejrzewając nic, pojechała z Marcinkiewiczem i Kotkowskim. Ale w tych strasznych czasach, jak zresztą bywa między ludźmi, dopuszczającymi się zbrodni, jedni drugim nie wierzyli. Szulc, Mularz i Rabiński zauważyli od niejakiego czasu potajemne rozmowy między Marcinkiewiczem, Kotkowskim i Wiśniewską, więc lękając się zdrady, mieli ich wszystkich na oku, i gdy ci wsiedli do dorożki Wnorowskiego, trzech podejrzewający to samo uczynili i pojechali za nimi. Kotkowski to zauważył, kazał Wnorowskiemu popędzić konie i wkrótce znikł z oczów ścigających. Działo się to wszystko w nocy. Wyjechawszy za rogatkę Żąbkowską, zrobili koło sześciu wiorst drogi i Kotkowski nakazał dorożkarzowi kierować się ku światłu, jakie migało w głębi mglistej nocy listopadowej. Ponieważ droga była bardzo piaszczysta, a konie mocno zmęczone, więc wszyscy, nawet dorożkarz, wyszli z powoziku i postępowali pieszo. Kotkowski, chcąc, żeby Wnorowski w zamierzonym zabójstwie wziął udział, a tym sposobem we własnym interesie trzymał język za zębami, szepnął mu do ucha: „przewróć ją!“ Jakoż dorożkarz popchnął Wi-

śniewską tak, że ta upadła na wznak. Teraz dopiero nieszczęśliwa kobieta zrozumiała, co jej grozi, i głosem drżącym z przerażenia zawołała: „ojcze, daruj, już nie powiem!“ Krwawy Kotkowski pchnął ją kilka razy puginałem, przez kilka sekund mruczała coś niezrozumiale, wreszcie ucichła na wieki. Kotkowski przyczepił do trupa kartkę z napisem, że ukarana została za szpiegostwo, i wraz z towarzyszami wrócił do Warszawy. Tutaj tegoż jeszcze wieczoru zetknął się ze śledzącą go trójką i rzekł cynicznie: „osły! jeździli za nami, a nie wiedzieli, że to o ich skórę chodziło. Teraz nie bójcie się Andzi Mękarskiego, bo ona już pojechała do Bozi!“ (Tak opowiada Berg, „Wozstanie Poliakow“, p. 562: Pawliszczew, „Siedmicy“ II, 322, utrzymuje, że Wiśniewską zabił Kotkowski z Marcinkiewiczem w Warszawie dziewięciu uderzeniami puginału, a trupa tylko wywieźli za rogatkę Żąbkowską). Wszystko to wydało się przy następujących okolicznościach: Kotkowski, słusznie przewidując, że sprawa ta wcześniej czy później dojdzie do wiadomości policyi, nie ufając zbyt swym kolegom, dał się wziąć na początku 1863 r. do wojska, dostał się do Charkowa i dzięki swej inteligencji, zręczności, został pisarzem w sztabie garnizonowym. Służbistą był wielkim, chwalono go powszechnie i zdawało się, że straszne sceny warszawskie na zawsze utonęły w przeszłości. Tymczasem zdarzyło się w końcu 1865 r., że z powodu jakiejś błahej sprawy został przyaresztowany w Grodzisku, stacji kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, Marceli Szulc, jeden ze współuczestników zabójstwa Felknera, i osadzony w cytadeli warszawskiej. Tam Szulc wszystko powiedział. Przyaresztowano Wnorowskiego, Marcinkiewicza, Rabińskiego, odszukano Kotkowskiego i sprowadzono go do Warszawy, gdzie wobec zdrady kolegów do wszystkiego się przyznał. Ponieważ już w tym czasie nikogo nie karano śmiercią, więc wszystkich pięciu skazano na całe życie do kopalni (ka-

torga). Tutaj Kotkowski wziął udział w znanym powstaniu Zabajkalskiem i został rozstrzelany w Irkucku dnia 27-go listopada 1866 roku.

Lecz teraz takie skrytobójstwa stają się wypadkiem nieomal powszednim. Przybywający do kraju w znacznej liczbie wychowawcy szkoły podchorążych w Cuneo i rozsyłani przez Komitet, który chciał się ich pozbyć, w różne strony kraju w charakterze agentów, przygotowujących powstanie, przynieśli z sobą oprócz zarozumiałości i pretensyi do przewodniczenia, fanatyzm rewolucyjny i krwawe teorie, które z bezwzględnością wprowadzali w wykonanie. Coraz częściej więc powtarzają się zabójstwa różnych ludzi podejrzanych, zwykle należących do najniższych warstw społecznych, i nikt już na to nie zwracał uwagi.

Oto niektóre z tych zabójstw: Pod miasteczkiem Sierpcem, w powiecie Mławskim, znaleziono w grudniu 1862 roku powieszonego niejakiego Przesłakiewicza, jak utrzymywano, agenta, przysłanego z Warszawy dla wykrycia organizacji miejscowej. Właściciel ziemski, Zaremba, w tymże powiecie zamieszkały, został także zabity w grudniu 1862 roku. W Płocku dnia 15-go listopada wieczorem, we własnem mieszkaniu, zabili dwaj młodzi ludzie niejakiego Jurczykowskiego, zajmującego się pisaniem prośb. Zabójcą miał być jeden z późniejszych dowódców w powstaniu, pochodzący z Płocka. Jurczykowski, pchnięty nożem, schwycił zabójcę i włókł się za nim aż na ulicę. Ofiarę wywieziono w jednego konia i pochowano bez obrządków religijnych. W Wilnie uduszono Wędziałgowskiego, który schwytał w roku 1838 emisariusza Konarskiego. Moznaby tę listę znacznie zwiększyć tem, co jest wiadomem, a iluż to ludzi przepadło bez wieści i śladu!

W straszliwej gorączce, owładającej narodem, tępały uczucia, zacierały się najprostsze zasady, co jest zbrodnią, a co cnotą. Wszelako mniej więcej współcześnie z zabój-

stwem Felknera dokonano innego morderstwa, zdala od Warszawy, w Chełmszczyźnie, które wskutek towarzyszących mu okoliczności, oraz rezultatów, jakie sprowadziło, zwróciło na siebie uwagę nie tylko sfer rządzących, ale całego kraju.

W Lubelskiem, dzięki energicznej działalności agenta Komitetu centralnego, Leona Frankowskiego, znanego nam już ze swego nader czynnego udziału we wszystkich manifestacjach warszawskich, organizacja powstańcza bardzo szybko się zawiązała i przybrała od razu szerokie rozmiary. Frankowski nieustannie się tu kręcił, przejeżdżał tędy na Ruś, zachęcał, porywał wszystkich swym zapalem młodzieńczym, swą niewyczerpaną energią i prawdziwym talentem spiskowania. Znalazł on przytem na miejscu dwóch niepospolicie czynnych pomocników: księdza Baltazara Paśnikowskiego, wikaryusza przy katedrze lubelskiej, i Kazimierza Walentowicza, prowizora aptekarskiego, z których pierwszy zajął się organizacją Lublina, a drugi prowincyi. Ten ostatni wszedł w związki z oficerami wojsk rosyjskich, stojących w Lubelskiem, dawał im odezwę rewolucyjną, rozrzucał je między żołnierzami i formował nieustannie dziesiątki, setki, tysiące. Otóż zdarzyło się, że do jednej z takich dziesiątek w Chełmie przyjęto niejakiego Aleksandra Andrzeja Starczewskiego.

Był to pijak koronny, a już to samo dowodzi, że przyjmowano do organizacji z karygodną lekkomyślnością, co też naprzód pomściło się na samych organizatorach. Starczewski, ilekroć z Warszawy przyszły jakie rozporządzenia, albo zjawiał się jaki agent, jak tylko sobie podpisał, a przytrafiało się to nieomal codziennie, domagał się pieniędzy, inaczej groził wydaniem. Wreszcie, nie ograniczając się na groźbach, przesłał wprost na ręce namiestnika denuncyację, kto należy do organizacji lubelskiej i jakie w niej zajmuje stanowisko. Między innymi zdradził w ten sposób ks. Ludwika Marczewskiego, Reformata, który odeń

przysięgę odbierał, oraz dwóch braci Niemirowskich, ziemian, malarza Smolińskiego i piekarza Szulakowskiego. Podobno stale takie denuncyacje przysyłał, w wielkiej oczywiście tajemnicy, o wszystkim, co się dzieje w organizacji. Ponieważ wskutek poprzednich groźb, głośno przez Starczewskiego wypowiedianych, miano go już na oku, więc, zdaje się, wysledzono i owe przesyłki piśmienne do Warszawy. Działo się to wszystko we wrześniu i organizacja lubelska z razu nie wiedziała, jak sobie w tym wypadku postąpić. Z uwagi jednak, że denuncyacje Starczewskiego mogły całe sprzysiężenie w Lubelskiem wydać, postanowiono o wszystkim uwiadomić Komitet centralny i od niego zażądać rady i pomocy. W tym celu wyjechał do Warszawy Kazimierz Bogdanowicz, ziemianin ze wsi Nadrybia w Lubelskiem, a w organizacji zajmujący stanowisko naczelnika powiatu. W Warszawie Komitet centralny jako całość, co jest jednak wątpliwem, a najprędzej któryś z jego członków, poradził Bogdanowiczowi, żeby Starczewskiego zabić, i w tym celu posłał zaopatrzone w rozkaz do jednego ze zdradzonych, powstańczego naczelnika pow. Chełmskiego, Leona Niemirowskiego, właściciela wsi Stolpie, ażeby zabójstwa tego dokonał. Rzecz była dość trudna, gdyż Starczewski, jakby czując grożące mu niebezpieczeństwo, nie ruszał się ani na krok z Chełma, gdzie pod osłoną miejscowego garnizonu wojskowego był pewny życia.

W takim położeniu chwycono się podstępny, by wywabić Starczewskiego z Chełma. We wsi Okrzowie pod Chełmem mieszkał znajomy zdrajcy, kowal, który, wiedząc czy nie wiedząc o zamierzonym zabójstwie swego przyjaciela, zaprosił go do siebie na chrzciny. Starczewski pojechał razem z Konstancją Czerniak. Gdy z chrzcin tych wracali późną nocą, a wiózł ich pocztylion, Szczupak nazwiskiem, należący do organizacji (Niemirowski wszystkich pocztylionów w Chełmskiem wciągnął do sprzy-

sieżenia), w lesie, o wiorstę od Okrzowa, napadli ich sprzysiężeni w liczbie jedenastu i rozpoczęła się krwawa rozprawa. Napastnicy uzbrojeni byli w noże i kije. Starczewski po rozpaczliwej obronie, ciężko pobity i pokaleczony, zdołał się jednak wymknąć i począł uciekać. Ale osłabiony wpływem krwi, upadł, dogoniono go, a gdy Konstancya Czerniak chciała go sobą zasłonić, roztrzaskano jej czaszkę jednym uderzeniem kija i poraniono nożem. Starczewskiego napół nieżywego uchwyciono i powieszono na drzewie, to samo zabójcy uczynili z trupem nieszczęsnej Czerniakówny. Z razu zamierzano obie ofiary namiętności politycznych i krwawej zemsty sprzysiężenia zostawić w lesie, ale Niemirowski tejże nocy otrzymawszy o całej sprawie wiadomość, kazał trupy zabrać. Przeniesiono je potajemnie przez Chełm i ukryto w kamieniołomach wsi Nowosiołki, należącej do jednego z braci Niemirowskich. Wszystko to stało się w nocy dnia 2-go listopada.

Nagle zniknięcie Starczewskiego i jego kochanicy zwróciło uwagę władz miejscowych i warszawskich, które nie odbierając więcej od lotra denuncyacji, zaniepokoiły się mocno. Mimowoli powstało podejrzenie, że został zamordowany, zwłaszcza, że skrytobójstwa, jakieśmy to rzekli, były w owym czasie na porządku dziennym. Nakazano śledztwo i przyaresztowano przedewszystkiem osoby, za denuncyowane poprzednio przez Starczewskiego, a więc braci Niemirowskich, Smolińskiego i Szulakowskiego. U Niemirowskich w domu wzięto niejakiego Cichockiego, który nie posiadał paszportu, a ten między innymi wydał Walentowicza, na którego zresztą miano oko, gdyż już dawniej doniósł o nim jeden z oficerów. Wszystkich aresztowanych przewieziono do więzienia w twierdzy Zamościa; za nimi, powoli, zwożono więcej, tak, że wkrótce liczba ich dosięgła 50 osób i prawdziwy popłoch padł na całą miejscową organizację. Prowadzenie śledztwa powierzono szefowi sztabu wojsk, stojących w Lubelskiem, Ka-

likstowi Witkowskiemu, Polakowi, który poprzednio był w stosunkach z rewulucjonistami polskimi, znał się i komunikował w swoim czasie z Kurzyną, tak, że w pewnych kołach powstańczych uważano go za jednego z przyszłych wodzów ruchu zbrojnego. Teraz jednak ten człowiek odznaczał się nadzwyczajną gorliwością w wypełnianiu swych urzędowych obowiązków. Powierzenie śledztwa w sprawie zabójstwa Starczewskiego nie bardzo mu przypadło do smaku, gdyż czując się winnym względem sprzysiężenia, widząc, jak to bez miłosierdzia morduje swych zdrajców, lękał się, czy mu tej sprawy nie przyjdzie nadłożyć własną głowę. Jadąc do Zamościa, przez całą drogę nic nie jadł, prócz jaj, które sam osobiście bił na jajecznicę, chleba zaś do ust nie wziął, bo obawiał się trucizny. Z razu śledztwo nie wiodło mu się, nie mógł się niczego dobadać. Na nieszczęście, zdarzyło się, że do jednego z uwięzionych za całkiem inną sprawę, kowala, aresztowanego za przygotowywanie ostrzy do lanc, przyjechała żona i udała się do Witkowskiego z prośbą, by jej pozwolił się widzieć z mężem. Niedawno się pobrali — mówiła — i tęskni do męża. Witkowski spostrzegł, że z tej idyllicznej miłości nowożeńców może korzyść wyciągnąć. Począł więc wykladać splakanej młodej mężatce, że jeżeli mąż jej nie przyzna się do wszystkiego, to ona go już nigdy nie zobaczy. Groźby te tak silne wrażenie wywarły na rozkochaną kobietę, że gdy Witkowski zaproponował jej, by namawiała męża do przyznania się, chętnie się na to zgodziła i w rzeczy samej mąż jej, który należał do organizacji, będącej pod kierunkiem Niemirowskiego, i o całej sprawie zabicia Starczewskiego doskonale wiedział, wszystko, jak to mówiono wtedy, „wyśpiewał.“ Rozpoczęły się więc aresztowania na wielką skalę w Lubelskiem, prawie całą organizację schwytano, uwięziono także ks. Pańnikowskiego, który był wojewódzkim, jednym słowem tak rozbito sprzysiężenie, że już z tego ciosu podnieść się nie mogło. Sprawa chełmska

skończyła się bardzo tragicznie; ks. Paśnikowski odebrał sobie w więzieniu życie przez poderżnięcie gardła prostym chłopskim kozikiem, a Walentowicz umarł w więzieniu z obłąkania. Trupy Starczewskiego i Czerniakówny, wydobyte z kamieniołomów w Nowosiołkach, zostały uroczystie pochowane na cmentarzu chełmskim. Skrytobójstwo to, nie przynosząc żadnej korzyści sprzysiężeniu, przyniosło mu ogromną szkodę i jest uderzającym w oczy dowodem, że takie środki działania jak najgorsze zawsze skutki sprawdzają.

Gdy się to wszystko działo, gdy tak straszne i krwawe sceny, których większość zginęła dla potomności w pomroku tajemnicy, rozgrywały się w całym nieomal kraju, Komitet centralny, zajmujący raz stanowisko rządu jedynie prawego, coraz dalej i coraz śmielej posuwał się na tej drodze. Giller i Padlewski, powróciwszy ze swej misji londyńskiej, zastali wypadki znacznie posunięte, puls gorączkowej działalności bił przyspieszonym tętnem. Z powrotem obu wyżej wymienionych agitatorów wszedł pewien ład do Komitetu. Występując już teraz z zupełną świadomością celu, do którego dążył, jako jedyny prawy rząd polski, wobec rosnących ciągle potrzeb i wydatków, czy to na szerzenie organizacji po prowincyi, czy na kupno broni, o której już teraz przemyślano, Komitet centralny, z inicjatywy, jak się zdaje, Gillera, postanowił obłożyć naród podatkiem na cele powstańcze. Odnośny więc dekret, noszący przez swój ton i unikanie wszelkich tłumaczeń i usprawiedliwień cechę rozkazu rządowego, któremu nikt oprzeć się nie może i nie powinien, został naprzód ogłoszony dnia 18-go października w *Ruchu* (nr. 7), urzędowym organie Komitetu, a następnie w osobnych odbitkach rozrzucony po całym kraju. Wychodząc z zasady, „że tylko energiczne zespolenie wszystkich sił i zasobów narodu dostarczy nam możliwości wytrzymania coraz gorętszej walki,“ „że przeciw wyjątkowej dzisiaj energii

rządu obowiązani jesteśmy postawić wyjątkowe także poświęcenie i wyjątkową energię,“ Komitet stanowi, że każdy obywatel zapłaci jednorazowo podatek od kapitału posiadanego, czy to w formie gotówki, sum hipotecznych, nieruchomości, czy też zarobku. Od kapitałów i nieruchomości podatek ma wynosić pół od sta, zaś od dochodu po pięć od sta. Za normę dochodu przyjął prawodawca rewolucyjny opłatę roczną komornego, „która uważać się ma w Warszawie za jedną trzecią, a w miastach prowincjonalnych za jedną piątą całorocznego dochodu.“ Podatek ten zbierać mieli urzędnicy organizacji, zaopatrzeni w kwity sznurowe. Termin wniesienia podatku dekret naznaczył na dzień 10-ty listopada.

Dekret ten nie tylko na zrewolucjonizowaną społeczność polską, ale i na władze rządowe wywarł niemałe wrażenie. Tak pierwsza jak i drugie mówiły sobie, że jeżeli Komitet centralny nakazuje podatek powszechny i to nie w formie prośby, odezwy, odwołującej się do patryotyzmu narodowego, ale dekretu, czyli po prostu rozkazu, to musi się czuć silnym, bardzo silnym, i rozkaz ten w danej chwili będzie miał czem poprzeć. Przytem wszyscy byli ciekawi, w jaki sposób zbieranie podatku odbywać się będzie, i czy publiczność polska w rzeczy samej go zapłaci. Wkrótce ciekawość ta była zaspokojoną. Zwykle u tego lub owego obywatela zjawiał się w biały dzień młody człowiek z kwitem drukowanym, opatrzonym pieczęcią Komitetu (orzeł i pogoń z koroną), i w sposób grzeczny, ale stanowczy, domagał się sumy, oznaczonej na kwicie. I rzecz nadzwyczajna! wszyscy bez oporu płacili i nikt nie śmiał się odwołać do pomocy władz rządowych, a wkrótce potem w każdym numerze *Ruchu* ogłaszane bywały numery kwitów, za którymi podatek narodowy został wniesiony, a numery te tworzyły nieraz bardzo długi szereg cyfr. Fakt ten świadczył z jednej strony o niepospolitej odwadze członków organizacji, którzy, zbierając

podatek, każdej chwili narażali się na wpadnięcie w ręce policyi, z drugiej o niemem, ale bezwzględnem uznaniu ze strony kraju tajemnego Komitetu. Był to fakt bardzo ważny i bardzo doniosłego znaczenia, i mówił każdemu, kto umiał patrzeć, że kraj wszedł już na pochyłość, na której nic i nikt go powstrzymać nie zdoła. Wprawdzie nie można powiedzieć, by wszyscy chętnie składali pieniądze jakiejś nieznanej i tajemniczej władzy; wielu w ciichości się zżymało. wiedziało, że źle robi, ulegając rozkazowi, Bóg wie od kogo pochodzącemu, ale mimo to każdy płacił—raz przez obawę, potem przez wstyd jakiś fałszywy, przez brak odwagi cywilnej, stojącej oporem ogólnemu prądowi.

Tak więc Komitet centralny występował już teraz nie słowem, ale czynem, jako rząd. W składzie jego wewnętrznym zaszły pewne zmiany. Padlewski objął naczelnictwo miasta i energicznie wziął się do rozwoju dalszej organizacyi. Żył on, w tej dobie przynajmniej, w przyjaźni z Gillerem i był wyznawcą jego pojęć, tak, że z Marczewskim stanowili oni przewagę, zwłaszcza, że zaszła w tym czasie jeszcze jedna przemiana w Komitecie, która ich znaczenie utrwaliła. Szwarce, który był bardzo czynny i za nieobecności Gillera i Padlewskiego właściwie był wszystkim, prędko dość spostrzegł, że obok Komitetu centralnego istnieje inne jakieś ciało, które wydaje odezwy w imieniu Komitetu, przeciąga organizację na swą stronę, popycha ją do jak najszybszego wybuchu, szkaluje Komitet, jednym słowem szkodzi mu jak może. Do wykrycia tego potajemnego, katylinarnego ciała przyczyniła się jeszcze jedna okoliczność. Już od dwóch miesięcy wiadomem było, z czem się nawet *Dziennik Powszechny* nie ukrywał, że rząd zamierza przeprowadzić z początkiem 1863 roku pobór do wojska, pobór wyjątkowy, pragnie podciąć nogi przez zabranie i wysłanie do Rosyi wszystkich młodych ludzi z miast i miasteczek, stanowiących, jak wiadomo,

główny, niemal wyłączny żywioł organizacyi powstańczej. Wywołało to wszystko niemaly popłoch wśród teje organizacyi. Komitet centralny, pozbawiony dwóch głównych swych członków, Gillera i Padlewskiego, na razie nie wiedział, jak się zachować, i gdy jeszcze rozmyślał, co ma czynić, nagle ukazała się w obiegu niewielka karteczka drukowana, wydana jakoby przez Komitet centralny, zapowiadająca, że tenże Komitet centralny „nie zezwoli na pobór,“ że „wprzód, nim rząd zdoła spełnić swój zamiar, nastąpi chwila wybawienia.“ Odezwa ta, rozrzucona po całym kraju, zwłaszcza wśród klas niższych, rzemieślniczych, nie pozostała bez skutku. Zwana pospolicie „kartką o poborze,“ wzbudziła powszechne zaufanie, że Komitet nikogo wziąć nie da. Zdumienie Komitetu centralnego było wielkie, gdy kartkę tę dostał do rąk, i wywołało konieczną potrzebę dowiedzenia się, kto ją wydał. Szwarce wziął się energicznie do rzeczy, i poszukując autorów owego zapewnienia, natrafił na ślad, że w Warszawie istnieje Komitet rewolucyjny, uznający zwierzchnictwo Mierosławskiego, i że do tego warszawskiego ciała należą dwaj członkowie Komitetu centralnego, a mianowicie: Daniłowski i Koskowski. Słusznie oburzony taką dwuznaczną rolą, która zresztą w tej dobie i później była dość pospolicie praktykowaną w kołach powstańczych, na jednym z posiedzeń Komitetu centralnego rzecz całą wobec obu wymienionych panów wykrył i tym sposobem zmusił ich do opuszczenia tego ciała. Uczynili oni to dość niechętnie, a sam fakt ich wyjścia w niczem nie zmienił położenia rzeczy. Komitet Mierosławskiego dalej egzystował, działalność szkodzącą czynnościom Komitetu centralnego dalej prowadził, podszywając się pod jego autorytet i w jego imieniu wydając rozporządzenia i odezwy. I rzecz dziwna, niepojęta zaprawdę, że ci sami ludzie, którzy nie wahali się skazywać na śmierć i skrycie zabijać nędznych

jakichś szpiegów, nie mieli tyle odwagi, by energicznie wystąpić przeciw garści warcholów, którzy nie tylko osobiście im szkodzili—co mniejsza, ale szkodzili także krajowi i ciężkie mu, jak to zobaczymy, zadawali rany.

Fakt wykrycia Komitetu rewolucyjnego i sromotnego wypędzenia dwóch jego członków z łona Komitetu centralnego rozdrażnił mocno Mierosławskiego, który się zawsze uważał za jedyne przedstawiciela, za urodzonego dyktatora Polski rewolucyjnej. Niechęć jego ku Komitetowi centralnemu datuje się od chwili, gdy ten nie chciał się poddać jego rozkazom i domagał się, by generał, „pancerny Mirosławiem i Wrześnią,” osobiście przybył do Warszawy, jeżeli chce rozkazywać; ale teraz miarka się przebrała, tem więcej, że wydarzyła się jeszcze jedna okoliczność, która przyczyniła się do ujawnienia przed publicznością polską, że Mierosławski nie stoi w żadnym związku z Komitetem centralnym. Wskutek zabiegów policyi rządowej udało się jej dostać do rąk znaną nam już ustawę Komitetu Mierosławskiego, co zresztą nie było trudnem, gdyż ustawa ta, drukowana w Paryżu w ogromnej ilości egzemplarzy, przesłana była do Królestwa i obiegała wszędzie. Ustawę tę Wielopolski, raz już praktykowanym zwyczajem, ogłosił w *Dzienniku Powszechnym*, zaopatrzwszy ją w zjadliwe uwagi, przyczem, czy przez nieświadomość, czy może umyślnie, pomieszał obie organizacje: Komitetu centralnego i rewolucyjnego, i winy tego ostatniego zwałił na pierwszy. Ogłaszając współcześnie dekret Komitetu centralnego z dnia 18-go października o podatku narodowym, *Dziennik* pisał: „Sama osnowa tych pism jest wobec zdrowego rozsądku najlepszą przeciwko nim przestroga. W poparciu tych niedorzeczności, rozgłoszono wieść na prowincyi, że powstanie wybuchnie na wiosnę. Uważać można, że te pogłoski wracają peryodycznie. W jesieni rozgłaszają zawsze, że powstanie ma nastąpić na wiosnę; gdy zaś przyjdzie wiosna, głoszą, że powstanie

odłożone jest do jesieni; zdzierstwa zaś podatkowe w widoku tych mniemanych powstań nie odkładają się, lecz odbywają się tak w jesieni, jak i na wiosnę. Jest to osobny rodzaj spekulacyi, w pozory patryotyczne przyodzianej i obliczonej na wyzyskiwanie trwożliwości jednych, łatwowierności drugich. O ile te groźby i postrachy skutek odnoszą, wiadomo, do czyich kieszeni i na czyją korzyść obracają się wyciskane opłaty. Teraźniejsza nowa opłata od kapitału i dochodu zdaje się być rozpisana przez Komitet na korzyść indywiduów, popisowi wojskowemu ulegających, dla zabezpieczenia im środków ujęcia z kraju i wygodnego przebywania za granicą. Mało kto zapewne usłucha tych nakazów, które pociągałyby za sobą podwójne zubożenie kraju: raz wybraną składką, drugi raz ubytkiem popisowych, za jakich w dalszem następstwie ulegliby poborowi do wojska tacy, którzy inaczej mogliby być oszczędzeni. Gdy przy tem wszystkiem weźmiemy na uwagę, że wydatki nadzwyczajne skarbu Królestwa, wywołane potrzebą użycia środków wojskowych i policyjnych przeciwko nieporządkom i zaburzeniom, w roku zeszłym miliony wyniosły, wtedy widzieć można, jakie ciężary spadły na kraj z tych komitetowych rządów i jak wszystko to prowadzi tylko do żywienia w kraju i za granicą próżniackiego proletaryatu politycznych wichrzycieli, jego generałów i prezesów, z dobra kraju czyniących sobie igraszkę.“ Tego rodzaju publicznych oskarżeń, jakoby cała organizacja i stojący na jej czele Komitet była bandą złodziei, pragnących tylko wyludzić pod pozorem patryotyzmu pieniądze z ogółu kraju, tego rodzaju pomieszczenia dwóch Komitetów, Komitet centralny nie zostawił bez odpowiedzi.

Odpowiedź tę wydrukowali oni w *Ruchu*, w tonie poważnym trzymaną, nieco tylko szorstką: „Pan Wielopolski (piszą) i spółka wystąpił z nowym zamiarem szkodzenia działaniom organizacyi narodowej; ogłaszając bowiem

w № 244 *Dziennika Powszechnego* projekt organizacyi centralnego Komitetu rewolucyjnego, pod naczelnictwem generała Ludwika Mierosławskiego zawiązanego, zestawil obok tego znany rozkaz centralnego narodowego Komitetu, zarządzający wnoszenie narodowego podatku, podług stałych norm oznaczonego, na cele przyszłego powstania, pomieszał te dwie organizacye, a pomieszał ze złą naturalnie wiarą, przyczem nie omieszkiał wyzionąć kilku niecných potwarzy i szyderstw. Przekonani jesteśmy, że kraj cały ocenił tę rządową ramotę, jak na to zasługuje; kraj wie już bowiem aż nadto dobrze i od dawna, że z nieczystego i wrogiego źródła, z tego źródła wiecznego fałszu, nigdy i nic prawdziwego na świat nie wychodzi.“

Tak się załatwiwszy z *Dziennikiem Powszechnym*, przechodzi następnie *Ruch* do drugiej kwestyi, mianowicie do Komitetu rewolucyjnego; ale tutaj w swych uwagach zachował wielką ostrożność i oględność w wyrażeniach, widocznie nie chcąc sobie narażać Mierosławskiego, którego, zgodnie z opinią wszytkiej młodzieży kraju, uważał za jedyne go zdolnego wodza w przyszłym powstaniu zbrojnym. Oświadcza więc, że „organizacyi tego rodzaju (t. j. Komitetu rewolucyjnego) i nazwy ani my, ani kraj nie zna i wątpimy mocno, by generał Mierosławski, wiedząc aż nadto dobrze o kierunku i doniosłości prac krajowych konspiracyjnych, pod przewodnictwem Komitetu centralnego narodowego przeprowadzanych, chciał tworzyć jeszcze jedno jakieś odrębne ciało spiskowe pod swoim przewodnictwem, lub się też solidaryzował z tak zwanymi robótkami na powietrzu i z powietrza wysnuwaniami. Po meżu przynajmniej, który, z natury wojskowego stanowiska swego, wspierać się winien na sile i tej szukać, nie spodziewamy się błędu podobnego. Nie pojmujemy bowiem ani potrzeby, ani warunków, ani możliwości nawet istnienia innego jeszcze poza nami stowarzyszenia. Organizacya narodowa już istnieje od dawna, potężniejąc co-

dziennie, istnieje dla wywalczenia niepodległości narodowej, a droga pracy w tym kierunku pod chorągwią już wywieszoną i uznaną była i jest zawsze dla każdego, pragnącego brać w niej udział, otwartą. Zapytujemy zatem, co za potrzeba drugiej, takichże celów i dróg, organizacyi obok już istniejącej? gdzie możliwość, grunt?“ Wobec tego *Ruch* utrzymuje, że wiadomość, podana przez *Dziennik Powszechny*, jest zmyślona. Mimo to, robi taką uwagę: „Jeżeli wszakże (czego się nie spodziewamy) jest ona prawdziwą, w takim razie jest to smutna zabawka, dzieło bez wątpienia intryganta, który w celach własnej ambicyi oszukuje (po prostu mówiąc) z jednej strony generała Mierosławskiego, i nadużywając niesumiennej położonej w nim zaufania, kompromituje i na śmiech wystawia szacowne imię, a z drugiej strony, wojując tem imieniem, oszukuje i balamuci kilku lub kilkunastu ludzi najlepszej woli, odwracając ich z drogi właściwej. Znaleźlibyśmy może coś więcej do powiedzenia w tym względzie, nie chcąc wszakże w oczach wroga prowadzić jakichkolwiek bądź gorszących sporów z braćmi naszymi, poprzestajemy na tych kilku słowach. Prosimy jedynie i tych niewielu oszukiwanych, a szczerze ojczyznę miłujących, niechaj przestaną błdzić po manowcach przykrych i bezowocnych, nie rozstrzeliwają sił narodowych, a niechaj (co stokroć dla sprawy ojczyzny pożyteczniejsz będzie) idą z nami razem gościńcem przez nas już utorowanym i gromadzą się pod chorągwią już wywieszoną i niejedną okupioną ofiarą; niechaj nie dają wrogom naszym sposobności korzystania z ich nieoględności i balamucenia opinii publicznej. Mamy niepłonną nadzieję, że słowa nasze nie pozostaną bez skutku, tymczasem ogłaszamy wyraźnie, że żadnej nowej organizacyi rewolucyjnej nie znamy i znać nie chcemy i za jej działania nie odpowiadamy.“

Słowa te mówiły bez osłonek, że Komitet centralny nie chce widzieć żadnej innej władzy obok siebie, że siebie

tylko uznaje za prawowity rząd polski, że żadnej solidarności z wichrowatym działaniem Mierosławskiego nie przyjmuje. Wszystko to było aż nadto dostatecznym, by „urodzonego dyktatora” Polski oburzyć do głębi, by wywołać w nim gwałtowne wystąpienie przeciw Komitetowi centralnemu, który nie uznał jego, „zmartwychwstałego wodza” i „anioła rewolucji.” Na nieszczęście, tym razem sam Komitet dał mu do ręki łatwą broń, z której, ze zwykłą sobie złą wiarą, Mierosławski nie omieszkiał skorzystać i odpowiednio jej zużytkować. Broń taką dał mu niefortunny, a nadewszystko nielogiczny i przy swej nielogiczności nieścisły w wyrażeniach list Komitetu centralnego do londyńskiego *Kołokoła*, list, w którym zapowiadając, że uznaje Polskę tylko w granicach 1772 roku, współcześnie oświadcza, że zostawia swobodę Litwie i Rusi urządzenia się samostnie i oddzielnie od Polski. Z tej niekonsekwencji skorzystał Mierosławski i zaraz po ogłoszeniu w *Dzienniku Powszechnym* ustawy jego Komitetu pomieścił rodzaj okólnika aż w trzech najpoczytniejszych dziennikach francuskich (*Opinion nationale*, *Siècle* i *Presse*), uwiadamiając cudzoziemców o brzydkich sporach i niezgodzie, panującej między Polakami. W okólniku tym zaprzecza, jakoby był prezesem Komitetu centralnego, że nigdy nie miał tego „niezasłużonego zaszczytu,” że nie pisałby o tem wcale. „gdyby *Kołokoł*, organ rewolucjonistów rosyjskich, w niedawnym swoim numerze nie był umieścił adresu owego domniemanego Komitetu centralnego, który zostawia dwie trzecie polskiego kraju przyszłej Rosji odrodzonej, w zamian obietnic współczucia i pomocy, tyle akurat warty, co i ten zastaw. Dość, zdaje się, przytoczyć taki akt takiego Komitetu centralnego polskiego, ażeby się przekonać, że nic o nim nie wiedziałem, dopóki obie tajne propagandy rosyjskie nie zeszły się w objawieniu światu jego egzystencji.” Okólnik ten Mierosławski przedrukował także w wydawanej przez siebie *Baczności*. W cyrkularzu tym znać w każdym nieo-

mał wyrazie złą wiarę. Komitet centralny nigdy nie przyznawał się do prezydencji Mierosławskiego i ten polski Falstaff wiedział o tem doskonale; ale cóż mu to szkodzić mogło, że kłamał, on, który w zakresie kłamstwa stał się niemal przysłowiową osobistością. Jemu zresztą wcale nie szło o to, by zaprzeczyć tej prezydenturze, o którą, jak wiemy, usilnie się w swoim czasie ubiegał, ale o oszkalowanie Komitetu, którego znieść i któremu darować tego nie mógł, że coś robi bez niego i poza nim.

Szczerze jednak mówiąc, cała ta sprawa Komitetowi w niczem nie zaszkodziła, mogła mu być tylko przykrą z tego względu, że brudną bieliznę prano w oczach całej Europy. Wzrastał on teraz z każdą chwilą niemal w siłę. „Kartka o poborze,” zapowiadająca młodym, „należącym do sprzysiężenia, że mogą bezpiecznie patrzeć na zbliżającą się branke, w sferach niższej organizacji warszawskiej, która wiedziała, co o tem trzymać, wywołała prawdziwą burzę. Nieświadomi stanu rzeczy, przypuszczając, że istotnie ta kartka pochodzi od Komitetu centralnego, byli nań bardzo oburzeni, że lekkomyślnie rzeczy traktuje i że naraża całą organizację na wyłapanie jej przez rząd. Wykrycie tej intrygi przez Szwarczego, powrót z zagranicy Gillerai i Padlewskiego, nacisk ze strony niższych słoików sprzysiężenia, przyczynił się teraz do tego, że zaszły w składzie Komitetu poważne zmiany. Wiemy już o usunięciu z niego Daniłowskiego i Koskowskiego, teraz usunięty został także Rolski, jako mocno poszlakowany o udział w ogłoszeniu owej niefortunnej kartki o poborze. Padlewski objął od dawna mu przeznaczone naczelnictwo miasta; Daniłowskiego w reprezentacji młodzieży akademickiej zastąpił Aleksander Biernawski, także student akademii; wreszcie na zastępców, w razie, gdyby którego z członków aresztowano, lub gdyby dla innych powodów nie mógł zasiadać w Komitecie, powołano Franciszka Godlewskiego, Jana Bogdanowicza i Oskara Aweyde. Pierwszy z nich, syn zagono-

wego szlachcica z Łomżyńskiego, od początku manifestacji miał w nich udział czynny i wyrobił sobie szerokie stosunki w sferach rzemieślniczych warszawskich. Aresztowany 10-go kwietnia, gdy wraz z wielu młodymi wychodził z katedry Świętojańskiej z kazania arcybiskupa Felińskiego, skazany na zesłanie do Rosyi, teraz po narodzinach syna W. Księcia Konstantego, Wacława, zwrócony, wszedł do Komitetu i rozwinął w nim żywą działalność, zwłaszcza przez rozszerzenie organizacyi na prowincyi, po której ciągle jeździł. Drugi z nowych członków-zastępców, Jan Bogdanowicz, obywatel z Lubelskiego, człowiek jak najczerniejszych przekonań, także mało przebywał w Warszawie, kręcąc się po Lubelskiem, organizując i przygotowując umysł do jak najrychlejszego powstania.

Ale bodaj czy nie najważniejszą postacią wśród tych nowych członków Komitetu był Oskar Aweyde, którego osobliwszem zaiste przeznaczeniem było odegranie bardzo wybitnej roli w sprzysiężeniu, a potem to sprzysiężenie zdradził, wykrył wszystkie jego nici rządowi. Wychowaniec petersburskiego i berlińskiego uniwersytetu, uczony prawnik, zajmujący urząd asesora przy sądzie policyi po prawczej w Warszawie, dyalektyk niepokonany, wychowany filozoficznie, łatwo owładał umysłami młodzieży, nie posiadającej tych przymiotów, bo ich nabyć nigdzie w kraju nie mogła. Ożywiony, czynny nadzwyczajnie, z pewną dozą pesymistycznej ironii patrzący na ludzi i rzeczy, zdawał się nie przywiązywać wielkiej wagi do tego, co sam robił i na co patrzył. Wyziębiony mocno, niepodniecany wcale patryotyzmem, którego, zdaje się, niewiele miał w sobie, traktował spisek raczej jako sport, jako zabawę mocno denerwującą i dającą silne wrażenia. W czynnościach swoich nie zachowywał prawie żadnej ostrożności, jak gdyby mu był obojętny koniec, jaki go czeka. Należał teraz do wszystkich Komitetów, a później Rządów, wiedział bardzo wiele i wiele zapamiętał, by z czasem w cytadeli opisać wszystko

i nikogo, ani siebie, ani innych, ani kraju nie oszczędzić. Postać osobliwsza, prawie niezrozumiała, wytwór palącej gorączki czasu, która w tej duszy tak się przepaliła, że stała się prawie chłodną i obojętną. A może była to tylko obojętność na wszystko? może chęć ocalenia życia jakimkolwiek kosztem? Są takie natury miękkie i tak przywiązane do życia; do nich należał Aweyde.

W tym składzie Komitet centralny teraz, z poczynającą się jesienią, z każdym dniem nabierał znaczenia. Dzięki Aweydemu, udało mu się zawiązać stosunek z Komitetem wileńskim, który niby stał na czele organizacyi litewskiej, ale, jakeśmy to powiedzieli, organizacya ta była tam bardzo słaba. Zawiązał się w samem Wilnie Komitet litewski czerwony, do którego wchodził wspomniany już przez nas kapitan sztabu generalnego rosyjskiego, Ludwik Zwierzdowski; Franciszek Dalewski, urzędnik na kolei żelaznej Warszawsko-Petersburskiej; Małachowski; Edmund Weryho; doktor Dłuski, niegdyś na Kaukazie służący, i Konstanty Kalinowski, syn tkacza z pod Swisłoczy, z czasem istotny dyktator Litwy, niezmiernie czynny i energiczny, usposobiony czerwono, wielki entuzysta, jedna z tych meteorycznych postaci, których tak znaczna liczba przemknęła się po chmurnem niebie powstania, zostawiając za sobą nikły i szybko gasnący ślad.

Większość tych członków Komitetu miała życiem przypłacić swe idee. Teraz jednak objawili oni dążności separatystyczne. chcieli zupełnej niezależności swej władzy, luznemi tylko nićmi związanej z warszawskim Komitetem centralnym. Ten ostatni, acz nie bardzo chętnie, ale, nie mając innego wyboru, ustępował, choć działalność Komitetu wileńskiego była bardzo ograniczoną i głównie zajmował się on rozprzestrzenieniem organizacyi, która, jakeśmy to już wspomnieli, na Litwie szła bardzo opornie. Kalinowski zresztą, przejęty wyobrażeniami czerwonej demokracji, usiłował organizację wprowadzić tylko między lud wiejski,

o inne warstwy nie dbając wcale i głośno mówiąc, że jedynie chłop dźwignąć może potężnymi swemi barkami Polskę przyszlą. W swem demagogicznym usposobieniu nie chciał on żadnej szlacheckiej organizacji, owszem odzywał się, że „topór nie powinien się zatrzymać nawet nad kołyską dziecka szlacheckiego.“ Był on przytem jednym z głównych stronników i propagatorów separatystycznych dążeń litewskich i kilkakrotnie się wyrażał w swym dosadnym języku demokratycznym, że „głupim mózgowicom warszawskim nie można powierzać losów Litwy.“ To też z tego powodu organizacja ta musiała się bardzo leniwie i bardzo wolno rozwijać, bo chłop litewski niechętnie do niej przystępował i w ogóle nie rozumiał, czego od niego chcą. Napróżno Kalinowski, przebrany w siermięgę wieśniaka litewskiego i w łykowe postoly, chodził od wsi do wsi, od karczmy do karczmy i gorąco propagował idee zupełnej darowizny gruntów chłopom; ci słuchali go pokornie, ale do czynu nie bardzo byli pochopni. Zwierzdowski, starszy, doświadczeńszy, stąd o wiele umiarkowańszy, nie żywił prawie żadnych nadziei, by lud litewski dał się poruszyć do zbrojnej walki o niepodległość polską, i w przyszłej walce o tę niepodległość liczył jedynie na szlachtę, którą Kalinowski chciał wyrznać do nogi. Stąd między tymi dwoma członkami Komitetu zawiązywały się nieustanne spory, które, jak wszystkie spory polityczne, zaoigniały się coraz namiętniej i przez to samo paraliżowały działalność spisku na zewnątrz. Gdy nakoniec Zwierzdowski, wskutek podejrzeń władz rosyjskich, że bierze udział w sprzysiężeniu, zmuszony był wyjechać do Moskwy, Kalinowski został panem placu, a choć niewiele mógł zdziałać, bo materiału do działania brakło, z niemniejszą jednak zapalczywością spierał się „z głupimi mózgowcami warszawskimi“ o zupełną autonomię Litwy. Stawiał mu pod tym względem opozycję Nestor Dulaurant, z rodziny francuskiej pochodzący, ale urodzony w Warszawie, Polak z wycho-

wania i wyobrażeń, urzędnik na kolei Warszawsko-Petersburskiej, który przez Aweydego mianowany był komisarzem Komitetu centralnego na Litwę. Wiedząc, że Kalinowski przez omijanie szlachty zacieśnił sobie ogromnie pole działania, a nawet zrobił je bezpłodnem, zajął się samą tą sprawą i powoli organizację tę rozszerzał, poddając ją pod bezpośredni zarząd Komitetu centralnego. Obwód Białostocki, gdzie zaczątki organizacji już przez Szwarcego były zaprowadzone, oddał w ręce rzeczonoego Komitetu, a w Litwie całej, zgodnie z dekretem z dnia 18-go października o podatku narodowym, zbierał te podatki i posyłał je do Warszawy. Działalność ta nie mogła się długo ukryć przed bystrem okiem Kalinowskiego, który usunąć chciał samowolnie Dulaurant'a, i rozpoczął pertraktacje z Warszawą, spory coraz namiętniejsze. Te wewnętrzne burze i swary przyczyniły się do tego, że komitet litewski niewiele zdziałał i powstanie zastało Litwę prawie nieprzygotowaną do wybuchu.

Nie o wiele lepiej z punktu widzenia powstańczego stały rzeczy na Rusi. Wprawdzie tam, dzięki młodzieży uniwersytetu kijowskiego, która tak przeważną rolę odegrała w ostatnich wypadkach, od dawna noszono się z myślą organizacji na szerszą skalę, wychodzącej poza koła szkolne, a nawet tu i owdzie poczęto ją tworzyć, jednakże miało to charakter dorywczy i niesystematyczny. Głównie działał tu Antoni Jurjewicz, student wzmiankowanego uniwersytetu, Ukrainiec rodem, człowiek młody, ale gorący, zapalony patriota, ideolog, gotowy do wszelkich poświęceń dla ojczyzny, rzadki i podniosły typ ofiarności i zaparcia się siebie. Ale jak wszystka młodzież tej doby, zwłaszcza w prowincjach ukraińskich, był demagogiem i liczył w przyszłym powstaniu tylko na lud, który na Ukrainie po niedawnych, krwawo zakończonych rozruchach w 1855 r., zdawał się być bardzo podatnym materiałem do przyszłej wojny o Polskę. Dlatego Jurjewicz, podobnie

jak Kalinowski na Litwie, głównie usiłował zaszczerpić organizację wśród chłopów, co oczywiście zupełnie mu się nie udawało. Szlachta, wielcy panowie ukraińscy, z natury rzeczy byli przeciwni takiemu działaniu, a mając czucie i związki z organizacją Białą w Królestwie, nie chcieli powstania nagłego i natychmiastowego. Z tych wszystkich przyczyn organizacja na Rusi prawie że nie istniała, gdy w początkach lipca zjawił się w Kijowie komisarz Komitetu centralnego, Leon Frankowski; dotarł on do Jurjewicza, którego tym sposobem wprowadził w bezpośrednie związki z Komitetem centralnym. Później przybył tam Stefan Bobrowski, znany nam już kuzyn Korzeniowskiego, b. student tegoż uniwersytetu, syn zamożnego ziemianina ze Skwirczyczyny (urodzony we wsi Kazimierzówce), mający tu obszerne stosunki, i pod jego wpływem i staraniem zawiązał się dnia 22-go sierpnia osobny komitet ruski, noszący nazwę Zarządu Rusi. Kto do niego, oprócz Jurjewicza, należał, nie wiemy; to pewna tylko, że w skład jego weszły żywioły obu stronnictw, t. j. Białych i Czerwonych, i że Komitet centralny mianował kierownikiem czynności przygotowawczych do powstania na Rusi Zygmunta Milkowskiego, powieściopisarza, znanego pod pseudonimem Teodora Tomasza Jeża, który jednak nie będąc na miejscu i siedząc w Mołdawii, nie mógł wiele robić lub wpływać na rozwój organizacji. To też Zarząd Rusi nie dużo zdziałał, bo dużo zdziałać nie mógł, i w historii śladów jego czynności doszukać się trudno.

W Galicyi, tej, rzec można, najważniejszej dla przyszłego powstania prowincyi, od dawna, za przykładem Warszawy, dawało się uczuć silne wzburzenie umysłów i tworzyło się mnóstwo tajnych kół i kółek konspiracyjnych, które jednak, oprócz wydawania rozmaitych odezw patryotycznych i pisemek, żadnego donioślejszego znaczenia nie miały. Z chwilą ukonstytuowania się Komitetu centralnego, zwrócił on oczy także na Galicyę. Właśnie

dowiedziano się w Warszawie, że młodzież krakowska uniwersytecka zwołuje na połowę października ogólny zjazd do Krakowa wszystkiej młodzieży polskiej, uczącej się za granicą, i postanowiono z tak szczęśliwej okoliczności skorzystać i młodzież tę zachęcić do utworzenia organizacji, oczywiście podległej Komitetowi centralnemu. Misyi tej podjął się niezmordowany Stefan Bobrowski, który ciągle jeździł od Kijowa, do Paryża, od Paryża do Krakowa, wszędzie agitował, zachęcał, organizował z tą gorączkową czynnością, niewyczerpaną energią i zapałem, do jakiego zdolni byli ludzie tej epoki, podsycani płomieniem patryotyzmu, acz zgubnie pojmowanego.

Zjawił on się wśród zebranej młodzieży w Krakowie, swą płomienną miłością ojczyzny oczarował, chodził z nią na kopiec Kościuszki, budził drzemiące w marmurach tego wielkiego mauzoleum polskiego wspomnienia, tłumaczył cele ruchu, zamiary Komitetu centralnego, przedstawił im formę organizacji powstańczej i zachęcał do utworzenia czegoś podobnego w Galicyi. Jakoż zaraz potem utworzyło się w starej stolicy Jagiellonów ciało powstańcze, które przybrało miano Rady naczelnej galicyjskiej. Należeli do niej: Alfred (powszechnie Alfem zwany) Szczepański, młody człowiek, wówczas bardzo czerwono usposobiony; Ludwik Kubala, który z czasem miał zasłynąć w literaturze ojczystej jako historyk pierwszorzędnej siły, i dwaj weterani z 1831 r., których upadek powstania listopadowego nie zdołał oziębic: pp. Demidowicz i Mułkowski. Wbrew postępowaniu Komitetu centralnego warszawskiego, który głośno i publicznie mówił o swem istnieniu i swej władzy, członkowie nowopowstałej Rady galicyjskiej zachowywali nadzwyczajną skrytość i ostrożność, co, jak się zdaje, uważali za najodpowiedniejszą w owej chwili politykę. Politykę tę prowadzili w ten sposób, że na zewnątrz występowali jako ajenci Rady, która gdzieś w tajemniczym mroku i wyżynach zasiadać miała i w skład której, jak zapewniali,

mieli wchodzić mężowie, cieszący się powszechną w kraju powagą. Polityka ta do pewnego stopnia była usprawiedliwioną; gdyż jeżeli Rada chciała rządzić Galicyą, krajem na wskrós szlacheckim i arystokratycznym, to winna się była składać nie z czterech nieznanych nikomu osobistości, ale z ludzi głośnego imienia. Odczuwając tę potrzebę, członkowie Rady zachowywali co do jej składu najściślejszą, jakęśmy rzekli, tajemnicę. Po zawiązaniu się, wydali oni odezwę do całej Galicyi, aby wszędzie organizowano się w tak zwane „ławy“, zbierano składki i gotowano się do wielkich wypadków, jakie wkrótce w Królestwie wybuchnąć miały. Zresztą brali się oni bardzo czynnie do rzeczy; zawsze w charakterze agentów Rady jeździli po Galicyi i przyspieszali jak mogli i gdzie mogli organizację.

Dla ostatecznego porozumienia się z Komitetem centralnym, Rada wysłała dwukrotnie Kubalę do Warszawy, który prowadził pertraktacje z delegowanym do tej czynności przez Komitet Bronisławem Szwarcem. Na tych konferencyach uchwalono, że Galicya ma być prowincją zupełnie autonomicznie rządzoną przez Radę, przytem zawarowano wyraźnie i formalnie i podpisano z najlepszą obustronną wiarą, że celem organizacji galicyjskiej jest tylko przygotowanie sił do przyszłego powstania, że to ostatnie wtedy nastąpi, gdy wszystkie ziemie polskie będą zorganizowane i zaopatrzone w broń, i jeżeli naczelne władze wszystkich prowincyi uznają zgodnie możliwość i porę powstania, zawsze na jedną prowincję zlokalizowanego. Komitet centralny, zgadzając się i podpisując takie warunki, przeniewierzał się naprzód swej zasadzie, którą wygłosił w programie, iż jest władzą nieograniczoną, i swym pretensyom, że jest jedynym prawowitym rządem polskim, a następnie temu, że on sam naznacza czas powstania. Ale do ustępstw takich zmuszały go okoliczności, a zobaczymy w dalszym ciągu tej historii, że nie było to jedyne i najmniej ważne ustępstwo. Po zawarciu tej umo-

wy, Rada galicyjska zawiadomiła o tem ogół przez odezwę drukowaną z dn. 25-go listopada 1862 r. W odezwie tej donosi, że na mocy układu z Komitetem centralnym, zawartego dn. 16-go października, Rada poddaje się pod zwierzchnictwo rzeczonoego Komitetu, że tenże uznaje Radę naczelną jako Komitet prowincjonalny, pozostawiając jej wszelką autonomię co do działań wewnętrznych; że Rada obowiązuje się do przeprowadzenia organizacji według zasad przez Komitet centralny przyjętych, że nakoniec oba Komitety będą sobie ułatwiały czynności międzykomitowe. Odezwa ta w ogólności była nieosobliwie napisaną, stylem epoki, pełnym niesmacznego patosu, utrzymywała, że „Rada naczelną galicyjską tłumaczyć nie potrzebuje, dlaczego Galicya w dzisiejszem położeniu swym samodzielnie ze zbrojnym powstaniem występować nie może.“ Tym więc sposobem Komitet centralny zagarnął pod swą władzę i Galicyę; ale, choć zagarnięcie to było raczej pozorne niż rzeczywiste i prowincya ta swą niesfornością, jak mówiono, i swem nieuznawaniem powag komitetowych warszawskich wiele miała kłopotów narobić późniejszym Komitetom i Rządowi, to jednakże w tej chwili adhezya jej niemało poparła znaczenie i powagę Komitetu centralnego.

Co się tyczy Księstwa Poznańskiego, to tam miał Komitet bardzo czynnego agenta swego w osobie młodego Łukaszewicza, który ze zjazdu młodzieży polskiej w Krakowie wyruszył do Wielkopolski, dla zawiązania w niej organizacji na zasadach przez Komitet wskazanych. Rzecz tam była dopiero w zaczątku, jednakże już to samo, że Łukaszewicz działał w imieniu Komitetu warszawskiego, świadczyło, że i ta prowincya dawnej Polski powoli uznać będzie musiała jego władzę.

Tak więc Komitet centralny, z drobnego skupienia młodzieży nikomu nieznaney wyrosły, wyłoniony z chaosu różnych ciał powstańczych, któremi od roku roił się bruk

warszawski, dzięki swej śmiałości, rzutkości, chwytaniu z odwagą i zuchwalstwem władzy, stawał się powoli rzeczywistym rządem. Ale jeżeli wszędzie, we wszystkich zaborach, chętnie czy niechętnie, z warunkami czy bezwarunkowo uznawano tę jego władzę, to w samym Królestwie nie czuł on się na zbyt silnych nogach, mając obok siebie Dyрекcyę białą, nierachującą się z nim wcale, pogardliwie nań spoglądającą, podkopywany przez anarchiczne kolo Mierosławczyków. wreszcie poza organizacją, która nie mogła być i w rzeczy samej nigdy nie była zbyt liczną, nieuznawaną przez żadną warstwę społeczną. Prawdziwą siłę, podstawę niewruszoną, moc wreszcie faktyczną otrzymał on dopiero przez przystąpienie doń duchowieństwa całego kraju. Fakt ten, jeden z najciekawszych w tych dziejach, rozegrał się w ciągu paru zaledwie miesięcy i wyniósł Komitet centralny, dotąd pomimo wszystkiego mrokiem pokryty, na wielką jasność areny dziejowej.

+ Że duchowieństwo w ogromnej swej większości, zwłaszcza niższe, wszyscy ci proboszcze, wikaryusze i zakonnicy wszelkich reguł, byli powstańczo usposobieni, o tem każdy wiedział, wiedział i Komitet centralny. Wszak przeszloroczne manifestacje, procesye, nabożeństwa, kazania, na koniec zamknięcie kościołów w Warszawie, tu i owdzie naśladowane na prowincyi, najlepszym tego było dowodem. Pojedynczo księża wchodzili w skład organizacji powstańczej, jak wspomniany już przez nas ks. Pańnikowski, ks. Mikoszewski w Warszawie, ks. Kotkowski w Sandomierskiem, który nawet później przyjął godność wojewódzkiego. i wielu, wielu innych. Ale inna rzecz była pojedyncze uznawanie i popieranie Komitetu centralnego, a inna gremialne do niego przystąpienie. Teraz właśnie stać się to miało. Kto powziął pierwszą taką myśl, trudno dziś odgadnąć, to pewna, że już na dorocznym odpuszcie dnia 14-go września, w uroczystość Podniesienia Krzyża św.,

w klasztorze na Łysej Górze w Sandomierskiem, o tem mówiono i myśl tę propagowano. Zjechało się tam około pięćdziesięciu księży, przeważnie z dyecezyi Krakowskiej i Sandomierskiej, i odbywano częste narady. Sam odpust miał przeszloroczny manifestacyjny charakter. Przybyły liczne kompanie z Warszawy, Radomia, Kielc, Ilży, kompania górników z Wąchocka, z Waśniowa, Dankowa, Kunowa, Opatowa, galicyjska z Dzikowa, ze wszystkich wsi okolicznych, prowadzone przez swych proboszczów, a wszystkie z wieńcami cierniowymi, wizerunkiem krzyża złamanego, chorągiewami z Orłem i Pogonią. Zebrało się według urzędowych raportów do 15,000 ludzi, a według innych do 50,000. Szlachty było niewiele, „widać zabrakło jej już tego roku czasu,“ jak się wyraża korespondent do jednej z gazet, a właściwie dlatego, że w tejże chwili odbywał się w Warszawie zjazd, na którym radzono o adresie do W. Ks. Konstantego. Sfery mieszczańskie i szlacheckie po dawnemu błyszczały na odpuszcie kontuszami, konfederatkami, czerwonymi buty. Hymny patryotyczne śpiewano; stara Bolesławowska puszcza brzmiała wielokrotnie nieśmiertelnym mazurkiem o nieginącej Polsce. Ambona w kościele przystrojona była w sztandary polskie i litewskie, a wszystkie kazania przepełnione były gorącym patryotyzmem chwili. Wzniesiony w roku przeszłym kopiec na cześć ks. Adama Czartoryskiego, który przed trzydziestu laty, opuszczając na zawsze ziemię ojczystą, bawił tu kilka godzin i w świątyni zostawił napis, błagający Wszechmocnego o ratunek upadającej ojczyzny, zarzucono teraz wieńcami i na jego szczycie umieszczono herb polsko-litewski. Zbierano składki do puszek z takimiż herbami. Powracające kompanie witano wszędzie owacyjnie i przeprowadzano uroczyscie przez miasta i miasteczka.

Otóż na tym odpuszcie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, urządzono zwołać powszechny zjazd duchow-

wieństwa całej diecezyi Sandomierskiej, dla ostatecznego zadecydowania, jaką postawę ma kler zachować wobec rozwijających się wypadków. Dla dokładnego zbadania położenia, a nadewszystko dążeń Komitetu centralnego, którego odezwa z dnia 1-go września zrobiła na duchowieństwie wielkie wrażenie i powszechną aprobatę zyskała, uchwalono wysłać do Warszawy trzech księży, a mianowicie: ks. Saturnina Golca, proboszcza z Sobótki w Sandomierskiem; ks. Świątkiewicza, proboszcza z Czyżowa, i, jak się zdaje, ks. Kotkowskiego, proboszcza z Bodzechowa pod Ostrowcem, wspomnianego już późniejszego wojewódzkiego sandomierskiego z ramienia Komitetu centralnego. Trzej ci delegaci i pełnomocnicy duchowieństwa diecezyalnego mieli polecenie dotrzeć do samego Komitetu centralnego, zbadać jego widoki, zasady i nadzieje, i zdać ze swej misyi sprawę na uchwalonym zjeździe całego kleru sandomierskiego.

Jest w górach Świętokrzyskich, na północnym ich stoku, wśród wąwozów i lasów, w pobliżu miasteczka Bodzentyna, niegdyś własności biskupów krakowskich, odwieczna wieś Świętomarz, nazwą świadcząca, że należała do tychże biskupów, a może do pobliskiego klasztoru Cystersów w Wąchocku. Proboszczem w niej był w owe czasy ks. Karol Bogdański, patryota gorący. U niego postanowiono się zjechać, a głucha, górska, lesista miejscowość zabezpieczała od niedyskretnych oczów policyi. Zjazd naznaczono na ostatnie dni października. Jakoż w terminie tym w Świętomarzu znalazło się bardzo wielu księży, których liczby jednak określić nie możemy. Stawili się tam także trzej deputowani do Warszawy i zdali sprawę ze swego poselstwa w tej formie, że jedynem rozumnem i patryotycznym wyjściem jest akces zupełny do Komitetu centralnego. Jakoż zapadła odpowiednia uchwała i zredagowano protokół posiedzenia, skreślony piórem ks. Fijałkowskiego, proboszcza z Kowali pod Radomiem. Protokół

ten, a raczej uchwała, datowana dnia 29-go października, „na zebraniu duchowieństwa Korony polskiej w województwie Sandomierskiem,” zawiera dwanaście punktów. W pierwszym z nich zebrane duchowieństwo „jednogłośnie uchwaliło, by odłączyć się od stronnictwa Dyrekcyi wiejskiej (białej), jako niechwytającego się pewnych i niewzruszonych zasad i odwlekającego zbawienie ojczyzny na długie lata, a natomiast przystąpić do działania Komitetu centralnego narodowego. Jakoż duchowieństwo mocą niniejszego Dyrekcyę wiejską opuszcza, a łączy się ze sprawą Komitetu centralnego narodowego.“ W następnych artykułach duchowieństwo przyjmuje program Komitetu centralnego w całości, zastrzegając sobie tylko nie czynić tego, coby się sprzeciwiało prawom kościelnym (*salvis juribus ecclesiae*), że w każdej diecezyi ma być ustanowiony jeden ksiądz z tytułem „męża zaufania,” który ma się znosić z wojewódzkim i będzie miał przy sobie po jednym księdzu z każdego dekanatu, „którzy bezwzględnie i pod ścisłą kontrolą mają spełniać rozkazy kapłana diecezyalnego;“ że organizacyi tej ma być posłuszny każdy ksiądz, a od tego „nie ma nikogo uwalniać ani bojaźń, ani wzgląd, ani nadzieja bytu materialnego, ani też postrach wszelkiego rodzaju;“ że duchowieństwo obowiązuje się wnosić składki, jakie będą na każdego wyznaczone przez „męża diecezyalnego;“ że ma na każde wezwanie odbierać przysięgę „od przystępujących do robót Komitetu centralnego narodowego;“ i w art. 11-m wzywa Dyrekcyę białą, „by do prac Komitetu centralnego bezwzględnie przystąpić chciała;“ nakoniec w ostatnim artykule zapowiada, że „odtąd bierze pod swoją opiekę prawa ludu i publicznie występować będzie tam, gdzie te prawa pogwałcone będą;“ domaga się, by Komitet centralny wszystkie gorzelnie do czasu wyjarzmienia ojczyzny zamknąć kazał; wzywa wreszcie „wszelkie duchowieństwo wszystkich prowincyi, całość kraju i Koronę polską składających, iżby każde w swoim

obróbie natychmiast i bez straty czasu przystąpiło do zorganizowania się, a to celem jak najściślejszego spełnienia tak programu, jako też w szczegółach rozporządzeń i poleceń Komitetu centralnego narodowego.“ Ze swej strony „mąż zaufania dyecezyi Sandomierskiej wzywa obecnych na tem zebraniu wybrańców innych dyecezyi, aby za powrotem w rychłym czasie zebrali na podobne posiedzenie dyecezyan swoich, przyjęli organizację i o skutku donieśli Komitetowi centralnemu narodowemu przez pośrednictwo wojewódzkiego, jako też zawiadomili o tem męża zaufania dyecezyi Sandomierskiej.“

Z tą uchwałą, którą zaraz w Świętomarzu przepisano na kilkadziesiąt rąk, a później klerykom w seminariach sandomierskim i kieleckim kopiować kazano i rozsyłano wszystkim księżom w kraju, pojechali do Warszawy do Komitetu centralnego dwaj poprzedni deputowani, t. j. ks. Golc i Świątkiewicz.

Wrażenie ona tam musiała wyrzucić olbrzymie; teraz Komitet ujrzał się naprawdę panem sytuacji i istotnym rządem. Akces duchowieństwa wszystkich innych dyecezyi był teraz tylko kwestyą czasu, a na takiej podstawie oparty Komitet mógł już nie zważać na wszelkie usiłowania Dyrekcyi białej lub innych, kopiących pod nim doły, ciał rewolucyjnych. Jakoż za przykładem dyecezyi Sandomierskiej odbywają się teraz jeden po drugim zjazdy kleru innych dyecezyi, a wszędzie przystępuje ono do programu Komitetu i uznaje go za prawowity rząd polski. Najpierwszym takim zjazdem po sandomierskim był zjazd d. 13-go listopada duchowieństwa podlaskiego w Kłoczewie, wsi leżącej w powiecie Garwolińskim, niedaleko miasteczka Żelechowa i słynnych Kościuszkowską kłeską Maciejowic. Do proboszcza kłoczewskiego, ks. Gumowskiego, zjechali się proboszcze, wikaryusze, przełożeni klasztorów i kilku księży unickich. Najwybitniejszą osobistością wśród zebranych był kanonik Tęczyński, prefekt szkół siedleckich, sekretarz

i przyjaciel osobisty ks. biskupa podlaskiego, Beniamina Szymańskiego. Obecność jego uważaną była za pewnego rodzaju aprobatę zjazdu ze strony biskupa, w czym się jednak mylono, jak to zaraz zobaczymy. Znajdowali się tam także delegaci z dyecezyi Sandomierskiej, prawdopodobnie ci sami, którzy jeździli do Warszawy do Komitetu centralnego, znajdowali się dalej członkowie organizacji białej wojewódzkiej, którzy tu przybyli raczej z ciekawości, raczej dla tego tylko, by wiedzieć, co się dzieje, i o tem, co się stanie, donieść swej Dyrekcyi w Warszawie. W obradach przyjmowali udział bierny, zachowywali się milcząco, ale za to słuchali wszystkiego pilnie. Zjawił się także reprezentant Komitetu centralnego, Jan Majkowski, człowiek młody, mało widać obyty, ulegający wrażeniu, jakie na nim robiło zgromadzenie przeszło 80-iu księży. Popierali go różni dygnitarze wojewódzcy z ramienia Komitetu, jak Teodor Jasiński, właściciel Rozwadówki we Włodawskim, Bronisław Deskur, także obywatel ziemski, wojewódzk podlaski, który zostawił po sobie pamiątki z tej epoki, Gustaw Zakrzewski z Ciechomina. Zjazd robił wogóle imponujące wrażenie liczbą swych członków i różnorodnością ich składu.

Rozprawy rozpoczęły się o godz. 11-ej rano w kościele kłoczewskim, skąd proboszcz wyniósł Najśw. Sakrament do zakrystyi. Posiedzenie, jako gospodarz miejsca, zajął proboszcz Gumowski, a po nim ks. Seweryn Paszkowski, pleban z Maciejowic, gorący patriota, poważany bardzo za swe życie ascetyczne; miał mowę, w której postawił pytanie: czy duchowieństwo katolickie może bez nadwężenia sumienia i praw Kościoła należeć do organizacji powstańczej, i jeżeli zjazd da na to potwierdzającą odpowiedź, to czy w takim razie duchowieństwo ma się przychylić do Komitetu centralnego, czy też do Dyrekcyi białej? Rozpoczęły się obrady nadzwyczaj ożywione, spory gorące, trwające kilka godzin, i wreszcie sprawę całą pod-

dano pod głosowanie. Z 86-ciu zebranych księży 75-iu głosowało za Komitetem centralnym, 8-miu wstrzymało się od głosowania, a tylko trzech było za Dyrekcyą białą. Za sprawą ks. Tęczyńskiego, złożyli wszyscy obecni przysięgę na wierność Komitetowi centralnemu, ze zwykłym zastrzeżeniem: *salvis juribus ecclesiae*. Spisano protokół posiedzenia na wzór protokołu sandomierskiego, który odczytano wprzód. W protokole podlaskim, nadzwyczaj treściwym, czytamy: „duchowieństwo dyecezyi Podlaskiej, zebrawszy się na posiedzenie plenarne d. 13-go listopada, celem zbadania środków przyjsia w pomoc ojczyźnie, wysłuchawszy wniosków osób obecnych, zbadawszy w szczegółach zasady fundamentalne obu Komitetów: szlacheckiego i centralnego, po przeczytaniu protokołu zebrania duchowieństwa sandomierskiego, postanowiło i stanowi co następuje: 1) przyjmuje program Komitetu centralnego w całej jego mocy i rozciągłości; 2) poddaje się rozporządzeniom, środkom przyjętym lub wydać się mającym; 3) obowiązuje się składać ofiary, 4) przyjmować przysięgę od wszelkich osób, przeznaczonych do działań, które mogą być nakazane przez Komitet.“ W dalszym ciągu duchowieństwo wypowiada swe desiderata, jak: konieczność zakładania szkółek ludowych, oczynszowania włościan, zaprowadzenia wstrzeźliwości i t. p. Postanowiono wybrać jednego z dyecezyi księdza, „męża zafania“, dla znoszenia się we wszystkim z Komitetem centralnym i aby on tylko odbierał od Komitetu wszelkie polecenia do duchowieństwa. Wybór na takiego męża zaufania padł na osobę ks. Paszkowskiego z Maciejowic. W końcu reprezentant Komitetu centralnego, Majkowski, miał mowę, w której zapewniał, używając Gillerowskiego frazesu, że Komitet myśli o powstaniu „na dobry skutek obrachowanem“, że jak tylko zbierze dostateczną ilość broni i ludzi fachowych, natychmiast ogłosi powstanie. Na to wszyscy zebrani prawie jednogłośnie zawołali: „niech mu Bóg dopomaga!“ Mówił jeszcze Gustaw Za-

krzewski, i z otwartością, świadczącą, jak dalece Komitetowi centralnemu szło o zyskanie kleru, zawołał, że „adhezja duchowieństwa do Komitetu centralnego znaczy więcej nawet, niż armia stutysięczna żołnierzy.“ Rozprawy trwały do godz. 6-ej wieczorem, poczem proboszcz Gumowski wystąpił z obiadem, na którym wygłoszono mnóstwo mów gorących, drżących nutą bojową i powstańczą. W ogóle temperatura zebrania była nadzwyczajnie podniesiona, wielu płakało z rozrzewnienia. Wśród takich uczuć rozjechano się, przyczem kilku księży z dyecezyi Lubelskiej, obecnych w Kłoczewie, zapowiedziało, że za parę tygodni zjadą się księża lubelscy w Biskupicach.

O ile zjazd sandomierski, odbyty gdzieś w górskiej i lesnej wiosce, zdala od stolicy, przebrzmiał bez echa, tak, że władze w Warszawie bardzo późno się o nim dowiedziały w formie mętnych i niejasnych wieści, o tyle zjazd kłoczewski, uderzający wielką liczbą swych uczestników, zyskał znaczny rozgłos i zwrócił na siebie uwagę władz rządowych. Rozpoczęto śledztwo, aresztowano kilku księży. Już dwie dyecezye uznały Komitet centralny za prawowitą władzę narodową i nie ulegało wątpliwości, że i inne to uczynią. To też nie ukrywał teraz swego zwycięstwa i w jednym z numerów *Ruchu* ogłosił prawdziwą czy też w redakcyi tego pisma skomponowaną odezwę duchowieństwa „kilku dyecezyi“, jak się wyraził, do księży polskich.

Zjazd kłoczewski nie tylko na sfery rządowe, ale i na stronnictwo Białych wywarł wielkie wrażenie. Już teraz widoczną było rzeczą, że Komitet centralny bierze górę. Dyrekcyą, wojewódzcy, każdy wreszcie, kto umiał patrzeć i myśleć rozsądnie, czuł potrzebę przeciwdziałania, ale, niestety! nikt na czyn stanowczy zdobyć się nie mógł, czy nie śmiał. Kilku tylko obywateli z Podlaskiego, należących do organizacyi Białej, udało się do biskupa Beniamina Szymańskiego, opowiedziało mu szczegóły zjazdu i zwró-

cilo jego uwagę, że księża bawią się w politykę i rewolucję, zamiast pilnować nauki i kościołów. Ks. Benjamin, jak wiemy, wielki zwolennik Wielopolskiego, ale w polityce bardzo chwiejny i pozbawiony odwagi cywilnej, z razu uznał słusność tych uwag i zamierzył wszystkich wikaryuszów, wszystkich młodszych księży, którzy głównie agitowali i głównie zjazdem kłoczewskim kierowali, poprzenosić na inne probostwa, a do duchowieństwa wydać surowy list pasterski, potępiający agitację powstańczą. To postanowienie biskupie nie mogło się ukryć, gdyż otaczający go księża, mocno czerwoni, uwiadomili o wszystkim kogo należy. Zaraz też do Janowa przybył ks. Seweryn Paszkowski, wybrany w Kłoczewie na męża zaufania duchowieństwa Podlaskiego, w towarzystwie Pijara ks. Słotwińskiego, i ostrzegli biskupa, „aby nie wierzył czczym słowom, bo duchowieństwo wierne jest Papieżowi, nauce Chrystusa i zasłoni piersiami swego pasterza przed prześladowaniem rządu rosyjskiego“ i t. p. Ks. Benjamin temu uwierzył, a może, jak to już raz zrobił, przeląkł się grózb Czerwieńców i ustąpił. Listu pasterskiego nie wydał i duchowieństwo zostawił na pastwę agitacji.

Gdy tak nikt nie stawiał zebraniom żadnych przeszkód, nawet biskupi, do których to z obowiązku należało, sejmiki duchownych odbywały się teraz jedno po drugim. Zjazd duchowieństwa lubelskiego, jak to już było oznajmione w Kłoczewie, odbył się w Biskupicach, miasteczku leżącym niedaleko Lublina, u proboszcza tamtejszego, ks. Pawelca, dnia 28-go listopada. Śród kleru lubelskiego i nie-lubelskiego, wybierającego się na ten zjazd, obiegła pogłoska, że ma nań przybyć nie wysłaniec, jak na zjazd kłoczewski, ale jeden z członków Komitetu centralnego, który ma bliżej objaśnić zamiary tej władzy. Jakoż zjechało się bardzo wielu księży i zakonników, a między nimi znalazł się znany nam już ks. Mikoszewski z Warszawy, podówczas proboszcz w Żelechlinku pod Rawą, na-

leżący do organizacyi, a niedługo potem członek Komitetu centralnego, znany w sprzysiężeniu pod mianem ks. Sykstusa. Prezydencję objął ks. Sosnowski, prałat kapituły lubelskiej, b. administrator dyecezyi, i w mowie pełnej patryotyzmu czerwonego i mistycznych uniesień wykazał, że duchowieństwo polskie zawsze trzymało z narodem, nigdy przeciw niemu, że dzieliło z nim dobrą i złą dołę, że nie uważało siebie za stan odrębny (co niekoniecznie było prawdą), ale przejęte było jak najszczerzej uczuciem i obowiązkiem obywatelskim.

Narady były krótkie i większość postanowiła uznać Komitet centralny za prawowitą władzę narodową i jej być posłuszną. Przeciw temu powstał ks. Szymon Koziejewski, kanonik lubelski, późniejszy chwilowy administrator dyecezyi, ale zakrzyczano go, a nawet tu i owdzie dolatywały obraźliwe słowa: „zdrajca“, „burzyciel jednomyślności.“ Z godną pochwały odwagą cywilną, tak rzadką w tych czasach panowania namiętności, ks. Koziejewski zniósł te dotkliwe obelgi, i gdy się nieco uciszyło, rzekł: „zabijcie mnie, zdania nie zmienię“, a podnosząc w uroczystym nastroju rękę do góry, zawołał: „kraj i wiarę gubicie!“ Znalazło się kilku innych duchownych, którzy nie zgadzali się na tak raptowny akces do Komitetu z innych jak Koziejewski powodów. Żądali oni mianowicie pewnej rękojmi co do osób, składających Komitet centralny, i zamiarów tej władzy na przyszłość. Wniosek ten jednak nie spotkał uznania, gdyż nie było nikogo upoważnionego do zabrania głosu w imieniu Komitetu; zapowiadany jego członek wcale nie przybył, a ks. Sykstus, mogący coś wiedzieć o tych rzeczach, zachowywał uparte milczenie. Rozprawy w tej kwestyi przerwał jeden z proboszczów słowami: „Komitet centralny to idea, w obecnej chwili nazwiska osób nie mają znaczenia. Władza naczelna, idąca zgodnie z życzeniem narodu, znajdzie go zawsze poza sobą, w razie przeciwnym będzie odosobnioną.“ Te zape-

wnienia gołosłowne podobały się wszystkim, uznano je za słuszne i sprawiedliwe, dyskusję przerwano i przystąpiono do wyboru męża zaufania. Wybór padł na ks. Sosnowskiego z tem oświadczeniem, że w stosunkach z władzą narodową duchowieństwo lubelskie spełni bezwarunkowo wszelkie rozkazy ks. Sosnowskiego.

Na zebraniu w Biskupicach mówiono bardzo dużo o wielkim zjeździe duchowieństwa unickiego w Leśnej, niedaleko Białej podlaskiej, miejscowości słynnej klasztorem OO. Paulinów i cudownym obrazem Matki Boskiej. Właściwie zjazd ten wywołały odezwy ks. Paszkowskiego, znanego nam już męża zaufania duchowieństwa podlaskiego, rozesłane do wszystkich dziekanów unickich na Podlasiu, zapraszające ich na zjazd do Leśnej, gdzie sam także przybył. Narady odbywały się w refektarzu klasztornym. Ze strony organizacji Czerwonej nikt na ten sejmik nie przybył, ale za to mąż zaufania województwa Podlaskiego organizacji Białej, August Szydłowski, wysłał do Leśnej Stanisława hr. Aleksandrowicza. Posiedzenie zagał ks. Paszkowski mową, w której zaznaczył, że „celem zgromadzenia jest naradzić się nad wypadkami, które szybko po sobie następują;“ mówił dalej, że powstanie jest nieuniknionem, że zatem obowiązkiem jest każdego obywatela kraju, aby ruchowi temu dopomógł.

„Trzeba namawiać—wołał—do robienia składek na kupno broni i amunicji. Duchowni, będąc w stosunku z licznymi parafianami, mogą większy niż ktokolwiek wpływ wywierać na społeczeństwo. Kapłani powinni się starać za pomocą przysięgi przyczynić jak najwięcej ochotników dla przyszłego powstania. Otóż ja zostałem wydelegowany przez Komitet centralny w Warszawie, ażeby odebrać od duchowieństwa unickiego zapewnienie, że pomagać będzie ruchowi narodowemu; domagam się więc, by zebrane tu duchowieństwo w mojej obecności złożyło przysięgę na posłuszeństwo dla Komitetu centralnego.“

Mowa ta wywarła różnorodne wrażenia; jedni zgadzali się na żądanie ks. Paszkowskiego, inni w znacznej większości albo zupełnie je odrzucali, albo robili zastrzeżenia. Wreszcie wystąpił ks. Bojarski, proboszcz z Dobratycz, pochodzący ze starej rodziny parochów unickich, i rzekł: „Wszyscy tu obecni niezaprzeczenie jesteście dobrymi obywatelami, kochamy naszą ojczyznę, życzymy jej wszelkiej pomyślności, dopomagać będziemy sprawie narodowej o tyle, o ile się to zgadzać będzie z rozsądkiem i roztropnością. Ale Komitetu centralnego dotąd nie znamy i nie wiemy, skąd pochodzi, gdzie się podziwają, jakie są jego cele i czy nie działa z krzywdą Kościoła. Każdy z nas przy wyświęcaniu się na kapłana już raz złożył przysięgę na wierność i posłuszeństwo Kościołowi i Ojcu św. Drugi raz przysięgać nie będziemy. Stanowczo odmawiamy przysięgi jakiegóż władzy tajnej, której nie znamy i nie uznajemy.“ Słowa te znalazły aprobatę wśród większości zebranych, ludzi w znacznej części żonatych i dietnych, stąd patrzących na rzeczy z innego stanowiska niż celibatarysue łacińscy, przytem Rusinów z rodu, o charakterze chłodniejszym i bardziej pozytywnym. Ks. Paszkowski doskonale to zrozumiał, że misja jego nie znajdzie powodzenia, ale postanowił zrobić wszystko, co można, by rzecz doprowadzić do skutku. Na słowa więc ks. Bojarskiego odrzekł, że w Komitecie centralnym zasiada ksiądz, który broni spraw Kościoła i zaręcza, że mu się żadna krzywda stać nie może, że zatem wobec tego wszyscy kapłani mogą ze spokojnem sumieniem złożyć przysięgę. Mówił tu o wspomnianym już ks. Mikoszewskim-Sykstusie, ale nazwiska jego nie wymienił. To też główny oponent, ks. Bojarski, skorzystał z tego i odparł, że zebrani tutaj nie znają tego duchownego, który zasiada w Komitecie centralnym; że władzę jego uznaliby tylko wtenczas, gdyby na to zezwolił Ojciec św. Ks. Paszkowski wobec tej upartej opozycji, pociągającej wszystkich za sobą, widząc, że wszel-

ka dyskusya dalsza może tylko wypaść na jego niekorzyść, chwycił się ostatniego, rzeczby można, heroicznego środka. Wziąwszy krzyż drewniany, stojący na stole, podniósł go w górę i zawołał: „Szanowni bracia moi! skoro nie zdołałem was nakłonić, ażebyście przysięgę wykonali, niech przynajmniej otrzymam to od was, ażebyście uznali jako władzę wykonawczą i rządzącą Komitet centralny. A na dowód tego uznania, proszę was, ażebyście wszyscy kolejno ucałowali ten krzyż, który wam przedstawiam.“ Wszyscy się na te słowa z miejsc porwali i z tłumu odezwał się głos jakiś: „My codzień całujemy krzyż, który jest znakiem i godłem męki Zbawiciela; ale jeżeli to ucałowanie krzyża ma być dowodem uznania jakiejś władzy tajnej, której my nie znamy i uznać nie chcemy, to żaden z nas tego krzyża nie ucałuje.“ Wśród tego otoczono zbitą masą ks. Paszkowskiego i wielu unickich parochów usiłowało odebrać krzyż z rąk mówcy. Nastąpił zamęt, szamotanie się, gdy nagle krzyż z trzaskiem upadł na kamienną posadzkę i w drobne kawałki rozdeptany został. Wypadek ten wywarł na obecnych nadzwyczaj silne i przygnębiające wrażenie; przez chwilę zapanowała ponura cisza, potem ten i ów chwycił za czapkę i wymykał się z refektarza. Wreszcie, dla położenia końca tym przykrym i jakby zarodek przyszłej krwawej tragedii noszącym w sobie scenom, któryś z parochów wpadł do refektarza z krzykiem: „uchodźmy czempredzej, bo na dziedzińcu klasztornym stoją kozacy i zandarmi!“ W jednej chwili refektarz opustoszał; wszyscy unicy wybiegli, powiadali na bryki, a choć przekonali się, że alarm był fałszywy, żaden z nich nie powrócił. W sali pozostali tylko OO. Paulini, hr. Aleksandrowicz i ks. Paszkowski z przygnębiającem uczuciem, że nie dopiął celu, owszem bolesną i złowieszczą scenę wywołał, która na proste umysły parochów unickich musiała bardzo ujemnie oddziaływać.

Ale jakkolwiek duchowieństwo unickie podlaskie sta-

nowczo odmówiło uznania Komitetu centralnego, nie martwił on się tem zbyt wiele wobec tego, że kler łaciński wszędzie akces do niego czynił. W dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej odbył się zjazd w Kaliszu pod prezydencją ks. Polnera. Opozycję tu stanowił ks. Kobyliński, który wychodził z założenia, że skoro Francya pomocy nie obiecuje, to powstania robić nie należy i nie można. Dyecezya Płocka zjechała się do Pułtuska, Augustowska do Suwałk (według innych do Sejna). Był zjazd unicki dla Rusinów chełmskich w Hrubieszowie, ale szczegóły nie są nam znane. Dyecezya Kielecko-Krakowska zjechała się we wsi Wrocierzyżu, położonej nad Nidą, niedaleko Pińczowa, u proboszcza tamtejszego, ks. Wronskiego, koło 20-go grudnia. Doprowadzeniem do skutku tego sejmiku zajmował się głównie ks. Ćwikliński, kanonik katedralny kielecki. Zebranie stosunkowo nie było zbyt liczne; zjechało się podobno około trzydziestu księży; prezydował na niem kanonik Wnorowski. Reprezentanta ze strony Komitetu centralnego nie było; ale za to partya Białych wzięła się do rzeczy energiczniej. Niejaki Krzyszkowski, adwokat kielecki, należący do organizacyi tego stronnictwa, wysłał na zjazd ks. Ludwika Zajca, profesora seminarium i regensa kancelaryi konsystorza kieleckiego, z poleceniem, aby starał się wszelkimi siłami przeszkodzić przyjęciu jakichkolwiek uchwał przez zjazd. Jakoż ks. Zajc przybył do Wrocierzyża i oparł się akcesowi duchowieństwa kieleckiego do Komitetu Czerwonych. Wołał, że „teologia na to nie pozwala;“ że przez taki krok zginie Kościół i duchowieństwo, i tyle przynajmniej zdziałał, że protokółu zjazdu nie spisano i uroczystej adhezji do Komitetu centralnego nie zrobiono. Po gorących i gorzkich dysputach i sporach, rozjechano się z Wrocierzyża, nic nie postanowiwszy.

Mimo tych pojedynczych niepowodzeń, jak n. p. w Lesnej i we Wrocierzyżu, ogromna większość duchowieństwa

polskiego przystąpiła w formie jak najbardziej uroczystej do Komitetu centralnego i uznała go za jedyną władzę narodową, której bezwzględne przyrzekła posłuszeństwo. Był to tryumf tak wielki i tak zupełny, że Komitet uczuł się od razu panem położenia i słusznie mógł teraz z pewną dumą mówić, że przystąpienie doń stronnictwa Białych „jest tylko kwestyą czasu.” Jakoż tak w rzeczy samej było; stronnictwo to przez swą nieczynność, przez umiarkowanie chłodne, przez brak ruchliwości, z natury rzeczy musiało ulegać i ustępować przed gwałtownym naciskiem Czerwieńców, mających bezwzględność rewolucyjną, to zuchwałstwo spisku, które wszelkie przeszkody łamie i druzgoce i do celu swego posuwa się na przód ogromnymi krokami. Wobec tej szalonej, nieznoszącej oporu siły, podobnej do tych sił natury, które raz rozkiełznane dopóty się do snu nie ułożą, aż wszystko przed sobą zniotą, wszędzie zostawia spustoszenia i ruiny—wszelkie usiłowania Białych były bezowocnymi i nieskutecznymi. Wprawdzie, odnośnie do duchowieństwa, zjazdu w Leśnej i we Wrocierzyżu były bijącym w oczy dowodem, że przy energii, umiejętności działania i zręcznem postępowaniu, można było niejedną zamianę Czerwieńców sparaliżować i cios, grożący ojczyźnie, odwrócić,—ale do tego ciężka, ospała, wewnętrzna rozterka sumienia własnego targana organizacja Biała była niezdolna. Wszelkie też jej usiłowania, źle obmyślane lub w niewłaściwym czasie przedsiębrane, podobne były do tych uderzeń miecza w próżnię, które tylko siłę uderzającego wyczerpują, ale nikogo nie ranią. Widząc n. p., że w Warszawie organizacja powstańcza składa się przeważnie z rzemieślników, stronnictwo Białych wydało do nich w pierwszych dniach października odezwę, zapewne bardzo dobrze, nawet bardzo mądrze napisaną, ale tak chłodną w tonie i w słowach, że w czasach powszechnych dreszczów febrycznych żadnego skutku wyrzucić nie mogła. Autorowie tej odezwy,

tajnie wydrukowanej, rozpoczynają od napomknienia o zamachach i ostrzegają drobne mieszczaństwo warszawskie przed młodymi fanatykami, którzy dla osiągnięcia swych celów nie cofają się nawet przed morderstwem i używają do tego rzemieślników. Pismo uskarża się na więzy cenzuralne, które nie pozwalają na otwarte omawianie potrzeb krajowych i tym sposobem podkopują zaufanie do ludzi rozumnych i uczciwych w czasach, gdy najgorętsi agitarowie rządzą się namiętnościami politycznymi. Następstwem tego jest, że wszyscy ci, którzy w wypadkach obecnych kierują się rozsądkiem, traktowani są przez rzeczonych fanatyków jako egoiści, doktrynerzy i tchórze, i stąd wpływu na klasy rzemieślnicze wywierać nie mogą. Odezwa w końcu domagała się, aby pojedyncze rzemiosła pod jakimkolwiek bądź pozorem porozumiały się z sobą i wybrały ze swego łona reprezentantów, stworzyły z nich pewne ciało, którego rozkazom i kierunkowi ulegać winny.

Odezwa ta, przemawiająca językiem umiarkowania i rozumu, skutku żadnego mieć nie mogła w czasach, gdy umiarkowanie i rozum uchodziły za proste tchórzostwo i obojętność, jeżeli nie za zdradę ojczyzny. Stworzenie takiego ciała rzemieślniczego, którem Dyrekcyja prawdopodobnie zamierzała zawładnąć, było niezaprzeczenie pomysłem dobrym, ale sama odezwa, choćby najpiękniej i najmądrzej napisana, organizacyi tej wywołać nie mogła, tylko żywa, czynna, energiczna i bezwzględna agitacja. Otóż, kiedy Czerwieńcy mieli wszędzie swych agentów niezmordowanych, nieustępujących przed nikim i niczem, działających ze ślepą namiętnością fanatyków, Biali poprzestali na odezwach, sądząc, że, jak niegdyś biblijne słowo Boże, wywiodą oni świat nowy z niczego. To też odezwa wzmiankowana pozostała bez skutku i zniknęła bez echa w powodzi wszelakiego rodzaju pism i druków tej epoki. A tymczasem Czerwieńcy działać nie przestawali, wszędzie byli obecni, wszystko porywali za sobą i napoili rzeczy

i ludzi taką siłą pędu, że, jak słońce kosmiczne, biegli w nieskończoność dziejową, przyciągając wszystko ku sobie, w obręb atrakcyi swojej wszystko zagarniając. Owładnąwszy powoli całą dawną Polską, ujawszy pod swe kierownictwo zwierzchnie wszelkie tajne organizacje i znalazłszy zupełne poparcie ze strony tak przeważnego żywiołu jak duchowieństwo, z kolei rzeczy zwrócić się teraz musieli do Rosyi, do jakoby tam istniejącego spisku. na który wiele liczyli i który w przyszłym zbrojnym powstaniu miał być najważniejszym atutem w grze o losy ich polskiej ojczyzny.

Wspomnieliśmy już we właściwym miejscu o podróży do Londynu, do Hercena, dwóch Czerwieńców warszawskich: Gillera i Padlewskiego, z której to podróży wrócili z mnóstwem obietnic, ale z pewną wątpliwością w duszy, czy zapewnienia koryfeusza rewolucjonistów rosyjskich o tem, że spisek w Rosyi jest szeroko rozgałęziony i że na jego poparcie Polacy liczyć mogą, są prawdziwemi. Zwłaszcza Giller, który przed paru miesiącami niał sposobność na własne oczy się przekonać na mniemanem sprzysiężeniu wojskowem Dąbrowskiego, co są warte zapewnienia rewolucjonistów, wyrażał się bardzo dwuznacznie o zaręczeniach Hercena. Padlewski, który znał Petersburg i miał stosunki z dawniejszem kołem wojskowych i uczącej się młodzieży, także nie bardzo wierzył tym zapewnieniom; ale z drugiej strony nikt nie mógł powiedzieć, czy te zapewnienia nie mają podstawy, zwłaszcza, że w ostatnich czasach mogły w łonie tajnych spisków rosyjskich, przy powszechnem wzburzeniu umysłów, zajść tak wielkie zmiany, że Hercen, który był ze swą ojczyzną w ciągłych stosunkach, mógł prawdę mówić.

Wreszcie w przyszłej strasznej walce o niepodległość Polski najzwyczajniejszy rozum nakazywał niczego nie zaniedbywać, co tej walce może pomoc przynieść, i niczem nie gardzić. A spisek w Rosyi toć to taki przyjaciel i ta-

ka pomoc, że Bóg wie, dokąd w danej chwili może losy Polski i Rosyi zaprowadzić, jakie zmiany wywołać, jaką burzę w świecie rozwichrzyć. Dla tych wszystkich powodów postanowiono w Komitecie wysłać kogoś do Rosyi, głównie do Petersburga, żeby dotarł do jądra rzeczy, naocznie się przekonał o sile i rozgałęzieniu konspiracyi tamtejszej i żeby z nią bliższe zawarł stosunki. Misyi tej podjął się Padlewski, jako obyty ze stolicą rosyjską i mający tam swe związki i koneksye, zwłaszcza, że obok zasięgnięcia bliższych wiadomości o sprzysiężeniu miał wyszukać wśród oficerów tamtejszych przyszłych dowódców powstania, oraz sprowadzić techników dla tajnej fabryki prochu, kapiszonów i naprawy karabinów, jaką Komitet myślał urządzić w Warszawie lub na prowincyi. Jakoż Padlewski w końcu listopada, czy na początku grudnia, bo dat ścisłych podać nie jesteśmy w stanie, udał się do północnej stolicy rosyjskiej, pod nazwiskiem hr. Matuszewicza. Zaopatrzony był w listy Hercena i Bakunina do niejakiego kniazia Trubeckiego, oficera artylerii konnej gwardyackiej. Za jego pośrednictwem, oraz przy pomocy dawniejszych stosunków, wysłannik Komitetu centralnego przekonał się, że w Petersburgu panuje silny ruch umysłowy, że istnieją tajne stowarzyszenia, ale rozbite na różne odłamy i działające osobno.

Komitet polski, w skład którego wszedł wysoki urzędnik w ministerjum skarbu, Rusin z rodu, Józafat Ohryzko, którego imię tragiczne późniejsze koleje rozślawić miały szeroko, miał być owym pośrednikiem między sprzysiężeniem rosyjskiem a Komitetem centralnym w Warszawie. Wszelako poseł przekonać się miał po bliższem rozejrzeniu się w rzeczach, że ów tak głośno zapowiadany przez Hercena spisek rosyjski jest anemicznym, nędznym płodem garści zdolniejszej młodzieży, że nie ma on sił, ani poparcia w narodzie i że na niego wprost liczyć nie można. Powróciwszy do Warszawy, zdał Komitetowi centralnemu

relację o wszystkim tem, co widział, co słyszał i co zrobił. Mówił więc, że w rzeczy samej rewolucyoniści rosyjscy utworzyli w ostatnich czasach Komitet centralny rosyjski, który dąży do wywołania rewolucyi w obszernem państwie, ale że Komitet ten jest dopiero w zarodku swej działalności, że organizacja jego jest jeszcze bardzo wąta, jak to zresztą sami członkowie tego Komitetu otwarcie mu powiedzieli na konferencyi, jaką miał z nimi. Komitet rosyjski nie oznaczył dotąd terminu przyszłego wybuchu rewolucyi w Rosyi i w obecnej chwili nawet w przybliżeniu terminu tego oznaczyć nie jest w stanie. W każdym razie osoby, z którymi Padlewski w Petersburgu wszedł w bliższe porozumienie, oświadczyły mu szczerze, iż rewolucya w Rosyi wcześniej niż w lecie 1863 r. wybuchnąć nie może; że Komitet rosyjski z najżywszą chęcią pragnie być w stałych stosunkach z Warszawą i obiecuje wszelką ze swej strony pomoc akcji rewolucyjnej polskiej, ale jak najgoręcej prosi o wstrzymanie powstania do lata 1863 roku. W razie, gdyby, mimo wszystkiego, okoliczności zmusiły Polaków do wcześniejszego ruchu zbrojnego, obiecuje on wszelką ze swej strony pomoc, a mianowicie przyrzekał, jakkolwiek w słowach niejasnych i nieokreślonych ściślej, wywołanie powstania na Uralu, gdzie jakoby organizacja rewolucyjna przybrała szersze rozmiary. Relację swoją Padlewski poparł listem, jaki mu wręczyli spiskowcy rosyjscy, w którym mniej więcej wszystko to samo było powiedziane. Powoływali się przytem na odezwę Hercena do oficerów rosyjskich z dnia 15-go października i przytaczali z niej taki ustęp, dający wiele do myślenia: „przedwczesny wybuch w Polsce nie tylko jej nie oswobodzi, ale was (rewolucyonistów rosyjskich) zgubi i niezawodnie zahamuje rozwój naszej sprawy rosyjskiej.“ Padlewski przytem twierdził, że Komitet rosyjski nasładowe we wszystkim Komitet polski i jest raczej chwilowym, sztucznym wytworem, niż naturalnem i uzasadnionem

dążeniem jakiegokolwiek części społeczeństwa rosyjskiego do wolności.

Komitet centralny nabył przekonania, że na spisek rosyjski, o którym tak wiele mówił Dąbrowski i Hercen, liczyć nie można, i że Polska, przynajmniej pod tym względem, własnym siłom jest zostawiona. Mimo to, nie zamierzał on wcale akcji swojej przerywać, lub rozkładać jej na długie czasy, a jakkolwiek większość Komitetu pod wpływem Gillera przeciwną była jak najbardziej stanowczo rychłemu wybuchowi, przecie okoliczności, wypadki, wszystko tak się składało, że wybuch ten był blizkim. Z posępnych chmur nagromadzonych piorun miał wypaść lada chwila, zaszły bowiem teraz zdarzenia tak wielkiej doniosłości, przed oczami członków Komitetu stanęło Hamletowskie „być albo nie być“ tak wyraźnie, że ujrzeli się oni nad brzegiem wiru, który ich pociągnął ku sobie i pogrążyć miał w przepaść nie tylko ich samych — co mniejsza, ale Polskę całą i jej przyszłość.

IV.

Wszystkie te opowiedziane poprzednio wypadki w niczem nie zdawały się wpływać na W. Księcia i na jego politykę względem kraju. W dniu 1-m października odbyło się ogólne zebranie Rady stanu, które Namiestnik osobiście zagał uroczystą mową, wygłoszoną po polsku, i, jak sądzić można z niektórych zwrotów i wyrażeń, przygotowaną przez Wielopolskiego. Ubrany w mundur ułański z amarantowemi rabatami, oparty na szabli, mówił głosem donośnym i właściwym Rosyanom akcentem śpiewnym, że w „zebraniu tem po raz pierwszy głos podnosząc, przedewszystkiem pragnę zapewnić was, że ostatnie bolesne wypadki nie zachwiały mnie w dobrych

dla kraju chęciach. Ufam w opiekę Opatrzności; na uczuciach prawych i obywatelskich, jakich Rada stanu dała już dowody, polegam. Spełniając obowiązki, włożone na mnie wolą Najdostojniejszego mojego Brata, Monarchy naszego, nie przestanę czuwać nad dobrem Królestwa Polskiego. Rząd, kierunkowi mojemu powierzony, nie zboczy z drogi prawa i nikomu też z pod prawa wylamywać się nie dozwoli. Poczytywałbym się za szczęśliwego—mówił—módz wykonać szeroko najpiękniejszą ze złanych na mnie prerogatyw, prawo łaski; wszakże miarkować je winien jestem uwagą na wymiar sprawiedliwości i na bezpieczeństwo publiczne.“ W końcu zaznaczył, że „nadane w roku zeszłym instytucje wchodzi w wykonanie,“ że Rady powiatowe rozpoczęły już swe posiedzenia, a wyszłe z ich łona delegacje czynszowe „bez wątpienia odpowiedzą zaufaniu, jakie w nich nasz prawodawca położył;“ że Rady miejskie tak się dobrze przyjęły, iż siedemnaście miast podało prośby o zaprowadzenie w nich tej instytucji, że oddzielono od Cesarstwa zarząd poczt i komunikacji, że zniesienie pańszczyzny i równouprawnienie żydów wymaga zmian w systemie finansowym Królestwa; wreszcie doniósł, że „równocześnie z waszemi obradami otwiera się Szkoła Główna, Instytut politechniczny i inne wkoło nich zakłady naukowe, których porządek na zeszłorocznych obradach Rady stanu przychylnie zdanie jej uzyskał w czasie dyskusji nad projektem do prawa o wychowaniu, którego wypracowanie stanowi jedną z wielkich zasług współpracownika mego, Naczelnika rządu cywilnego.“

Jakoż nie ulegało wątpliwości, że wśród wielu zasług, jakie położył dla kraju Wielopolski, reforma wychowania publicznego, a zwłaszcza ustanowienie w Warszawie Szkoły Główniej, było jedną z najważniejszych i najpłodniejszych w następstwa. Uniwersytet polski, którego kraj tak dawno był pozbawiony, miał w martwiejące członki

społeczeństwa wlać nową, świeżą i zdrową krew, która pozwoliła mu długo potem żyć własnem życiem, konającą na wycieńczenie naukę i literaturę polską napoić tak rzetelną siłą, że znieść zdołała wszelkie ciosy i w ognisku umiejętności Kopernikowej tradycji tlić się dalej pozwoliła.

Wielopolski, wspierany w tym względzie przez Krzywickiego i Korzeniowskiego, zajął się przy organizacji Szkoły Główniej przede wszystkim obsadzeniem w niej katedr profesorskich. Rzecz to nie była łatwa. Nigdy zbytnie nie obfitowaliśmy w siły naukowe, a w ostatnich czasach, przy braku uniwersytetów polskich, było to teraz trudniejszym niż kiedykolwiek. Jeszcze najłatwiej można było zaradzić potrzebie na wydziale prawnym. Sądownictwo polskie istniało niezmiennie w pierwotnej swej organizacji od czasu Księstwa Warszawskiego, miało swą tradycję, swe wady, ale i przymioty, do rzędu których zaliczyć należy wyborną, przez liczne znakomitości udostojnioną adwokaturę, która mogła rywalizować pod względem nauki, intelligencji i talentów z najpierwszymi adwokatami europejskimi. Istniejące przy uniwersytecie petersburskim wykłady prawa polskiego dostarczały rok rocznie krajowi pewien kontyngens uczonych prawników. Tu więc wybór był łatwiejszy, bo było w czym wybierać. Szybko też i snadno obsadzono na tym wydziale katedry. Na posiedzeniu Komisji oświecenia dnia 15-go września 1862 r., które odbyło się pod prezydencją samego Wielopolskiego, na dziekana fakultetu postanowiono powołać rzeczywistego radcę stanu Jana Kantego Wołowskiego, naczelnego prokuratora senatu, niedawnego dyrektora Komisji sprawiedliwości, usuniętego z tego stanowiska za to, że oparł się podpisaniu ustawy z dnia 8 kwietnia 1861 r. przeciw nieporządkom publicznym. Był on w tej dobie już na schyłku swego męskiego wieku (ur. 1803 r., liczył więc lat 59), a jako głośny mecenas, odznaczał się klasyczną, rzec można, wymową, która zjednała mu wielką po-

wagę i uczyniła zeń jedno z najświetniejszych słońc tak już samej przez się świetnej adwokatury krajowej. Należąc z rodu do najpierwszych familii Frankistów polskich, niósł znamienie tradycję prawną tych rodzin, które tak wybitną rolę odegrały w linii obrończej polskiej. Był to przytem człowiek bardzo uczony i przejęty tym gorącym i rozumnym patryotyzmem, jakim odznaczały się zawsze rodziny frankistowskie u nas. Niewątpliwie wybór Wołowskiego na dziekana wydziału prawnego był bardzo dobry i bardzo trafny. Powagą swoją, wysokimi godnościami, jakie pełnił, wymową i nauką mógł opanować różnorodne dążności, jakie mogły się objawić w gronie profesorów fakultetu, zebranych z różnych stron kraju i z różnych uniwersytetów. On jeden tylko był zdolny wlać w wydział ducha jednolitego i wszczepić młodą Szkołę Główną we wspaniały pień starej tradycji sądowej polskiej. Oprócz dziekanii, powierzono mu, z tytułem profesora zwyczajnego, katedrę prawa cywilnego i procedury sądowej.

Katedrę prawa cywilnego, obowiązującego w Królestwie, i dawnego prawa polskiego otrzymał Walenty Dutkiewicz, człowiek stary, sześćdziesiąt cztery lata liczący, klasyczny pisarz w zakresie prawa hipotecznego i dawnego polskiego, ale pozbawiony głębszego, filozoficznego wykształcenia. Wykład jego był jasny i prosty. Mniej szczęśliwym był wybór Franciszka Maciejowskiego na katedrę prawa karnego i kryminalnego. Pierwotnie katedrę tę Krzywicki zamierzał powierzyć znakomitemu kryminaliście Włodzimierzowi Spasowiczowi, który wówczas był profesorem w uniwersytecie petersburskim. Krzywicki przed swoim wyjazdem do Warszawy zrobił tę propozycję Spasowiczowi, który się na nią zgodził i nawet przejeżdżając w lipcu 1862 r. przez Warszawę, przedstawił się margrabiemu. Później jednak, zdaje się nie bez wpływu znanego nam już Alfa Wrześniowskiego, który uważał Spasowicza za Czerwieńca, Krzywicki dał temu ostatniemu

poznać, że jego nominacja jest niepodobieństwem. Tym sposobem przyszła Szkoła Główna straciła jedną z bardzo poważnych sił, tak, że katedrę tę musiano oddać Maciejowskiemu. Ten, podobnie jak Dutkiewicz, stary, bez wymowy (nie mówił: ojciec, tylko: „ocieć“), do czasu przybycia Pawła Popiela, który powołany został na katedrę prawa rzymskiego, wykładał ten przedmiot, a wykładał go jak najgorzej, leniwie, ospale i po szkolnemu. Przygotowawszy na prędce kurs, wydrukował go i na podstawie tej książki rozpoczął wykład, trzymając się tak ściśle swej drukowanej redakcyi, że posiadanie jej egzemplarza uwalniało słuchaczy od potrzeby bywania na lekcjach.

Tych trzech profesorów dostarczyło dawne sądownictwo polskie. Inne katedry trzeba było powierzyć ludziom młodym i niniej znanym, ale którzy przez swe prace i zdolności zapowiadali, że wybitne kiedyś w nauce polskiej zajmą stanowiska. Pod tym względem najlepszą niezaprzeczenie siłą był Władysław Holewiński, człowiek młody, zaledwie 28 lat liczący, wychowaniec uniwersytetu petersburskiego, który paru rozprawami, a zwłaszcza pracą p. t. „Projekt kodeksu postępowania karnego“, zwrócił na siebie uwagę świata prawniczego polskiego, a co ważniejsza, samego Wielopolskiego, któremu zresztą został zarekomendowany przez niejakiego Chmielińskiego, prezesa sądu kryminalnego w Piotrkowie. Jako uczonego cywilistę, margrabia powołał go do wykładu w Szkole Głównej kodeksu cywilnego obowiązującego i prawa handlowego. Wykłady Holewińskiego, bardzo pilnie uczęszczane przez młodzież, odznaczały się niepospolitą jasnością, przejrzystością i prawdziwie uniwersytecką formą. Do wykładu encyklopedyi nauk prawnych i prawa kościelnego Wielopolski, nie wiemy, za czyją radą, powołał z Austrii Józefa Kasznicę, równie jak Holewiński młodego, 28-letniego człowieka, którego wykłady, zwykle z pamięci wypowiadane, może nie nosiły na sobie charakteru ścisłości nau-

kowej, wyglądały raczej na improwizację naukową, ale właśnie przez to samo dla młodzieży miały cechę nowości, czegoś wyższego, lepszego, pozbawionego szkolnej rutyny, zwłaszcza, że profesor odznaczał się gładkością wymowy i lubiał zapuszczać się w zawrotne wyżyny filozoficznych abstrakcyi. Dla umysłów, pozbawionych od lat trzydziestu wszelkiej nauki wyższej, taki wykład miał urok niepospolity. Katedrę nauk administracyjnych i prawa międzynarodowego powierzono Antoniemu Białeckiemu, niegdyś współpracownikowi *Słowa* petersburskiego i „*Voluminów* legum,” wydanych przez Ohryzkę w Petersburgu. W tym roku jednak tak Białecki jak i Popiel nie rozpoczęli swych wykładów, gdyż obaj bawili za granicą.

Na temże samem posiedzeniu w dniu 15-m września w Komisji oświecenia obsadzono katedry wydziału fizyczno-matematycznego. Tu o wiele trudniej było znaleźć ludzi, którzyby godnie odpowiedzieli zadaniu. Jeżeli na wydziale prawnym, dzięki istniejącemu od lat przeszło pięćdziesięciu sądownictwu krajowemu, a stąd nieustannej potrzebie wykształconych prawników, łatwiej można było znaleźć nawet znakomite siły, którychby się żaden uniwersytet nie powstydział,—to w zakresie nauk ścisłych, jak je niekiedy zowią, trzydziestoletnie rządy zrobiły swoje. Można było wyszukać między nauczycielami gimnazyalnymi kilkunastu ludzi zdolnych, nawet uczonych, ale pracą nauczycielską zmęczonych, nieidących za postępem nauki, przesiąkniętych rutyną, odwykłych od szerokości poglądów, tak koniecznej w wykładach uniwersyteckich.

Przytem należało mieć wzgląd i na to, by nie pozbawić zupełnie lepszych sił powstającą w Puławach politechnikę, która miała niezaprzeczenie donioślejsze znaczenie, niż wydział matematyczny w Szkole Głównej, przeważnie mający przygotować przyszłych nauczycieli matematyki dla szkół krajowych. Jakoż w większej części posilkowano się nauczycielami gimnazyalnymi i resztkami ciała profesorskie-

go b. Szkoły agronomicznej w Marymoncie. Wskutek tego fakultet matematyczny nowej wszechnicy polskiej nie odznaczał się doborem profesorów i nie posiadał, tak teraz jak i później, ani jednego świetniejszego imienia naukowego. Na dziekana wydziału powołano Augustyna Frąckiewicza, człowieka bardzo starego, niegdyś profesora uniwersytetu Aleksandryjskiego, który zarazem miał wykładać czystą matematykę. Był to człowiek uczony, znany w nauce z kilku cennych rozpraw z zakresu swej specjalności, ale zużyty i sterany wiekiem, w wykładzie suchy i pedantyczny, jakkolwiek wyborny pedagog i młodzież pod tym względem bardzo wiele od niego korzystała. Wykład fizyki powierzono Tytusowi Babczyńskiemu, geometryi Nikodemowi Pęczarskiemu, mineralogii Karolowi Jurkiewiczowi, wszystkim trzem nauczycielom gimnazyalnym. Posilkowano się też dawniejszą Akademią medyczną i z niej powołano do wykładu zoologii i anatomii porównawczej Konstantego Górskiego, do wykładu botaniki Jerzego Aleksandrowicza. Do wykładu czystej matematyki zaproszono Karola Bajera, urzędnika Banku Polskiego, człowieka chorego, który, zamiast uczyć, bawił młodzież z katedry anegdotkami, nieraz bardzo sprośnej i cynicznej treści. Jedynym słońcem w tym zbiorze mierności był Jakób Natanson, w tej porze młody człowiek, ale niezwykle zdolny i uczony, który z czasem miał zasłynąć w nauce polskiej, należący do rodziny żydów, zajmujących w tej porze i później bardzo wybitne i bardzo wpływowe w kraju stanowisko. Objął on katedrę chemii i pociągnął młodych słuchaczy na swe wykłady płynnością słowa, szerokością poglądów, jasnością treści. Obok niego, drugim takim był Adam Prażmowski, wzięty także z Akademii medycznej, uczony z czasem astronom, który objął katedrę fizyki doświadczalnej i geodezyi. Niestety! wpłątany w wypadki krajowe, czerwono usposobiony, biorący czynny udział w manifestacjach, nie długo miał zajmować powierzoną sobie katedrę i uciekać musiał za granicę, gdzie

wkrótce potem, w Paryżu, miał wsławić swe imię uczonemi dociekaniem z dziedziny astronomii.

Takim był w chwili otwarcia Szkoły Głównej skład ciała profesorskiego na wydziale matematyczno-fizycznym. Wielopolski, aż nadto dobrze wiedział, że w składzie tym przeważają mierności, które nie są i nie będą w stanie nadać temu działowi nauk ożywczej i rodzajnej siły; dlatego ze skrzętnością oglądał się dokoła, by z niewielkiej liczby Polaków, poświęcających się umiejętnościom ścisłym, wyszukać kogoś, co by to zadanie mógł spełnić należycie i nowoutworzonej wszechnicy polskiej dodać blasku. Był wówczas w Petersburgu uczony Polak, zajmujący w tamtejszym uniwersytecie katedrę botaniki, Leon Cienkowski, który z czasem przez swe badania nad drobnoustrojami, a zwłaszcza nad samoródtwem, miał zyskać sobie sławę europejską. Sumienny, pracowity, istny kapłan nauki, obdarzony przytem niepospolitą inteligencją i lotnością umysłu, stanowiłby niezaprzeczenie prawdziwą ozdobę nowego uniwersytetu polskiego, gdyby katedrę, na którą go Wielopolski powołał, w rzeczy samej objął. Zgodziwszy się z razu na zrobioną mu propozycję przeniesienia się do Warszawy, cofnął się później, może pod wpływem żony, Rosyanki z rodu, której nie uśmiechał się wcale pobyt w Polsce, a może w przeczuciu, że to, co się robi i buduje w Warszawie, nie ma żadnej przyszłości. Przytem przez długi pobyt w Rosji odwykł on od zwyczajów polskich, mowę nawet ojczystą do pewnego stopnia zatracił. Dość, że te czy inne przyczyny wstrzymały go ostatecznie od objęcia katedry i z jego wysokiej nauki, niestety, korzystali dalej obcy, nie swoi. Obok Cienkowskiego umiał Wielopolski wyszukać jeszcze jedną pierwszorzędną siłę w osobie młodego Benedykta Dybowskiego, zapowiadającego jak najświetniejszą przyszłość naukową, którą w rzeczy samej z czasem ziścił. Ale, jako człowiek młody, porwany został przez straszny wir wypadków, które go strą-

ciły ze spokojnej kolei i może dzięki temu dały mu możność poczynienia nader poważnych zdobyczy i odkryć naukowych. Jako członek późniejszych Rządów narodowych, wygnany na Syberyę, za Bajkał, oddał się tam sumiennym studjom nad tą dziewiczą i nieznaną przyrodą i europejską przez to sobie sławę zyskał. W tej chwili, objawszy ku końcowi roku wykłady zoologii i paleontologii, licznych gromadził słuchaczy, taki urok umiał nadać swym słowom.

W ten sposób uorganizowane trzy wydziały Szkoły Głównej zostały w tydzień potem, dnia 22-go września, uroczystie przez dyrektora Komisji oświecenia, Krzywickiego, zainstalowane. Przy tej sposobności Krzywicki wygłosił mowę. Mowa ta odznaczała się zwykłą Krzywickiemu jasnością myśli, prostotą stylu, niemniej przeto niepozbawioną była pewnej podniosłości zwrotów i wyrażań. „Z uznaniem głębokiego wzruszenia—mówił—witam w was, panowie, pierwszy zawiązek Szkoły Głównej. Podziękowanie wyrazić przedewszystkiem muszę za gotowość, z jaką mężowie znani krajowi z długoletnich prac i usług przyjęli obowiązki dziekanów; za zaufanie, z jakim ludzie naukom się oddający z najodleglejszych okolic na moje wezwanie przybyli, by zająć trudne i ważne stanowiska profesorów. Pieczołowitości i światłu waszemu, panowie, oddaję tę nową instytucję, powierzam młodzieży, pragnącą nauki. Jestem pewny, że zadanie wasze bez przeszkód i z najistotniejszym dla kraju pożytkiem spełniać będziecie. Rząd, u którego steru stoi mąż, pragnący szczerze rozszerzenia oświaty w kraju, otoczy tę nową instytucję całą swą troskliwością. Własne grono wasze zapewni jej konieczne żywioły życia i istnienia. Podawszy sobie ręce w imię jednej sprawy, starsi przekażą tradycję nauki młodszemu, ci zaś podejmą świeżemi siłami ważne zadanie przyswojenia rodzinnej niwie nowych nabytków umiejętności. W różnych gałęziach nauk pracując, spotykać się ciągle i wspierać będziecie, przekonywując się zawsze, że

prawda jest jedną, choć różne do niej drogi wiodą. Oby w naszej szkole było jak w rodzinie, gdzie różnica wieku, zawodu, rodzaju pracy łączy się w jednym, najwyższym celu.“ Po mowie tej zebrani profesorowie trzech wydziałów otrzymali z rąk Krzywickiego swe nominacje, złożyli przepisana przez prawo przysięgę i udali się w końcu do Wielopolskiego, by mu się gremialnie przedstawić. W kilka dni potem, dnia 28-go września, całe to ciało profesorskie z Krzywickim na czele pojechało do pałacu Łazienkowski, dla zaprezentowania się W. Ks. Namiestnikowi. Krzywicki kolejno przedstawiał każdego z profesorów, a W. Książę z nadzwyczajną uprzejmością, ze zwykłą sobie chłodną i wytworną grzecznością z każdym po kolei rozmawiał, wypytywał się o ich przeszłość i o specjalność, której się oddają. W końcu, jak pisał *Dziennik Powszechny*, W. Książę „wyrazić raczył swe zadowolenie, że tak pożyteczna dla kraju instytucja już w życie wprowadzoną zostaje, przypominając zarazem zgromadzonym profesorom ważne ich zadanie jako stróżów świątyni nauk, z której ma spływać źródło światła na cały naród.“ W odpowiedzi na to dziekan Jan Kanty Wołowski „wynurzył dziękczynienie Jego Cesarskiej Wysokości za doznany zaszczyt tak łaskawego przyjęcia, przyczem wyraził niewątpliwą nadzieję, że pod dostojną opieką W. Księcia Szkoła Główna zakwitnie i ziścić nie omieszka oczekiwań, w nader pochlebnych wyrazach przez J. C. Wysokość wypowiedzianych.“

W tymże dniu ogłoszoną była wiadomość, że rektorem Szkoły Głównej mianowany był dr. Józef Mianowski. Nominacja ta wyszła z Rady administracyjnej na przedstawienie Komisji oświecenia, zgodnie z ustawą, która wybór rektora na pierwsze trzylecie powyżej wymienionym władzom powierzała *).

*) Myli się więc A. Kraushar, *Siedmioletcie*, 132, że wybór rektora wzięła w swe ręce władza edukacyjna, „odstępując na

Wybór na to stanowisko był niełatwy, gdyż szło o postawienie na czele nowej instytucji człowieka, któryby z jednej strony miał wielką powagę, któryby umiał opanować i w jednym kierunku popchnąć tak ciało profesorskie, zebrane z różnych dzielnic kraju, jak i młodzież uchronić od wpływów powstańczych, a z drugiej któryby wobec władz rosyjskich umiał godnie reprezentować wysoki swój i jedyny w kraju urząd, i szkołę w razie potrzeby bronić i zasłaniać potrafił. Margrabia Wielopolski długo się bil z myślami, szukając takiego człowieka, i za radą Krzywickiego, który przypominał sobie swe stosunki petersburskie, wybór padł na Józefa Mianowskiego. Wybór to był niezaprzeczenie najlepszy i najszcześniejszy, i Mianowski z wielu względów był jedynym wówczas w Polsce człowiekiem, który na tak wybitnem i ślizkiem stanowisku mógł zadość uczynić wszelkim wymaganiom. W kraju mało znany, posiadał jednak w sferach rządowych petersburskich bardzo obszerne stosunki, których mógł użyć w razie potrzeby na korzyść szkoły. Liczył on w tej dobie 58 lat (ur. 1804 r. w Humaniu), ale zachował trzeźwość umysłu, wielką ruchliwość i ogładę towarzyską, nabytą w długim pobycie na salonach dworskich Petersburga. Uczył się naprzód w szkołach bazylikańskich w Humaniu, gdzie kolegował z Aleksandrem Grozą, Bohdanem Zaleskim, Sewerynem Goszczyńskim i Michałem Grabowskim, a następnie w uniwersytecie wileńskim, współcześnie

ten raz jedynie, z uwagi na wyjątkowe ówczesne okoliczności, od zasady art. 253, według której wybór rektora z grona uniwersyteckiego drogą dobrowolnych wyborów winien był następować.“ Art. 251 (nie 253) wyraźnie powiada: „rektora na pierwsze lata nadacza Rada administracyjna Królestwa, na przedstawienie Komisji rządowej wyznań i oświecenia publicznego. Po upływie tego czasu ma być przez Radą ogólną z grona profesorów zwyczajnych co lat trzy wybierany i t. d.“ Nie było więc żadnego od ustawy odstępstwa.

z największym poetą polskim, Adamem Mickiewiczem, wykładał w tejże wszechnicy fizyologię, a gdy uniwersytet zamknięto i zostawiono tylko akademię medyczną, objął w niej katedrę tegoż przedmiotu. Za sprawę Konarskiego aresztowany, uwolniony dzięki wpływowi Nazimowa, późniejszego general-gubernatora wileńskiego, przeniósł się do Petersburga i w akademii tamtejszej objął katedrę chorób kobiet i dzieci. Odtąd rósł w zaszczyty i wpływy. Mianowany nadwornym lekarzem księżnej Maryi Leuchtenberskiej, ulubionej córki Mikołaja, a siostry panującego Cesarza Aleksandra II, przez nią wyrobił sobie olbrzymie stosunki i znaczenie w stolicy Cesarstwa. Mianowski stał się modnym doktorem wielkich dam dworskich i niedworskich, a przez nie człowiekiem bardzo wpływowym i bardzo znaczącym.

Wpływów swoich potrafił nieraz używać na korzyść rodaków, zagnanych losem na północ, i wreszcie dorobiwszy się niemałej fortuny, w r. 1860 wyjechał do Włoch, gdzie pod miastem Albano nabył wille, w której zamierzał dokończyć swego pracowitego żywota. Ale los inaczej postanowił. Wielka burza polska, która tylu ludzi z ich drogi zwróciła, tylu innych wyrzuciła na widownię historyczną, przerwała słodkie wczasy Mianowskiego pod włoskim niebem.

Tam to, w Albano, doszła Mianowskiego dnia 24-go września 1862 r. depesza telegraficzna Wielopolskiego, zapytująca, czy nie objąłby katedry profesorskiej, a nade wszystko rektoratu w nowoorganizującej się Szkole Głównej. Z tą gotowością do poświęceń, znamionującą ówczesne pokolenie, z tą ofiarnością podniosłą, jaka stanowi dominującą cechę ludzi tej epoki, Mianowski nie zawahał się ani chwili, i zawiadomiwszy margrabiego także depeszą, że proponowane stanowisko przyjmuje, w kilka dni potem listem osobnym odpowiedział mu, że „jeżeli mogę być w sposób godziwy użytecznym memu krajowi, to żaden wzgląd

od tego wstrzymać mnie nie może. Sądziś mnie pan zdolnym do wielkiego zadania, jakie mi przeznaczasz; nie wiem, o ile będę mógł odpowiedzieć temu wysokiemu zaufaniu, ale bądź przekonany, że uważać będę za zaszczyt dla siebie na nie zapracować i że użyję wszelkich środków, by służyć sprawie publicznej na drodze porządku i poświęcenia się obowiązкови.“ Jakoż niezwłocznie rzucił miłą ciśszą willę i nieba włoskiego, by przenieść się na burzliwy bruk Warszawy; popłynął do Marsylii, a stąd wprost pojechał do Petersburga, zapewne w celu zbadania gruntu i odświeżenia stosunków, które mogły mu być użytecznymi w stolicy Polski.

Nim Mianowski do tej ostatniej przybył, Krzywicki zdołał uorganizować pozostały wydział Szkoły Głównej, a mianowicie wydział literacki, przewany zwyczajem rosyjskim: wydziałem filologiczno-historycznym. Fakultet bowiem lekarski, powstały z istniejącej od lat kilku Akademii medycznej, był gotowy i z obsadzeniem na nim katedr kłopotu żadnego nie było. Inaczej się rzecz miała z wydziałem literackim, który należało stworzyć, i wyszukanie ludzi odpowiednich do wykładów przedstawiało nieprzełamane prawie trudności. Królestwo pod tym względem nie miało ani jednej siły, kwalifikującej się do tych wykładów, prócz może Juliana Bartoszewicza, którego atoli Wielopolski, jak wiemy, za nic w świecie nie chciał, wskutek osobistej urazy, jaką miał do tej znamienitości krajowej. Później, szukając powołań i mozolnie, odnaleziono tu i owdzie siły jeżeli nie pierwszorzędne, bo o takie wszędzie trudno, to przynajmniej mogące uczciwie spełnić swe zadanie,—ale w tej chwili, na razie, musiano się uciec do pomocy innych dzielnic polskich. Na szczęście, dzięki zdolnościom, wrodzonym Polakom, dzięki wytrwałości i poświęceniu, znaleźć można było jeszcze prawdziwe gwiazdy naukowe, wychowanców albo dawnych uniwersytetów polskich, albo też niemieckich. Z tych ostatnich wzięto już Plebańskiego, który w spuści-

nie po kursach przygotowawczych objął w Szkole Głównej katedrę historii powszechnej i polskiej. Prócz tego proponowano wykłady historii powszechnej młodemu uczonemu z wszechnie niemieckich, Kazimierzowi hr. Krasickiemu, któremu jednak późniejsze wypadki nie pozwoliły zająć tego stanowiska. Na dziedzinie fakultetu powołano prawdziwą, bodaj czy nie jedyną wówczas w swej specjalności w Europie znakomitość, Józefa Kowalewskiego, rektora uniwersytetu kazańskiego.

Urodzony w 1800 r., liczący więc teraz 62 lata, niegdys wychowaniec wszechnicy wileńskiej, zaplątany w mniemany spisek Filaretów, towarzysz Adama Mickiewicza, wywieziony w r. 1824 do Kazania, oddawszy się badaniom nad językami: mongolskim, mandżurskim, tybetańskim i sanskryckim, w tym celu, by po powrocie rozpocząć ich wykłady w uniwersytecie kazańskim.

Tutaj to Kowalewski rozwinął nadzwyczajną czynność i poświęcenie dla nauki, o której ani na chwilę nie zapominał wśród najdziwniejszych przygód, jakby wyjętych ze starego, średniowiecznego romansu. Odbył więc naprzód podróż w nieznaną podówczas Europejczykom krainę Zabajkalskie, dotarł do miasta Urgi, położonego w stepach mongolskich, na pograniczu wielkiej pustyni środkowo-azjatyckiej Gobi, gdzie mieszka wcielone bóstwo tybetańskie. Wędrując po niezmierzonych okiem stepach i puszczach, przedzierał się do koczowisk różnych plemion mongolskich, powoli układał sobie słownik i gramatykę tego języka; zapoznał się z lamami i przy ich pomocy, ubrany w suknie chińskie, ogorzały od wichru stepowego, dostawał się do świątyń i klasztorów buddyjskich, kopiował lub zbierał stare rękopisy. Żył byle czem, kawalkiem przypieczonej na ogniu baraniny, miseczką cegielkowej herbaty, sypiał na gołej ziemi, śniegiem pokrytej, by nowe zdobycze nauce przynieść. Podróż ta trwała cały rok

i wrócił z niej do Irkucka jako jedyny znawca tajemniczych dziejów, języka i bytu ludów, zamieszkających od Bajkału aż po wielki mur chiński. Rząd skorzystał z tego, i wysyłając w tej porze misję do Pekinu, kazano z nią jechać i Kowalewskiemu. Tu uzupełnił swe studia, przez ciąg trzynastomiesięcznego pobytu zapoznał się z Buddą wcielonym i był jego ulubieńcem. W studiach swych nie ustawał ani na chwilę, gromadził zbiory etnograficzne, księgi, rękopisy, z których później utworzył się niezmiernie interesujący i bodaj czy nie jedyny gabinet etnograficzny w Kazaniu. Później przepędził jeszcze jakiś czas wśród Buryatów i Mongolów syberyjskich, i ogłosiwszy drukiem sprawozdanie ze swych podróży, zyskał ogromną sławę w całym świecie uczonym. Królowie, ministrowie, uczeni, akademie umiejętności ubiegały się o stosunki z nim. W r. 1833 otrzymał katedrę języków wschodnich w Kazaniu, gdzie w końcu został rektorem, i z tego stanowiska, po trzydziestu ośmiu latach wygnania, powołany był do ojczyzny, by i młodzieży polskiej udzielił olbrzymich wiadomości, które tak mozolnie i z takim poświęceniem zdobył. Wracał jako starzec do kraju, który opuścił jako młodzieniec—starzec zużyty, siwy, zgarbiony i ożeniony z Rosyanką. Objął katedrę historii Wschodu w Szkole Głównej; ale starzec ten, złamany, budzący poszanowanie przez swe wielkie zasługi, był już teraz miłym gawędziarzem, obfitującym w mnóstwo anegdot, ale wykłady jego nie miały czysto naukowego charakteru.

Krzywicki, jako dyrektor Komisji oświecenia, przy inauguracji dwóch wydziałów, medycznego i literackiego, w dniu 6-m października odbytej, w mowie swej zaznaczył tę świetność imienia Kowalewskiego. „Przyjawszy z gotowością zaproszenie moje—mówił,—śpieszy on z dalekiego Wschodu, by długoletniej pracy nabytki, resztę sił swoich na pożytek kraju rodzinnego złożyć, imieniem swem nowo-wskrzeszoną szkołę uświetnić.“ Wobec tego,

że wydział filologiczno-historyczny dotąd miał bardzo niewiele katedr obsadzonych, zapewniał Krzywicki, że wkrótce wszystkie one zajęte będą. „Grono wasze, wsparte ich doświadczeniem—mówił,—pomnożone szeregiem ludzi, którymi literatura nasza słusznie się chlubi, potrafi bez wątpienia wznieść się do wysokości zadania i poważnem badaniem klasycznej starożytności, dziejów powszechnych i kart tej wielkiej, od wieków zapytywanej księgi, którą filozofią nazywamy, nada taki kierunek umiejętności i wychowaniu wyższemu, jakiego potrzeby kraju i stan cywilizacji współczesnej od nas się domagają.“ Mowę tę swoją zakończył słowami: „i tak, dzięki dobroćliwości Monarchy, opiece naszego najdostojniejszego Namiestnika, troskliwości męża, stojącego u steru rządu cywilnego, dzięki waszej gorliwości, panowie. Szkoła Główna istnieje. Szczęśliwy jestem, że się mógł przyłożyć do zgromadzenia tyłu uczonych mężów około ogniska, przy którym wkrótce skupi się czoło naszej młodzieży, przysła chluba nasza; że witał was, panowie, na progu tej świątyni nauki, ku której z taką nadzieją spogląda kraj cały, światła oczekując.“

Jakoż w tym względzie przynajmniej nie miał się ani on, ani Wielopolski, twórca tych wszystkich uroczystości, zawieść. Młodzież, garnąca się do szkoły, wchodziła w krąg tradycji, jaką wytworzyły przez czas rocznego swego istnienia kursa przygotowawcze, tradycji ładu, porządku, karność i poświęcenia się wyłącznego nauce. Przedstawiała ona rzadkie, a w Polsce jedyne zaiste widowisko, by w tak znacznem nagromadzeniu młodzieży, najżywiej odczuwającej prądy, przebiegające społeczeństwo, wobec szalonej burzy, jaka się zerwała w chwili, gdy ważyły się losy gorąco umiłowanej ojczyzny, młodzież ta w ogromnej swej większości miała zachować spokój ducha i to przekonanie, że jej praca jest najpoważniejszym i najtrwalszym fundamentem przyszłego życia tej ojczyzny. I to jest zasługa niezaprzeczona tej młodzieży i jej prze-

wodników. Wielką zatem wagę historyczną dla Królestwa kongresowego miał dzień 25-y listopada, w którym uroczystie otwartą była Szkoła Główna. Dzień ten tchnął w ducha narodowego tak wielką moc, tak niespożytą siłę, że zdołał on przez długi czas żyć i rozwijać się nawet. Ów dzień, tak pamiętny w dziejach umysłowości polskiej, był posepny i chmurny, prawdziwy dzień listopadowy, a w wielkiej sali rzeźb i gipsów po dawnej Szkole sztuk pięknych, gdzie się akt uroczysty odbywał, było tak zimno, tak mroźna atmosfera panowała, że rozstawiono talerze z gorącym spirytusem, by ją choć trochę ogrzać. W sali tej, na umyślnie urządzone podniesieniu, zasiadło gremium uniwersyteckie i przedstawiciele wyższych władz krajowych, poza którymi na ścianie wisiał wielki obraz, przedstawiający chwilę wręczenia przez Aleksandra I dyplomów uniwersyteckich rektorowi b. uniwersytetu Aleksandryjskiego. Obraz ten zdawał się przypominać dawne, lepsze czasy i był niejako ich łącznikiem z teraźniejszością. Sala była przepelnioną, choć publiczności tej, która chodzi na wszelkie widowiska, było niewiele. Po odczytaniu ukazu Cesarskiego, dotyczącego Szkoły Główniej, dyrektor Komisji oświecenia Krzywicki, zgodnie ze zwyczajem tej epoki, zagał posiedzenie mową, wygłoszoną właściwym mu stylem, pełnym klasycznej prostoty i jasności. „Odczytaliśmy—mówił—ustawę, która na zawsze we wdzięcznej pamięci narodu pozostać winna. Czego od dawna kraj nasz pragnął, w czem dla synów swoich najwyższy pożytek, a dla swej przyszłości rękojmię największej chwały słusznie upatrywał, to dziś z mocy tej ustawy posiada. Dzięki dobroćliwości Monarchy, koniecznym potrzebom kraju chętne dającego ucho; dzięki pracom męża, którego imię kiedyś pokolenia w pokolenia wdzięcznymi ustami podawać będą, w murach tej stolicy staje najwyższych nauk przybytek. W chwili tak pamię-

tnej zwróćmy się myślą i sercem ku miłosiernej Opatrzności i uznajmy, iż czuwa nad losami narodów.“

Powitawszy profesorów, z „tak rozmaitych, a nawet odległych stron tutaj zebranych,“ zatrzymał się nad „stosunkiem, jaki w każdym zdrowem i dobrze uorganizowanym społeczeństwie między nauką a powszechnością obywateli zachodzi.“ „Cenioną jest nauka—mówił,—hold czi i poważania jest jej oddawany, ale to dlatego, że dobroczynne jej skutki wszędzie się czuć dają. Jej kraj zawdzięcza uprawę i coraz większe doskonalenie języka, a więc utorowanie drogi do coraz porządniejszego myślenia; jej zawdzięcza sprawiedliwość w sądach, uczciwość w zarządzie, dostatek, pokój i miłość braterską w domach, uległość wyrokom Najwyższego. A gdy te są warunki, przy których społeczeństwo jedynie ostać się, swą indywidualność zachować może, słusznie więc wielbi naukę, która do życia prowadzi, przy życiu zachowuje.“ „Każda nauka, jeśli dobrze uprawiana, nie tylko rozszerzać wiadomości, lecz i formować charakter człowieka powinna. Dopnie tego celu, jeśli go wdroży do wytrwałej pracy i do szczerego poszukiwania prawdy. Kto pragnie doskonalić się, szczerem być winien, szczerem przedewszystkiem z sobą samym. Nie jest to rzeczą tak łatwą, jak się na pozór wydaje. Obłądy opinii, zapalczywe spory, bezzasadne nienawiści, lekkomyślne przywiązania, wszelkiego rodzaju zaślepienia, które niejedną społeczną burzę wywołały, niejednen kraj do ostatecznej zguby doprowadziły. nie miałyby miejsca, gdyby ludzie lepiej, szczerzej z samymi sobą rozmówić się umieli. Przestaliby być falą, która to wznosi się, to opada, a staliby się opoką, na której można budować.“ „Zjednocmyż usiłowania—kończył,—abyśmy wierni tronowi, wierni zasadom społeczeństwa, jedynie przy życiu utrzymującym, stawali się coraz godniejszymi tych dobrodziejstw, które Stwórca niezbadanemi i Sobie

tylko wiadomemi drogami codziennie na nas, jak i na wszystkie ludy zsyła.“

Po Krzywickim wystąpił z mową nowy rektor Szkoły, Mianowski, nieznany dotąd w Warszawie; wszyscy też na niego zwrócili oczy. Na estradzie stał mężczyzna wysoki, tęgą, z włosami siwiejącym, wygoloną twarzą, poważną i pełną rozumu. Słowa jego brzmiały siłą męską i zwrotami krasomówczymi i drżała w nich nuta gorącej, ale rozumnej miłości ojczyzny. „Nowo to otworzony przybytek tej dawnej oświaty—mówił,—którą Polska długo jaśniała, przez którą w potęgę wzrosła i tyle się chrześcijańskiemu zasłużyła światu; nowy to przybytek tej wielkiej zachodniej cywilizacji, którąśmy niegdyś z taką chwałą pielęgnowali u siebie, z taką zasługą krzewili wśród dalszych krajów i plemion; przez nią weszliśmy w poczet państw europejskich i Europie tyle jej obcych ziem przysporzyli, bo, jak słusznie powiedział jeden z wielkich umysłów tego wieku: „gdzie ustaje łacina, tam ustaje Europa,“ a pod łaciną rozumiemy wszyscy wielką spuściznę starożytnego świata, która, chrześcijańskim ożywiona duchem, stała się najwyższym moralnym i intelektualnym skarbem Zachodu.“

„Oświatą nie tylko jaśnieją i zasługują narody, ale nią się też i z upadku dźwigają; i gdzie wielkiej tej prawdy większe przykłady i upomnienia, jak właśnie u nas i w własnych naszych dziejach?“ „Dziś, gdy nowe ognisko narodowej oświaty wznosi się w samej stolicy naszego Królestwa, któż w tem nie widzi zapowiedzi nowej ery, zadatku szczęśliwej przyszłości? Rozumie to z nas każdy, bo spełnienie to gorących życzeń, które każdy z nas od dawna w duszy chował. Obyśmy tylko również zrozumieli obowiązki, jakie na nas wkłada szczęśliwe nabycie tego źródła wiedzy i życia! Obyśmy zrozumieli, że tu nam dana podstawa, na której gmach przyszłości bezpiecznie i skutecznie wznosić można, a bez której wszelka

budowa runąć musi, ze sromotą obecnych, z zagładą przyszłych pokoleń!"

"Młodzież zacna i szlachetna, kraj swój tak namiętnie miłująca i tak skwapliwie garnąca się do otwartego tu przybytku nauk, oceni trwożną miłość słów moich, a od dawnego ucznia wileńskiej szkoły, nie wątpię, że serdecznie przyjmie to upomnienie, że jeśli owa wszechnica z takim pożytkiem się okazała dla kraju, z taką chwałą dla narodu, zasługa to nie była jej nauczycieli, ale daleko bardziej jej uczniów, zasługa ducha narodowego, moralnego i obywatelskiego, którego między sobą i o własnych siłach młodzież tameczna krzewić umiała. W rękę naszemu, panowie, są tylko rządy nowozałożonej szkoły; w rękę szlachetnej młodzieży są jej losy!" Piękna ta mowa, jako utwór krasomówstwa wzorowa, nie pozostała bez wrażenia, a jej zdanie: „gdzie ustaje łacina, tam ustaje Europa," powtarzano sobie teraz i długo potem. Po mowie Mianowskiego dziekan wydziału lekarskiego, dr. Le Brun, odczytał sprawozdanie z pięcioletniego istnienia Akademii medycznej; prof. Plebański po łacinie czytał rozprawę: „o potrzebach i korzyściach uczenia się historii," a Jan Kanty Wołowski miał rzecz „o zadaniu nauk społecznych i ich wzajemnej od siebie zależności." Uroczystość zakończyła się poświęceniem, dokonaniem przez arcybiskupa Felińskiego, świeżo wyrestaurowanego pawilonu w pałacu Kazimierowskim. Wagę tego uroczystego i doniosłego w swych skutkach dnia najlepiej podobno rozumiał sam Wielopolski. Gdy w trzy dni potem rektor z czterema dziekanami przedstawił się w pałacu Brühlowskim naczelnikowi rządu cywilnego, ten tak do nich przemówił: „Zakład, kierownictwu waszemu powierzony, ma być dla młodzieży polskiej przybytkiem nauki i prawdy, za którymi idzie zawsze karność serc i umysłów. Odpowie on temu przeznaczeniu przez wykłady po fakultetach mężów uczonych i zasłużonych, odpowie mu przez moc,

nad wszystkimi wydziałami górującą, ducha porządku w zakładzie, sumiennosc waszą w pojmowaniu, niezachwianą powagę w spełnianiu waszego zadania. Ma ono z toku rzeczy naszych właściwą sobie i odrębną cechę: w rękach waszych, panowie, wydobrzeć ma u źródła swojego, jakim są wzrastające pokolenia, społeczność nasza od dawna schorzyła. Będziecie ze wszech względów zwierzchnikami i ojcami garnącej się wokół was młodzieży. Bez gnębienia zdrowego jej życia, bez poniewierki nad tymi, których szkolna zacność jest zarodem przyszłej ich godności obywatelskiej, aby nie wzbudzano w nich zewsząd już dzisiaj rozleptywanej zarożumiałości, za którą idzie chęć przewodzenia, aby nie narowiono ich niewczesnem pobłażaniem, nie uwodzono pochlebstwem."

Niemniej poważne miało znaczenie otwarcie Szkoły politechnicznej w Puławach, bodaj czy nie pierwszego tego rodzaju zakładu w Polsce. Otwarcie uroczyste Szkoły, nastąpiło dnia 12-go października, na które zjechał dyrektor Komisji oświecenia, Krzywicki, i w mowie, jaką przytem wygłosił, zachęcał młodzież do pracy. „Pragnąc (ta młodzież) sposobić się do usług publicznych—mówił,—nie zapomni ani na chwilę, że pierwszym warunkiem na tej drodze jest ściśle pełnienie przyjętych na się obowiązków." Młodzież zapisywała się licznie, a Stanisław hr. Potocki, pragnąc ułatwić niezamożnym studentom kształcenie się w nowej politechnice, przeznaczył przez pierwsze pięć lat jej istnienia corocznie 10 stypendyów po 100 rubli każde. Z zebraniem ciała nauczycielskiego Komisya oświecenia miała wiele trudności. Od dawna zaniedbane w Polsce nauki ściśle nie dawały sił odpowiednich do wykładu w szkole wyższej. Posiłkowano się nauczycielami gimnazjalnymi, a między innymi Krzywicki, zdaje się z inicjatywy samego Wielopolskiego, zaproponował Jurgensowi objęcie katedry ekonomii politycznej w Puławach. I dziwna rzecz! ten człowiek, tak rozumny, oburzył się na tę

propozycję. „Cóż to — mówił, — skazują mnie na wygnanie! — jak gdyby nauczanie młodzieży polskiej gdziekolwiekby mogło być wygnaniem. Zdaje się, że za radą p. Władysława hr. Zamoyskiego, syna Andrzeja, propozycję tę stanowczo odrzucił.

Akty tak wielkiego znaczenia w historii rozwoju umysłowości polskiej, akty, które miały głębokie i długotrwałe piętno zostawić na społeczeństwie naszym, przebrzmiały wówczas bez echa. Prasa warszawska wspominała o nich mimochodem, jak o rzeczy bez znaczenia, w takim samym tonie, w jakim mówiła o otwarciu sklepu z nowalijkami, lub o pobiciu się dwóch szewców na Podwalu. Samo społeczeństwo także nie interesowało się nowopowstającą wszechnicą polską, a młodzież jej w kołach rewolucyjnych nie cieszyła się dobrą opinią wskutek tego, że trzymała się zdala od ruchu i wyłącznie poświęcała się nauce. Umysły zresztą były czem innem zajęte. Wielki problemat przyszłości polskiej pochłaniał wszystkich, a wobec tego problemu gasły i malały wszelkie inne kwestye. Zapowiedziany już od paru miesięcy pobór do wojska wprawiał w nerwowy niepokój wszystką ludność miejską wszelkich sfer i zajęć i uwagę jej odciągał od najpoważniejszych nawet aktów społecznych, jeżeli te nie miały związku z branką, jak ją powszechnie zwano. Branka ta, która tak straszne miała skutki, która stała się kroplą przepelniającą naczynie i powodującą wylew szalony i wszystko niszczący, od dawna już w sferach rządowych była poruszana i rozpatrywana. Jeszcze w czerwcu rosyjski minister wojny uwiadomił rząd polski, że winien się zająć przygotowaniami do poboru wojskowego, który ma być dokonany w listopadzie 1862 r., na podstawie nowych przepisów, jakie co do tego przedmiotu zostały wydane w dniu 15-ym marca 1859 r. i ogłoszone przez *Dziennik praw Królestwa Polskiego*, i tym sposobem, nabierając mocy obowiązującej, znosiły same przez się wszel-

kie dawniejsze prawa i rozporządzenia. Te dawniejsze rozporządzenia pochodziły jeszcze z r. 1816 i mocą ich pobór do wojska dokonywany był z list, sporządzonych przez władze miejscowe. Do list tych wciągano wszystkich młodych ludzi, którzy liczyli pewną oznaczoną ilość lat i byli zdatnymi do służby wojskowej. Listy te przysyłano t. zw. Komisjom rekruckim, które miały prawo wybierania z pomiędzy spisowych tych, którzy wydawali im się najodpowiedniejszymi, i nakazywały władzom policyjnym dostawienie wybranych. Termin samego poboru był trzymany w tajemnicy, ale zwykle pewna liczba spisowych, czy to przekupstwem, czy inną drogą, dowiadywała się o nim, i ukrywszy się na jakiś czas, oswobadzała się od służby wojskowej.

Otóż ten sposób brania do wojska Cesarz Aleksander II zmienił w r. 1859, nakazując, by odtąd młodzi ludzie, powołani do służby wojskowej, nie byli wybierani potajemnie przez Komisye rekruckie, ale żeby losowali. Nowe prawo było oczywiście łagodniejszym, bardziej ludzkim, nie miało cechy przymusu. Dodać należy, że od lat sześciu przeszło poboru do wojska w Królestwie nie było, że ludność od tego odwykła, że nakoniec wszystkie te przyczyny, razem wzięte, czyniły brankę czemś wstrętnem i groźnem. To poczucie grozy poborowej od czasu do czasu dreszczem przejmowało ciało społeczne, a od roku powtarzające się pogłoski o rekrutacyi zdawały się w widzeniu mas być zapowiedzią jakiejś oplakanej klęski, jaką w rzeczy samej stać się miały, niestety! Teraz jednak, gdy w ciągu lata 1862 r. zbliżający się pobór stał się faktem, niebezpieczeństwo z razu nie wydawało się ani tak strasznem, ani tak groźnem. Wiedzano, że nowe prawo zniosło dawny system rekrutacyi, że zatem przy niem nadużyć, jak dawniej, być nie może; zresztą rzecz sama wydawała się jeszcze dość daleką, termin bowiem branki ogółowi był nieznanym, i, powtarzamy, wiadomość ta z początku wielkiego wrażenia nie wy-

warła. Owszem w kołach rewolucyjnych pocieszano się tem, że branka może wśród ludu wiejskiego, odwykłego od niej, i przy nerwowym nastroju chwili, wywołać zaburzenia, które w każdym razie będą wodą na młyn powstańczych zamiarów.

W rządzie samym atoli, w nowym rządzie polskim, nakaz ministra wojny wywołał niemałą sensację. Rząd ten przy wykonaniu poboru miał niejako zdać egzamin, że jest zdolnym do spełnienia obowiązków władzy, zadośćuczynienia najpierwszej potrzebie państwa. Wśród powszechnego wzburzenia umysłów rzecz to była niełatwa, a rząd polski winien jej był dokonać bez wywoływania niepokoju i zamętu, bez użycia nadzwyczajnych środków, cicho, sprawnie i energicznie. Otóż szło o to, czy będzie w stanie to zrobić, i Wielopolski doskonale to pojmował, że dla zamknięcia ust różnym wrogom, kopiącym dołki w Petersburgu, musi i powinien okazać, że rząd polski jest silny i czynny. Nie ukrywał tego przed sobą, że będzie to rzecz bardzo trudna. Kontyngens, jakiego dostarczyć miało Królestwo, oznaczony był na 12,000 ludzi, a dla ich pobrania trzeba było powołać do losowania sześć razy tyle młodzieńców, t. j. około 72,000 popisowych. Byłaby to więc formalna wędrówka narodu, nagromadzenie po miejscach poborowych, t. j. po miastach powiatowych i gubernialnych, całych tłumów, co w tych czasach, pełnych niepokoju i burz, nie było pożądanem, zwłaszcza, że zgromadzało się samą młodzież, najbardziej zrewolucjonizowaną, rozgrzaną do najwyższego stopnia, chciwie nadstawiającą uszów na wszelkie podszepty. Nieuniknionem następstwem takiego stanu rzeczy byłyby liczne ekscesy, zaburzenia, krwawe może starcia i awantury, które przeszkadzając samemu poborowi, narażały rząd autonomiczny polski na słuszny zarzut nieprzyjaciół, że nie jest zdolny do niczego i, jak każda władza czysto polska, anarchiczny w sobie i nieudolny. Wobec tego Wielopolski wpadł na osobliwszą myśl i za radą

syna Zygmunta postanowił przepisy z roku 1859 zawieść, a powrócić do dawnego sposobu rekrutacji, określonego przez prawo z r. 1816. Było to najwyraźniejsze pogwałcenie prawa, ogłoszonego publicznie i wszystkim wiadomego; było to zachwianie wiary w rząd, który i tak już nie bardzo stałą cieszył się ufnością narodu.

Nie ulega wszelako wątpliwości, że środek ten zapobiegał zbyt zbytniemu nagromadzeniu się spisowych po miastach, a stąd obawie zaburzeń, ale podeptanie prawa było użyciem zbyt silnego lekarstwa na chorobę bardzo słabą. Dla zapobieżenia możliwym zawichrzeniom, dość było w miastach, w których się miało odbywać losowanie, skonsygnować po kilka kompanii piechoty i kilkunastu kozaków, a siły te aż nadto by wystarczyły do utrzymania porządku i powagi rządowej. Wielopolski doskonale o tem wiedział, i jeżeli przychylił się do projektu syna, to nie ze względu na mogące wyniknąć przy rekrutacji zaburzenia, ale z zupełnie innych, o wiele poważniejszych powodów. Chciał on użyć poboru jako środka politycznego do zniszczenia stronnictwa rewolucyjnego w kraju, i jeżeli można rozgrzeszyć margrabiego za jego postępek, to tylko z tego względu, że ostatecznie miał dobro kraju na oku i przez radykalne zastosowanie lekarstwa zbyt gwałtownego chciał wyleczyć naród z ciężkiej choroby. W tym celu powziął on projekt, ażeby pobór ograniczyć do sześciotysięcznego, a najwyżej do ośmiotysięcznego kontyngensu, i powołać doń tylko ludność miejską, z wyłączeniem ludności wiejskiej, w stosunku 5% z tysiąca całego mieszczaństwa; a ponieważ obliczano, że ludność miejska wogóle liczy 1,200,000 głów, więc mianoby mniej więcej 6,000 spisowych.

Z pomiędzy mieszkańców wsi, z klasy oficjalistów, rządów, ekonomów i t. p., którzy także stanowili element rewolucyjny, zamierzał Wielopolski wziąć około 2,000 i tym sposobem kontyngens ogólny poborowy wynosiłby około 8,000 ludzi. Ponieważ stronnictwo powstańcze w kraju skła-

dało się wyłącznie prawie z ludności miejskiej, z drobnych urzędników, mieszczan i rzemieślników, więc powołanie tych klas do wojska rwało nici organizacyi powstańczej i zadawało jej cios tak stanowczy, że z niego podnieśćby się już nie mogła. Tego rodzaju poboru zaś nie można było przeprowadzać według regulaminów nowego prawa, gdyż nieodzwrotnie wybuchłyby rozruchy,—trzeba więc było uciec się do tajemnej, nocnej rekrutacyi, z wyraźnem wskazaniem osób, które mają być koniecznie wzięte. To był główny i jedyny powód, dla którego Wielopolski postanowił zawiesić moc prawa z r. 1859, a przywrócić dawne z r. 1816 *).

Projekt ten, przedstawiony W. Ks. Konstantemu, nadzwyczajnie mu się nie podobał i z razu znalazł tak w nim, jak i w otoczeniu jego wojskowem, silną opozycyę. To ostatnie już dlatego oponowało, że projekt pochodził od Wielopolskiego, którego szczerze nie lubiło. A przytem wiedzieli, że cały ciężar takiego poboru, jaki proponował Wielopolski, spadnie na wojsko, i uważali w tem, w wykonywaniu służby prostych pachołków policyjnych, pewne upokorzenie dla armii. To też zaoponowali oni żywo w osobie generała Ramsaya, ówczesnego naczelnego wodza armii, w Królestwie konsystującej. Ramsay domagał się, że jeżeli już jest koniecznem zawieszenie regulaminu z r. 1859, to w żadnym razie nie należy się uciekać do wstrętnych przepisów z r. 1816, że wystarczającym będzie, gdy każdy spisowy otrzyma od władz właściwych wezwa-

*) Że pomysł powyższy wyłącznie pochodził od Wielopolskiego, świadczy rozmowa, jaką miał w dniu 21-m lutego 1863 r. ambasador angielski w Petersburgu, lord Napier, z wice-kancelerem rosyjskim ks. Gorczakowem. „Jego Ekscelencya pisze o ks. Gorczakowie posel angielski—dodał, że ten sposób rekrutacyi był zaproponowany przez margrabiego Wielopolskiego. Zrobiłem uwagę, iż słyszałem, jakoby margrabia zaaprobował tylko ten środek i że zdziwiony jestem, dowiedziawszy się, że od niego on pochodził.—„On pierwszy go doradził”—odrzekł wice-kancelarz.“

nie piśmienne, by się stawiał w oznaczonym czasie przed Komisją rekrucką. Wprawdzie—mówił dalej—jest rzeczą pewną, że ogromna większość spisowych nie uczyni zadość wezwaniu i ukryje się, ale rząd nie będzie miał na sobie zarzutu, iż postępuje nielegalnie, że otwiera drzwi na oścież wszelkiego rodzaju nadużyciom.—Zdania te, razem z widoczną niechęcią samego W. Księcia dla pomysłu Wielopolskiego, zdawały się przez chwilę brać górę. Namiestnik widział to dobrze, iż projekt margrabiego wywoła prawdziwą burzę i wzmoże nienawiść do rządu, a zatem jest wręcz przeciwny misyi, dla której Brat Cesarski przyjechał do Warszawy, misyi spokoju, zgody i zyskania sobie serc polskich. Opozycya naczelników wojskowych dawała mu także dużo do myślenia; jeżeli bowiem wojsko źle i niechętnie wezwie się do rzeczy, to cała sprawa, ten zamach stanu, jak go nazywano, może się nie udać, a w razie nieudania się oplakane dla rządu sprowadzić następstwa. Ale Wielopolski, nie ukrywając wcale złych stron swego projektu, wyraźnie i głośno mówiąc, że nie będzie to konskrypcya ale proskrypcya (*Monseigneur, ce ne serait pas une conscription, mais une proscription*), miał zanadto wielką jeszcze przewagę w rządzie, zanadto wierzono w jego rozum, bynie miano mu ustąpić ostatecznie. Cały projekt, nie przedstawiony wcale Radzie stanu, jak tego prawo wymagało, został przez W. Księcia do Petersburga przesłany. Tam patrzano na rzeczy oczami władz miejscowych, przytem żywiono jeszcze nadzieję, że odwieczny spór polsko-rosyjski da się na drodze pokojowej załatwić, wierzono w mądrość Wielopolskiego, a nie znając, wskutek samego oddalenia od miejsca, mnóstwa drobnych szczegółów, okazywano z niezaprzeczoną dobrą wolą wszelkie poparcie projektom rządu polskiego, byle tylko nie dotyczyły one zasadniczych zmian w samym rządzie. Nic bez pewnych jednak wahań, po wymianie dopiero kilku korespondencyi z W. Księciem, ostatecznie ustąpiono i cały projekt zatwierdzono, o czem

minister wojny przez reskrypt z dnia 17-go września uwiadomił Namiestnika w Królestwie. O tych wszystkich zmianach i projektach ogół polski nic nie wiedział. Rzecz cała odbywała się w najwyższych sferach rządowych, w gronie kilku zaledwie osób, i do wiadomości publicznej nie dochodziła, a jeżeli dochodziła, to w formie bardzo niejasnej i noszącej wyraźnie na sobie charakter plotkarski. I nikt zapewne nie byłby się dowiedział o zamysłach Wielopolskiego, aż dopiero w dniu ich wykonania, gdyby on sam nie był ich opublikował w urzędowym *Dzienniku Powszechnym*. Ni stąd ni zowąd w dniu 6-m października ukazał się artykuł oficjalny, w części urzędowej pomieszczony, w którym autor, zapewne sam Wielopolski, opowiedział całą historię prawa o rekrutacji, w końcu w ten sposób się odzywa: „Najjaśniejszy Pan, wzięwszy na uwagę, iż z powodu wydania w Królestwie Polskiem nowego prawa o oczynszowaniu z urzędu, właściciele ziemscy i włościanie rolnicy, powołani będąc obecnie do radykalnej zmiany wzajemnych swych stosunków, zasługują na oszczędzenie od zaciągu do wojska, i że podciąganie ich teraz pod ogólny pobór mogłoby wstrzymać postęp regulacji tychże stosunków, mając to na względzie, że w położeniu wyjątkowem, w jakim się Królestwo Polskie znajduje, pobór do wojska przez losowanie... mógłby się stać na teraz niedogodnym — rozkazać raczył: a) iżby pierwszy ogólny pobór do wojska w Królestwie Polskiem jeszcze odłożonym został, ograniczając się obecnie na poborze częściowym, odbyć się mającym na wyjątkowych zasadach. Zamiast losowania... nastąpi na ten raz imienne wykazywanie podług dawnego porządku ludzi na pobór przez właściwe władze, do tego przez Radę administracyjną Królestwa ustanowić się mające; b) że od zaciągu w pierwszym poborze wolni być mają właściciele ziemscy, oraz włościanie rolnicy, niemniej czeladź dworska, wyłącznie do zatrudnień rolnych używana; pozostała zaś ludność wiejska, do po-

wyższych trzech kategorii nienależąca, tudzież ludność wszystkich miast Królestwa, bez różnicy wyznania, dostarczy kontyngens w wysokości, jaka w swoim czasie oznaczoną zostanie“ i t. d.

Ogłoszenie to wywarło piorunujące wrażenie na wszystkich bez wyjątku. Jawnem było teraz, że rząd przygotowuje zamach polityczny, i oburzenie było powszechne i bezwzględne. Nawet ci, którzy, mimo licznych błędów margrabiego, statecznie dotąd przy nim stali, nawet najumiarkowańsi widzieli w tym nowym jego i nieumiejętnie ważnym kroku nie już nieumiejętność rządzenia, ale wyzywanie niejako samego nieszczęścia, by przyszłość i ojczyznę polską w straszniejszą niż dotąd pograć niedolę. Wydawało im się niesłusznem i niesprawiedliwem, by jedna tylko klasa narodu płaciła podatek krwi, a choć w owej rekrutacji widzieli krok polityczny, wątpili, czy wobec gorączki ogólnej, wobec tysiąca nieprzewidzianych okoliczności, wykonanie dopisze zamysłowi.

Przytem samo obwieszczenie o brance w gazecie urzędowej było tak nieścisłe w wyrażeniach i określeniach, że łatwo można było z niego wnioskować, iż władza przy wykonaniu nowego prawa chce mieć wolną rękę i każdego politycznie podejrzanego obywatela, do jakiegokolwiekby on należał kategorii, tym sposobem pozbyć się z kraju. W ogłoszeniu nie oznaczono nawet cyfry kontyngensu, jakiego Królestwo miało dostarczyć, co także kazało przypuszczać, że i w tym względzie rząd niczem nie chce być skrzepowany. Jednem słowem nawet najspokojniejsi ludzie widzieli w nowej rekrutacji akt politycznego gwałtu, akt, w którym nie szło o wypełnienie przez kraj obowiązku państwowego, ale o wywiezienie z tego kraju winnych i niewinnych i oddanie ich na zatracenie. Wielu z pomiędzy dawnych znajomych margrabiego, którzy umieli z nim utrzymywać stosunki, teraz, gdy stał u szczytu władzy i gdy był powszechnie znienawidzony, zgłaszało

się doń i robiło mu uwagi, że nowa, w ten wyjątkowy sposób przeprowadzona rekrutacja musi wywołać wśród powszechnego rozgorączkowania umysłów powstanie, że może ona spowodować straszne nieszczęścia i niedające się obliczyć następstwa. Na uwagi te odpowiadał chłodno: „Wrzód zebrał i rozciąć go należy. Powstanie stłumię w ciągu tygodnia i wtedy będę mógł rządzić.“ Inni, nie mając w zasadzie nic przeciw wyjątkowości środków, gdyż położenie było wyjątkowe, ani przeciw samej brance, która kraj mogła zbawić od okropnego nieszczęścia, podawali jednak w wątpliwość możność wykonania takiego zamysłu. Jeden z wybitniejszych ziemian tej epoki, który w sprawie nieudanego adresu do W. Księcia po zamachu Jaroszyńskiego odegrał pierwszorzędną rolę, zapytał się raz pana Zygmunta Wielopolskiego, czy rząd posiada choć piętnaście nazwisk spisanych tych, których zamierza i powinien wziąć,—usłyszał odpowiedź dziwną zaiste i niepojętą, że „nic nie ma; nie ma ani jednego nazwiska.“ Wobec tego każdemu, mniej więcej przewidującemu umysłowi stawało się jasnym, że zamach się nie uda, udać się nie może i wywoła tylko próżny rozlew krwi, straszną zawieruchę w kraju. Stronnictwo Czerwonych, cała organizacja powstańcza niemniej była przerażona ogłoszoną przez *Dziennik* branką. Jeżeli dotąd przypuszczali, że wszystkie klasy narodu powołane będą do wojska i że wskutek tego wśród ludu mogą wyniknąć zaburzenia i w tej nadziei branka nie wydawała im się ani straszną, ani groźną, to teraz tych złudzeń pozbyć się musieli. Komitet centralny na razie nie wiedział, co robić i jak odwrócić cios, grożący organizacyi. Szukając wszędzie ratunku, trafił do Wielopolskiego przez pośrednictwo niejakiego Horbowskiego, ziemianina z okolic Rawy, który znał od dawna margrabiego. Horbowski miał przedstawić Naczelnikowi rządu cywilnego, że „branka nie ma najmniejszych podstaw prawnych, że może ona wywołać powstanie i wielkie na

kraj spowodować klęskę.“ Wielopolski wysłuchał tych uwag i odrzekł: „Tu nie chodzi o zasadę prawną, ale o spokój; a gdyby zamieszanie stąd wynikło, w kilka godzin potrafię je uśmierzyć. A gdy spokój mieć będę, wtedy obaczę, co potrafię zrobić dla kraju.“ Było to jasno i wyraźnie powiedziane i na ustępstwa ze strony Wielopolskiego, który zresztą nie był człowiekiem ustępstw, stanowczo liczyć nie można było. Wielu między Czerwonymi i w Komitecie pocieszało się tem, że pobór nie będzie dokonany bez oporu, zwłaszcza na prowincyi, i opór ten brali w rachubę. Ale wszystko to były nadzieje niepewne i należało coś stanowczego przedsięwziąć, zwłaszcza, że ogłoszenie *Dziennika* wśród organizacyi szalony spowodowało popłoch. Widziała ona dobrze, iż pobór wyłącznie przeciw niej był wymierzony, i większość, pokrywając interesem ogólnym osobistą obawę i dbałość o własną skórę, wołała na komitet, by ją ratował, by coś przedsięwziął i brance samej w ten lub inny sposób zapobiegł. Powszechną jednak opinią wśród całego sprzysiężenia było to, że jedynym środkiem na zapobieżenie brance jest jednocześnie z nią powstanie. Położenie Komitetu centralnego było bardzo opłakane. Jakkolwiek pozbawiony dwóch swoich najwybitniejszych członków: Gillera i Padlewskiego, którzy byli w Anglii, a przynajmniej jeszcze z niej nie wrócili, przejęty był zaszczepionem głęboko przez obu tych spiskowców przekonaniem, że powstanie w tej chwili, ani też za dwa miesiące, jest niemożliwe, że niepodobna narażać przyszłości kraju dla ocalenia kilku tysięcy ludzi, z pomiędzy których i tak znaczna część zdoła się sama ocalić. Ale poczał on już teraz doznawać wszystkich niedogodności sprzysiężenia tajnego, pić gorzki odwar spisku. Organizacja, rozszerzana w ostatnich paru miesiącach coraz gwałtowniej, ogarniała sobą wielką ilość najrozmaitszych ludzi. Komitet przez to zyskiwał na obszerności swej władzy, ale tracił na jej głębokości i sile. Aresztowa-

nia przerzedzały dawniejsze doborowe słoje sprzysiężenia, wchodzili doń ludzie nowi, kontrola nad niższymi rozgałęzieniami i prądami, jakie się w nich ukazywały, była coraz trudniejsza, a więc i nadawanie kierunku jednolitego i sfornego niepodobnem. Już teraz Komitet miał się przekonać, z bolesnem zapewne przecuciem straszego niebezpieczeństwa, że z kierownika staje się sługą organizacji i pójść musi tam, dokąd ona go popchnie. Jakoż wobec branki nacisk tych niższych słoików sprzysiężenia z każdym dniem stawał się silniejszy, domaganie się oznaczenie powstania coraz gwałtowniejsze. Wiele tu oczywiście zależało od wydziałowych, a zwłaszcza okręgowych, którzy, stykając się bezpośrednio z niższą organizacją, mogli na nią wpływać uspokajająco. Na nieszczęście, większość tych panów była tak samo usposobiona jak ich podwładni. Jakie zaś usposobienie wśród nich przeważało, jak jednak te masy, zaniepokojone branką, można było uroczystem zaklęciem na dobro ojczyzny poprowadzić na drogę właściwą, świadczą wypadki następujące:

Do jednego z naczelników wydziałowych w Warszawie, Tomasza B., zgłosił się w tych czasach niejaki Stanisław Olszański, okręgowy kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, która w organizacji miejskiej stanowiła osobny okrąg, należący do najburzliwszych i najsilniej domagających się niezwłocznego wybuchu. Olszański oświadczył, że wśród jego podwładnych panuje takie rozgoryczenie na Komitet centralny i tak jednobrzmiące nalegania o powstanie słyszeć się dają, że on za swój okrąg nie odpowiada. On sam, urzędnik tejże kolei, człowiek młody, serdeczny, całą duszą oddany sprawie, jak to wtedy mówiono, miał jednak tyle rozumu, iż uważał natychmiastowe powstanie za wierutne głupstwo, gorzej nawet, za zbrodnię względem kraju. Był więc jak w gorączce, rozpaczal po prostu i prosił wydziałowego B., by przyszedł na zebranie okręgowe i starał się wpłynąć uspokajająco

na umysły. B. zgodził się na to i wieczorem udał się na ulicę Jasną do jednego z domów, gdzie w oficynie na trzeciem piętrze, w mieszkaniu złożonem z trzech pokoi, całkiem prawie pustych, zebrania owe się odbywały. W pierwszym pokoju znajdował się stół, przy którym siedział kasyer okręgu i odbierał od każdego z wchodzących członków składkę tygodniową. Członkowie przychodzili wprost z warsztatów lub z fabryk, w brudnych bluzach, czarni, okopceni, i znikali w ostatnim pokoju, gdzie się odbywało posiedzenie. Tam młody ksiądz D. z rewolwerem w ręku perorował głośno i namiętnemi słowy zachęcał otaczających do zbrojnego powstania, a Komitetowi centralnemu, który się opiera temu powstaniu, nie szczędził słów potępienia, jego członków uznawał za jawnych zdrajców, zasługujących tylko na stryczek i sztylet. Nieznany ten trybun ludowy w sutannie, nowy ks. Puławski, rzucał zarzewia rokoszu przeciw władzy, którą samo sprzysiężenie stworzyło. Wówczas wystąpił wydziałowy B. i starał się wykazać różnicę sił, jakie ma Rosya, a jakie mieć może przyszłe powstanie; twierdził, że do walki tak nierównej niema dotąd żadnych przygotowań, że porwanie się z pięściami i kijem na potężne mocarstwo będzie wprost zdradą ojczyzny, zabójstwem własnej matki. W końcu zapytał zebranych: „W jakim celu powołał ich Komitet do wspólnej pracy: czy dla ocalenia ich od poboru wojskowego, czy dla zbawienia ojczyzny?“ Z pośrodku tłumnie zebranych, z mrocznych cieniów, jakimi byli otoczeni, odezwał się jakby jeden głos, że „dla zbawienia ojczyzny.“ „Skoro tak—rzekł B.—to pytam was, czy dacie się wziąć do wojska bez oporu, gdy to będzie koniecznem, gdy Komitet tego od was zażąda dla dobra ojczyzny?“ I znów z tego szarego tłumu zabrzmiała jedna odpowiedź: „damy się wziąć.“

W Lublinie część organizacji miejskiej za pośrednictwem swych setników, na wieść o poborze, oznajmiła

wojewódzkiemu Kazimierzowi Gregorowiczowi, że jeżeli władza wyższa, t. j. Komitet centralny, nie nakaże powstania, to sprzysiężeni wywołają walkę zbrojną na własną rękę. Gregorowicz, przejęty ideą stworzenia państwa tajemnego polskiego, całkiem inaczej sobie postąpił jak Tomasz B. Odpowiedział on organizacyi w tonie surowego napomnienia, że „wobec nieprzyjaciela należy zachować jak największą jedność; wszelkie samowolne wybryki, zrywając ją, mogłyby narazić sprawę narodową na szwank niepowetowany. Komitet centralny zapowiedział, że nie pozwoli na przeprowadzenie poboru, należy zatem czekać spokojnie na postanowienie władzy naczelnej. Wszelkie nieposłuszeństwo ukaranem będzie surowo; nazwisko wichrzyciela oddanem będzie na wzgardę całego narodu.“ Odpowiedź ta okazała się skuteczną; organizacja lubelska czekała cierpliwie na wypełnienie obietnicy ze strony Komitetu centralnego.

Z opisu tych faktów łatwo przekonać się można, że jakkolwiek nacisk ze strony niższej organizacyi był silny, przecież przy umiejętności postępowania można go było okiełznać, a jakeśmy powiedzieli, wiele w tym względzie zależało od wydziałowych i wojewódzkich; tylko takich wydziałowych jak Tomasz B. i wojewódzkich jak Gregorowicz było niewiele, niestety! Na nieszczęście, wszelkie oddziaływanie tego rodzaju teraz już na nic się zdać nie mogło, gdyż ukazała się owa osławiona „kartka o poborze“, wydana przez frondujących Mierosławczyków i zapowiadająca w imieniu Komitetu centralnego, że nikogo ze sprzysiężenia wziąć do wojska nie da. Sprzysiężenie to przekonane było, że owo zapewnienie wydał w istocie Komitet centralny, i tem silniej na niego nalegało, by przyrzeczenia dotrzymał, t. j. oznaczył termin powstania, jako jedyne ratunku przed branką. Wiemy już, że owa kartka wywołała burzę w łonie samego Komitetu i, za sprawą Szwarcego, wyrzucenie sromotne kilku członków, ale za-

pewnienie pozostało zapewnieniem, gdyż Komitet, nie mogąc okazać publicznie swej bezsilności i anarchii, panującej w spisku, nie mógł jej zaprzeczyć. Z drugiej strony powstania naznaczać nie chciał, choć przeczuwał, że wcześniej czy później do niego zmuszonym zostanie; robić jednak coś musiał, by sparaliżować cios, wymierzony przez Wielopolskiego. Z razu starał się za pośrednictwem prasy tajnej te same wygłaszać zdania, jakimi Tomasz B. zaklął członków swego wydziału, by osobiste względy i osobiste bezpieczeństwo poświęcili dobru ojczyzny.

Komitet jednak na razie nie wiedział, co robić, jak zażegnać straszną burzę, która się zbliżała i która mogła i jego samego wyrzucić i kraj pogrążyć w morze nieszczęść nieprzebrane. Drogę do wyjścia z tego położenia przykrego i zgubnego zdawało mu się, że znajdzie, jeżeli postara się o rozwiązanie Rad miejskich i powiatowych.

Ponieważ w atrybucyie Rad miejskich i powiatowych wchodziło wyznaczanie Komisji konskrypcyjnych, które sprawą rekrutacyi zajmować się miały, więc rozwiązanie samych Rad wprowadzało niejaki zamęt w całą tę kwestyę i szybkie jej wykonanie czyniło niemożliwym. Same zresztą Rady powiatowe uprzedziły w pewnej mierze to domaganie się Komitetu centralnego. Pod wpływem opinii powszechnej i oburzenia, jakie w całym kraju wywołało zapowiedzenie wyjątkowego poboru, pod naciskiem mnóstwa tajemnych odezów, gróźb i napomnień, jakimi zarzucani byli członkowie Rad, wiele z nich w sprawie poboru stanęło w opozycyi z rządem. Niektóre z nich, jak n. p. hrubieszowska, domagały się, aby, „dla braku rąk do pracy, zmianą stosunków włościańskich wywołanego, służba wojskowa albo była skrócona i w kraju użyta, albo też, żeby pobór był zawieszony, a lata służby zmniejszone.“ Tegoż samego żądały Rady: łomżyńska, kalwaryjska i maryampolska. Były i takie, które wprost odmówiły wyboru członków do komisji konskrypcyjnych, a mianowicie Rada lu-

kowska, tłumacząc się niepewnością, czy wybrani kandydaci zechcą przyjąć ofiarowane im obowiązki. Rada krasnostawska oświadczyła się za wstrzymaniem poboru, oraz wyjawiała życzenie, ażeby wzięci do wojska odbywali służbę w kraju. Rada siedlecka, pod prezydencją p. Ludwika Górskiego, wprowadziła do protokołu swego posiedzenia krytykę dekretu o poborze; odmówiła wyboru członków do Komisji konskrypcyjnej, a prezydujący w mowie, jaką wygłosił, wypowiedział kilka pochwał na cześć wygnanego z kraju p. Andrzeja Zamoyskiego. Rada augustowska także odmówiła wyboru członków do Komisji konskrypcyjnej, tłumacząc się, że „choroby epidemiczne, głód, w zeszłych latach panujący, zmniejszyły ludność.“ Rada sejneńska wybrała rzeczonych członków, ale oświadczyła, że członkowie ci znajdują się w położeniu bardzo drażliwym względem włościan, „którzy—jak się wyraziła—obowiązków członków Komisji konskrypcyjnej nie będą uważali za powinność obywatelską, lecz, z powodu niechęci swej do służby wojskowej, widzieć w tem będą nastawianie panów na ich zgubę.“ W Przasnyszu prezydujący p. Nostitz-Jackowski wypowiedział mowę, w której potępił pobór, wspomniał o wywiezieniu p. Andrzeja Zamoyskiego za adres, do napisania którego szlachta jakoby została upoważniona przez W. Księcia, i t. p. Pomimo protestów komisarza rządowego, członkowie Rady mowę tę wprowadzili do protokołu posiedzenia. Rada łęczycka odmówiła wyboru członków do Komisji konskrypcyjnych, gdyż, jak mówi w swym protokole, „celem ustanowienia Rad powiatowych jest zaprowadzenie pewnych ulepszeń; tem więcej, że wyprowadzając poza granice ludność zdrową, tyle dla kraju pożyteczną, zrywają zarazem w dotkliwy sposób węzły rodzinne, a tem samem oddziałują szkodliwie na moralność i są niezgodne z interesami mieszkańców powiatu, którego Rada uważa się być wyrazem; gdy wreszcie pobór obecny odbywa się na wyjątkowych zupełnie zasadach, z tych powodów nie

chcąc przyjmować na siebie wobec całego kraju, a w szczególności powiatu, ciężkiej odpowiedzialności za wszelkie następstwa, jakieby z powyżej przytoczonych przyczyn kraj dotknąć mogły, Rada powiatowa od wyboru członków do delegacji konskrypcyjnej stanowczo uchyla się.“ Rada piotrkowska wystąpiła z pewnego rodzaju wykazem statystycznym podatku krwi, jaki jej powiat ponosił dla rządu rosyjskiego. Twierdziła więc, że od r. 1833 do 1856 „wybrano przeszło 11,000 ludzi z powiatu do wojska, samo czoło ludności, nie pozostawiając dość rąk uzdatnionych, któreby na drodze pracy pożytecznej przewodniczyć mogły. Rekruci, prowadzeni o tysiące mil, w obce kraje, na długie lata, ulegli skutkiem samego klimatu przerażającej śmiertelności, zatracili język, obyczaj, religię własnego kraju, a wskutek tego 498 dymisyjonowanych, którzy dotąd z tej liczby 11,000 powrócili, nie tylko nie mogli być użytecznymi w powiecie, ale raczej stawali się jego ciężarem.“

Z tych powodów Rada uznała za swój obowiązek oświadczyć się przeciw wszelkiemu poborowi wojskowemu, któryby się odbywał na podobnych zasadach, szczególnie przeciw takiemu, który powołując do wojska większość ludności rzemieślniczej i oświeconej, pozbawiłby powiat wszelkich środków możliwego rozwoju i postępu. Mniema ona, że „tylko pozostawienie powołanych we własnym kraju, z zabezpieczeniem ich języka i religii, jedyne skarbu narodu, pod cudzym panowaniem zostającego, mogłoby go (t. j. pobór) uczynić znośnym dla ludności tutejszego kraju; inaczej pobór do wojska zawsze przyjętym będzie gorzej niż najcięższa klęska.“ Ta prawie jednomyślna opozycja Rad powiatowych, wyrażona w formie łagodniejszej lub ostrzejszej, ale co do swej treści jednakowa, była niejako wskazówką dla rządu, jak dalece zapowiedziana branka budzi opozycję we wszystkich. Mimo to, rząd nie ustąpił. Wobec oporu Rad, jedne rozwiązał, jak n. p. siedlecką i przasnyską, innym przez komisarzy rządowych dał su-

rowe napomnienie, ale przez to położenia wcale nie polepszył. Dla Komitetu centralnego znów ta postawa Rad była wskazówką, jakiej drogi on sam winien się chwycić wobec zbliżającego się poboru. Występując już teraz jako rząd, wydał dnia 12-go października dekret, nakazujący rozwiązanie się Radom miejskim i powiatowym. Jako motywy swego postanowienia przytacza, że „istnienie Rad miejskich i powiatowych nie zgadza się z godnością narodu; że Rady te przy oczynszowaniu włościan i poborze wojskowym będą narzędziem w ręku rządu do wystawienia kraju na niebezpieczeństwo,” przeto „wzywa wszystkich miłujących ojczyznę obywateli, aby do natychmiastowego rozwiązania wszystkich Rad miejskich i powiatowych przystąpili.” Dekret ten ogłoszony został w *Ruchu*, jako urzędowym organie Komitetu centralnego. Poparło go w tym względzie duchowieństwo, naprzód sandomierskie, które na swym zjeździe w Świętomarzu wydało odezwę do Rad powiatowych i miejskich, odezwę, ujętą w formę dekretu. W odezwie tej kler sandomierski powiada, że „istnienie Rad jest przeciwne dobru ojczyzny,” że „ustanowione głównie w celu oczynszowania włościan, nie mając w tym względzie od rządu poparcia, rozdmuchną tylko nienawiść ludu do szlachty,” że „świeżo zarządzony pobór wojskowy jest klęską kraju,” wzywa więc Rady, aby się „po odebraniu niniejszego rozwiązały natychmiast.” W parę tygodni potem *Ruch* ogłosił rodzaj dekretu już całego duchowieństwa, wymagającego rozwiązania się tych instytucji.

Rady jednak tych rozkazów i dekretów nie usłuchały. Wobec zamierzonej konspiracyi stanęły sztorcem, ale rozwiązywać się zupełnie nie myślały i nie chciały. Większość ich członków czuła to dobrze, iż samowolne rozwiązanie Rad będzie oznaką stanowczego zerwania z rządem, a nadewszystko pogrzebaniem instytucji, która, bądźco-bądź, bardzo dodatnie skutki na dobrobyt i porządek w kraju wyrzucić mogła. Na to szlachta i zamożne mie-

szczaństwo, tworzące główne jądro Rad, odważyć się nie mogło, choćby dlatego tylko, by okazać Czerwieńcom, że ich słuchać nie myśli i po ich woli nie pójdzie. Mimo to wszystko, opozycyjna postawa Rad względem konspiracyi wprowadziła władze warszawskie w niemały kłopot, a stronnictwu wojskowemu z Ramsayem na czele, przeciwnemu poborowi w dawny sposób przeprowadzonemu, dała nową podstawę do otwartego i tajnego intrygowania przeciw znienawidzonemu Wielopolskiemu. Ramsay udawał teraz obrażonego, że jego projekt co do branki nie został przyjęty, i głośno się odgrażał, nie bez ukrytego zapewne poparcia generała Berga, który w tych czasach zjawił się na krótko w Warszawie, że usiłowania wojskowych w Petersburgu dopóty nie ustaną, dopóki Wielopolski nie będzie obalony. Temu to niewątpliwie przypisać należy, że gdy przyszło do wykonania poboru, wojsko, główne narzędzie w tego rodzaju sprawie, zawiodło Wielopolskiego i zamach stanu zupełnie się nie udał. Teraz oficerowie, za przykładem swego wodza, oburzali się na rolę, jaką im każą przy poborze odgrywać, i wszystkie rozkazy z niechęcią i niedbale wykonywali. Ta niechęć wzrosła teraz musiała, nabyć niejako siły i większej intensywności, z przybyciem całej dywizji gwardyi do Warszawy. Wysyłka trzeciej dywizji gwardyi do Warszawy była postanowiona zaraz po nominacji W. Ks. Konstantego namiestnikiem Królestwa i miała do pewnego stopnia związek z projektem Wielopolskiego, ażeby jednej dywizji tych wojsk wyborowych nadać tytuł gwardyi polskiej i ubrać ją w mundury i barwy narodowe. Taki projekt nie mógł się podobać w Petersburgu, ale, przy dążności do pokojowego załatwienia kwestyi, nie chciano go zupełnie odrzucać i wykonano w części tylko. Zgodzono się na wysyłkę jednej dywizji do Warszawy i wybrano trzecią, której pułki niegdyś, przed powstaniem listopadowym, stały w Warszawie i nosiły nazwisko polskie, wszakże nie dodano im wcale tytułu gwardyi pol-

skiej, ani umundurowania narodowego, jak tego domagał się Wielopolski, ale zmieniono istniejące o tyle, że wypustki i rabaty czerwone zastąpiono żółtymi i amarantowymi, przypominającymi uniformy wojska polskiego.

Do wymarszu tego gwardya przygotowywała się od lipca. Wiadomość o nowym swym przeznaczeniu wojska otrzymała z ust samego Cesarza, w kilka dni po zamachu na W. Ks. Konstantego, a mianowicie dnia 6-go lipca. W dniu tym Cesarz przyjechał do obozu pułku Wołyńskiego piechoty, i zgromadziwszy koło siebie oficerów, rzekł do nich: „Posyłam was do Warszawy; przekonany jestem, że usprawiedliwicie moje zaufanie. Zawsze was miałem za wojsko wyborowe i mam nadzieję, że będziecie służyć z takim odznaczeniem się jak dotąd.“ Wybierano się do tej Warszawy, która dla ogromnej większości oficerów była niąstem buntowniczym, bardzo powoli, z powodu wspomnianej zmiany umundurowania, jak i kompletowania batalionów, gdyż poza wszystkim szło jeszcze o zwiększenie sił wojskowych w Królestwie, wobec zaburzeń tam trwających i głośno zapowiadanego powstania zbrojnego. Rzeczona dywizja piechoty składała się z pułków: Litewskiego, Wołyńskiego, Keksholmskiego, inaczej Pruskim zwanego, i Austriackiego grenadyerów. Jazdę tworzyły dwa pułki: ułanów i huzarów Grodzieńskich. Pierwszy przybył do Warszawy, dnia 1-go października, batalion strzelców Carskosielskich, na powitanie którego W. Książę pojechał na dworzec kolei Petersburskiej. Potem przybywał batalionami pułk Wołyński piechoty, a każdy z nich witany był na dworcu kolei przez W. Ks. Konstantego, a po przybyciu całego pułku zaprosił wszystkich oficerów na obiad do Łazienek.

Gdy w kilka dni później cały korpus oficerów przedstawił się naczelnemu wodzowi Ramsayowi, ten wygłosił do nich mowę z wyraźnym charakterem politycznym. Zaznaczając burzliwy stan kraju, zalecał oficerom zachowanie

karności i porządku, i zakończył słowami: „Ja ze swej strony zaręczam tylko za to, że teraz już nie napadną nas znieścacka (w rozpłoch), jak w r. 1830, i że stąd nie uciekniemy, jak wtedy.“

Ludność warszawska stosunkowo dość przyjaźnie przyjmowała gwardyaków. Gdy przy wstępowaniu do Warszawy przeciągali oni przez ulice w strojuym porządku i z muzyką, towarzyszyły im tłumy gawiedzi miejskiej. Mówiono sobie, że żołnierze i oficerowie gwardyacy są o wiele grzeczniejsi od liniowych, gdyż na chodnikach usuwają się kobietom. Wogóle wyborowe te szeregi, ludzie rośli i silni, bardzo się podobali ludności warszawskiej, lubiącej wojsko i marsowe postawy. Gdy dnia 2-go listopada W. Książę na placu Ujazdowskim zrobił przegląd całej przybyłej gwardyi, tłumy się temu z widocznym zadowoleniem przypatrywały. Najwięcej się jednak podobali ułani, ich granatowe mundury, amarantowe rabaty i żółte lampasy u czapek. Wielu ludzi, pamiętających epokę przedrewolucyjną, z przyjemnością witało dowódcę gwardyi, siwiejącego barona Pawła Korffa, który jako młody oficer przed powstaniem listopadowym przebywał w Warszawie. Oficerowie gwardyacy ze swej strony byli bardzo zadowoleni z nowego miejsca swego pobytu, zachwycali się pięknnością Polek, a lepiej płatni niż w Petersburgu, mogli się bawić i używać w tej wesołej, mającej zawsze dla Rosyan niepospolity urok Warszawie. Wesołości tego pobytu nie zmniejszały surowe instrukcje, jakie gwardya zaraz po swym przybyciu do stolicy polskiej otrzymała. Nakazano jej, by patrole wychodziły z bronią ostro nabitą. Codzień w rozkazie dziennym wyznaczano każdemu oddziałowi punkt, jaki w razie alarmu ma zająć w mieście. Instrukcja na taki wypadek nakazywała zachowanie wszelkich ostrożności; wojsko miało maszerować ulicą ze strażą przednią i tylną, z flankierami skrzydłowymi, przesuwanymi się chodnikiem, których obowiąz-

kiem było bacznie obserwować domy. W razie, gdyby z którego z nich dano ognia lub rzucono kamieniem, instrukcja polecała strzelać. Nie mniejsze ostrożności zachowywano w koszarach, gdzie dyżurne oddziały miały mieć w nocy broń nabitą, a silne stráže obsadzały wejścia i wyjścia.

Rewolucyoniści polscy i rosyjscy nie mniejszą zwrócili uwagę na przybywającą do Warszawy gwardyę. Liczono na nią wiele, naprzód dlatego, że do kół rewolucyjnych w Petersburgu należeli przeważnie oficerowie gwardyacy, a przytem, że jako wojsko wyborowe, lepiej płatne, bardziej itelligentne, sądzili, że łatwiej da się porwać ideom wolności. Rozpuszczono więc pogłoski o duchu liberalnym, jakoby panującym wśród tego wojska, zarzucono je wszelkiego rodzaju odezwami i proklamacyami. W Wilnie podrzucono przechodzącemu tamtędy pułkowi Wołyńskiemu piechoty odezwy rewolucyjne, to samo robiono w Warszawie, aż Korff w jednym z rozkazów dziennych obiecywał żołnierzowi, który odda znalezioną proklamacyę swemu kapitanowi, rubla nagrody. W ogrodzie Saskim zdarzało się bardzo często, że przechadzającego się oficera gwardyackiego otaczał tłum młodzieży, zawiązywał rozmowę o wypadkach bieżących, o ideach liberalnych wieku. Powoli jednak przekonano się, że to są wszystko próżne i bezowocne usiłowania—i dano pokój.

Takie było położenie rzeczy w Warszawie, gdy mniej więcej w tym czasie powszechną na siebie zwróciły uwagę wypadki, zaszłe w t. zw. prowincjach zachodnich, a mianowicie na Podolu i na Białorusi. Szlachta gubernii Podolskiej naprzód, a za nią szlachta gubernii Mińskiej, zamierzyła posłać adres do Cesarza, domagając się przyłączenia tych prowincyi do Królestwa Polskiego.

Zdaje się, że działało się to za wiedzą i wskazówkami emigracyi, zwłaszcza tej, która skupiła się koło ks. Czartoryskich w Paryżu. Jeżeli bowiem wierzyć można ra-

portom urzędowym, to adresy rzeczzone, a przynajmniej miński, były zredagowane w Paryżu i przywiezione przez wspomnianego już kilkakrotnie przez nas hr. Wiktora Staryńskiego, marszałka grodzieńskiego, który w tej porze jeździł do Paryża, a powróciwszy do kraju, czynną rozwinął w tym celu agitacyę. To pewna, że był on teraz w ciągłych podróżach—to do Warszawy, to do Grodna, Wilna i Petersburga. Na zjeździe szlachty w Wilnie w początkach jesieni mówiono bardzo wiele o wyborach przyszłych w Mińsku i o adresie. Ostatecznie tu zapadła uchwała podania go bezwarunkowo. Plan polegał na tem, ażeby wszystkie gubernie t. zw. prowincyj zachodnich, a więc: Grodzieńska, Kowieńska, Mińska, Witebska, Mohylowska, Wołyńska, Podolska i Kijowska, wystąpiły jednocześnie z adresami, na podstawie art. 133 tomu IX Zbioru (Swoda) praw cywilnych „dworzaństwa“ rosyjskiego, dozwalającego szlachcie zebranej na wybory podawać adresy do tronu z wyrażeniem „swych potrzeb.“ Postanowiono przytem, że „dopóki rząd rosyjski nie da przychylniej odpowiedzi na wszystkie żądania szlachty, dopóty należałoby nie zdejmować żałoby i unikać wszelkich publicznych i prywatnych zabaw.“

Pierwsza z adresem wystąpiła gubernia Podolska. Szlachta tamtejsza, zjechawszy się w ostatnich dniach września na wybory do Kamieńca Podolskiego, od razu zajęła się sprawą adresu. W tym celu miała ona w dniu 28-m i 29-m września w mieszkaniu Ignacego Chełmińskiego, marszałka powiatu Uszyckiego, posiedzenie, na którym, pomimo oporu jednych, dwuznacznego zachowania się innych, ogromną większością głosów postanowiła podać adres do Cesarza z żądaniem przyłączenia gubernii Podolskiej do Królestwa Polskiego. Redakcyę adresu powierzone swemu współpowietnikowi, Leonardowi Sowińskiemu, który kilku pracami literackimi wyrobił sobie imię, z czasem dość głośnie w piśmiennictwie krajowem, oraz

Leopoldowi Jakubowskiemu. Stronnictwo przeciwne tego rodzaju wystąpieniu zdołało przeforsować do Komitetu redakcyjnego wybór niejakiego Giżyckiego, członka urzędu do spraw włościańskich, który stale protestował przeciw adresowi. Szło o to, by Giżycki wpłynął przynajmniej na złagodzenie formy i treści. Nazajutrz, dnia 29-go września, adres był gotowy i odczytany w mieszkaniu Chełmińskiego i przez większość uznany został za dobry. Wśród rozpraw, jakie się z tego powodu wywiązały, hr. Edward Ronikier, marszałek bałcki, zapewniał, że szlachta nie ma się czego obawiać, bo on zna osobiście Cesarza Aleksandra i w najgorszym razie adres może nie przynieść pożądanego skutku, ale nikt za jego podpisanie do odpowiedzialności pociągniętym nie będzie. Dzięki temu adres został przyjęty i podpisany przez 255 szlachty. Zaznaczywszy w nim zły stan prowincyi, położywszy nacisk na to, że oświata w niej ma wyłącznie charakter polski, mówili, że „szlachta gubernii Podolskiej najpoddanniej uprasza W. C. Mość o uchylenie stanu pomienionego Monarszą wolą Waszą.“

„Wyłącznie tedy prowadzący ku temu sposób obywateli gub. Podolskiej upatrują w przywróceniu administracyjnej jedności Polski, wcielając w skład jej prowincye zachodnie, z pełnem poszanowaniem praw powołanego w ostatnich czasach na pole działań obywatelskich miejscowego ludu wiejskiego. Szczery współudział szlachty podolskiej w stanowczem rozwiązaniu sprawy włościańskiej, współudział tradycyjny, wynikający z odwiecznych usiłowań Polski pod względem rozszerzenia godności i swobód obywatelskich, stanowi niewątpliwą rękojmię prawości jej dzisiejszego postępowania. Odrzucając wszelką myśl przewagi plemienia lub stanu, obywatele gub. Podolskiej pozostają wiernymi zasadniczej idei polskiej we względzie równouprawnienia składowych pierwiastków społecznych i dlatego żądają wspólności z Królestwem Polskiem, że

widzą w niem podstawę swobodnego rozwoju zarówno polskiej jak i ukraińskiej narodowości.“

Adres ten wywołał niemałą burzę w Petersburgu. Rząd, widząc w tym akcie „dążność do naruszenia całości i jednolitości państwa,“ rozkazał dnia 21-go października wszystkich marszałków powiatowych, oraz gubernialnego, oddać pod sąd senatu rządzącego i usunąć ich z ich stanowisk. Senat ze swej strony polecił wszystkich aresztować i przywieźć do Petersburga, i tu trzymał ich w więzieniu. Sprawa ciągnęła się długo i oczywiście zagłuszona była całkowicie straszną późniejszą burzą; w tej chwili jednak adres podolski zyskał sobie wielki rozgłos.

Zebrania się szlachty mińskiej i zamierzonego adresu oczekiwano z tem większem zainteresowaniem, że wskutek zaburzeń zeszłorocznych inne gubernie litewskie i białoruskie pozbawione były prawa sejnikowania, a przytem wystąpienie Mińszczan z adresem po Podolakach, których krok uznany został przez rząd za karygodny i za zdradę państwa, miał charakter wyraźnego buntu i nieposłuszeństwa władzy. Wieść o zamierzonym adresie obiegła całą prowincję i oczywiście doskonale wiadomą była rządowi, to też do Mińska wybierał się sam generał-gubernator Nazimow, ale nie mogąc przyjechać dla jakichś tam, nieznanых nam powodów, polecił gubernatorowi mińskiemu Kożewnikowi, aby baczną na to, co się dzieć będzie, zwrócić uwagę i do adresu pod żadnym pozorem nie dopuścić. Ten, zapobiegając zawczasu wszystkiemu, wystosował odezwę piśmienną do marszałka gubernialnego Łappy, że „tego rodzaju objawy (adres) rząd uważa za występne i nielegalne.“ Wybory rozpoczęły się dnia 29-go listopada, w samą rocznicę rewolucyi 1830 r., co zdawało się tem większą budzić w zebranych chęć zaznaczenia swej jedności i przynależności do Polski. Na skutek pogłosek o debatach nad adresem, w dzień wyborów sala zebrania szlacheckich zapelniona została przez publiczność.

Oprócz szlachty, która zjechała się na sejmik, było tam mnóstwo osób obcych. nawet kobiet, które uśmiechem, słowami, zalotnem wejrzeniem zachęcały opornych lub wahających się do podpisania adresu.

Po mowie gubernatora, który ani słówkiem nie napomknął o gotującej się agitacyi, pierwszą kwestyą, jaką podniesiono, była kwestya adresu. W odpowiedzi na to marszałek Łappa odczytał odezwę gubernatora do siebie, którą powyżej przytoczyliśmy. Ale wśród zebranych podniosła się wrzawa i dwaj Jeleńscy, dwaj Oskierkowie, wreszcie major Korbutt, głośno dopominać się poczęli, by adres został przygotowany, by nie zważać wcale na pogroźki i ostrzeżenia władz administracyjnych; inni znów domagali się, by odezwę gubernatora wciągnąć do protokołu, z dodatkiem, że „administracya przeszkadza podaniu adresu.“ Zawiazały się żywe i burzliwe spory, umysły się gorączkowały i w tej gorączce Witold Oskierko i Jeleński padli przed marszałkiem Łappą na kolana, prosząc, by użył całego swego wpływu celem doprowadzenia do skutku adresu. „Jest to konieczne—wołali:—raz dlatego, że należy podtrzymać naszych współrodaków z Podola, a potem dla dobra kraju.“ Mówili, że wobec tego, iż całe tak zw. prowincye zachodnie podadzą adresy, nie wypada więc, nie można, by jedna tylko Mińszczyzna nie wzięła udziału w tej manifestacyi zbiorowej. Spór wreszcie, jaki na zgromadzeniu toczono, dotyczył tylko kwestyi formalnej; jedni bowiem domagali się, aby adres w całości był wciągnięty do protokołu posiedzenia, inni zaś, ażeby jedynie w tym protokole zaznaczyć, iż „szlachta gub. Mińskiej zebrała się na wybory, ze stałem postanowieniem zanieśienia do stóp J. C. Mości Najjaśniejszego Pana adresu, o którym jest mowa w odezwie gubernatora.“

Poddano rzecz pod głosowanie i ogromną większością 255 przeciw 4 ostatnia formuła została przyjęta. Adres więc nie przeszedł i nie został podany. Prokurator guber-

niałny zaprotestował i przeciw tej formie i żądał, by jego protest do protokołu został wprowadzony. Żądanie uczyniono temu żądaniu, z dodatkiem, że „protest ten ostatecznie nie dozwala szlachcie na ułożenie zamierzonego adresu.“ W rezultacie więc rzecz zamyślana z taką wrzawą nie przyszła do skutku, co wśród ogółu, wśród polskiego mieszczaństwa w Mińsku, wywołało ogromne oburzenie. Jakkolwiek projekt do adresu rozrzucono po mieście i po kraju, jakkolwiek rozpuszczano pogłoskę, że adres został podany, jednakże niewiele to pomogło i zaraz potem na rogach ulic w Mińsku poprzylepiano wierszowane paszkwile na magnatów polskich, nieposiadających „ani odwagi, ani patriotyizmu.“ Oprócz tego u kilku marszałków powiatowych wybito kamieniami szyby w oknach. Nazimow z raportem o tem, co zaszło, wysłał unyślnego gońca w osobie jakiegoś pułkownika do Moskwy, gdzie Cesarz przebywał.

Taki koniec miał plan, ażeby cała Litwa i Ruś, zgodnie z adresem szlachty polskiej do p. Andrzeja Zamoyskiego, oświadczyła się za przyłączeniem do Królestwa Polskiego i potwierdziła niejako przez to starą unię lubelską. Oprócz Podolan nikt więcej adresu nie podał, a choć w tym czasie zamierzano to zrobić tu i owdzie, jednakże szybko zbliżające się straszne wypadki zbrojnego ruchu przerwały te zamiary. Mimo to sprawa ta miała wielki rozgłos i prasa tajna warszawska żywo się nią zajmowała.

Gdy się to działo na dalekiej Rusi, w Warszawie tymczasem wypadki przybierały coraz groźniejszy i ostrzejszy charakter. Wielopolski sprawę nieszczęśliwej branki, która organizację w coraz bardziej gorączkowy stan wprawiała, prowadził dalej. W październiku nakazano tym Komisjom konskrypcyjnym, które zostały wybrane przez Rady powiatowe, zająć się t. zw. superrewizyą, czyli oględzinami spisowych; tam zaś, gdzie Rady odmówiły wyboru swych członków do rzeczonych Komisji, miano-

wał je z urzędu. Margrabia w ogłoszeniu, pomieszczonem w *Dzienniku Powszechnym*, groził tym spisowym, którzyby z nieudowodnionych lub niezasługujących na uwzględnienie powodów nie stawili się we właściwym czasie przed Komisją konskrypcyjną, surowemi karami. Niektóre jednak Komisyje pod wpływem agitacyi rewolucyjnej, odezwy i gróźb, a może i ze wstrętu przeciw poborowi, pod różnymi pozorami odmówiły udziału w tych przedwstępnych pracach, lub też członkowie ich wcale nie przybywali na posiedzenia. Z siedmiu Komisji, które w tej porze miały rozpocząć swe czynności, jedna tylko augustowska stawiała się w komplecie; inne, a mianowicie: lubelska, krasnostawska, sandomierska, opoczyńska, kutnowska i sejneńska, postąpiły sobie tak, jakieśmy wyżej powiedzieli. W Krasnymstawie nawet z powodu poboru cała Rada miejska podała się do dymisji, wyraźnie zaznaczając, że robi to dlatego, iż branka dotyka jednej tylko warstwy narodu, co uważają oni za krzyczącą niesprawiedliwość. Swoją drogą popisowi, wzywani do Komisji, stawiali się niezwłocznie i wogóle w początkach wypadków niestawienia się na wezwanie było bardzo niewiele. Wśród drobnego za to mieszczaństwa, wśród ludu, wzburzenie było wielkie. W powiecie Lipnowskim chłopię głośno się odgrażali, że jeżeli w Komisjach konskrypcyjnych nie będzie zasiadał choć jeden wojskowy rosyjski, to oni Komisyję rozpędzą. Jakoż pogrozki te wkrótce spełnili w miasteczku Rypinie. W dniu 18-m listopada zjechała tam delegacja konskrypcyjna, złożona z pomocnika naczelnika powiatu, lekarza i kilku urzędników, wszystko oczywiście ludzi cywilnych i Polaków. Popisowi, zebrani z czterech gmin, uważając tych urzędników za buntowników, pod wodzą wyrobnika ze wsi Szafarni, nazwiskiem Witkowskiego, napadli tłumnie na dom, w którym Komisya zasiadała, i zmusiwszy ich do ucieczki, zniszczyli i potłukli wszystko, co im wpadło pod rękę, a mianowicie: meble, drzwi, okna, piece,

podarli papiery i akta, i wyrzucili je na ulicę. Nie poprzestając na tem, zwrócili się przeciw kilku obecnym wówczas w miasteczku ziemianom i jednego z nich, Grąbczewskiego ze wsi Szczutowa, zbili nielitościwie. Po tym czynie rzucili się na samo miasteczko, a zwłaszcza na żydów, i poczęli po prostu rabować. Zrobiła się straszna zawierucha w cichej, drzemiącej zawsze mieścinie. Ale mieszczanie nie dali się bezkarnie niszczyć. Uderzono w dzwony na trwogę, mieszkańcy poczęli się tłumnie zbiegać i w krótkim czasie zuchwałych rabusiów pokonano. Schwytano głównego naczelnika tego rozruchu, Witkowskiego, i dwudziestu pięciu najzuchwalszych. Sprowadzony na gwałt oddział wojska z Mławy zastał już wszystko w porządku.

Tego rodzaju wypadki świadczyły aż nadto wynownie, jak niebezpiecznym wogóle jest stan umysłów w kraju i jak ryzykownym projekt margrabiego co do branki. Ludzie, którzy umieli z nim zachować stosunki, nie przedstawiali go ostrzegać i radzić, by zaniechał swych zamiarów, by wyjednał u Cesarza odroczenie branki; wszystko to na nic się nie zdało. Znany nam już ze swej działalności na Litwie Wiktor hr. Starzyński, przejeżdżając w tej porze przez Warszawę, odwiedził margrabiego i przekładał mu, że branka posłuży za punkt wyjścia tym, którzy gwałtem chcą wywołać powstanie. Usłyszał w odpowiedzi znaną nam już przypowieść o wrzodzie i o jego rozcięciu, z dodatkiem: „w zimie powstanie jest niemożliwe; zbierających się w lesie łatwo będzie po śniegu wytropić, a zmarzłych i głodnych bez oporu wziąć.“ Napróżno Starzyński zwracał mu uwagę, że nie należy bawić się z ogniem, przypominał mu powstanie w 1830 r., gdzie kilkunastu młodych ludzi wywołało krwawą wojnę; wszystko to pozostało bez skutku, margrabia słuchać nie chciał i był jak najlepszej nadziei. Nie brakowało mu innych jeszcze, o wiele poważniejszych i donioslejszych ostrzeżeń ze strony samego biegu wypadków. Okazało się miano-

wicie teraz, w dalszym ciągu superrewizyi popisowych, że wielu z nich przedstawiało świadectwa, wydane przez wójtów gmin i noszące datę przed ogłoszeniem o poborze, że należą do stanu włościańskiego. Było to oczywiście obejście prawa. Władza wójtowska, jak wiemy, była w ręku dziedziców i otrzymanie tego rodzaju świadectwa, uwalniającego od poboru, nie przedstawiało zbyt wielkich trudności. Chcąc temu nowemu wybiegowi koniec położyć, margrabia ogłosić kazał Komisji spraw wewnętrznych w *Dzienniku Powszechnym*, że „winni wydawania podobnego rodzaju świadectw i uzyskujący takowe—pierwsi, jako popełniający nadużycia w służbie, pociągnięci będą do odpowiedzialności karnej, drudzy zaś, uważani „jako usiłujący się uchylić od powinności zaciągowej, na równi z ukrywającymi się, w myśl obowiązujących przepisów, oddani zostaną do wojska na rachunek poboru.“ Rozporządzenie to jednak w większości wypadków nie było wykonane. Wójci nie przestawali wystawiać świadectw, a popisowi z nich korzystać, zwłaszcza, że Komisye konskrypcyjne przez palce na to patrzyły. W samych zaś władzach znajdował margrabia opór przeciw poborowi, czego najlepszym dowodem był fakt, jaki się teraz przytrafił. Z rozkazu Wielopolskiego, Komisya spraw wewnętrznych przygotowała tajny cyrkularz do wszystkich gubernatorów cywilnych, wyjaśniający im, którzy młodzi ludzie mają być głównie podciągnięci pod rygor poborowy. „Zważywszy—pisano w tym cyrkularzu,—że osoby, którym ma być poręczony wybór rekrutów z list na cel ten przygotowanych, powinny mieć nie tylko zupełną wiadomość o położeniu rekrutów ze względu na ich stosunki familijne, ale też dokładnie znać postępowanie ich (t. j. rekrutów) pod względem politycznym, gdyż jednym z głównych celów tego poboru jest pozbycie się części ludności, która postępowaniem swoim przyczynia się do zamieszania porządku publicznego,“ przeto Komisya poleca, aby przede-

wszystkiem brano do wojska „osoby złe zanotowane w ostatnich wypadkach, bez względu na to, czy wypadnie wziąć z jednego miasta lub jednego wyznania więcej popisowych, aniżeli z drugiego.“ Otóż cały ten reskrypt, prawdopodobnie przez zdradę urzędników, którzy go przepisywali, na wielkie zdziwienie i gniew margrabiego, w kilka dni potem ukazał się w *Czasie* krakowskim i tym sposobem doszedł do wiadomości publicznej. Niemala z tego powodu burza się podniosła w Komisji spraw wewnętrznych, ale to zdradzie tajemnicy rządowej nie zapobiegło, ani też skutków jawności tego rodzaju aktu nie zminniło.

Wrażenie bowiem, jakie reskrypt ten wywarł na publiczność polską i na Europę całą, było niezmiernie. Z *Czasu* dokument ten przedostał się do dzienników niemieckich, francuskich i angielskich, i wszędzie został jak najsurowiej, jak najbezwzględniej potępiony. Zresztą było to tylko, że tak powiem, dolaniem oliwy do ognia. Od chwili bowiem, gdy wiadomość o wyjątkowej konskrypcji urzędownie ogłoszona została, całe nieomal dziennikarstwo podniosło wielki krzyk. Oczywiście ten jednomyślny głos potępienia dziennikarstwa w większym jednak stopniu był sztucznie podsycany przez różne kola emigracyjne polskie, które przyszłej konskrypcji nie przestawały nazywać proskrypcją. Bardzo wpływowy i bardzo czytany dziennik angielski *Daily Telegraph* pomieścił w tej sprawie cały szereg artykułów, które, przedrukowywane przez inne dzienniki europejskie, wszędzie wielkie wrażenie, a jeszcze większe oburzenie na margrabiego wywoływały. Ten powszechny i prawie jednomyślny głos opinii europejskiej nie pozostał bez pewnego skutku. W owe czasy ambasadorem rosyjskim przy dworze belgijskim w Brukselli był książę Orłów, syn reprezentanta Rosyi na kongresie paryskim, człowiek bardzo wrażliwy i bardzo dbający o to, by Zachód nie uważał Rosyi za kraj barbarzyński, czło-

wiek wreszcie liberalnych przekonań, z własnego popędu wyruszył do Warszawy w zamiarze osobistego przedstawienia W. Księciu Konstantemu wszystkich złych następstw, jakie pobór może wywołać.

Liczył on może trochę na powagę swego nazwiska historycznego i czysto rosyjskiego, na opinię, jaką się cieszył, opinię człowieka uczciwego i prawego, nakoniec na osobistą przyjaźń, jaka go łączyła z Namiestnikiem warszawskim. Przyjechał do stolicy polskiej dnia 1-go grudnia i tak był wymowny, tak groźny narysował obraz, że na chwilę zachwiał przekonaniem W. Księcia. Orłow, zwolennik przymierza francusko-rosyjskiego, jako główny argument stawiał to, że w razie dojścia do skutku poboru powstanie w Polsce wybuchnąć musi, a gdy wybuchnie, cesarz Napoleon pod naciskiem opinii swego narodu zniewolonym będzie do ujęcia się za Polską. Nastąpi więc zerwanie tak ciężko, tak mozolnie od lat siedmiu zawiązywanego porozumienia francusko-rosyjskiego, mogą powstać Bóg wie jakie zawiąskania, może wojna, do której Rosya jest nieprzygotowana, w dobie reorganizacji wewnętrznej nadzwyczajnie osłabiona, a stąd spotka ją nieunikniona klęska, a tej klęski któż może obliczyć następstwa? Czyż więc nie lepiej będzie nie robić niebezpiecznej próby i na innej drodze szukać uspokojenia Polski? Argumenty te, a może i inne, powtarzamy, zrobiły wrażenie i na skutek tego W. Książę Konstanty zwołał wielką tajną naradę do Zamku, na którą zaprosił margrabiego, jego syna Zygmunta, Paulucciego i Ramsaya. W radzie tej wziął także udział ks. Orłow. Ten przedstawił swe widzenie rzeczy zebrany, popierany w tym względzie przez Ramsaya, ale dowodzenia jego wobec przewagi dwóch Wielopolskich, wobec przechylania się W. Księcia ku ich zdaniu, wobec obojętnego zachowania się Paulucciego, nie zostały uwzględnione. Wielopolski uparcie obstawał przy swoim, mówił o wrzodzie, który rozciąć na-

leży, owszem, dla udaremnienia zamiarów stronnictwa Czerwonego, domagał się przyspieszenia terminu branki. Jakoż W. Książę, którego głos oczywiście największe w tej Radzie miał znaczenie, zgodził się na to i naznaczono brankę na noc z dnia 14-go na 15-y stycznia 1863 r., który to termin zobowiązano się zachować w największej tajemnicy. Książę Orłow, nic nie wskórawszy, w parę dni po swym przyjeździe powrócił do Brukselli, skąd przypatrywał się straszny konwulsjom polskim, by jeszcze raz w kilka miesięcy później rozpocząć nową i równie bezskuteczną akcyę na korzyść kraju.

Cóż jednak przez ten czas robił Komitet centralny? Jakiśmy to wspomnieli, Komitet zdecydowany był uleść brance, gdyż powstanie nie było przygotowane, i pocieszał zagrożonych młodych ludzi, że poniosą zarzewia rewolucyjne w samo łono Rosyi, że spełnią tym sposobem „apostolskie swe posłannictwo.“

W Paryżu, w rocznicę powstania listopadowego, ks. Władysław Czartoryski, dorocznym obyczajem w Towarzystwie historyczno-literackiem, w sali biblioteki polskiej wygłosił mowę, w której ostrzegał swych współrodaków przed walką „bez nadziei i bez chwały.“ „W obecnem położeniu Europy—mówił,—sojuszów, jakie się zawiązują, i wspólności interesów, jaka się ustala, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie może przypuścić, by powstanie w Polsce mogło w tej chwili znaleźć gdziekolwiek pomoc.“ Ale był to głos biblijny wołającego na puszczy. Organizacya, zagrożona branką, jak każdy spisek, dbała więcej o własną skórę, niż o ojczyznę—i choć powstanie dla każdego, kto choć trochę myśleć umiał, było po prostu głupstwem i zbrodnią, to jednakże parla do niego, jako do jedyne go punktu wyjścia ze strasznego położenia, w którym się znalazła. Wielu z jej członków nie zastanawiało się wcale nad tem, co będzie, gdy powstanie wybuchnie, byle tylko ono wybuchło, by stał się czyn, będący logiczną konsekwencyą

tę, co się od lat dwóch w kraju działo, by na koniec oni, Czerwoni, postawili na swoim. Przeciw Komitetowi centralnemu teraz wśród sprzysiężenia oburzenie z każdym dniem nieomal wzrastało, że nic nie przygotował, że przez czas kilkomiesięcznego swego istnienia ani jednej sztuki broni nie zebrał, ani kwaterki prochu nie schował. Zapominali, że przez te kilka miesięcy Komitet musiał ciężkie walki staczać o własne istnienie i że nie mógł myśleć o przygotowaniach do powstania choćby dlatego, że powstanie to odkładał na czas bardzo jeszcze odległy i że przede wszystkim zajmując się Gillerowskim programem stworzenia tajnego państwa polskiego, którego władzę rozciągnąć chciał aż do Petersburga i Wołgi,⁴ nie mógł zajmować się tak marnymi rzeczami, jak karabiny i proch. Nic też nie było gotowe. Komitet, naciskany nieustannie, odbywał teraz, w grudniu, prawie codziennie posiedzenia, na których radził nad obmyśleniem środków postępowania wobec zapowiedzianej konspiracyj. Po długich naradach, tyle jednak jeszcze rozumu i sumienia było w tych ludziach, którzy z niepraktykowanym w dziejach zuchwaństwem uzurpowali sobie prawo stanowienia samowolnie o losach kraju, że zdecydowano, iż, bądź-co-bądź, powstanie nie będzie i być nie może wcześniej, niż na wiosnę, w maju 1863 r. Z uwagi wszakże, iż nie można zostawiać całej organizacji na pastwę poboru, postanowiono z razu postarać się o zniszczenie wszędzie, gdzie się da, list konspiracyjnych, potem zaś za radą Gillera uchwalono tak zw. dyslokację spisowych, która na tem polegała, żeby przeznaczeni przez władze rządowe do poboru młodzi ludzie przenieśli się na inne miejsca i dopóty się przerzucali, dopóki nie minie niebezpieczeństwo.

Pomysł niezaprzeczenie był dobry, przy ówczesnej organizacji, przy niezaradności i skorumpowaniu przez spisek władz rządowych, nawet łatwy do wykonania i z pewnością ocaliłby większą część spisowych i zaniach

Wielopolskiego chybiłby niewątpliwie. Sposób ten zresztą praktykowany był od dawna w kraju przez wszystkich tych, którzy nie chcieli służyć w wojsku. Przed branką znikali oni z miejsca swego stałego pobytu i powracali dopiero wtedy, kiedy wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Był to więc plan ten sam, tylko pojęty na większą skalę. Obliczono sobie tak: ponieważ według danych, jakie zdołano zebrać w listopadzie, liczba sprzysiężonych w Królestwie dosięgała 25,000 ludzi, więc nawet w najgorszym razie, gdyby branka zdołała schwycić 3 do 4 tysięcy, to jeszcze pozostanie około 20-tu tysięcy, którzy organizacji nie dozwolą się rozpaść, ani też zamysłem przyszłego powstania się rozchwiać. Wszelako, przy energicznie i sprawnie zarządzanej dyslokacji spisowych, rząd warszawski nie będzie w stanie wziąć nawet i 4,000 ludzi—i branka chybi zupełnie, wzmocni siły organizacji, zdwoi ufność do Komitetu, a stanowiskiem Wielopolskiego zachwieje.

Wydawało się to wszystko członkom Komitetu tak jasnym i niewątpliwym, że zgodzili się na projekt Gillera i odpowiednie rozporządzenia w początkach grudnia wygotowano i rozesłano do wojewódzkich. W rozporządzeniu co do dyslokacji Komitet nakazywał władzom powstańczym jak najspieszniesze przygotowanie odpowiedniej ilości paszportów ze zmyślonymi nazwiskami dla młodzieży wykazanej na pobór. Na dni parę przed branką samą Komitet zalecał wysłanie spisowych pojedynczo do sąsiednich województw, a nawzajem przyjmowanie i udzielanie opieki młodzieży, przybywającej z innych stron. Zwracano uwagę na to, by spisowi nie osiadali zbyt blisko pierwotnego swego miejsca pobytu, owszem jak najdalej, t. j. żeby, dajmy na to, spisowi z Lublina przenosili się do Płocka lub Suwałk, z Warszawy do Kielc, lub innego jakiego dalszego miasta. Wojewódzcy i okręgowi naczelnicy mieli się w tym względzie skomunikować ze sobą, porozumieć. Komitet wyrażał przytem życzenie, ażeby spisowi o ile

możności umieszczani byli po wsiach wśród chłopów, ażeby przybrali strój wiejski, pomagali w pracy swym gospodarzom. Utrzymanie tej młodzieży miało ciężać na właściwych województwach. Zalecano, by władze powstańcze miały jak najściślejszy nadzór nad zachowaniem się spisowych, w ten sposób dyslokowanych, i kontrolę ich prowadziły.

Takiem było w głównych zarysach rozporządzenie, dotyczące dyslokacji spisowych. Wywarło ono wogóle bardzo dobre wrażenie na organizację, świadczyło w jej oczach, że Komitet o niej pamięta i nie oddaje jej na pastwę Wielopolskiemu, jak to powszechnie mówić zaczęto. Ale jeżeli rozkaz o dyslokacji dobrze został przyjęty, to drugi rozkaz, o zaprzestaniu rozszerzania dalszego organizacji, wywarł ujemne wrażenie. Uchwała co do tego, jaka zapadła na grudniowych gorączkowych posiedzeniach Komitetu, miała swe źródło w tem, że liczba sprzysiężonych była aż nadto dostateczną do wywołania w danym razie powstania, że przez nieograniczone rozszerzanie organizacji narażało się ją tylko na zdradę, jak tego liczne poczynania już być wypadki. Rozkaz więc Komitetu zakazywał dalszego formowania dziesiątek, setek, oraz wszelkiego rodzaju zjazdów i narad liczniejszych. Rozkaz ten jednak nie podobał się nadzwyczajnie całemu sprzysiężeniu prowincjonalnemu, setnikom i dziesiętnikom; widzieli w nim oznakę słabości Komitetu. Trzecim nakoniec rozkazem, jaki wydał Komitet na swych grudniowych posiedzeniach, było rozporządzenie do władz rządowych, do gubernatorów i naczelników powiatów, zabraniające im najsurowiej, pod osobistą odpowiedzialnością, a nawet ewentualnie i karą śmierci, wszelkiego śledzenia spisowych, którzy się wydali z miejsca swego pierwotnego pobytu. Rozkaz ten nie pozostał bez wrażenia i bez skutku. W kilku miejscach, zwłaszcza władze niższe, naczelnicy powiatów, burmistrzowie miast i miasteczek, przez palce patrzyli na

tłumne nieraz ucieczki spisowych, co wszystko razem wzięte, przy szczerem i energicznem wykonaniu, mogło całkowicie zachwiać planem margrabiego.

Sprawą dyslokacji spisowych, według rozkazów Komitetu, zajęli się czynnie wojewódzcy. Nie mamy bliższych szczegółów, jak się do tego wzięli, prócz jednego województwa lubelskiego, co wszakże może służyć za wskazówkę ogólną. W Lublinie na liście poborowej, sporządzonej przez inspektora policji Jackowskiego, jak niektóre relacje utrzymują, należącego do organizacji powstańczej, figurowało zaledwie czterdziestu młodych ludzi, z których 18 tylko należało do sprzysiężenia, a reszta po większej części złożoną była z ludzi, znanych z niemoralnego prowadzenia się. Ponieważ w owym czasie organizacja miasta Lublina liczyła przeszło 700 osób, więc wzięcie nawet do wojska owych 18 młodzieńców nie mogło jej najmniejszej przynieść szkody, a dowodziło, jak niedołężnie i niedbale był wykonany plan Wielopolskiego przez niższe słoje administracji, i że w samym swym zarodku niósł ziarno niepowodzenia. Z drugiej strony dla władz powstańczych ukrycie przed branką ośmnastu młodych ludzi nie przedstawiało żadnych trudności. Za staraniem powstańczych naczelników powiatowych zyskano sobie włościan w dobrach rządowych i ordynacji Zamoy-skich, oraz w kilku dobrach prywatnych.

Chłopi oświadczyli, że chętnie przechowają u siebie spisowych. Mniej więcej wszędzie tak samo się urządza-no, choć, wobec pragnienia jak najszybszego powstania, nie wszędzie chętnie brano się do wykonania planu dyslokacji. Na Podlasiu komisarz Komitetu centralnego Rogiński, który miał później zasłynąć dziwnie awanturniczemi kolejami, wychowawiec szkoły w Cuneo, stąd Czerwieńiec zarozumiały, nie był przychylny projektowi dyslokacji i głośno twierdził, że on do niczego nie doprowadzi i że powstanie wybuchnąć musi. Z tem wszystkiem wojewódzki

miejscowy, Bronisław Deskur, czynnie zajął się przygotowaniami do dyslokacji. Miano znaczną ilość paszportów do wysyłki części popisowych do Galicyi, a w części w celu ukrycia ich wśród włościan. Liczba sprzysiężonych na Podlasiu miała dochodzić do 8,000, co jest oczywiście przesadą i, rzecz prosta, że nie wszyscy mieli być wzięci. Wogóle, przy energicznej działalności władz powstańczych, zdawało się, że plan dyslokacji będzie wprowadzony w życie, branka zamierzona przez margrabiego w ten sposób unicestwiona i straszna z mora powstania zażegnana.

Niestety! inaczej stać się miało, na nieszczęście Polski. W samym Komitecie byli ludzie gwałtownie pragnący powstania i jeżeli zgodzili się na dyslokację, a stąd na odroczenie wybuchu, to ulegli tylko przewadze Gillera, ale w głębi duszy inaczej byli przekonani i przy sposobności głośno przedrwiwali plan Gillerowski i zapowiadali, że dzięki jemu cała organizacja oddana będzie w ręce rosyjskie. Poza Komitetem było wielu mu nieżyczliwych, chorych na niezdrową ambicję rządu, gotowych na wszystko, byle obecny skład tego ciała obalić, a natomiast samym zająć stanowisko. W organizacji niższej wrzało ciągle jak w garnku i coraz donioślejsze, mimo wszystkiego, rozlegały się domagania, by Komitet dzień branki wyznać jako dzień powstania. Fale tych namiętności szalonych, wzbierając coraz bardziej, uderzały nieustannie o Komitet, który doskonale to widział, że jeżeli rzeczy się nie zmienią, to albo zostanie przez owe fale zalany i obalony, albo z ich prądem iść będzie musiał. Że w tem podburzaniu organizacji niższej brał czynny udział Komitet rewolucyjny Mierosławskiego, który nie mogąc w inny sposób psuć robót Komitetu centralnego, popychał wbrew woli tegoż sprzysiężenie do powstania, to nie ulega wątpliwości. To naleganie, to parcie do wybuchu, w oczach wielu, nieświadomych rzeczy, uważane było za pochodzące od

Komitetu centralnego i dzięki temu prąd ten przybierał coraz gwałtowniejsze rozmiary. Komitet więc, chcąc być gotowym na wszelki wypadek, postanowił poczynić przygotowania do powstania, a przede wszystkim sprowadzić broń do kraju, całkiem prawie jej pozbawionego. Na to trzeba było jednak pieniędzy, a tych było bardzo niewiele. W kasie Komitetu, która przechowywana była u pani Jeskowej, żony Władysława Jeske, członka organizacji, znajdowało się zaledwie 400,000 złp., zebranych z podatku, zadekretowanego w październiku. Była to suma stosunkowo śmiesznie mała, by za nią można było uzbroić naród i prowadzić wojnę z potężnym państwem w czasach, gdy do wojny trzeba wiele pieniędzy. Świadczyło to z drugiej strony, że ogół kraju niechętnie dawał grosz ludziom, których nie znał, i na cel, którego ogromna większość nie aprobowwała. Jakoż w rzeczy samej tak było. Jeżeli wierzyć można niektórym doniesieniom, to już w listopadzie w województwie Lubelskiem szlachta głośno uskarżała się na ów podatek procentowy, zadekretowany przez Komitet centralny, i domagała się, by rząd obronił ją od nacisku agentów Komitetu. To też Lubelskie niewiele dało; przesyławszy do Warszawy w początkach grudnia 40,000 złp., posiadało w kasie ledwie 500 złp. W tym oczywiście stosunku dały mniej więcej pozostałe siedm województw, skoro wszystkiego Komitet zebrał czterysta tysięcy. Za tę sumę niewiele można było zrobić i trzeba było istotnie tak szalonych głów, tak zaślepionych umysłów, by bez broni, bez pieniędzy, bez żadnych przygotowań, myśleć o wyzwaniu Rosyi na straszną walkę o śmierć lub życie. Mimo to, Komitet postanowił za to, co miał, kupić broń ile się da. W tym celu jeszcze w listopadzie ustanowiona była w Paryżu, z ramienia Komitetu centralnego, Komisya broni, złożona z czterech osób, pod prezydencją generała Józefa Wysockiego, który, po rozbiciu szkoły podchorążych w Cuneo, wrócił do stolicy francuskiej i czynny rwał

udział we wszystkich zagranicznych robotach powstańczych. W komisji tej główną rolę odgrywał Józef Ćwierczakiewicz, niegdyś urzędnik w biurze paszportowym przy Komisji spraw wewnętrznych, który umknął za granicę w czasie ostatnich wypadków i został agentem Komitetu centralnego.

Wzmiankowana Komisja miała zająć się zakupem broni i dostawą jej do kraju. Na ręce więc tej Komisji Komitet warszawski począł teraz co tydzień przysyłać pewną sumę, zaczawszy od 50,000 fr., według innych od 140,000 złp. Komisja broni napotykała w wykonywaniu swych obowiązków niemałe trudności. Żaden z jej członków nie miał najmniejszego nawet pojęcia o handlu bronią, o jej cenach i sposobie transportowania, a przytem nie dano im z Warszawy żadnych wskazówek, któredy mają broń odesłać i komu ją oddać. Komitet ciągle obiecywał, że instrukcyi dostarczy, a tymczasem ich nie dostarczał. Wśród takich trudności i niepewności, Komisja broni, z uwagi, że w samym początku wybuchu większość powstańców nie będzie się umiała obchodzić z bronią, postanowiła kupować karabiny jak najprostsze. W tym celu Ćwierczakiewicz za pośrednictwem Maryana Langiewicza, znanego nam profesora w szkole polskiej w Cuneo, zakupił w listopadzie w Genui około 5,000 starych pruskich skałkowych karabinów, przerobionych na pistonowe, płacąc za sztukę od 12 do 13 franków, co oczywiście znacznie przewyższyło sumę 50,000 fr., nadesłaną z Warszawy. Prócz tego w Londynie Ćwierczakiewicz nabył 3,987 karabinów z bagnietami za sumę 108,000 fr. Na to wszystko nie starczyło pieniędzy i ledwie w obu miejscach dano zadatki, tak, że wkrótce, gdy przesyłki funduszków z Warszawy się przerwały, czynność Komisji zeszła prawie do zera.

Szło więc teraz Komitetowi przedewszystkiem o to, by bądź-co-bądź i z jakiegokolwiek bądź źródła dostać

pieniędzy, bez których nic robić nie można było i to w chwili tak strasznej, gdy wybuch nie był już kwestyą miesięcy, ale kwestyą dni zaledwie. Zdarzyło się mniej więcej w tym czasie, że jeden z ekspedytorów poczty warszawskiej, należący do organizacji, uwiadomił za pośrednictwem tejże czy sam Komitet centralny, czy też jakąs podrzędniejszą władzę powstańczą, że z Warszawy furgonem pocztowym wywożone są znaczne sumy pieniędzy skarbowych do Moskwy i innych miast rosyjskich, wreszcie uwiadomił, że w dniu tym a tymi traktem Siedleckim taki furgon przejeżdżać będzie. Czy sam Komitet, czy też kto inny, bo dziś trudno już tego dojść, zdaje się wszelako, że działało się to poza plecami Komitetu i bez jego wiedzy, postanowiono skorzystać z nadarzającej się okazji, na ów furgon napaść i pieniądze zabrać. W tym celu wydelegowano znanego ze sprawy Baerensprunga, w której tak niezaszczytną odegrał rolę, Henryka Abichta. Przybył on z Londynu do Warszawy jeszcze w marcu 1862 r. za paszportem angielskim, wydanym na imię Johna Breta; zdaje się, że należał z razu do Komitetu Mierosławskiego, wreszcie po upadku tegoż wszedł do organizacji powstańczej. Młody człowiek, 27 lat liczący, syn doktora i profesora Akademii medycznej wileńskiej, był najsłabszym rewolucjonistą z podkładką międzynarodówki. Jemu to powierzono misję napadu na furgon pocztowy i dodano do pomocy dwóch studentów z b. Akademii lekarskiej: Stanisława Maleszewskiego i Michała Kozłowskiego. Wszyscy trzej mieli podrobione paszporty, które sam Abicht fabrykował i opatrzał pieczęciami, przywiezionemi z Anglii. Paszport Abichta był wydany na imię Kuliczkowskiego, dwaj jego towarzysze zwali się Baranowskimi. Wynajęli jednokonną furkę i uzbrojeni w sześć rewolwerów, w zapasy naboju i kapiszonów, w dwie siekiery, dłuto i drag żelazny, posiadając prócz tego kwity podatkowe, wyruszyli w drogę i zatrzymali się we wsi

Gonczyce pod Garwolinem, gdzie połączyli się z Abichem, który wyjechał z Warszawy osobno pocztą. Z Gonczyc w nocy dnia 19-go listopada przybyli do Garwolina i zajechali na popas przed karczmą żydowską. Przed karczmą pozostawili konie i bryczkę, a sami weszli do izby, żeby się rozgrzać, gdyż noc była wietrzna i zimna. Żydek faktor, nazwiskiem Brandman, zajrzał do wózka, zobaczył broń i doniósł o wszystkim burmistrzowi Luboińskiemu. Ten, zebrawszy, jaką mógł w nędznym polskim miasteczku, siłę zbrojną, przyszedł do karczmy i zażądał paszportów. Abicht na to odpowiedział wymierzeniem w Luboińskiego rewolweru. Obezwładniony przez policyantów, został wraz z jednym z towarzyszków przyaresztowany; drugi chciał uciekać, ale schwytany przez niejakiego Renkowskiego, razem z tamtymi odesłany był do cytadeli w Warszawie.

Rzecz się więc nie udała, jak nie udały się i inne tego rodzaju próby, i pieniędzy ciągle brakowało. Z tem jednak, co posiadano, co zdołano z podatku zebrać, oraz z instrukcją, dokąd ma być broń wyeksperymentowana, postanowiono wysłać do Paryża Franciszka Godlewskiego, członka organizacji, kilkakrotnie już w tej pracy wspomnianego. Wręczono mu około 300,000 złp. Z tą sumą Godlewski pojechał do Paryża, gdzie przedewszystkiem porozumiewać się począł z Ćwierczakiewiczem, który niedawno wrócił z Londynu i na którego policya francuska zwrócone miała oczy z powodu, że w stolicy angielskiej bywał często u Hercena, a nadewszystko u rewolucjonisty włoskiego, Mazziniego. Jakoż w rzeczy samej Ćwierczakiewicz widywał się z Mazzinim, któremu był oświadczył, że powstanie w Polsce jest bardzo prawdopodobne z powodu poboru, i zapytywał, o ile Polska może liczyć na poparcie rewolucjonistów europejskich. Czy Ćwierczakiewicz upoważniony był przez Komitet centralny do tego rodzaju pertraktacji, czy też działał na własną rękę,

jak to zresztą było we zwyczaju u wielu agentów powstańczych, nie wiemy. Dość, że Mazzini na to pytanie oświadczył w tonie jak najbardziej stanowczym, że rewolucyoniści europejscy, nie będąc na tak rychły wybuch przygotowani, żadnego poparcia nie obiecują, a powstanie na wiosnę uważają za największą klęskę nie tylko dla Polski, ale wogóle dla sprawy wolności w Europie. Mazzini z powodu tej rozmowy napisał nawet list do Komitetu centralnego, zaklinając go w imię wolności ludów, aby odroczone powstanie do chwili przyjaźniejszej.

Te to stosunki z Mazzinim zwróciły uwagę policyi francuskiej na Ćwierczakiewicza i pobudziły jej czujność. Śledząc go pilnie przez kilka dni, oraz jego stosunki, w nocy z dnia 20-go na 21-y grudnia przyaresztowała tak samego Ćwierczakiewicza, jak i przybyłego niedawno z Warszawy Godlewskiego, oraz jeszcze jednego Polaka, Czapińskiego nazwiskiem. Z papierów, zabranych Godlewskiemu i Ćwierczakiewiczowi, dowiedział się rząd francuski o zakupnie broni, a stąd o blizkim wybuchu powstania w Polsce; znalazł w tych dokumentach marszrutę, którą broń iść miała do kraju, oraz adresa różnych osób, które miały w przesyłce tej pośredniczyć i wogóle zająć się transportem karabinów. Wszystkie te papiery, wobec ciąglej nadzwyczajnej uprzejmości, jaką rząd francuski okazywał względem Rosyi, zostały doręczone ambasadzie rosyjskiej dla skopiowania, poczem dopiero zwrócono Godlewskiemu, którego zresztą w kilka dni później razem z towarzyszami wypuszczono na wolność. O tem zdarzeniu Komitet centralny dowiedział się od Zygmunta Sierakowskiego, znanego nam już oficera sztabu generalnego rosyjskiego, biorącego przed paru laty czynny udział w formacji petersburskiego koła powstańczego. Wysłany on był przez rząd rosyjski, zdaje się na przedstawienie ministra wojny Milutyna, którego Sierakowski był wielkim ulubieńcem, w r. 1861 do Paryża, dla wzięcia

udziału w pracach międzynarodowego Komitetu wojenno-statystycznego. Tutaj Zygmunt Sierakowski wszedł w stosunki z Garibaldim, Mazzinim, Hercenem i innymi koryfeuszami rewolucyjnymi tej doby. Z natury rzeczy i swego stanowiska, bywał on często w Paryżu u ks. Piotra Wittgensteina (właściciela ogromnych dóbr po-Radziwiłłowskich na Litwie, które odziedziczył po matce, Stefanii Radziwiłłównie), pełniącego obowiązki *attaché* wojskowego przy ambasadzie rosyjskiej, co tem było łatwiejszem, że osobisty sekretarz księcia, p. Władysław Majewski, był wielkim przyjacielem Sierakowskiego. Otóż zdarzyło się mniej więcej w tym czasie, że ks. Wittgenstein otrzymał z Petersburga od ministra wojny Milutyna list, w którym tenże zalecał księciu, aby baczna zwrócił uwagę na Sierakowskiego, gdyż policja francuska donosi, że ten ostatni ma stosunki z rewolucjonistami. Wittgenstein, wielki pan z rodu, ostrzegł zaraz o wszystkim Sierakowskiego. Ten uznał za stosowne pojechać do Petersburga, by kielkujące podejrzenia stłumić w zarodku, ale nie śpieszył się zbyt, gdyż nagle doszła go wiadomość o chorobie żony, pozostającej w Wilnie. Wyruszył więc natychmiast dnia 22-go grudnia i na wyjeździe dowiedział się o aresztowaniu Cwierzakiewicza, Godlewskiego i innych. Stawszy w Warszawie dnia 24-go t. m., uwiadomił o wszystkim Agatona Gillera, co na Komitet bardzo zapewne przysiębiające wywarło wrażenie.

Przybycie Sierakowskiego do Warszawy przypadło na chwilę, gdy tam na żądanie Komitetu zjechało się kilku dowódców przyszłego powstania dla narady i powzięcia decydującego postanowienia. Znalazł się więc tutaj w stolicy polskiej, w której, jak się zdaje, nigdy przedtem, ani potem już nie był, Maryan Langiewicz, niegdyś oficer artylerii gwardyackiej pruskiej, a który w parę miesięcy później miał odegrać pierwszorzędną rolę historyczną. Do Warszawy przybywał wprost z Londynu, gdzie, jak wiemy,

pomagał Cwierzakiewiczowi w kupnie broni. Obok Langiewicza i Sierakowskiego, w Warszawie stawiał się Zygmunt Miłkowski, zamianowany niedawno przez Komitet centralny naczelnikiem sił zbrojnych na Litwie i Rusi, znany w literaturze ojczystej pod pseudonimem T. T. Jeża; stawiał się dalej Lewandowski, emigrant z 1846 r., przebywający stale w Paryżu i uchodzący, nie wiadomo dlaczego, za dobrą głowę wojskową; przybył Zwierzdowski, który niedawno przeniesiony był z Wilna do Moskwy na skutek swych stosunków z Komitetem powstańczym wileńskim, i wreszcie głośny później Edmund Różycki.

Spodziewano się jeszcze przybycia Czapskiego i innych, ale zdaje się, że nie przybyli wcale. Rozpoczęły się więc wielkie narady, w których jednak nie wszyscy zebrani gremialnie brali udział, naprzód dlatego, że nie przybywali jednocześnie. Wtedy n. p., kiedy Miłkowski bawił w Warszawie, Sierakowskiego jeszcze nie było. Z każdym więc z przyszłych dowódców Komitet pojedynczo się naradzał i to nie cały, ale zwykle przez pośrednictwo Padlewskiego, Aweydy lub innych. Nie ukrywali oni tego wcale, że nie było ani jednej sztuki broni. ani garści prochu, ani kawałka ołowiu. Zażądane w tym mniej więcej czasie przez Komitet centralny od wojewódzkich wiadomości o liczbie sprysiężonych i ilości broni wykazywały pod tym względem stan bardzo zły. W Lubelskiem sprysiężonych było około 4,000, broni zaś, prawie wyłącznie strzelb myśliwskich, było zaledwie trzysta kilkadziesiąt sztuk. W województwie Podlaskiem sprysiężonych miało być znacznie więcej, broni zaś palnej myśliwskiej trzysta sztuk się znalazło.

Nie lepszy zapewne był stan innych województw. Stawiano więc przybyłym dowódcom pytanie: czy z tak nędznymi zasobami należy skorzystać z branki i wybuch naznaczyć, czy też czekać i lepiej się przygotować?

Miłkowski przybył do Warszawy w końcu listopada

lub w początkach grudnia i stanął w hotelu Rzymskim na Nowo-Senatorskiej ulicy, pod zmyślonem nazwiskiem, i na-przód spotkał się z Godlewskim, który go zaprowadził na posiedzenie Komitetu, na ulicę Widok, do domu pani Heurich, do mieszkania pani Jeskowej, siostry Szwarcego, u której przechowywana była, jakżeśmy już wspomnieli, kasa Komitetu. Na posiedzeniach tych, których było kilka, bywał Godlewski, Szwarce, Aweyde, Winnicki. Giller nie był ani razu, a Padlewski wówczas nie wrócił jeszcze, zdaje się, z Petersburga, dokąd, jak wiemy, jeździł w celu zawiązania stosunków z rewolucjonistami rosyjskimi. Przedmiotem narad był wybuch powstania wspólnie z branką, co głównie popierał gorączkowo Szwarce. znany nam już ultraczerwieniec i słaba bardzo głowa, ale krzykacz niepospolity. Godlewski, chłodny i rozważny, przeciwny był wybuchowi tak wczesnemu, ale wobec branki uważał go za złe konieczne. Aweyde w ten sam sposób patrzył na rzeczy—i gdy mu Miłkowski przedstawiał straszne następstwa przedwczesnego wybuchu, przyjmował je z zimną determinacją. Jeden tylko Tomasz Winnicki był stanowczo przeciwny wybuchowi. Ze swej strony Miłkowski radził, by wstrzymać się z powstaniem do maja, przyczem osobliwsze wygłaszał zdania, świadczące o dziwnych wyobrażeniach i o dziwniejszej jeszcze logice rewolucjonistów tej epoki. Przewidywał on, że powstanie upadnie, jednakże domagał się, by ono nastąpiło i by Ruś w nie wciągniętą została. „W razie takim bowiem—mówił—pozostanie fakt, świadczący wobec świata i wobec naszego własnego sumienia o prawach Polski do tej całości jej politycznej, jaką dla niej dzieje urobiły. Zachodzi tu przytem i racja strategiczna, wyrażająca się za pomocą rozerwania uwagi nieprzyjaciela na obszar ogromny.“ W każdym razie Miłkowski jak najgoręcej odradzał wybuch powstania w styczniu. Na tym punkcie nie bardzo go słuchano i wszyscy zdawali się ulegać pate-

tycznym i pseudo-patryotycznym wykrzyknikom Szwarcego, tak, że Miłkowski nabył przekonania, iż wybuch wspólnie z branką jest nieuniknionym. Jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz Szwarce mu oświadczył, że Komitet do jego przychylił się zdania. „Jako?—zapytał Miłkowski—a rekrutacja?“ „Znaleźliśmy na nią sposób.“ Sposobem tym, jak wiemy, było zniszczenie list spisowych i dyslokacja konskryptów. Miłkowski zapytał się przytem, czy Komitet czuje się na siłach wybuchu powstrzymać? Odpowiedziano mu, iż zdaje się, że organizacja będzie posłuszną.

Przybyły później Sierakowski także doradzał powstrzymanie powstania. Wychowany wojskowo, znający doskonale siły Rosyi, przedstawiał Komitetowi niemożność zwycięstwa i otrzymał przyrzeczenie, że powstanie nie tak prędko nastąpi. Wyjeżdżając do Wilna, rzekł do Giller: „Polegam na tobie i na was, że nie dopuscicie do powstania, które byłoby nieszczęściem.“ Takie mniej więcej zapewnienie otrzymał i Edmund Różycki, który z drugim delegatem od Komitetu Rusi przybył w tej porze do Warszawy. Oświadczone mu wyraźnie, że Rusi zostawia się zupełną swobodę działania do tego stopnia, że gdyby Komitet tamtejszy widział, że powstanie w tej prowincyi udać się nie może, lub gdyby chłopcy byli gotowi do wystąpienia przeciw powstańcom, wolno jest Komitetowi zupełnie do ruchu nie przystępować. W ogólności decyzję samego powstania zostawiono Rusinom. Delegaci ze swej strony zapewniali, że Ruś do wybuchu nie jest gotową i że trzeba czekać. Komitet warszawski obiecywał też, że czekać będzie. Jakkolwiek jednak takie powzięto postanowienie, wszelako Komitet centralny zażądał od przybyłych dowódców planu przyszłej wojny o niepodległość. Sierakowski proponował, że jeżeli wybuchnie powstanie, kiedyś tam w maju, czy w lecie 1863 r., to należy prowadzić z razu wojnę partyzancką, a potem drobne od-

działy łączyć w kolumny i starać się opanować choć część kraju i tam organizować armię regularną. Ponieważ jednak w tej chwili nie było już mowy o powstaniu i do wybuchu dużo jeszcze miało upłynąć czasu, radził więc, aby istniejącej organizacyi nadać charakter wojskowy i zwrócić wyłącznie jej działalność do przygotowywania zapasów broni, amunicyi, wszelkiego rodzaju sprzętu wojennego i pieniędzy. „Odtąd—mówił—to ma być wyłącznie zadaniem i celem organizacyi.“

Dla większej sprężystości w działaniu, radził zniesienie urzędu wojewódzkich, a natomiast podzielenie całego Królestwa Polskiego i gubernii północno-zachodnich Cesarstwa na pięć części, czyli okręgów wojennych, z naczelnikami na czele, posiadającymi władzę dyktatorską. Te pięć okręgów wojennych miały stanowić: lewy brzeg Wisły, t. j. gub. Radomska i Warszawska; prawy brzeg Wisły, t. j. gubernia Lubelska; osobny okrąg, trzeci z rzędu, miały tworzyć: gubernia Płocka i Augustowska; czwarty Litwa, piąty Ruś. Na naczelnika lewego brzegu Wisły proponował czy Sierakowski, czy też ktoś z członków Komitetowi, na wypadek, gdyby plan ten był przyjęty, Langiewicza. Lewandowski, który właśnie przybył do Warszawy w czasie rozpraw nad tym planem, pragnął, by jemu oddano lewy brzeg Wisły, ale mu odmówiono z tego powodu, że Langiewicz, jako były oficer pruski, ma stosunki w tej armii i łatwiej mu przyjdzie stanąć na czele oficerów i broni. Lewandowski więc otrzymał okrąg prawego brzegu Wisły, to jest Lubelskie i Podlaskie, które uważano za najodpowiedniejsze dla niego, jako urodzonego na Podlasiu (w Łaskarzewie). Płockie i Augustowskie miał objąć Czapski, Litwę Sierakowski, Ruś Różycy i Miłkowski.

Ten ostatni wezwany został także o nakreślenie swego planu. Odmówił na tej zasadzie, że nie posiada żadnych danych, na których mógłby oprzeć swój projekt.

Mówiono mu, że sprzysiężonych jest 18,000, co dowodzi, że nie miano nawet na tym punkcie dokładnych cyfr, to też wydała się ona Miłkowskiemu nieścisłą i nie mogła służyć za podstawę dostateczną. Nadto brakowało mu wiadomości o rozstawieniu wojsk rosyjskich; przepędziwszy kilkanaście lat na emigracyi, nie miał wyobrażenia o usposobieniu ogółu mieszkańców Królestwa. Nie chciał więc dać planu, skreślił tylko na piśmie projekt osnowy następującej: „Ludzie kompetentni powinni wybrać trzy lub cztery punkty na ogniska ruchu; w nich zgromadzić w ilości jak największej broni i amunicję. Jako jeden z punktów takich wymieniam Warszawę, przeznaczając takową na zapoczątkowanie powstania uliczną za barykadami walką, prowadzoną uporczywie i jak najdłużej, a to w tym celu, ażeby, podczas gdy na Warszawę zwróci się główna uwaga i jak największe siły nieprzyjacielskie, powstańcy na prowincyi mieli czas do ściągnięcia się na punkty zborne, do uzbrojenia się, uporządkowania i przystąpienia do działania zaczepnego przeciwko garnizonom nieprzyjacielskim, pozostającym na leżach. Warszawę radzę po kilkodniowej walce opuścić i wyprowadzony z niej oddział złączyć z najbliższym oddziałem, sformowanym w jednym z punktów ogniskowych. Przypuszczam, że oddziały w ten sposób ściągnięte wynosić będą po mniej więcej 10,000 walczących. Z nimi można będzie kusić się o oczyszczenie z nieprzyjaciela pewnej znaczniejszej części kraju, co dałoby możność formowania w części tej armii narodowej.“ Projekt ten był na wskrós fantastyczny, jak wszystko zresztą w tym ruchu i powstaniu było fantastycznym. Zdawałoby się, że człowiek ze zdrowymi zmysłami nie mógł przypuścić, by ruchawka w Warszawie mogła przez kilka dni toczyć walkę za barykadami z trzydziestotysięczną armią, wspieraną przez działa cytadel; by na koniec przez te kilka dni na prowincyi, także zalanej wojskiem rosyjskiem, powstańcy mogli się uzbroić,

uporządkować i atakować garnizony nieprzyjacielskie. A jednak stan umysłów był tak osobliwy, gorączka tak silną, że najoczywistsze brednie uchodziły za coś bardzo rozsądnego; zastanawiano się nad niemi, dyskutowano je i rozbiegano.

Zygmunt Padlewski podał trzeci plan, który w gruncie rzeczy był tylko rozwinięciem na szerszą skalę pierwotnego Gillerowskiego projektu dyslokacji. Plan ten wobec „kartki o poborze,” którą organizacja doskonale pamiętała i domagała się, by obietnica w niej dana była ściśle wykonaną, zasłaniał Komitet centralny zupełnie od wszelkiej odpowiedzialności. Padlewski, jak się zdaje, nie wierzył temu, by, wobec nacisku organizacji, Komitet mógł wybuch powstrzymać; w gruncie rzeczy sam uważał powstanie za największy błąd i nierozum, ale sądził, jak niegdyś kasztelan Bidziński na sejmie 1688 r., że „Polska ma gorączkę, trzeba jej krwi puścić,” i poświęciwszy kilka tysięcy ludzi, kraj od nieszczęścia ocalić. Chciał więc, ażeby wszyscy popisowi, zagrożeni branką, przed jej terminem zgromadzili się w lasach między Dąbrową Górniczą i Kielcami, w okolicy górzystej, a stąd przedstawiającej łatwość ukrycia się przed wzrokiem nieprzyjaciela. Na te punkty, o tymże czasie, ma być dostawiona broń, zakupiona za granicą. Tym sposobem utworzyłaby się mniej więcej dziesięciotysięczna armia, złożona z samych popisowych, armia „zrozpaczonych,” jak ją nazywał Padlewski, ludzi, którzy walczyć musieli na śmierć lub życie, którzy innego wyjścia nie mieli, tylko albo iść do batalionów Orenburskich, albo zwyciężyć. W innych miejscowościach Królestwa spokojność ma być ściśle zachowana do pewnego czasu. Armia „zrozpaczonych,” uorganizowawszy się jako tako w lasach kieleckich, ma rozpocząć wojnę zaczepną, czynną i energiczną. Jeżeli działanie jej będzie pomyślne, jeżeli otrzyma jedno lub dwa zwycięstwa, to uznana zostanie za armię powstańczą i Komitet

centralny ogłosi powszechne powstanie. W razie zaś, gdyby armia ta rozbita i pokonana została, to wystąpienie jej uważanem być ma za krwawy protest przeciw brance wyjątkowej. Kraj za to, ani Komitet centralny odpowiadać nie będzie, rzeczy wrócą do dawnego stanu, przygotowania do powstania z lepszym skutkiem prowadzić się będą, i gdy właściwa pora nadejdzie, wybuch powszechny nastąpi. Dowództwa nad armią „zrozpaczonych” podejmował się sam Padlewski.

Ze wszystkich przytoczonych powyżej planów, których niewątpliwie było więcej, ale które nie są nam znane, ten był najlepszym i najrozsądniejszym. Na gorączkę, owładającą ówczesną młodzieżą, jedynym lekarstwem był Bidzińskiego upust krwi i ocalenie przez to kraju od nieuniknionych i strasznych następstw. Wszelako Komitet centralny, przekonany, że mimo wszystko do powstania nie przyjdzie, żadnego z tych planów nie zaakceptował, przyjął je tylko do wiadomości. Wszyscy dowódcy, którzy kolejno zjeżdżali się do Warszawy, opuścili ją z tem przekonaniem, że wybuch w najgorszym razie wcześniej jak na wiosnę nie nastąpi. W tem przekonaniu Sierakowski puścił się do Wilna, dla odwiedzenia chorej żony, a stąd do Petersburga; Langiewicz przez Kielce miał zamiar dostać się do Krakowa; Miłkowski udał się na Wołoszczyznę, by urządzić na Konstantynopol transport broni, zakupionej przez Godlewskiego i Ćwierczakiewicza; wreszcie Lewandowski, korzystając z paszportu, pojechał w rodzinne strony na Podlasie.

Przyjazd tego ostatniego do Warszawy przypadł współcześnie z wypadkiem, który miał mieć ważne następstwa i wpłynął bardzo znacząco na ostateczną decyzję w dniach tej strasznej niepewności. Lewandowski, wyjeżdżając do Warszawy, otrzymał w Paryżu, podobnie jak Miłkowski i inni, wskazówkę, że po przybyciu na miejsce ma się udać na ulicę Widok, do domu № 1575,

będącego własnością pani Heurich, i że tam otrzyma potrzebne wiadomości. Był to ten sam dom, w którym mieszkała siostra Szwarcego, Jeskowa, w którym przechowywała się kasa Komitetu centralnego i w którym tenże odbywał znane nam już narady z Miłkowskim. Lewandowski, przybywszy d. 23 grudnia, w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, udał się pod wskazany adres i spostrzegł, że cała ulica była obstawiona przez policję, chwytającą każdego niemal z przechodniów. Sam przytrzymany, wytłómaczył się, że jest ekonomem ze wsi, przybyłym dla leczenia się do Warszawy, i został wypuszczony. Powodem tak licznych aresztowań na ulicy Widok było wykrycie drukarni „Ruchu,” urzędowego organu Komitetu centralnego, która mieściła się w domu babki czy ciotki Szwarcego, pani Heurich. Zdaje się, że policja o tem pomieszczeniu dowiedziała się przez zdradę, i napadłszy nagle w nocy, znalazła drukarnię, cały numer 10-ty pisma złożony i gotowy do druku, kilkadziesiąt dawniejszych egzemplarzy, dwie ryzy papieru namoczonego do odbicia i mnóstwo proklamacyi rewolucyjnych. W drukarni, a raczej w prywatnem mieszkaniu, zastano niejakiego Romualda Kłosowicza, który przyznał się od razu, że drukował nie tylko „Ruch,” ale także mnóstwo innych pism rewolucyjnych. Kłosowicz pracował w fabryce obić Vettera, ale przejęty gorącym patryotyzmem chwili, nauczył się zerstwa i składał „Ruch” we własnem mieszkaniu, ubogim pokoiku we wzmiankowanym domu. Zdaje się, że pomieszczenie to dał Szwarce. Kłosowicz, garbaty, niepozorny, był jednak bardzo czynny. Przy pomocy niejakiej Kraszewskiej, żony woźnego z kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, składał, odbijał i ekspedyował „Ruch.” Owa Kraszewska, kobieta obarczona kilkorgiem dzieci, w ten sposób zwiększała środki utrzymania domowego. Zdaje się, przynajmniej w kołach powstańczych tak wówczas powszechnie utrzymywano, że drukarnię „Ruchu” zdradził mąż Kra-

szewskiej. Owej nocy, w której policja wpadła na ulicę Widok i przyaresztowała Kłosowicza z całym aparatem drukarnianym, Kraszewska powiła dziecko i dlatego jej nie aresztowano.

Wykrycie miejsca, w którem odbijano tajne pismo, było niewątpliwie bardzo poważną zdobyczą dla policji, która poszukując spisku od dwóch lat prawie, nie dotąd wysledzić nie mogła; ale o wiele ważniejszą zdobyczą, ze względu na sam Komitet centralny, było aresztowanie jego bodaj czy nie najczynniejszego członka w tej dobie, Bronisława Szwarcego. Od dawna energicznie poszukiwany przez policję, ukrywał się u jednego ze swych kolegów. urzędnika kolei Warszawsko-Petersburskiej, i mieszkał u niego na Pradze, gdzie w owe czasy dozór policyjny był znacznie mniejszy i ukrywanie się wogóle łatwiejsze. Stąd to, z Pragi, robił prawie codzienne wycieczki do Warszawy. Otóż nazajutrz po wykryciu drukarni *Ruchu*, Szwarce, nie wiedząc o niczem, przyszedł do tego domu, a ponieważ wszystkich przychodzących aresztowano, więc i jego chciano przytrzymać. Ale nie dał się ująć, począł uciekać, i myląc drogę pogoni, dostał się aż na ulicę Książęcą, co jednak nie na wiele mu się przydało, gdyż, ściągany zawzięcie, schwytany tu został przez niejakiego Fajfery, głuchoniemego, który zapewne nie wiedział, o co idzie. Szwarce do Fajfery dał ognia z rewolweru, ale chybił. Znalezione przy uciekającym rewolwer, sztylet, strychninę zapieczętowaną w piórku, kilka kwitów Komitetu centralnego, instrukcję jakąś pisaną i różne notatki. Szwarcego odesłano do cytadeli, a śledztwo w tej sprawie powierzono specjalnej komisji pod prezydencją pułkownika żandarmeryi, Tałajewskiego.

Wieść o wykryciu drukarni i aresztowaniu Szwarcego szybko się rozeszła po mieście, zwłaszcza, że doniósł o tem zaraz nazajutrz urzędowy *Dziennik Powszechny*. Zdawało się, że *Ruch* więcej wychodzić nie powinien,

tymczasem w cztery dni potem ukazał się jego numer (jedenasty z kolei), w którym czytano, nie bez zdziwienia i pewnej konsternacji tak w sferach rządowych, jak i wśród publiczności, co następuje: „Parę dni temu odkryto jakąś drukarnię i schwytano młodego jakiegoś człowieka, który wszedł wobec policyi do tegoż domu, a potem proszony o przejażdżkę do ratusza, wiedząc, czem taki spacer się kończy, wiedziony bardzo naturalnym instynktem zachowawczym, póki mógł, uciekał. Samo wejście do domu, otoczonego policyą w biały dzień, dowodząc nieskażonej czystości sumienia w człowieku, który to zrobił, powinno zdjąć z niego wszelki zarzut konspirowania, a jednakże jak telegrafem rozbiegła się wieść, że drukarnię i redaktora czy współredaktora *Ruchu* schwytano. W odpowiedzi na śmieszną tę pogłoskę *Ruch* wychodzi wcześniej niż zwykle.“ Jakkolwiek świadomości rzeczy i policya doskonale wiedziała, czego się trzymać, i słowa o „jakiejś drukarni“ i „jakimś młodym człowieku“ i o jego „nieskażonej czystości sumienia“ nie mogły jej w błąd wprowadzić, wszelako ukazanie się nowego numeru *Ruchu* dowodziło nadzwyczajnej energii i siły sprzyśięcia.

Ale wypadki teraz tak szybko następowały po sobie, że nie pozwalały zbyt długo zastanawiać się nad jednym, choćby najważniejszym faktem. Uwagę powszechną obecnie zwracał na siebie zjazd biskupów Królestwa do Warszawy i zabiegi, jakie czynił Wielopolski, by ich pozyskać dla siebie, a raczej dla dobrze zrozumianego interesu kraju. Powodem tego zjazdu była konsekracja ks. Majerczaka, mianowanego w dniu 25-ym listopada biskupem jerychońskim. Na ten uroczysty akt, dopełniony w katedrze św. Jana przez arcybiskupa Felińskiego w dniu 14-ym grudnia, zjechali się, oprócz samego ks. Majerczaka, biskupi: Marszewski i Juszyński. Uderzającym było to, że z sześciu obsadzonych w owe czasy diecezji przybyło

tylko dwóch biskupów, choć margrabia wszystkich zapraszał do Warszawy. Beniamin, biskup podlaski, tak ściśle niegdyś związany z Wielopolskim, nie przyjechał, dając tem poznać, że nie aprobuje postępowania margrabiego. Rząd doskonale wiedział, że wśród duchowieństwa, zwłaszcza niższego, szerzy się na wielką skalę agitacja powstańcza, że księża należą do organizacji, przyjmują przy sięgę od spiskowców; wiedział o zjazdach duchowieństwa, na których uznano Komitet centralny za jedyną prawną władzę. Szło więc o to, by kler odciągnąć od spisku i temu ostatniemu odebrać tym sposobem jedną z najsilniejszych podpór. Różne w tym celu obmyślano środki, radzono się ks. Felińskiego i wreszcie powstał pomysł, nie wiadomo ostatecznie w czyjej głowie zrodzony, ażeby dla odzyskania wpływu na duchowieństwo, dla powstrzymania go od sprzyśięcia, sprowadzić Jezuitów do Warszawy. Skomunikowano się nawet w tym celu z Jezuitami krakowskimi i zapadło postanowienie, że do Warszawy mają przybyć księża: Mycielski i Ciechanowiecki, z odpowiednią liczbą braciszków, dla założenia rezydencji. Był to jednak środek, który dopiero w dalekiej przyszłości mógł przynieść owoce, a tu tymczasem wulkan rewolucyjnego huczał i krwawą łuną ognia wewnętrznego zapowiadał blizki, wszystko niszczący wybuch. Kościół katolicki w Polsce znajdował się w tej porze w tak szczęśliwym i niezależnym położeniu, jakiego od lat trzydziestu nie zaznał, że pragnąć tylko trzeba było, by sytuacja nie uległa zmianie. W Ks. Konstanty okazywał wszędzie poszanowanie dla przedstawicieli katolicyzmu. Mówiliśmy już we właściwym miejscu, że zanosilo się nawet na zniesienie prawa o małżeństwie z prawosławnymi—i ks. Feliński, za specjalnem pozwoleniem, którego udzielenie zależało teraz od W. Ks. Namiestnika, parę takich ślubów pobłogosławił z warunkiem, że dzieci wychowane będą w wierze katolickiej. Sam W. Książę zdejmował czapkę, spotkawszy pogrzeb

katolicki na ulicy, i nakazywał to czynić całemu swemu orszakowi.

Wszystkie te fakty i wieści, prawdziwe czy nie, nie miały wpływu na duchowieństwo, którego akces do Komitetu centralnego wszędzie, na rząd w Warszawie, na publiczność polską wielkie wywarł wrażenie. Nadarzała się teraz sposobność, by przy pomocy biskupów powstrzymać kler polski od fatalnej i ślizkiej drogi, na którą wszedł. Pomysł był dobry, ale już w samym początku chybiony przez to, że tylko dwóch biskupów się stawiło, z których jeden, Marszewski, uchodził za kreaturę rządową i wszyscy pamiętali przeszłoroczne przyjęcie go w Łęczycy; drugi, Juszyński, stawiał się w Warszawie nie tyle na wezwanie margrabiego, ile przez osobistą przyjaźń dla ks. Majerczaka. Gdyby nawet ci dwaj biskupi i trzeci Majerczak zgodzili się na propozycję Wielopolskiego, to byłoby to tylko połowiczne załatwienie sprawy, bo reszta dyecezyi pozostałaby w dawnym stanie. Mimo to wszystko, postanowiono robić co sumienie i szczerą miłość ojczyzny robić nakazuje. Krzywicki, jako dyrektor Komisji oświecenia, w dniu 17-yim grudnia zaprosił trzech obecnych biskupów na konferencję, na której przedstawił im w świetle właściwem postępowanie duchowieństwa nierozważne i nielegalne; uskarżał się, że kler wprowadza do Kościoła politykę, że bierze udział w tajnym spisku, że upoważnia do morderstw; że trzeba dla ochrony świątyń od zniewagi, dla utrzymania powagi zwierzchności duchownej, dla zachowania porządku i spokoju publicznego, aby władza duchowna i biskupi wystąpili energicznie przeciw tym zdrożnościom i na podstawie praw kanonicznych przedsięwzięli środki, ku usunięciu złego zmierzające. Biskupi z razu przyznali zupełną słuszność tym żądaniom, obiecali, że, za przykładem biskupa sandomierskiego, zwołają w swych dyecezyach dziekanów i zalecą im ściśle przestrzeganie obowiązków, że występnych księży pociągać będą do od-

powiedzialności dyscyplinarnej. Wszelako te dobre ich intencje, gdy się znaleźli sami, a może pod wpływem Czerwieńców, których uwagi nic nie uszło, uległy zaraz gruntownej zmianie. Nazajutrz bowiem wystosowali do dyrektora Komisji oświecenia i wyznań, Krzywickiego, podanie, w którym zupełnie inne zajęli stanowisko.

Zbijając oskarżenie, jakoby duchowni upoważniali do morderstw politycznych, twierdzili, że oskarżenie to opiera się na „szczegółach zakomunikowanych przez urzędowe organa i niedokładnych, z boku zasłyszanych wieściach,“ że zatem to nie przedstawia „żadnych danych, na którychby sąd co do ocenienia ważności i doniosłości złego oprzeć mogli.“ Wreszcie postawili swe desiderata, które jedynie, według ich zdania, mogły złe wytepić u źródła, a mianowicie: ułatwienie stosunków ze Stolicą Apostolską i jenerałami zakonów, usunięcie praw i postanowień zasadom Kościoła przeciwnych, podniesienie studiów po seminariach, wysyłanie alumnów za granicę dla kształcenia się w naukach, powiększenie uposażenia kapituł, konsystorzów i dziekanów. W końcu domagali się, by ze względu, „iż usiłowanie pojedynczych biskupów nie miałoby dość siły do skutecznego reformy,“ zwołany został synod prowincjonalny, a przed nim jeszcze konferencja wszystkich biskupów i rządców dyecezyi.

Zjazd biskupów, a nadewszystko konferencja z nimi Krzywickiego, nie uszły uwagi Czerwieńców. *Ruch* zazna-
czył tę okoliczność, i donosząc, jakoby Wielopolski domagał się od biskupów adresu, powiada: „Jakkolwiek wiadomo nam, jaki był rezultat tych spisków, odbywanych w pałacu arcybiskupim u Krzywickiego, jednak Centralny narodowy Komitet uznał za konieczne pertraktacje te podać do publicznej wiadomości i ostrzedz biskupów, by nie dali się sprowadzić z drogi obywatelskiej i drogi prawdy, której służą. Nie wchodząc już wcale w ważność, rzeczywistość i pewność obietnic, odbywa-

my się do sumienia kapłańskiego i obywatelskiego biskupów naszych i zapytujemy ich wobec Boga i całego chrześcijańskiego świata, czy nie byłoby zbrodnią, zohydzeniem wielkiego, świątobliwego charakteru ojców Kościoła—potępiać, przedawać chociażby (przypuśćmy) błędzących braci swoich, powierzonych ich opiece? Zapytujemy ich, czy adres żądany nie byłby powtórzeniem judaszowskiego handlu? Centralny narodowy Komitet ma zatem nadzieję, że biskupi odrzucą wszelkie propozycje rządowe i nie opuszczą narodu, że jak dotąd, jak zawsze w naszych dziejach, staną po jego stronie; że postępować będą drogą pełną cierniów i bólów wprawdzie, ale drogą cnoty i miłości zarazem, a przy wspólnej modlitwie i wspólnej pracy, czysti i niepokalani, za łaską Opatrzności dojdziemy do celu naszych usiłowań, do niepodległości narodu i Kościoła.“

Zamierzona więc przez Wielopolskiego akcja stanowczo się nie udała, jak wszystko się nie udawało, ilekroć odwoływał się do przedstawicieli społeczeństwa polskiego. Mimo to akces duchowieństwa do Komitetu powstańczego zbyt wielkie wrażenie wywarł, by miał pozostać bez skutku. Sędziwy arcybiskup gnieźnieński, ks. Przyłuski, prymas Kościoła polskiego, przerażony następstwami tego kroku duchowieństwa. w parę dni po odmownej odpowiedzi biskupów na propozycje Krzywickiego, wystosował pod dn. 20 grudnia gorący, przejęty szczerą miłością ojczyzny, a nadewszystko rozumny list do ks. arcybiskupa Felińskiego. W liście tym, napisanym podobno za radą ks. Koźmiana, stanowczo potępiona została postawa i zachowanie się kleru polskiego. „Niewątpliwą zdaje się rzeczą—mówił ks. Przyłuski,—że w niektórych stronach Polski pod rządem rosyjskim duchowni oświadczyli się z gotowością popierania ruchu rewolucyjnego skrajnego, że przez to postavili się w konieczności należenia do tajnych sprzysiężeń i pójścia pod posłuszeństwo

innych osób, niżli ich naturalni zwierzchnicy. Owóż wszystko to musi koniecznien najfatalniejsze pociągnąć za sobą skutki. „Agitacya tego rodzaju, jak agitacya dzisiejsza, albo prowadzi do rychłego wybuchu, albo jest balansectwem. Skutki wybuchu wobec całej Europy i u nas samych łatwo możemy przewidzieć. Zeszłoroczne wypadki warszawskie postawiły naród polski wysoko wobec ludzi szlacheckich i ludzi rozumnych; otóż wszelkie niewczesne poruszenie skompromitowałoby te nabytki. Same nawet roboty przygotowawcze, objawiające się co chwila zbrodniami, przeciwnymi przykazaniom Bożym, jako z jednej strony wystawiają na szwank sumienie narodowe, tak z drugiej narażają nieskalaną dotąd w dziejach prawosć polskiego charakteru. Nadto wszelkie działanie radykalne zadaje kłanistwo niedawnym a uroczystym oświadczeniom ze strony polskiej. Ślepa zaciekłość ludzi, którzy w tym razie mniej baczą na dobro ojczyzny, a dbają bardzo o pożytek choćby tylko chwilowy i przemijający ogólnej rewolucyi europejskiej, czyż nie łatwoby spowodowała galicyjskie ostateczności? Ze swej strony duchowni winniby i o tem pamiętać, że w razie nieudania się jakiegokolwiek poruszenia, albo odkrycia znowy, przez udział w niej dadzą pochop rządowi targać się na niepodległość Kościoła, do ograniczenia jeszcze bardziej jego niezależności. A chwila jakże wybrana? Gdzie pomoc? skąd ratunek, w przypuszczeniu, że się nie powiedzie? Obietnice i mamidła, choćby najrzęczniejszy używane, nie zdołają zakryć tej prawdy oczywistej, że pora dzisiejsza najgorzej obmyślana i że nie podobna spodziewać się rychło zmiany okoliczności. Nie takie są bezpieczne i zbawienne dla kraju naszego drogi. Spiski, ciągle powtarzane, wycieńczają tylko coraz bardziej zasoby jego, kraj ubożeje, a ludzie marnują się bezowocnie; spiski wstrzymują młodzież, a nawet ludzi dojrzałych, od organicznej pracy. Doświadczenie powinno raz od nich oduczyć. Zbyt często byliśmy igrzyskiem złe

zrozumianego patryotyzmu, lub służyliśmy innym za narzędzie; czas odrzucić fantazyę, a wziąć za gwiazdy przewodnie wiarę, rozum i doświadczenie.“ Zgodnie z życzeniem prymasa, ks. Feliński list ten przesłał w kopiach do biskupów i wszystkich wybitniejszych księży, ale wrażenia on nigdzie nie wywarł, jak nie wywarły późniejsze nieco, piorunujące słowa ks. Hieronima Kajsiewicza ze zgromadzenia Zmartwychwstańców „do braci księży grzesznie spiskujących.“ W całym kraju podnosiła się jakaś mgła niezdrowa i mętna, jakieś wyziewy, oszołomiające mózgi i serca, zaslepiające wzrok i popychające naród do samobójstwa.

Ale zaledwie odczytano list ks. Przyłuskiego, zaledwie miano czas zastanowić się nad nim nieco, gdy zaszły nowe wypadki, które uwagę powszechną w inną stronę zwróciły. Tym razem uwagę tę ściągnął na siebie J. I. Kraszewski, głośny, bodaj czy nie najgłośniejszy pisarz tej doby i redaktor *Gazety Polskiej*. Był to człowiek nadzwyczaj wrażliwy i nerwowy, ulegający wpływowi, stąd w gazecie swojej, w miarę rozmaitych prądów, które potrafiły nim na chwilę owładnąć, nie trzymał się jednolitego kierunku. Raz zdawał się popierać Wielopolskiego, zachęcał kraj do przyjęcia żywego i czynnego udziału w nadanych mu instytucjach, powstawał przeciw manifestom, Czerwieńcom i zamachom,—to znów pod wrażeniem czyichś słów, lub jakiegoś wypadku, stawał sztorcem do margrabiego i gdzie mógł i jak mógł latkę mu przypinał. Mściwy charakter Wielopolskiego zapominał o tem, co Kraszewski na jego korzyść mówił, ale doskonale pamiętał, co przeciw niemu między wierszami drukował; wiedział, że ma stosunki z Białyni, że większa część odezów tych ostatnich była jego pióra, i przy sposobności postanowił „dać mu się we znaki.“ Jakoż sposobność tak rychło się przydarzyła. W artykule wstępnym, pomieszczonym w *Gazecie Polskiej* w wigilię Bożego Narodze-

nia, Kraszewski rozpisał się szeroko o jednej z cnót chrześcijańskich, w życiu nader rzadko spotykanej, o pokorze. „Kochamy—wołał,—ale wybieramy czego serce zapragnie, nie pracując na to, aby miłowało bez wyboru, bo nam brak przedewszystkiem pokory, tej cnoty, przygotowującej miłość, a egoizm nieprzepartym murem oddala nas od świata. Gdybyśmy umieli być pokorni, jakbyśmy wielcy być mogli! Gdybyśmy nie chcieli królować, jakbyśmy wielką posiadli potęgę! Społeczność nasza nadewszystko boleje (tak) na dumę, cierpi na to rozszarpanie przez miłości własne, które z niej czynią plac boju, zamiast agapów chrześcijańskich. Pokorą tylko człowiek odtrąca upokorzenie, pokorą idzie do pracy, do doskonałości, do opanowania siebie, bez którego nic też opanować nie potrafi.“

Jakkolwiek w artykule tym, dość dziś bezbarwnie i banalnie się przedstawiającym, niema ani słowa o Polsce, rządzie i Wielopolskim, jakkolwiek autor w końcu zdaje się zwracać do Czerwonych i przypomina im, że „ani człowiekowi, ani społeczeństwu nie przechodzi bezkarnie występki,“ że „sfalszowanie zasadniczych pojęć, na których stoi ludzkość, jest cięższym grzechem od najstraszniejszych klęsk, jakie największa niedola sprowadzić może,“—przecież wszyscy czytelnicy widzieli w tych słowach o pokorze ukrytego Wielopolskiego i on sam się tam dojrzał. Artykuł był bardzo czytany, numer tej gazety obiegał z rąk do rąk, mówiono o nim w całym mieście, co wystarczało, by podniecić mściwość margrabiego, by rozdrażnienie jego, w jakim się ciągle znajdował, jeszcze bardziej podrażnić. Parokrotnie już zaznaczyliśmy, że Wielopolski, dostawszy się do władzy, deptał prawo, ilekroć to uznał za korzystne lub potrzebne. Tak samo i teraz postąpił. Tegoż jeszcze dnia, w którym się ukazał cytowany artykuł *Gazety Polskiej*, margrabia pojechał do W. Księcia i wymógł na nim, że Kraszewskiemu dano rozkaz natychmiastowego opuszczenia redakcyi

i wyjechania za granicę. Było to po prostu wygnanie człowieka, który, dobrze użyty, mógł niemalą stanowić podporę dla nowych rządów polskich.

Kraszewski zaraz też, pod tą samą datą 24-go grudnia, pożegnał się z czytelnikami, które to pożegnanie *Gazeta Polska* wydrukowała po świętach Bożego Narodzenia, dnia 27-go grudnia. „Żegnając czytelników i współpracowników gazety—pisał znakomity powieściopisarz—i dziękując im za okazywane współczucie, za chętną pomoc i poparcie, potrzebujemy wytłómaczyć, że nie żadna różnica przekonań, zasad i poglądów, nie żadna niezgoda w zdaniach, ale czysto osobiste okoliczności, chęć powrotu do zatrudnień właściwych powołaniu, spowodowały ustąpienie nasze z dobrej woli.” Tak się żegnał, udając dobrą wolę, bo udawać ją musiał...

Cóż przez ten czas, gdy się to wszystko działo, gdy Czerwienicy z Komitetem centralnym owładali wszelkimi nieomal sprężynami życia narodowego, gdy powstanie jawnie się prawie przygotowywało,—coż przez ten czas robiło stronnictwo szlacheckie, drzemiąca na workach pieniędzy i powagi Dyrekcyja biała? Odpowiedzieć na to można jednym słowem: nic. Przez swych wojewódzkich i agentów śledzono bacznie czynności Czerwonych, ale nie przeszkadzano im wcale. Wreszcie wobec widocznego napięcia struny, wobec gorączki niezaprzeczanej, jaka kraj opanowała, zadecydowano zjazd reprezentantów całej dawnej Polski do Warszawy, w celu ostatecznego narażenia się, co robić i jaką postawę wobec gotujących się wypadków przyjąć. Zjazd odbył się w drugiej połowie grudnia. Ze strony Królestwa kongresowego wybrano na zjazd pięciu delegatów, po jednym z każdej gubernii, a mianowicie: Leopolda Kronenberga, Krzyżtoporskiego, nieuniknionego Edmunda Stawiskiego i dwóch dziś jeszcze żyjących obywateli; z W. Ks. Poznańskiego przysłano Koczorowskiego, Guttrego, podówczas mocno czer-

wonego zwolennika Mierosławskiego, наконец Wolniewicza. Tego ostatniego jednak, pomimo najlegalniejszego paszportu, władze rosyjskie nie chciały puścić przez granicę, tak, że tylko dwóch pierwszych przybyło do Warszawy. Słaba organizacya Białych, istniejąca w Poznańskim, polecała swym wysłannikom, aby wszelkimi siłami starali się powstrzymać powstanie. Z Litwy przybył znany nam już hr. Starzyński, marszałek gubernialny grodzieński, Jakób G. i jeszcze jeden obywatel S. P.; z Ukrainy zjawił się jeden tylko reprezentant, podobnie z Podola (Baraniecki) i z Wołynia (M. Sołtan). Z Galicyi nie przysłano nikogo. Ogółem zebrało się jedenastu deputowanych, którzy do pewnego stopnia reprezentowali jeżeli nie całą dawną szlachecką Polskę, to przynajmniej ogromną jej większość. Na prezydującego wybrano Kronenberga. Jednakże zjazd ten, mogący przy energii i stanowczości niemalą wpływ wywrzeć na wypadki, miał raczej charakter rozpraw akademickich i szlacheckiej pogawędki przy butelce wina, niż nięskich i politycznych postanowień. Przedewszystkiem kolejno wszyscy reprezentanci odnośnych prowincyi zdawali szczegółowo sprawę z ich stanu i usposobienia unysłów. Sprawozdania te były najostrzejszą krytyką stronnictwa szlacheckiego i wywarły wogóle przygnębiające wrażenie. Okazywało się bowiem, że stan kraju jest rozpaczliwy, że wszystko w nim wre i kipi, wszystko się pali, i ludzie i rzeczy. O Królestwie niema co mówić, bo było to widocznem dla wszystkich. Na Rusi położenie nie było lepszem. Na Ukrainie i Podolu—skarżyli się reprezentanci tych ziem—młodzież, czerwono usposobiona, zorganizowała się i dąży wyraźnie do powstania; jedna tylko Litwa—pocieszali się jej przedstawiciele—nie jest powstańczo usposobiona. Delegaci Korony byli przekonani, że powstanie tak rychło nie wybuchnie; liczyli na rozum margrabiego, potęgę Rosyi, nareszcie na brak pieniędzy u Czerwonych. Twierdzili wreszcie, że nawet, gdyby wy-

buch nastąpił, stronnictwo Białych potrafi go stłumić. Na to słuszną uwagę zrobił jeden z delegatów: „nie ludźmy się, panowie! gdy powstanie wybuchnie, pierwej czy później, wszyscy w niem udział przyjmniemy;” i, niestety! miał rację; dowodził tem bystrości umysłu i doskonałej znajomości pocziwego, ale nieopatrznego serca polskiego. W ogólności zjazd był jak najbardziej przeciwny powstaniu, prócz jednego Guttrego, który, wbrew swym instrukcyom, był wyraźnie powstańczo usposobiony. Gdy go zaklinano, by wpływał na Mierosławskiego, w celu powstrzymania agitacji, pytał ze zdumiewającą zaiste lekko-myślnością: „a więc kiedyż chcecie powstania?” Ostatecznie na zjeździe urządzono nowy program dla prac stronnictwa Białych, program, który wobec strasznych późniejszych wypadków rozwił się w nicość; wyrażono życzenie, aby w Warszawie uformowała się stała reprezentacja kraju z każdej prowincyi, postanowiono wydawać nowe pismo i zadecydowano w roku przyszłym nowy zjazd delegatów.

Przez czas swego pobytu w Warszawie delegaci kilkakrotnie i zapewne umyślnie stykali się z naczelnikami Czerwieńców. Widywano się z Zygmuntem Sierakowskim i Edmundem Różyckim, którzy właśnie w tej porze bawili w stolicy polskiej; delegaci litewscy zaszli do Kraszewskiego, który „nie podzielał obawy rychłej walki;” do Agatona Gillera, który zapewniał, że „Litwa może być spokojną;” Jurgens wreszcie sądził, że „stan obecny długo się jeszcze przewlecze” *). Przez Ruprechta trafiono nawet

*) Przyjazd Litwinów wpłynął na to, że wyprawiono w Warszawie nabożeństwo żałobne za zmarłego w dniu 15-m września 1862 r. poetę Władysława Syrokomlę. Pogrzeb jego w Wilnie na cmentarz Rosę miał zwykły w tej dobie charakter manifestacyjny. Wystąpiły cechy, całe duchowieństwo z biskupem Krasińskim na czele, błyszczały kontusze, orły i pogonie, brzmiały mowy patryotyczne. W pierwszej chwili łatwo zapal-

do Stefana Bobrowskiego, ale tu niewiele wskórano. Oszałały ten Czerwieńiec, trawiony jakąś niepohamowaną gorączką czynu, prawil delegatom, że Wielopolski przygotowuje kompromis z Rosją, że przez taki kompromis „zagrożoną jest wierność dla sztandaru;” że tego oni, Czerwoni, „dopuścić nie mogą za żadną cenę;” że wywołując powstanie, spełnią swój obowiązek. Ale już te szalone zdania, to poświęcenie bytu i przyszłości narodowej dla jakiejs zasady abstrakcyjnej w polityce, która jest nauką rzeczywistości i liczenia się z okolicznościami, nikogo nie niepokoiły. Wszyscy, tak delegaci szlacheccy, którzy się zjechali do Warszawy na sejm walny stronnictwa Białych, jak i dowódcy przyszłej walki o niepodległość, opuszczali stolicę polską z tem przekonaniem, że powstanie wprawdzie jest nieuniknione, ale jeszcze dość dalekie, oczekujące na lepsze przygotowania i na przyjaźniejsze okoliczności.

Niestety! wszyscy się mylili, okropnie się mylili - i za tę ich omyłkę kraj miał ciężko odpokutować. Nie widzieli oni, nie chcieli widzieć, a może przeznaczenie fatalne takie bielmo rzuciło na ich oczy, tak ogłuszyło ich uszy, że nie słyszeli złowieszczonego pomruku zbliżającej się burzy. Kiedy oni, ta szlachta, ta reprezentacja całej prawie dawnej Rzeczypospolitej, radziła nad programami,

nego u nas entuzjazmu opiekę nad dziećmi przyjęło trzech obywateli z różnych gubernii, a jeden z nich wziął młodszego synka Syrokomli na wychowanie z własnemi dziećmi. W Wilnie zawiązał się Komitet, pod prezydencją marszałka wileńskiego Domejki, do zbierania składek na wydawnictwo dzieł Syrokomli na korzyść rodziny. Pomnik na grobie miał stanąć z głazów i kamieni, zwiezionych ze wszystkich województw i ziem dawnej Polski. Wszystkie te piękne zamiary rozwiła burza powstańcza. W całym kraju odbywały się nabożeństwa za zmarłego, prócz Warszawy, w której dopiero teraz, w dniu 19-m grudnia, z inicjatywy przybyłych deputatów litewskich, którzy umyślnie o to do Kraszewskiego chodzili, odprawiono także nabożeństwo bardzo uroczyście w kościele Św. Krzyża.

marzyła o pokojowej pracy, ludziła się nadzieją długiej ciszy i prawidłowego rozwoju sił narodowych—z ciemności straszego jutra wylaniały się już blade postacie ludzi nowych, szaleńcy, pożerani chorobliwą gorączką czynu, osobistości nieznane, młodzieńcy bez wąsów, a nade wszystko bez głowy i bez serca, którzy w imię najśłodszej narodowi idei, wypieszczonej przez długie lata, skazywali ten naród na całopalenie, jak wdowie indyjskiej po śmierci męża, kazali umierać na stosie.

Taką była ta długa, posępna w swych głównych zarysach, tragiczna w swym końcowym akcie historia. Jeżeli jej przebieg od początkowego zarodka, zdawało się tak nic nie znaczącego, był bardzo dramatyczny i często—kroć bardzo bolesny, to o ileż dramatyczniejszym, o ileż boleśniejszym jest to jutro, te dni krwawe, jakie one przygotowały i splodziły! Ale dzieje te nie należą już do zakresu naszej pracy. Zatrzymujemy się więc przed głęboką przepaścią ostatniej tragedii narodowej, przed tą krwawą męką Polski, która, jak św. Teresa, przez to umierała, że umrzeć nie mogła, i w chęci zmartwychpowstania własną dłonią rozdzierała ledwie gojące się rany...

K O N I E C

TREŚĆ ROZDZIAŁÓW.

Przedmowa	str. 3.
Rozdział I. Pełnomocnictwo W. Ks. Konstantego.—Pertraktacye Wielopolskiego z Białyni i Karolem Majewskim.—Zamiary Chmieleńskiego i jego popleczników.—Ludwik Jaroszyński.—Rozmowa z Chmieleńskim.—Drugie z nim widzenie.—Przyjazd Wielkiego Księcia Konstantego.—Zamach Chmieleńczyków na Komitet centralny.—Powrót Jaroszyńskiego i Rodowicza.—Wjazd W. Ks. Konstantego do Warszawy.—Przyjęcie w Łazienkach.—Mowa arcybiskupa Felińskiego w katedrze.—Jaroszyński przed cerkwią i katedrą św. Jędrzejską.—Zamach w sieni teatralnej.—Zachowanie się Jaroszyńskiego.—Wrażenie, wywołane zamachem.—Narada w konsystorzu.—Rozmowa Wielkiego Księcia z arcybiskupem w Belwederze.—Mowa Wielkiego Księcia do zebranych i rozmowa z hr. Zamoyskim.—Streszczenie mowy przez „Dziennik Powszechny” i plotki.—Rady dawane Wielkiemu Księciu.—Nabożeństwo w archikatedrze i mowa ks. Felińskiego.—Pogłoski.—Zamiar p. Ludwika Górskiego.—Zebranie i adres.—Widzenie się z hr. Andrzejem Zamoyskim.—Górski i Kurtz udają się do Wielopolskiego.—Rozmowa z tymże.—Jego warunki nazajutrz.—Odrzucenie adres.—Postawa Zamoyskiego.—Zamysł adresu i deputacyi upada.—Mowa Wielopolskiego w Radzie stanu.—Napoleon III i prasa zagraniczna.—„Dziennik Poznański.”—Zachowanie się prasy polskiej jawnej i tajnej.—Życie domowe Wielkiego Księcia.—Chreptowicz, Wrześniowski i Tęgoborski.—Wielka Księżna, jej zamiary i imieniny.—Urodziny syna Wacława.—Ofiary i łaski.—Chrzest Księcia Wacława.—Straż	

wojskowa dla W. Księcia. — Wizyty i przejażdżki Wielkiego Księcia. — Żydzi i podatek koszerne. — Położenie prasy. — Projekt Krzywickiego. — Zakaz dziennikom pomieszczania artykułów wstępnych. — Artykuł „Gazety Śląskiej.“ — Zmiany urzędników. — Dymisy i nominacje. — Jenerał Paulucci i Podwysocki. — Dymisy prezydenta Wojdy. — Życie domowe Wielopolskiego. — Przyjęcia poniedziałkowe. — Państwo Keller. — Artykuł z „Indépendance Belge.“ — Projekt sądu głównego. — Wydział duchowny. — Zwiększenie etatu konsystorskiego. — Seminarjum. — Projekt, dotyczący duchownych, oskarżonych o zbrodnię stanu. — Sprawa małżeństw mieszanych. — Śledztwo w sprawie zamachu na Wielkiego Księcia. — Jaroszyński na sądzie. — Sąd publiczny. — Obrona mecenasa Grobickiego. — Wyrok i odpowiedź audytoryatu wojskowego. — Zatwierdzenie wyroku Str. 7—86.

R o z d z i a ł II. Myśl zamachu na Wielopolskiego. — Ludwik Ryll i jego przeszłość. — Zamach. — Wrażenie w mieście. — Mowa Wielopolskiego do Rady miejskiej. — Postępek Zamoyskiego. — Aresztowanie Jarosława Dąbrowskiego. — Przygotowanie nowego zamachu na margrabiego. — Jan Rzońca i jego przeszłość. — Zamach. — Rozporządzenie o kapeluszach. — Protest szlachty pińskiej. — Artykuły „Gazety Polskiej“ i „Warszawskiej.“ — Śmierć Jaroszyńskiego. — Sąd nad Ryllem i Rzońcą. — Powieszenie Rylla i Rzońcy. — Dwa okólniki Krzywickiego. — Odezwa W. Ks. Konstantego. — Narady w Dyrekcji białej. — Deputacja do margrabiego i jego odpowiedź. — Intryga hr. Przeździeckiego i Węgleńskiego. — Rozmowa W. Księcia z Zamoyskim. — Dyrekcja biała zwołuje szlachtę do Warszawy. — Narady. — Zapytanie W. Księcia i odpowiedź zjazdu. — Sprawa adresu do W. Księcia upada. — Pomysł podania adresu Zamoyskiemu. — Treść jego. — Rada Wielopolskiego. — Podróż Zamoyskiego do Petersburga. — Rozmowa z Cesarzem. — Wyjazd Zamoyskiego do Paryża. — Wrażenie w Warszawie i pogłoski. — Artykuł „Journal de St. Petersbourg.“ — Odezwa lubelska. — „Komunały.“ — Poczta i zarząd komunikacji. — Stan wojenny. — Oczyszczanie włościan. — Umowy dobrowolne. — Delegacje czynszowe i ich wnioski Str. 86—174.

R o z d z i a ł III. Komitet i jego członkowie: Agaton Giller, Szwarce, Kozłowski. — Organizacja Komitetu. — Organizacja na Litwie. — Czasopismo „Ruch.“ — Poczta. — Myśl stworzenia tajnego państwa polskiego. — Instrukcja dla organizacji powstańczej. — Ustrój Komitetu centralnego. — Naczelnicy miasta. — Polityca

rządowa w Warszawie i na prowincyi. — Aresztowanie 66 osób i ogłoszenie instrukcji sprzysiężeniu. — Komitet emigracyjny. — Mierosławski i czasopismo „Baczność.“ — Wysłanie Kurzyny do Warszawy. — Komitet odrzuca jego propozycje. — Kurzyna ustanawia Komitet rewolucyjny. — Nowy naczelnik miasta Zygmunt Padlewski. — Odezwa Komitetu centralnego do włościan. — Podróż Gillera i Padlewskiego do Londynu. — List Komitetu centralnego do Herecna i jego odpowiedź. — Politycy angielscy. — Aresztowanie oficerów. — Felkner i jego zabicie. — Sprawa chełmska. — Zabicie Starzewskiego i Czerniakówny. — Aresztowania. — Witkowski prowadzi śledztwo. — Rozbicie organizacji lubelskiej. — Dekret Komitetu centralnego o podatku narodowym. — Ogłoszenie ustaw Komitetu rewolucyjnego przez „Dziennik powszechny.“ — Nowy skład Komitetu centralnego. — Godlewski, Bogdanowicz i Oskar Aweyde. — Komitet wileński. — Komitet ruski. — Misja Stefana Bobrowskiego. — Akces duchowienstwa do Komitetu. — Zjazdy w Kłoczewie, w Świętomarzu, we Wrocierzu. — Zjazd unicki w Leśnej. — Rozprawy i fatalny wypadek. — Odezwa Białych do rzemieślników. — Wyjazd Padlewskiego do Petersburga. — Powstanie Komitetu „Ziemia i Wola“ oraz Komitetu polskiego petersburskiego. Str. 174—261.

R o z d z i a ł IV. Ogólne zebranie Rady stanu. — Szkoła główna. — Obsadzenie katedr profesorskich. — J. K. Wołowski. — W. Dutkiewicz. — Wł. Holewiński. — Frąckiewicz. — Natansohn. — Prażmowski. — Cienkowski i Dybowski. — Przedstawienie ciała profesorskiego Namiestnikowi. — Józef Mianowski i jego nominacja na rektora Szkoły głównej. — Mowy Krzywickiego i Mianowskiego. — Mowa Wielopolskiego do profesorów. — Pobór do wojska jako środek polityczny. — Opór wojskowych. — Wielopolski zwycięża i jego projekt idzie do Petersburga. — Zatwierdzenie projektu. — Uwagi czynione margrabiemu i jego odpowiedź. — Nacisk organizacji na Komitet. — Okręg kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. — Rady powiatowe i Komisje konskrypcyjne. — Dekret Komitetu centralnego, nakazujący zniesienie Rad. — Przybycie gwardyi do Warszawy. — Pułk Woliński. — Zachowanie się ludności warszawskiej wobec gwardyi. — Historia adresu gub. Podolskiej. — Aresztowanie marszałków szlachty. — Historia adresu mińskiego. — Wypadki w Rypinie. — Upór Wielopolskiego. — Unikanie poboru. — Tajny reskrypt Komisji spraw wewnętrznych. — „Czas“ publikuje ten reskrypt. — Wrażenie w dziennikarstwie europejskiem. — Przyby-

cie Orłowa i narada w Zamku. — Artykuł „Czasu“ o brance i mowa ks. Czartoryskiego. — Zakaz rozszerzania organizacyi. — Rozkaz do władz rządowych. — Komitet postanawia sprowadzić broń. — Fundusze Komitetu. — Komisya broni w Paryżu. — Historia Abichta i jego aresztowanie. — Aresztowanie trzech agentów Komitetu w Paryżu. — Sierakowski i inni dowódcy powstania w Warszawie. — Wykrycie drukarni „Ruchu.“ — Zjazd biskupów w Warszawie. — Sprawa Kraszewskiego. — Zjazd Białych w Warszawie. — Zakończenie. . Str. 261—346.



210

Tegoż autora:

	<i>Rb. k.</i>
Chamska dusza. Powieść z XVIII wieku. 2 tomy.	2 —
Dzieje Polski , opracowane dla młodzieży. Wydanie drugie, poprawione i znacznie rozszerzone, z mapą Polski z r. 1772.	1 —
W oprawie kartonowej	1 20
W ozdobnej oprawie w płótno angielskie	1 50 •
Rycerz Mora. Powieść historyczna z czasów pierwszego najazdu szwedzkiego	1 20
Sokół królewski. Powieść historyczna z czasów Zygmunta Augusta. Wydanie drugie.	— 80
Z przeszłości Warszawy. Szkice historyczne. Serya I.	1 20
— Serya II. Legendy warszawskie.	1 20

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA

adomin

1445

Księgarnia A. G. DUBOWSKIEGO w Warszawie,

Marszałkowska 91 (róg Żórawiej),

POLECA:

	Rb. k.
Angustynowicz Jan. <i>Książę Prot.</i> Powieść.	1 20
Bardzka Natalia. <i>Książę Jerzy.</i> Powieść historyczna z końca XVII wieku.	1 —
Gasiorowski Wacław. <i>Pigularz.</i> Powieść.	1 20
Gliński Mieczysław. <i>Poezye.</i>	— 80
W oprawie w płótno angielskie	1 20
Graybner Stanisław. <i>Marszałek.</i> Powieść.	1 —
Hajota. <i>On i my.</i> Nowelle.	1 —
Junosza Klemens. <i>Przy kominku.</i> Obrazki i opowiadania.	1 20
— <i>Suma na Kocimbrodzie.</i> Powieść.	— 80
— <i>Za mgłą.</i> Powieść.	1 20
Karwicz-Dunin Józef. <i>Ze starego autoramentu.</i> Typy i obrazki wołyńskie. Serya I i II, każda po	1 20
— <i>Z moich wspomnień.</i> Wstęp. Lata dziecięce i młodość.	2 50
— Tom I, II, III i IV, każdy po	1 50
— <i>Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości.</i> Wołyńskie opowiadania historyczne.	1 20
Kondratowicz S. <i>Taniec lichwy.</i> Powieść na tle stosunków współczesnych. 2 tomy.	2 50
Kozłowski Stanisław. <i>Turniej.</i> Dramat w 5 aktach.	— 75
Lange A. <i>Poezye.</i> Część I.	1 50
Laskowski Kazimierz (El). <i>Pogrzeb.</i> Tryptyk sceniczny. Wierszem.	1 —
— <i>Wież. W ojców ślady.</i> Powieść.	— 60
— <i>Z chłopskiej piersi.</i> Spiewki. Serya I, II, III, IV i V, każda po	— 20
— <i>Zrośli z ziemią.</i> Opowieść. Wydanie 2.	— 60
Oruicz Jerzy. <i>Ela.</i> Powieść współczesna, odznaczona na konkursie „Biblioteki dzieł wyborowych.”	1 20
Petka Janusz. <i>Handlarze.</i> Powieść.	1 —
Przewóska Marya Czesława. <i>Z nowych dni.</i> Syntetyczny zarys końca wieku.	1 50
Roguski S. M. <i>Mąż i pan.</i> Opowiadanie.	— 60
Róściszewski Mieczysław. <i>Pani domu.</i> Skarbiec porad praktycznych dla Polek wszelkich stanów. Dzieło, opracowane na podstawie licznych źródeł swojskich i obcych.	
W oprawie kartonowej.	1 70
W oprawie w płótno angielskie	2 —
Różycki Zygmunt. <i>Najmłodsza Polska w pieśni.</i> Wybór utworów 44-ch poetów). Wydanie wytworne.	1 20
W oprawie ozdobnej	1 70
Saryusz. <i>Miedzy świtem a dniem.</i> Powieść.	1 20
Wagner C. <i>Podstawy życia rodzinnego.</i> Tłumaczyła z francuskiego K. Białecka.	1 —
W oprawie kartonowej	1 20
W ozdobnej oprawie w płótno angielskie	1 50

